

Spis treści

32	2
33	11
34	18
35	28
36	40
37	47
38	56
39	65
40	74
41	82
42	92
43	101
44	108
45	115
46	122
47	130
48	138
49	148
50	154
51	167
52	179
53	187
54	194
55	202
56	211
57	218
58	224

SMOKI ZIEJĄCE OGNIEM

Woda.

To tylko woda.

Była na tyle ciepła, że na szklanych ścianach kabiny prawie od razu osadziła się para.

Wiedziałam, że to niemożliwe, by z deszczownicy trysnął kwas, a mimo to potrzebowałam kilku dobrych minut, żeby zebrać odwagę i wziąć prysznic.

Oddychałam głęboko, gdy zmywałam z siebie traumy wczorajszego wieczora, choć nawet świeża i pachnąca odczuwałam dziwne otępienie. Kojący prysznic nie rozluźnił moich spiętych mięśni ani nie pomógł na doskwierające uczucie niepokoju.

Sonny czaił się za mną bliżej niż kiedykolwiek, gdy schodziłam na dół, ale nie przeszkadzała mi jego obecność. Po raz pierwszy chyba byłam mu wdzięczna.

Najwyraźniej bezpiecznie nie mogłam się czuć nawet we własnym domu.

– Hailie, dzień dobry – przywitał mnie w kuchni Vincent, odstawiając kubek z kawą i unosząc wzrok znad laptopa.

Odburknęłam mu odpowiedź i nalałam sobie wody do szklanki, którą wypiłam na raz. Dopiero teraz poczułam, jak odwodniona jestem przez ten wczorajszy płacz. Usiadłam przy stole, naprzeciwko brata i westchnęłam, rozkładając się na blacie.

– Powinnaś zjeść śniadanie – oznajmił, ciągle na mnie patrząc.

Pokiwałam głową, przymykając powieki.

– Mhm – mruknęłam i ziewnęłam. – Zaraz sobie zrobię. Tosty francuskie czy coś.

Szkoda, że Eugenie nie pracowała w niedzielę.

Rozległy się szurnięcie krzesłem i ciche kroki. Myślałam, że Vince ot tak sobie poszedł i trochę zaczynało mi się robić przykro, że nawet się nie zainteresował, czy wszystko u mnie w porządku po tym, jak ktoś próbował zabić mnie perfumami z kwasem, ale potem usłyszałam brzdęk naczyń i podniosłam szybko głowę, marszcząc brwi.

Vince w białej koszuli i ciemnych spodniach wyciągnął patelnię i sięgał po jajka z lodówki.

Gapiałam się oniemiała, dopiero po chwili rozumiejąc, co się dzieje.

– Ja mogę sama, nie musisz... – zaczęłam, dziwnie się czując, że osoba taka jak on robi mi śniadanie.

– Wiem, że możesz sama – odparł tylko, zerkając na mnie przelotnie.

Obserwowałam go przez chwilę, przygryzając wargę. Gdy wrzucił tosty na patelnię, zaczęły głośno syczeć.

– Pomóc ci?

– Siedź.

Zgarbiłam się i powoli moja głowa znowu ułożyła się na blacie. Ciągle jednak wodziłam spojrzeniem za Vincentem. Robił mi śniadanie. Po raz pierwszy widziałam go przy tak przyziemnym zadaniu.

Niedługo potem stanął przede mną talerz z dwoma tostami francuskimi, pokrojonym w plasterki bananem, a obok garnuszek z syropem klonowym i herbata. Podziękowałam i ostrożnie uniosłam kubek. Musiałam najpierw przekonać podświadomość, że to tylko gorący napój, a nie żaden kwas, bo przecież zaserwował mi to Vincent. Dopiero wtedy ostrożnie upiłam łyk, parząc sobie język. W tym czasie Vince usiadł z powrotem na wcześniej zajmowanym miejscu, zamknął laptopa, odchrząknął i znowu wbił spojrzenie we mnie.

– Jak się czujesz? – zapytał i był dla mnie uprzejmy, ale w jego jasnych oczach czaiła się ta sama złość co wczoraj.

– Nie tak źle. Boli mnie głowa – odparłam, przeżuwając pierwszy kęs tosta.

– Jeśli nie przejdzie ci po jedzeniu, to weź tabletkę.

Pokiwałam głową.

Chwila ciszy.

– Wiesz już, od kogo była ta paczka? – zapytałam.

– Jeszcze nie.

Znowu pokiwałam głową, przyjmując tę odpowiedź do wiadomości, a potem przyszła mi na myśl jeszcze jedna kwestia, którą chciałam poruszyć.

– Skąd wiedziałeś, że coś będzie z tymi perfumami nie tak?

Vince westchnął i potarł sobie oczy. Gdy znowu spojrzał na mnie, zgodziłam się nawiązać z nim ten kontakt wzrokowy.

– Znałem zawartość paczek. Wiedziałem, że dostaniesz kolczyki, pióro, pudełko robionych na zamówienie pralin i coś od Ruby, notes czy może kalendarz. Żadne perfumy.

Nie miałam siły się złościć, że Vince kontrolował nawet moje prezenty. Gdzieżbym zresztą śmiała. Gdyby było inaczej, byłabym martwa.

Widziałam, że chce mi powiedzieć coś jeszcze, i z jakiegoś powodu czułam, że mi się to nie spodoba. Na szczęście nie zwlekał długo.

– W najbliższych... tygodniach chciałbym, żebyś ograniczyła swoje wyjścia z domu – poinformował mnie. Swoim uważnym spojrzeniem wyraźnie dawał mi do

zrozumienia powagę sytuacji, choć gdzieś tam w czeluściach jego mroźnych tęczywek kryła się łagodność.

– Ale Vince... – Zawahałam się, nerwowo bawiąc się plasterkiem banana na talerzu.
– Tutaj nie ma czego ograniczać. Przecież poza szkołą praktycznie nigdzie wychodzę.

– Wiem o wszystkich twoich wyjściach, Hailie. I mówię, że muszą one zostać ograniczone – powtórzył spokojnie.

Jedzenie w moich ustach straciło smak i przełknęłam je szybko, zwalczając odruch wypłucia go na talerz. Ślad zdegustowania pozostał jednak na mojej twarzy, gdy wpatrywałam się w brata. Myślałam, że po prostu źle go zrozumiałam.

– Chcesz mi dać szlaban?

– To nie szlaban. I nie kara.

– Brzmi jak szlaban i kara – mruknęłam ze zmęczeniem, bo z jednej strony chciałam się buntować, ale z drugiej ktoś właśnie próbował mnie zabić.

– Mówiąc o ograniczeniu – rzekł – chodziło mi głównie o twoje regularne wyjścia.

Zmarszczyłam brwi, nie rozumiejąc.

– Chciałbym, żebyś przez kilka następnych tygodni skorzystała z przywileju nauczania domowego.

– Słucham?

– Załatwię ci prywatnych nauczycieli. Będiesz na bieżąco z całym materiałem.

– Ale ja... Mam sprawdziany i projekty, ja... Nie mogę tak nagle przestać pojawiać się w szkole...

– Hailie, wiem, że to dla ciebie trudne. Wiem, że lubisz chodzić do szkoły. Nie chcę robić ci na złość. Wczorajsza sytuacja jednak zmusza mnie do zachowania niecodziennych środków ostrożności.

– Po co niby Sonny wszędzie za mną chodzi? Co on, jest do ozdoby?

– Hailie, wtargnięcie na teren waszej szkoły to żadna filozofia. Shane i Tony nie zawsze są przy tobie. A Sonny musiałby siedzieć z tobą w klasie i na każdej przerwie, żeby jego ochrona w szkole miała sens. Nie chcę jednak, żeby się aż tak ostentacyjnie pokazywał w twojej obecności, zresztą ty sama też tego nie chcesz, uwierz mi.

No jasne, że nie chciałam. Chyba zapadłabym się pod ziemię, gdybym musiała znosić tak oczywistą obecność swojego ochroniarza w klasie.

– To jakiś koszmar – westchnęłam i schowałam twarz w dłoniach.

– Nie będzie tak źle – pocieszył mnie sztywno Vince.

Oderwałam ręce i uniosłam głowę.

– Będzie tragicznie. Jak długo to potrwa? Aż nie znajdziecie osoby za to odpowiedzialnej? – pytałam. – A co, jeśli nie znajdziecie jej nigdy? Czy już na zawsze będę zamknięta w domu?

– Hailie, nie nakręcaj się i nie dramatyzuj, jesteśmy...

Zmrużyłam oczy i weszłam mu w słowo, dobrze pamiętając, że tego nie lubi:

– Dramatyzowałam wczoraj! Zaraz po tym, jak ktoś chciał mnie zabić! Dzisiaj myślę trzeźwo i...

-Hailie, jest to decyzja, której podjęcie należy do mnie, nie do ciebie.

Nastąpiła cisza. Patrzyłam teraz gdzieś w bok. Byłam z siebie dumna, że nie płakałam, choć byłam naprawdę bliska rozpaczki. Po prostu wszystkie łzy wylałam wczoraj.

– Duszno mi – wymamrotałam, a mój brat przechylił głowę. Popatrzyłam na niego. – Nie mogę złapać oddechu. Czuję się jak w klatce. Wszędzie podąża za mną ochroniarz. Mój telefon to jedno wielkie urządzenie szpiegowskie. Nie mogę prowadzić samochodu, nie mogę pójść na imprezę, nie mogę iść na głupią randkę. Odkąd tu zamieszkałam, chyba nigdy nie byłam kompletnie sama w domu. W szkole na każdym kroku wpadam na bliźniaków. Już tak nie mogę...

– Mówiłem ci. Twoje nazwisko niesie ze sobą zarówno mnóstwo korzyści, jak i wyrzeczeń – przypomnieli mi Vincent.

– Wydaje mi się, że jednak niesie ze sobą zdecydowanie więcej wyrzeczeń – stwierdziłam ponuro.

– To dlatego, że przyzwyczaiłaś się do niektórych korzyści. Innych jeszcze nie zdążyłaś poznać.

Prychnęłam cichutko, chcąc pokazać swoje niezadowolenie, ale tak, żeby nie przegiąć.

– Co, jeśli będę nieszczęśliwa?

Vincent nie był na mnie zły. Możliwe, że choć jest to niepotwierdzone, nawet mi trochę współczuł. Skanował mnie swoimi zimnymi tęczówkami, po czym podniósł się i złapał w jedną dłoń swojego laptopa. Drugą dłonią natomiast pogłaskał mnie po głowie, gdy przed wyjściem z kuchni zbliżył się do mnie.

– Postaramy się temu zaradzić – szepnął, po czym postukał w krawędź talerza z moim śniadaniem. – Dokończ to, proszę.

Popatrzyłam tępo na nadgryzionego, złocistego tosta i topniejącego w syropie klonowym banana.

– Vince? – zawołałam nagle, szybko się obracając. Nie zdążył jeszcze opuścić pomieszczenia, więc zatrzymał się i odwzajemnił moje spojrzenie. Obliznęłam nieświadomie wargi, zanim odważyłam się zadać pytanie. – A co z moją pracą dla fundacji? Co z bale, który miałyśmy z Ruby organizować? I przyjęciem świątecznym dla dzieci?

Nic nie powiedział, ale pokręcił lekko głową, zachowując pełną powagę. To wystarczyło. Moje serce zadrżało nieprzyjemnie. Nie akceptowałam takiej odpowiedzi.

– Nie. Nie zabieraj mi tego, proszę!

Przecież dopiero co chwaliłam się wszystkim, jak bardzo cieszą mnie nadchodzące projekty.

– Przekażę Ruby, żeby wydzieliła dla ciebie zadania, którymi możesz zająć się zdalnie.

– I zdalnie dołączę do balu? Ale frajda! – prychnęłam i nawet nie dałam mu szansy, żeby odpowiedział. Po prostu wstałam i ignorując resztki śniadania, wybiegłam z kuchni, lekko go przy tym szturchając.

Najpierw chciałam zabarykadować się w swojej sypialni i tam pogrążyć w rozpacz i złości, ale i od niej potrzebowałam odetchnąć. Dlatego pognałam w głąb korytarza. Już się tam wcześniej zapuszczałam. Znajdowały się tam pokoje gościnne. W jednym z nich zamieszkała Maya z wujkiem Montym, gdy zatrzymywali się pod naszym dachem. Dziś weszłam do losowej sypialni i mimo poruszenia, jakie czułam w sercu, uśmiechnęłam się lekko na sam powiew świeżości, jaki we mnie uderzył. Nad tymi pokojami czuwała Eugenie i zawsze porządnie je wietrzyła. Zostawiła rozszczelnione okna i wczorajsza rześkość jeszcze stąd nie uleciała.

Sypialnia była biała, z drobnymi, zielonymi akcentami, które bardzo cieszyły moje oko. Na przykład łożo zaścienione kapą w kolorze soczystej trawy wręcz przyciągało. Opadłam na nie z westchnieniem.

Pokój mnie uspokajał nie tylko relaksującymi barwami, lecz także niezagraconą przestrzenią. Poza nielicznymi meblami znajdowały się tu świeczka zapachowa, uroczą nocną lampkę i kaktus, o którego również dbała gospoia. Dzięki temu, że pokój nie był zamieszkały przez żadnego stałego lokatora, nie panował tutaj bałagan w postaci porzucanych książek, długopisów, notatek czy laptopów. Żadna torba nie leżała w kącie, żadna kurtka nie była przewieszona przez oparcie fotela i żadna szklanka wody nie zalegała na stoliku nocnym. Taki minimalizm kojąco wpływał na mój zmęczony umysł.

Przymknęłam na chwilę powieki i znalazłam się w idealnej pozycji do dołowania samej siebie. Rozpaczłam po cichu nad kierunkiem, jaki obiera moje życie. Będę zamknięta tu jak w więzieniu. A przecież nie jestem, kurczę, świnką morską, którą można wsadzić do klatki i której potrzeby sprowadzają się do świeżego sianka i miodowej kolby.

W rzeczywistości nie złościłam się na Vincenta. Może trochę, bo sposób, w jaki przekazywał mi informacje o wprowadzeniu ograniczeń do mojego życia, pozostawiał wiele do życzenia, ale rozumiałam, dlaczego to robił. Sytuacja była poważna. Ktoś dokonał zamachu na moje życie. Ja sama do końca nie wiedziałam, jak mam po tym wszystkim teraz normalnie funkcjonować.

Po prostu zrobiło mi się przykro, że w związku z tym zostają mi odebrane nieliczne przyjemności. Nie potrafiłam poradzić sobie z tą niesprawiedliwością.

W pewnym momencie zza przymrużonych powiek dostrzegłam wyjście na balkon i wyobraziłam sobie, jak wspaniale będzie poczuć powiew wiatru na twarzy, więc zwlokłam się z łoża i ruszyłam w tamtą stronę. Balkon był betonowy z elegancką

barierką składającą się z małych kolumn. Podobny miałam w pokoju, ale nieco większy. Ten jednak wychodził na inną stronę i podobał mi się ten nowy widok, choć na dobrą sprawę także składał się głównie z gęstych rzędów drzew.

Usiadłam na ziemi i oparłam plecy o ścianę, gapiąc się na zieleń iglaków pomieszaną brązem nagich koron drzew pozbawionych już o tej porze roku liści. Nie wiało, więc nic nie smagało mnie po twarzy, tak jak to sobie wyobrażałam, ale panował chłód, więc od razu zrobiło mi się zimno. W pewnym momencie przeniosłam spojrzenie z ponurych drzew na wierzch mojej nagiej ręki i zmrużyłam oczy, obserwując z największą uwagą stojące na baczność włoski.

Mogę się przeziębnić, skoro i tak będę siedzieć teraz w domu.

Wokół Rezydencji Monetów panowała cisza, jak zawsze, dlatego też gdy rozległo się cichutkie stuknięcie w sypialni, moje uszy od razu je wychwyciły i obróciłam podejrzliwie głowę.

Przewróciłam oczami i zacisnęłam jednocześnie szczękę na widok Sonny'ego.

– Przyszłam tu, bo chcę być sama – oznajmiłam nieco niegrzecznie. Obecność ochroniarza często wzbudzała moją agresję i nie byłam z tego dumna, ale w tamtym momencie o tym nie myślałam.

– Przepraszam. Tylko sprawdzam... – odpowiedział mi Sonny, jak zwykle uprzejmie.

Pewnie myślał, że jestem rozpieszczona i zepsuta. Trudno.

– Czy co? Czy nie uciekłam? Niby jak? – prychnęłam ironicznie. Siedziałam na balkonie, na piętrze i o ile nie dorwałabym nigdzie latającej miotły, naprawdę nie miałam jak się stąd wydostać. Nie wspominając o samym wyjściu poza granice posesji, co bez wiedzy moich braci było zwyczajnie niemożliwe.

– Czy nic głupiego nie przyszło ci do głowy.

Uniosłam brwi.

– Niby co? Jestem zamknięta w tym domu, więc jakoś nie mam dużo pola do popisu, wiesz?

Sonny nie odpowiedział, tylko skinął głową. Cierpliwie znosił moje humory, przez co – znając życie – będę miała później wyrzuty sumienia.

Głupie to wszystko, chyba się zabiję.

Och. Otworzyłam szerzej oczy, gdy dotarło do mnie, co Sonny miał na myśli. Natychmiast na niego spojrzałam, na chwilę zapominając o złości.

– Sprawdzasz, czy nie robię sobie krzywdy? – zapytałam, drżąc na samą myśl.

– Mam pilnować twojego bezpieczeństwa. Nawet jeśli mam cię chronić przed samą sobą – przytaknął sztywno Sonny.

Zamilkłam na chwilę, z lekkim dreszczykiem wyobrażając sobie, co mogłabym zrobić. Mogłabym się pociąć, skoczyć z tego balkonu albo nawet się zastrzelić. W końcu większego problemu ze znalezieniem broni w tym domu mieć nie powinnam.

– Nie zabiję się – powiedziałam bezbarwnie.

– Miło mi to słyszeć, panno Monet.

Już wychodził, by dać mi tę wymarzoną chwilę samotności, ale go zatrzymałam.

– Sonny? – zapytałam i od razu dziwnie się poczułam, zwracając się do niego po imieniu.

– Tak, panno Monet?

– Możesz mówić do mnie Hailie – zasugerowałam.

– Nie sądzę, panno Monet.

– Nie będzie mi to przeszkadzało, naprawdę.

– Rozumiem, ale dostałem od pana Moneta odpowiednie instrukcje i powinienem ich przestrzegać.

Przekrzywiłam głowę, jakbym nadal nie miała kontaktu z rzeczywistością, ale się nie klóciłam.

– A ile ty tak w ogóle masz lat?

Uśmiechnął się. Bawiłam go.

– Dwadzieścia.

Objęłam się ramionami, bo robiło mi się coraz zimniej, ale jednocześnie dobrze siedziało mi się na dworze.

– Jesteś bardzo młody jak na zaufanego ochroniarza – oceniłam.

Sonny parsknął cichutko.

– Bardzo młoda to jesteś ty, panno Monet.

Zamyśliłam się, gapiąc się na mężczyznę z nieskrywanym zainteresowaniem. Ostatnio był ciągle obecny w moim życiu, a ja tak mało o nim wiedziałam.

– Dlaczego tak właściwie jesteś ochroniarzem? Myślałeś o tym, żeby zmienić pracę? Iść może na studia czy coś? – ciągnęłam.

Sonny wzruszył obojętnie ramionami.

– To świetnie płatna fucha i jestem w niej dobry – odpowiedział, a ja pokiwałam tylko głową i choć miałam jeszcze kilka pytań, to nie zadałam ich, bo nie chciałam wyjść na wścibską. Gdy wyczuł, że to koniec naszej pogawędki, zebrał się do wyjścia i tylko obrócił się ostatni raz w moją stronę, żeby zwrócić mi uwagę. – To nie moja sprawa, panno Monet, ale przeziębisz się na tym balkonie.

Wyszedł, a ja zerknęłam na ręce, które zaczynały mi się trząść. Przesiedziałam na dworze jeszcze kilka minut, ale potem potrzeba komfortu wygrała i uniosłam

zesztywniałe ciało, by wrócić do pokoju. Zatrzasnęłam drzwi balkonowe i zatrzęsłam się. Brr. Sekundę później dałam się skusić wielkiemu łożu. Zakopałam się pod wszystkimi narzutami i kołdrami, którymi było zaścielone, i wreszcie się rozgrzałam. Zamknęłam powieki, rozkoszując się tym przyjemnym uczuciem. Obudziło mnie szturchanie w ramię.

– Will! – westchnęłam, gdy obudziłam się na tyle, by rozpoznać ulubionego brata.

– Hej, malutka, co tutaj robisz? – zapytał mnie, uśmiechając się lekko, choć jego oczy były wyraźnie zmartwione.

Przewróciłam się z boku na plecy i ziewnęłam cicho, przykrywając usta. Wtuliłam się w kołdrę jeszcze bardziej i dopiero po chwili zauważyłam, że leżałam w poprzek łóżka. Nie pamiętałam tylko, czy tak zasnęłam, czy po prostu przemieściłam się w trakcie snu.

– Śpię – odparłam niewinnie, odgarniając włosy z oczu.

Will uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Czas na obiad. Już późno.

– Przecież chwilę temu zjadłam śniadanie. – Zmarszczyłam brwi, a wtedy Will machnął mi przed oczami swoim zegarkiem, którego wskazówki wyraźnie pokazywały godzinę osiemnastą.

– Z tego, co mi wiadomo, to za wiele go nie zjadłaś.

To mi przypomniało poranną rozmowę z najstarszym bratem.

– Will, Vince chce zmusić mnie do domowego nauczania i zakazuje mi jeździć do fundacji... – poskarżyłam się z przygnębieniem.

Will otworzył usta i zaraz je zamknął, a następnie usiadł na brzegu łóżka i spojrzał na mnie.

– Wiem, że ci przykro – westchnął. – Ale nie masz pojęcia, jak się wszyscy wystraszyliśmy. Jak Vince się wystraszył. Te perfumy... Hailie... I to w naszym domu, tuż pod naszym nosem. Vince teraz najchętniej zamknąłby cię w zamku, a na straży postawił z osiem smoków. Takich ziejących ogniem.

Chyba raczej pięć – pomyślałam.

Gapiałam się w sufit. W głowie kotłowało mi się tyle myśli, że zatęskniłam za tą pustką, która w niej gościła na czas snu.

– Zawsze chciałam być jak księżniczka... – powiedziałam monotonnym głosem.

– Jesteś księżniczką – odparł z uśmiechem i błyskiem w pięknych, błękitnych oczach.
– I jesteś dla nas zbyt ważna, by ryzykować twoje życie.

Przymknęłam oczy i teraz to ja westchnęłam.

– Will, zanudzę się.

Mój brat zaśmiał się serdecznie i podniósł się, wyciągając do mnie rękę.

– Staniemy na głowie, żeby do tego nie doszło – obiecał, a ja wtedy otworzyłam oczy i wciąż nieprzekonana, zaczęłam wygrzebywać się z kołdry i uściśnęłam rękę Willa. Pozwoliłam mu się przytulić, ale nagle poczułam przeszywające mnie zimno.

– Mogę twój sweter? – zapytałam bezwstydnie, wiedząc, że Will mi nie odmówi.

Miałam rację. Uśmiechnął się czule i zdjął sprawnym ruchem swój bordowy sweter. Założył mi go przez głowę. Z zadowoleniem wsunęłam ręce w rękawy. Od razu zrobiło mi się lepiej i cieplej. A ubranie cudownie pachniało Willem.

Skierowaliśmy się razem do kuchni, gdzie przy stole spotkaliśmy Shane'a. Gapił się w telefon i zjadał lody prosto z pudełka. Na mój widok odłożył łyżkę, a także odsunął i poklepał krzesło obok siebie, które chciał, żebym zajęła. Zapytał też, czy dobrze się czuję, a ja uśmiechnęłam się do niego trochę smutno, na co on położył dłoń z boku mojej głowy i przyciągnął ją do swojej piersi, sprawiając, że znalazłam się w bardzo niewygodnej pozycji. Stęknęłam, ale nie próbowałam się nawet wyrwać, tylko doceniłam jego próbę okazania mi czułości.

Potem zajęłam się jedzeniem zupy dyniowej, aż nagle przerwałam, gdy do kuchni wszedł Dylan. Ubrany był w czarną, obcisłą bluzkę z jakimś małym, białym znaczkiem na lewej piersi i w również czarne spodnie. Ależ on był wielki. Machnął akurat głową, żeby pozbyć się włosów wpadających mu do oczu, gdy zatrzymały się one na mnie i jego twarz stężała. Bardzo trudno było mi uwierzyć, że wczorajszego wieczora to właśnie jego ramiona oplatały mnie tak opiekuńczo.

Dylan usiadł naprzeciwko mnie i Shane'a. W momencie, gdy czujność bliźniaka na chwilę się uśpiła, on sięgnął przez stół i porwał jego pudło lodów.

-Spadówka! – huknął Shane i nachylił się, by odzyskać swój deser, ale był poza jego zasięgiem. Dylan, liżąc bezwstydnie łyżkę, doprowadził do tego, że Shane musiał wstać, by okrążyć stół i wyrwać mu swoją własność. Nie obeszło się bez szarpaniny i normalnie pewnie już dawno chichotałabym wniebogłosy, ale nie dzisiaj.

– Weźcie się ogarnijcie – mruknął Tony. Właśnie dołączył do nas w kuchni i wyjął sobie puszkę coli z lodówki. On również rzucił mi dłuższe spojrzenie, którego zreżennie uniknęłam.

Will wkrótce wyszedł, prosząc mnie na odchodne, bym zjadła wszystko, a ja wiedziałam, że te trzy doberman, które zostały ze mną, na pewno będą pilnowały, by tak się stało, więc skupiłam się na byciu grzeczną młodszą siostrą i wyczyściłam talerz. Poza tym naprawdę byłam głodna. Jadłam po cichu w towarzystwie chłopaków, którzy gawędzili. Kiedy odkładałam talerz do zmywarki, Tony głośno beknął, a Dylan po raz pierwszy dzisiaj odezwał się bezpośrednio do mnie.

– E, dokąd idziesz, mała dziewczynko?

Odwrociłam się z westchnięciem.

– A dokąd ja mogę iść? – zapytałam zrezygnowana. – Do sypialni czy do salonu? Hm, trudna decyzja, naprawdę. W sypialni mogę leżeć na łóżku, ale w salonie jest telewizor. Muszę to przemyśleć.

Nie zamierzałam tak ironicznie odpowiadać, ale byłam rozdrażniona i znużona, więc nad tym nie panowałam.

Shane zachichotał, Dylan uniósł brew, a Tony znowu beknął.

Odwrociłam się z powrotem do wyjścia, ale i tym razem Dylan mnie zatrzymał.

– Ruszcie dupy – rzucił do pozostałych braci. – Pomożemy naszej małej Hailie się wyżyć.

I poszliśmy na strzelnicę.

33

KWIATY I CZEKOLADKI

Moi bracia może nie są idealni, ale musiałam im przyznać, że potrafią bezbłędnie poprawić mi humor.

Strzelaliśmy wszyscy. Gdy miałam lekcje z Tonym, to zwykle tylko nade mną sterczał i korygował błędy. Dzisiaj urządzaliśmy sobie razem minizawody, które – nic nowego – przegrywałam. Moi bracia byli dla mnie nad wyraz mili, ale nie na tyle, by dać mi wygrać, co nawet mi nie przeszkadzało. Zwłaszcza że byłam na końcu nie dlatego, że fatalnie strzelałam, tylko dlatego, że po prostu oni strzelali o wiele lepiej i czekało mnie jeszcze sporo ciężkiej pracy, bym mogła im dorównać.

Kilka razy mnie pochwalili, więc tyle mi wystarczyło.

Narobiliśmy sporo huk, a chłopcy co chwilę zmieniali pistolety. Dali mi nawet raz użyć strzelby, wcześniej strasząc mnie, że jestem na nią za drobna i odrzut urwie mi rękę. Dochodzące – mimo słuchawek – do moich uszu wystrzały były jak najpiękniejsza muzyka, bo działały na mnie kojąco. Rzeczywiście się wyżywałam. I naprawdę przynosiło mi to ulgę.

– A ten? – zapytałam, zaglądając ukradkiem do wielkiego sejfu pełnego broni, od którego Tony za każdym razem kazał trzymać mi się z daleka. Wskazywałam na karabin maszynowy, który imponował swoją wielkością, masywnością i byłam bardzo ciekawa, czy robi tyle zamieszania, jak pokazują to w filmach.

– Ten nie jest dla małych dziewczynek – odpowiedział mi Tony.

– Żadna broń nie jest dla małych dziewczynek.

– Ale tej nie utrzymasz, choćbyś się miała posikać w majtki – powiedział do mnie Dylan i poczochnął mi włosy na głowie.

Młasnęłam z irytacją, ale zaraz szybko zrobiłam słodką minę.

– To pokaż mi chociaż, jak strzela. Proszę.

Dylana nie trzeba było długo namawiać. Wymienił znaczące spojrzenia z bliźniakami, po czym sięgnął po karabin maszynowy.

– Vince się przywali – ostrzegł Tony, ale niespecjalnie go zatrzymywał.

– Do czego? – zapytałam, przyglądając się, jak Dylan ostrożnie wyjmuje broń. Nikt mi nie odpowiedział. Zamiast tego Dylan podał mi ją ostrożnie, żebym mogła zobaczyć, ile waży. – Ciężka.

– Bo masz słabego bicka – zaśmiał się Shane, szczypiąc mnie w przedramię, tak że pisnęłam i gdyby Dylan nie asekurował trzymanej przeze mnie broni, to upuściłabym ją sobie na stopy.

Tony parsknął i wywrócił oczami, a Dylan tymczasem ustawił sobie broń w odpowiedniej pozycji, pogłaskał ją i naładował, po czym zmrużył oczy i wpatrzył się w wiszące daleko przed nim tarcze.

– Say hello to my little friend – zawołał zachrypniętym głosem bandziora.

Cofnęliśmy się z chłopakami jeszcze bardziej, gdy Dylan zaczął swój show. Wszyscy mieli już teraz założone słuchawki na uszy oraz gogle ochronne, ale mimo to huk, jaki towarzyszył agresywnej serii wystrzałów, wżerał się w uszy i tarabanił w mózgu. Czułam się, jakbym wkroczyła w wirtualny świat jednej ze strzelanek braci. Oprócz tego z lufy aż się błyskało i przez to broń wyglądała trochę, jakby miotła ogniem. Gapiłam się na to z otwartą buzią. To lepsze niż fajerwerki!

W końcu Dylan zakończył pokaz. Powoli opuścił pistolet, z którego aż się lekko dymiło, i jedną ręką zdjął słuchawki, a na twarzy malował mu się wielki banan. Znowu czule poklepał uchwyt i chyba dobrze się bawił. Tarczy, do których celował, nie podziurawił tak po prostu. Sprawił, że przestały istnieć.

– Nieźle – gwizdnął Shane, któremu aż świeciły się oczy.

– Co jest z wami? – warknął głos zza naszych pleców.

Nie potrzeba było jasnowidza, by wiedzieć, że ten ostry, lodowaty ton należał do naszego najstarszego brata, który lubił pojawiać się w różnych miejscach jak duch.

Zerknęłam na niego, sprawdzając, czy swoje wyrzuty kieruje i do mnie, ale oberwałam tylko przelotnym surowym spojrzeniem i raczej można było z ulgą stwierdzić, że dzisiaj dostanie się komu innemu.

– To tylko pokazowa dla Hailie. Sam mówiłeś, żeby dostarczyć jej trochę radochy. – Dylan wzruszył ramionami.

– Ale nie karabinem maszynowym, schowaj to natychmiast – syknął Vincent, kręcąc z dezaprobatą głową. – Mówiłem, żeby nie wyciągać przy niej takiej broni, czy nie?

– No dobra, już, chciała zobaczyć, to jej pokazałem. Straszne rzeczy.

Tony zaśmiał się i Vince trzepnął go wierzchem dłoni w ramię. Tak bardzo przypomniał mi w tym momencie ojca, że prawie rozdziawiłam usta.

– Dlaczego niby nie można przy mnie wyciągać takich broni? – zapytałam z lekkim oburzeniem, ośmielona arogancją Dylana.

Vince przeniósł na mnie spojrzenie.

– Bo tak mówię.

Miałam ochotę przewrócić oczami i nawet go przedrzeźnić, ale jego wyzywający wzrok przywołał mnie do porządku. To by było głupie, niepotrzebne i skutkowałoby pewnie banem na lekcje strzelania z Tonym.

Wieczór w stylu braci Monet dobiegł więc końca. Kiedy moja mama jeszcze żyła i chciała mi poprawić humor, zwykle robiła nam herbatę smakową, otwierała ciastka i układałyśmy razem puzzle, grałyśmy w scrabble albo kalambury.

Moi bracia natomiast zabrali mnie na strzelnicę.

Najlepsze jest to, że ich terapia faktycznie podziałała i mimo iż wciąż byłam załamana nowym rygorem, to wróciłam do sypialni zadowolona i uśmiechnięta. Dopiero gdy położyłam się na łóżku i połączyłam się z Moną na wideo, by wyjaśnić jej, dlaczego nie zobaczy mnie przez najbliższe tygodnie w szkole, znowu odrobinę posmutniałam.

Ona siedziała na swoim różowym dywanie, opierała się o łóżko i wciniała krążki cebulowe. Gdy opowiedziałam jej, co mnie spotkało, aż opadła jej szczęka. Vince zabronił mi rozpowiadać o sprawie z kwasem, więc musiałam trochę lawirować pomiędzy prawdą a kłamstwem i zrobić z niego przewrażliwionego rodzica.

Mona lamentowała, że nie będziemy się widziały tak długo, a ja obiecałam wyprosić dla nas spotkanie. Czułam, że mogło ono nie nastąpić zbyt prędko, ale chciałam dać jej nadzieję. A gdy się pożegnałyśmy i obiecałyśmy sobie, że wykombinujemy coś, żeby zobaczyć się jak najszybciej, podjęłam kolejną decyzję.

Napisałam do Leo. Nie odzywałam się do niego od wczoraj i wysłałam mu teraz po prostu krótką wiadomość, oznajmiającą, że nie będę chodzić na razie do szkoły. Przez większość czasu pielęnowaliśmy naszą przyjacielską relację, spędzając razem wybrane przerwy. Mało pisaliśmy, nigdy do siebie nie dzwoniliśmy, dlatego zdziwiłam się, gdy mój telefon zaczął wibrować.

Dźwięk jego głosu w słuchawce był dla mnie czymś nowym. Serce zabiło mi jakoś mocniej i usiadłam na łóżku po turecku, z wyprostowanymi plecami. Ścisnęłam telefon obiema rękami przy lewym uchu, wielkimi oczami wpatrując się w podłogę.

– Cześć – przywitał się prosto, a ja poczułam ciarki na plecach.

– Cześć, Leo – szepnęłam, przełykając ślinę. Oderwałam jedną rękę od słuchawki i przejechałam nią po kołdrze, prostując jej fałdki.

– Stało się coś, Hailie? Dlaczego nie będziesz chodziła do szkoły? – zapytał cicho.

Westchnęłam.

– Nie wiem. Nic, o czym mi wiadomo. Vince powiedział mi dziś rano, że przez kilka tygodni będę miała domowe nauczanie. To wszystko.

Na chwilę zapadła cisza.

– Mam nadzieję, że on wie, co dla ciebie dobre – powiedział w końcu Leo.

Ja też.

– Szkoda tylko, że nie będziemy się widywać – ciągnął.

Uśmiechnęłam się do siebie.

– Wiem, ale i tak za wiele się nie spotykamy, nie?

– Ale czuję się rażniej, jak wiem, że jesteś gdzieś w pobliżu.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

-Mam nadzieję, że to naprawdę będzie tylko kilka tygodni.

– Jak będziesz bardzo samotna, to daj znać. Może uda mi się zakraść pod twój balkon. Jeśli w ogóle masz balkon. Pewnie masz. Mógłbym wziąć róże i czekoladki.

Choć nie mogłam tego zobaczyć, to byłam prawie pewna, że puścił mi oczko, i zachichotałam.

– Proszę nie, moi bracia cię rozszarpią.

– Chyba że mnie nie nakryją.

– Nie ma szans, by ktokolwiek przedarł się pod dom bez wiedzy Vincenta – przypomniałam mu. – Serio, Leo, nawet nie próbuj. Czasami na noc spuszczone są psy. Nie chciałabym, żeby cię zagryzły.

– Cholera. Że też akurat musiała mi się spodobać dziewczyna, która ma pięciu starszych, krwiożerczych braci.

– Hej, tylko czterech z nich są krwiożerczy – powiedziałam nienaturalnie szybko, by ukryć, jakie wrażenie zrobiły na mnie jego słowa.

Podobałam się mu i przyznał to wprost. Aż mi się zrobiło gorąco i opadłam lekko na plecy, rozplątując nogi.

– Tylko czterech? A, to nie ma sprawy.

Zaśmiałam się, tak samo jak on. Czułam ciepło w sercu na długo po tym, jak się wreszcie rozłączyliśmy. Leżałam z telefonem w ręce i gapiałam się w sufit.

Chłopak, którego uważałam za atrakcyjnego zarówno fizycznie, jak i intelektualnie, przyznał, że mu się podoba. Brnął nawet w naszą relację mimo tych wszystkich trudności i komplikacji, jakie się z nią wiązały. Nie miałam szansy na normalny związek jak dziewczyny w moim wieku, bo większość ewentualnych kandydatów wiedziała, że wystarczy się do mnie odezwać, by znaleźć się na czarnej liście braci Monet, a nikt raczej nie szukał takich kłopotów. A tu nagle pojawił się Leo, który – mimo iż miał już do czynienia z moją rodziną, i to w dość nieprzyjemnych okolicznościach – był na tyle wytrwały i odważny, by ją testować. Może naprawdę mnie lubi?

Przykro mi było, gdy wydał mnie przed Vincentem, ale zrobił to dla mamy, co go w moich oczach usprawiedliwiało. Poza tym moja relacja z najstarszym bratem tylko zyskała na sile po tym wydarzeniu. Z czasem już nawet zapomniałam o całej sprawie...

Poniedziałek, tak jak się spodziewałam, był nudny. Snułam się po opustoszałym domu. Ze wszystkich moich braci obecny w nim był tylko Will, który pracował i którego przez większość dnia nie widziałam. Próbowalam się uczyć, ale mój umysł się buntował. Cały czas wisiała nade mną świadomość, że nie wracam na razie do szkoły, co znowu mnie dołowało.

Wieczorem, gdy poprosiłam Vincenta o weekendowe wyjście z Moną, by uczcić moje urodziny, zmienił temat.

We wtorek poznałam dwóch nowych nauczycieli, którzy przyjechali do rezydencji, żeby osobiście ustalić ze mną plan nauki, choć większość lekcji mieliśmy odbywać zdalnie. Nie uśmiechało mi się ślęczenie nad komputerem i psucie sobie wzroku, mimo iż dostałam wielki ekran, klawiaturę i stojak na laptopa, żeby podczas zajęć siedzieć w odpowiedniej pozycji. Nowy komputerowy zestaw wyglądał bardzo elegancko i profesjonalnie na moim biurku. Sugerował, że mógł należeć do dorosłej kobiety, która zajmowała się architekturą, programowaniem lub grafiką, a nie do nastolatki, której głównym zadaniem było wkucie tekstu z podręczników na pamięć.

Tamtego dnia akurat zakopywałam się w książkach, tak jak lubiłam, robiąc sobie kolorowe notatki i zaznaczając pewne fragmenty tasiemkami. Włączyłam jakąś muzykę klasyczną, podobną do tej, którą czasami grywał Vincent. Wtedy po raz pierwszy pomyślałam sobie, że może nauczanie domowe nie będzie aż tak złe, jak mi się wcześniej wydawało.

Na dworze było zimno, więc miło siedziało się w domu. Wiał chyba jakiś straszliwy wiatr, bo uderzał w szyby moich okien i robił tym trochę hałasu. Gdy wyjątkowo dziwny dźwięk powtarzał się zbyt długo, zmarszczyłam brwi z irytacji.

A potem coś walnęło o szybę tak, że aż podskoczyłam. Wstałam powoli, nieźle wystraszona. W końcu kilka dni temu ktoś próbował zabić mnie kwasem zawartym w perfumach. Odsunęłam firanę, ale żeby porządnie się rozejrzeć, musiałam wyjść na balkon. Opatuliłam się szczelnie swetrem Willa, którego po tylu dniach wciąż mu nie oddałam, i otworzyłam drzwi. Najpierw ostrożnie wyjrzałam, ale balkon świecił pustkami, a po stronie, na którą wychodził, widoczne były po prostu drzewa i kawałek naszej działki. Dziś to wszystko skąpała szarość, tak jak to bywa pod sam koniec listopada.

To tylko wiatr, nic się nie dzieje.

– Hailie!

Może jednak to nie wiatr.

Już miałam wracać do pokoju, gdy dźwięk mojego imienia zatrzymał mnie i zmroził krew w żyłach. Powoli zbliżyłam się do barierki, przekonując w duchu samą siebie, że to pewnie któryś z moich głupich braci robi sobie ze mnie żarty.

W dole, tuż pod moim balkonem, zobaczyłam ogromny bukiet czerwonych róż, a po chwili blond czuprynę Leo.

Natychmiast kurczowo złapałam się eleganckiej balustrady, bo inaczej bym upadła. Oczy prawie wyszły mi z orbit i przez chwilę myślałam, że śnię. Wiatr targał mi włosy i musiałam pomóc sobie jedną ręką, by założyć je za uszy, jednocześnie panicznie rozglądając się wkoło. We własnej wyobraźni widziałam Dylana, który biegnie na Leo, a w rękach trzyma karabin maszynowy, który pokazał mi na strzelnicy.

-Leo, co ty tutaj robisz? Jak tu wszedłeś? – zawołałam do niego gorączkowym szeptem i obróciłam się za siebie, by sprawdzić, czy nikt z jakiegoś powodu znieścacka nie wszedł do mojej sypialni.

– Wszystkiego najlepszego! – odpowiedział, szczerząc się do mnie i unosząc jeszcze wyżej bukiet oraz jakieś pudełko.

Zapewne czekoladki.

Na chwilę skupiłam się na nim i przekrzywiłam ze wzruszenia głowę, ale zaraz potem dotarło do mnie, że on stoi sobie pod moim balkonem tak po prostu, bezbronny i wystawiony na pożarcie.

– Leo, poważnie, jak udało ci się tutaj wejść? – zapytałam, zagryzając z nerwów wargę. Znowu musiałam ujarzmić włosy, bo wiatr nie dawał mi spokoju.

– Spokojnie, Hailie. Mówiłaś, że nie da się tutaj wejść bez wiedzy Vincenta, więc po prostu wszedłem za jego wiedzą – odparł Leo i opuszczył nieco bukiet kwiatów, uśmiechając się do mnie zadziornie. – To jak, zejdiesz tu do mnie?

Od razu przestałam się rozglądać i zapatrzyłam się teraz prosto na niego.

– V–Vince wie? – upewniłam się.

Leo pokiwał głową.

Zalało mnie poczucie ulgi. Odetchnęłam i wciąż nie rozumiałam, co się dzieje, ale wszystko wskazywało na to, że powinno obejść się bez rękoczynów. Po raz kolejny odgarnęłam splątane już włosy. Cóż, żadna ze mnie książkowa Julia ani tym bardziej bajkowa Roszpunka, dlatego postanowiłam jak najszybciej opuścić balkon.

– Czeka! – rzuciłam do Leo i wbiegłam do sypialni, niedokładnie zamykając za sobą drzwi, a następnie wystrzeliłam po schodach w dół, mijając w korytarzu zaskoczonego Sonny'ego. Z walącym sercem zatrzymałam się dopiero przed drzwiami wejściowymi, nagle się zawahawszy, gdy usłyszałam głos za plecami.

– Załóż kurtkę – powiedział mój najstarszy brat.

Błyskawicznie się odwróciłam. Stał obok schodów, znów pojawił się znikąd. Albo to ja byłam mało spostrzegawcza.

Trzymał rękę w kieszeni swoich eleganckich, ciemnych spodni, a drugą położył na poręczy, jakby zamierzał iść na górę i tylko przystanął na moment.

Posłusznie zdjęłam z wieszaka nowy jesienno- zimowy płaszcz. Był bardzo dziewczęcy i uroczy, w kolorze jasnego brązu i zapinany na piękne, wielkie, białe guziki. Z kaptura wystawał biały plusz i cieszyłam się, że miałam pod ręką ładną kurtkę, w której mogłam przywitać Leo.

– Masz piętnaście minut – poinformował mnie Vincent, po czym faktycznie zaczął się wspinać po schodach, a ja wtedy ukradkiem zerknęłam jeszcze w lustro i poprawiłam włosy, nie mogąc wyjść z podziwu, że Vince naprawdę pozwolił Leo wkroczyć na teren naszego domu. To jakiś cud.

Nacisnęłam na klamkę i wyszłam przez główne drzwi na zewnątrz. Leo też już się przemieścił.

– Hej – powtórzył, gdy prawie na niego wpadłam. Na szczęście otworzył dla mnie ramiona, więc musiał nie mieć nic przeciwko. Przez podarunki, które trzymał, trudno mu było mnie objąć. Gdy się od niego odsunęłam, przekazał mi piękny bukiet pachnących róż, których czerwień była najbardziej intensywną barwą w zasięgu wzroku, i owinięte wstążką czekoladki. – Wiem, że urodziny masz dopiero jutro, ale z twoimi braćmi niełatwo się negocjuje.

Zamknęłam oczy i zatopiłam twarz w płatkach kwiatów, wdychając ich świeży zapach. Po raz pierwszy dostałam bukiet od chłopaka. Cieszyłam się, że jestem wreszcie tą dziewczyną, która dostaje róże.

– Z wielką przyjemnością mogę zacząć świętować je już dzisiaj, naprawdę – oznajmiłam mu, przytulając do siebie kwiaty i pudełko czekoladek, a potem spojrzałam mu w oczy.

Mimochodem zerknęłam też na jego usta. Nie byłam na tyle głupia, by całować się z nim w swoim ogródku, ale mój szurnięty mózg musiał, po prostu musiał to zasugerować. Wtedy zobaczyłam, że ma lekko rozciętą wargę, i zmarszczyłam brwi.

– Co ci się stało? – zapytałam, podbródkiem wskazując na jego ranę. Doskonale wiedział, o czym mówię. Podniósł dłoń i musnął palcami swoje usta, jakby sprawdzając, czy rozcięcie wciąż tam jest.

– Nic takiego – uciał. – Nie wiedziałem, jakie czekoladki lubisz, więc kupiłem mieszane...

– Co ci się stało w wargę? – ponowiłam pytanie, wiedzona bezbłędną intuicją.

Leo westchnął i uśmiechnął się do mnie słodko.

– Tony najpierw reaguje, a potem słucha.

– Tony cię uderzył! – zawołałam z niedowierzaniem.

– Uderzył to za dużo powiedziane. – Leo machnął ręką. – To nieważne, Hailie.

– Ważne. Chcę wiedzieć, co zaszło między tobą i moimi braćmi. Jak w ogóle udało ci się przekonać Vince'a?

– Zagadałem wczoraj na przerwie do bliźniaków. Uznałem, że warto spróbować, zwłaszcza że przecież chodziło o to, żeby zrobić coś miłego dla ciebie, no a z tym nie powinni mieć problemu. Tony po prostu zdążył się wkurzyć, zanim jeszcze otworzyłem usta, ale Shane go pohamował i w końcu mnie wysłuchali. Przekazali moją prośbę Vincentowi, a on się zgodził.

– Wow – mruknęłam pod nosem. Popatrzyłam na kwiaty, na pudełko czekoladek i na końcu na Leo. – To niesamowite. I odważne. Dziękuję.

– To mała rzecz. Zaslugujesz na wiele, wiele więcej.

– To bardzo dużo – zaprotestowałam, po czym się skrzywiłam, bo porządny powiew wiatru wcisnął mi włosy do oczu i uniosłam dłoń, w której trzymałam czekoladki, by je z nich wyciągnąć, ale Leo szybko zareagował i delikatnym ruchem mi pomógł. Aż zadrżałam, gdy jego palce dotknęły przy okazji moich zziębniętych już policzków. – Dzięki. Chcesz wejść do środka?

– Eee... Może kiedy indziej. Umowa była taka, że mogę spotkać się z tobą pod domem na jakieś piętnaście minut i mam się zmywać – wytłumaczył mi Leo, odrobinę rozbawiony wytycznymi, jakie dostał od braci Monet.

Przewróciłam oczami.

– No tak. W każdym razie dziękuję. Naprawdę poprawiłeś mi tym humor – wyznałam i po raz setny wsadziłam nos w różę.

– Fajnie, że wszystko się udało – podsumował Leo z zadowoleniem, zerkając w górę, na mój balkon.

– Wyszło idealnie.

Piętnaście minut minęło stanowczo zbyt szybko i szkoda było mi rozstawać się z Leo, ale musiałam cieszyć się tym, co mam. Na odchodne pocałował mnie w policzek i zamarłam, przerażona, że któryś z braci wyskoczy z krzaków. Na szczęście tak się nie stało, a jego mały, niewinny całus wywołał ogromny uśmiech na mojej twarzy. Przytuliłam bukiet do siebie, gdy patrzyłam, jak Leo odchodzi, i doceniałam, że mam chociaż kwiaty, które będą mi przypominały o tej niesamowitej niespodziance.

34

DUŻE DZIECI

Bliźniacy zżarli moje czekoladki od Leo.

Moja wina. Nie powinnam zostawiać ich w kuchni. Po prostu odłożyłam je na blat, podczas gdy w nieskończoność delektowałam się aromatem pierwszego w życiu bukietu kwiatów, który otrzymałam. Eugenie najpierw zachwyciła się różami razem ze mną, a potem poleciała szukać odpowiedniego dla nich wazonu.

Dzięki różom moja sypialnia odżyła. Nie była nudna i zwyczajna, bo jaskrawość czerwieni wchodziła w kontrast z jasnymi ścianami, a ich wyrazistość dodawała świeżości całemu pomieszczeniu. Nie mogłam się na nie napatrzeć. Napisałam Leo wiadomość, po raz setny dziękując za tak wspaniały gest. Wtedy przypominałam sobie o słodkościach i zeszłam do kuchni tylko po to, by nakryć Shane’a i Tony’ego, którzy siedzieli przy stole, czekali na obiad i żuli coś leniwie. Na stole leżało zmordowane pudełko czekoladek z wymiętą i porwaną, przeźroczystą folią obok.

– Hej! – zawołałam z oburzeniem. Podeszłam do stołu i chciałam sięgnąć po resztki słodczy, ale Shane zabrał mi je sprzed nosa. – To moje!

– Powiedzmy, że to twoja zapłata za naszą fatygę – zaproponował Shane i wrzucił sobie do ust dwie czekoladki naraz.

Dwie naraz!

– Jaką znowu fatygę? – fuknęłam, łapiąc się pod boki.

Tony sięgnął i przechwycił z pudełka kolejną czekoladkę.

– O kurrrwa – westchnął, z zadowoleniem mrużąc oczy. – Mmm, marcepan.

Zacisnęłam dłonie w pięści.

– Gdyby nie my, to twój blondasek mógłby sobie co najwyżej pomarzyć o wprowadzeniu swojego kiczowatego planu w życie – przypomniał mi Shane.

– Sami jesteście kiczowaci – warknęłam, łypiąc na bliźniaków spode łba, na dłużej zatrzymując się przy Tonym. – A ty! Ty go uderzyłeś!

Tony wzruszył ramionami.

– Dobra, dobra, już. Masz tu ostatnią. Widzisz? Łap, jest dla ciebie – mruknął Shane i popchnął w moją stronę pudełko.

– Wy serio zjedliście wszystko! – zawołałam z niedowierzaniem.

– Nie – odezwał się Dylan, który właśnie wszedł do kuchni i stanął za moimi plecami, po czym sięgnął po pozostałą czekoladkę. Wrzucił ją sobie do buzi i do mnie mrugnął.
– Teraz dopiero zjedliśmy wszystko.

Rzuciłam mu mordercze spojrzenie, na co on wyszczerzył do mnie ubabrane czekoladą zęby i mlasnął mi w twarz.

– Jesteś obrzydliwy.

Dylan uszczypnął mnie mocno w policzek. Zdzieliłam go w rękę, ale nie przejął się tym, tylko mnie wyminął, by zająć miejsce przy stole.

– Dobre nawet. Skąd to? – zapytał, gdy rozwalił się już na krześle.

– Od cichego wielbiciela Hailie.

– Co? – Dylan zmarszczył brwi, poważniejąc, po czym przeniósł wzrok z Shane'a na mnie. – Kogo niby?

– Nie mów mu, nie mówcie mu! – rzuciłam przez zaciśnięte zęby, patrząc na bliźniaków ostrzegawczo.

Nie przejęli się. Nikt w tym domu nie traktował mnie poważnie.

– Cicho, dziewczynko – mruknął na mnie Dylan, z powrotem zwracając się do naszych braci. – No więc?

- Był tu taki jeden z bukietem róż – parsknął ze śmiechem Shane.
- Co? Jaja sobie ze mnie robisz? – Dylan popatrzył na Tony’ego, szukając potwierdzenia tych słów.
- Tak, tak, robi sobie jaja! – zawołałam piskliwie, pragnąc powstrzymać nadchodzącą katastrofę.
- Cicho – powtórzył Dylan, nachylając się do naszych braci. – Gadajcie, kurwa, o co chodzi.
- Dobra, e, wyluzuj. Znajomy Hailie chciał dać jej kwiatka, nic wielkiego – wyjaśnił Shane.
- Po co?
- Bo mam urodziny? – wtrąciłam ze zniecierpliwieniem.
- Który znajomy?
- Nie mówcie mu, proszę. – Złożyłam ręce jak do modlitwy, a wielkimi, błagalnymi oczami wpatrywałam się w bliźniaków.
- Ogarnij się – warknął do mnie Dylan, jak tylko dostrzegł, że chłopcy byli gotowi spełnić moją prośbę. – A tak w ogóle to co za idiota pozwolił mu tutaj wejść?
- Vincent.

Wtedy skończyła się dyskusja.

Może nie całkiem skończyła, bo Dylan wciąż marudził, jak wielką głupotą było wpuszczenie pod mój balkon jakiegoś zakochanego małolata. Przestałam go słuchać, gdy upewniłam się, że dzięki temu, że o całym zajściu wiedział Vincent, Dylan nie miał prawa interweniować.

Do końca dnia nie mogłam już skupić się na niczym innym. Ciągle myślałam o tym, co się wydarzyło. Leżałam na łóżku, czytałam książkę i co chwilę zerkalam na bukiet róż. Uśmiechałam i powracałam do tekstu tylko po to, by po kilku minutach znowu się od niego oderwać. I tak aż do wieczora, gdy Will zapukał do drzwi mojej sypialni i oznajmił, że razem z chłopakami zamówili coś na kolację. Było dość późno, więc się zdziwiłam, ale zgłodziłam, i nie zamierzałam gardzić pachnącym hamburgerem.

Najedzona, spałam w najlepsze na kanapie, gdy nagle ktoś trącił mnie w ramię. Raz, a potem drugi. Zamrugałam, ziewnęłam, następnie przetarłam oczy. Założyłam, że czas przenieść się do sypialni, ale zmarszczyłam brwi, bo zobaczyłam rażące światło. Drgnęłam nagle i szybko podniosłam się do pozycji siedzącej, jeszcze staranniej pocierając powieki.

To był ogień. Zdążyłam spanikować, aż nagle pojęłam, że to rzeczywiście ogień, ale na świeczkach. Świeczkach wbitych w urodzinowy tort.

- O Boże! – wykrzyknęłam, łapiąc się za serce.

Ten tort był zdecydowanie za wielki jak na szesnaste urodziny w rodzinnym gronie, ale na pewno był przeznaczony dla mnie, bo na białej, kremowej powierzchni widniał napis: „Spełnienia marzeń, mała Hailie”.

Biały, klasyczny tort, przyozdobiony dodatkami z ciemnej czekolady, po bokach oprószony jej wiórkami i obramowany świeżymi malinami. Prosty, a jednocześnie niezwykle.

No i te świece. Nie czułam potrzeby przeliczenia ich, ale byłam pewna, że było ich dokładnie szesnaście. Wszystkie różowe i zaczynały się już topić, ale czekałam ze zdmuchnięciem ich, bo chłopcy właśnie zaczęli śpiewać mi Sto lat. Każdy robił to na własny sposób i wydawało się, że wszyscy oni byli jeszcze bardziej naturalni, niż gdy robili to dla mnie rok temu. Vince zdawał się wydobywać z siebie tylko co drugie słowo, ale patrzył też na moją oniemiałą minę z lekkim uśmiechem. Dylan był najgłośniejszy i fałszował najbardziej. Will i Shane jako jedyni starali się wejść w ładne, urodzinowe tony. No i to mruczenie Tony’ego.

Byłam tak oczarowana, że o mało nie roztopiłam się razem z tymi świeczkami.

– A teraz życzenie. – Will mrugnął do mnie.

Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki wdech i za jednym razem zdmuchnęłam wszystkie świece, a w głowie miałam tylko jedną myśl.

Żebyśmy naprawdę zawsze trzymali się razem. Nieważne, co przyniesie przyszłość. Nieważne, gdzie każde z nas będzie. Nieważne z kim.

– O co poprosiłaś los, mała Hailie? List z Hogwartu? – zagadnął Dylan, trącając mnie lekko.

– Nie – prychnęłam i przewróciłam oczami, po czym sama się pograżyłam, dodając:
– Przecież te listy dostaje się w wieku jedenastu lat.

– Myślałam, że kończysz dziesięć.

– Tak naprawdę zażyczyłam sobie, żebyś był dla mnie miłszy.

– Nie można prosić o rzeczy niemożliwe.

Wzniosłam oczy do nieba, ale na ustach miałam uśmiech. No bo jak tu się nie cieszyć? Poprawiłam się na kanapie i odrzuciłam na bok koc, bo z emocji zrobiło mi się gorąco. Przeczesałam włosy, choć wiedziałam, że nikogo nie obchodziło, jak wyglądałam, bo byliśmy w swoim towarzystwie. W tym czasie tort wylądował na stoliku do kawy. Mimochodem zerknęłam na zegarek, który wskazywał chwilę po północy.

Will zjawiał się z wielkim nożem, a Vince położył obok talerzyki i maleńkie srebrne widelczyki, które błyszczały się niczym najwspanialsza biżuteria. Jako solenizantce przypadł mi zaszczyt pokrojenia ciasta, ale Dylan szybko przejął nóż, który Will mi właśnie podawał. Rzuciłam mu spojrzenie spode łba, ale tak naprawdę wcale się nie wkurzyłam. Byłam zbyt szczęśliwa, by brać dokuczanie na serio. Shane zaczął usuwać świece z powierzchni tortu, a z każdej z nich dokładnie zlizywał krem.

– Serio musieliście napisać „mała” Hailie? – westchnęłam.

– Miało być po prostu Hailie, ale Dylan zajął się tortem i wprowadził swoje... poprawki – odparł Will, który właśnie przyniósł ręczniki papierowe i rzucił naszemu wspomnianemu bratu znaczące spojrzenie.

Dylan zaśmiał się pod nosem, jakby to, co zrobił, było wybournym żartem.

– Wiesz, że w naszym domu raczej nie dostaje się prezentów – przypomniał mi Will, gdy wszyscy już kończyliśmy nasze kawałki tortu. To znaczy moi bracia kończyli, a ja ledwo doszłam do połowy. Nie dlatego, że mi nie smakował. Wręcz przeciwnie, delikatny krem rozpływał się w ustach, a czekoladowe, lekkie ciasto nasączone malinami perfekcyjnie podtrzymywało balans między słodyczą a łagodną kwaskowatością. Po prostu dostałam olbrzymi kawałek, z którym nie mogłam sobie poradzić.

Pokiwałam głową. Mieszkam już z braćmi Monet ponad rok, a wciąż nie mogłam uwierzyć, że gdy żyłam z mamą, to przez całe dwanaście miesięcy obmyślałam i planowałam, o co ją poprosić z okazji urodzin, podczas gdy będąc pod opieką Vincenta, mogłabym wymyślać prezenty co tydzień i większość z nich zapewne bym dostała.

– Szesnaste urodziny traktujemy jednak wyjątkowo – powiedział Vincent, po czym podał mi bardzo małe, kwadratowe pudełko. Gdy zauważył, z jaką rezerwą podeszłam do otwarcia tego upominku, dodał: – To od nas, nie musisz się obawiać.

– Okej – mruknęłam zachrypniętym głosem i wciąż zachowując ostrożność, zajrzałam do środka.

Kluczyki do auta.

Uniosłam wzrok na Vince'a.

– Samochód?

Ledwo uczyłam się jeździć. Ostatnio prawie wjechałam w drzewo.

Jeszcze wcześniej próbowałam rozjechać Dylana.

– W twoim przypadku to mało praktyczny prezent. Ale nie jest powiedziane, że beużyteczny. – Vince znowu wzruszył ramionami.

– Wszyscy dostają auta na szesnastkę – dodał Dylan.

– Nie, Dylan, nie wszyscy – zaprotestowałam uprzejmie, ale stanowczo. Trzeba ich edukować. Lepiej późno niż wcale.

– Ale w naszej rodzinie wszyscy – upierał się.

Wyjęłam kluczyk i zmrużyłam oczy, żeby odczytać napis na emblemacie, bo moja znajomość marek samochodowych była znikoma.

Wyteżyłam wzrok jeszcze bardziej. Porsche.

Hm. Porsche.

O kurczę.

– Dzięki...? – wymamrotałam, obracając kluczyk w ręce.

– Patrzcie na jej minę, ona nie ogarnia, co się dzieje – prychnął Shane, po czym pokręcił głową i się podniósł, machnąwszy na mnie ręką. – Idziemy do garażu. Trzeba jej pokazać.

Posłusznie wstałam, gotowa, żeby docenić prezent. Do garażu wybraliśmy się wszyscy, wcześniej łapiąc za kurtki, i gdy tylko w ogromnym pomieszczeniu zapaliły się światła, w moje oczy rzucił się nowy kolor auta, taki, którego tu jeszcze wcześniej nie było.

Złote, sportowe, błyszczało nowością i zwracało na siebie uwagę nawet pośród innych, jeszcze bardziej luksusowych samochodów. Zbliżyłam się do niego i zatrzymałam, dopiero gdy stałam tak blisko, że mogłam dotknąć maski. Zrobiłam to bardzo delikatnie, bojąc się, że porysuję lakier opuszkami palców.

– Chcesz je wypróbować? U nas, na posesji? – zapytał Will, obejmując mnie ramieniem.

– Nie jest za ciemno? – W rzeczywistości bardziej niż nocy obawiałam się siadania za kierownicą takiego cacka.

– Zapalimy lampy.

Moi bracia chyba ekscytowali się nowym nabytkiem w swojej kolekcji bardziej niż ja. Vince wsiadł na miejsce obok kierowcy, za kółkiem zaś usadowił się Will, wcześniej wyciągając mi z rąk kluczyki. Auto nagle ożyło, światła się zapaliły, a silnik zamruczał zaczepnie.

– Jest hybrydowy – poinformował mnie Shane, z fascynacją przyglądając się manewrom naszego brata. Will wyjechał autem na zewnątrz, a ja, Dylan i bliźniacy szybkim krokiem poszliśmy jego śladem.

Po drodze Dylan kliknął niepozorny włącznik, jeden z wielu, przy szerokich drzwiach do garażu. Na ciemnym, ponurym podwórku rozbłysły jasne reflektory. Na sekundę mnie oślepiły i ramieniem zakryłam oczy przed rażącym światłem. Czułam się jak na pustym boisku do baseballa, gdzie już zaraz miał rozpocząć się wielki mecz. Nawet nie wiedziałam, że mamy tu takie lampy.

– Dawaj, Hailie – zawołał Will, gdy zatrzymał się nieopodal i otworzył drzwi, by wysiąść i wpuścić mnie na swoje miejsce. Wcześniej nie omieszkiał zrobić jeszcze paru kółek, a na twarzy miał szeroki uśmiech.

Jezu, oni wszyscy byli jak duże dzieci.

Zbliżyłam się niepewnie do maszyny, która błyszczała nieziemsko w srebrnym świetle. Nie wierzyłam, że to było moje auto.

– Co, jak je rozbiję? – zapytałam, zanim wgramoliłam się na miejsce kierowcy. Od razu poczułam różnicę między samochodem, który zwykle prowadziłam podczas lekcji z Vincentem i Shane'em, a tym sportowym cudeńkiem. Wnętrze obite było czarną skórą i przypominało mi nieco lamborghini Shane'a.

– Nie rozbijesz, po prostu się skup – poradził rzeczowo Vincent, który wciąż siedział obok. – I uważaj, bo to auto jest czulsze od tego, którym razem jeździmy.

Rzeczywiście, było. Z całej siły zacisnęłam palce na smukłej kierownicy z ogromnym logo Porsche na tarczy i zaakceptowałam fakt, że muszę przyjąć pozycję półleżącą, żeby prowadzić to auto. Stopą odszukałam pedał gazu i delikatnie go wcisnęłam.

Samochód wystrzelił do przodu jak bestia i jeszcze brakowało, żeby zionął z maski ogniem. Okropnie się wystraszyłam i natychmiast nacisnęłam hamulec, który od razu gwałtownie nami szarpnął.

Z walącym sercem i z palcami wciąż przyczepionymi do kierownicy, gapiałam się przed siebie w szarawą trawę. Nocne niebo było ładne i pełne gwiazd, które upiększały czarne jak smoła tło. Było też o wiele spokojniejsze niż ja teraz.

– Mówiłem, że jest czule – mruknął Vincent.

– Powiedziałaś, że jest czulsze, a nie, że dosłownie samo jeździ!

Odgarnęłam włosy ze spoconego czoła, a gdzieś w tyle słyszałam śmiechy reszty chłopców.

– Spokojnie, przyzwyczaisz się do niego.

Pokiwałam głową na przepowiednię najstarszego brata. Poprawiłam się na siedzeniu, obniżyłam nieco pas i potarłam kierownicę.

– Okej. Okej – powiedziałam do siebie i wzięłam głęboki wdech. – Okej. Jeszcze raz.

No i pojechałam. Żeby mieć jasność – nadal byłam słabym kierowcą. Zbyt strachliwym, zestresowanym, z panicznymi ruchami. To wszystko nie czyniło ze mnie urodzonej królowej dróg. A prowadzenie takiego samochodu wymagało chyba jakiegoś doświadczenia, oswajania z jazdą. Musiałam jednak przyznać, że już po paru chwilach zaczęłam się do niego powoli przyzwyczajać. Było czule, zgadza się, ale też wspaniale. Reagowało na każdą moją komendę, trochę jakby czytało mi w myślach. Po kilkunastu minutach mogłam już śmiało powiedzieć, że prowadzenie go było całkiem w porządku. To znaczy dopóki nie jeździłam nim po jezdni, z innymi samochodami obok...

Później przyszła kolej na braci i każdy z nich mógł sobie poświrować za kierownicą mojego nowego wozu. Frajdę sprawiało im też stanie w miejscu i testowanie silnika, który na najwyższych obrotach warczał jak dzikie, rozwścieczone zwierzę, i aż się prosiło, by zatkać uszy. Kręciłam na to wszystko głową. Ciekawe, czy faktycznie kupili ten samochód dla mnie, czy dla siebie...

Gdy wracaliśmy do domu, Vince rzucił coś w stylu, że jak się nauczę porządnie kierować, to może nawet będę mogła sporadycznie jeździć swoim nowym porsche. Oczywiście pod warunkiem, że któryś z braci będzie mi towarzyszył.

W ciepłym domu nasze ochłodzone twarze się zarumieniły. Moja najmocniej, jak dostrzegłam w lustrze. Wróciliśmy do salonu, a niektórzy bracia przebąkiwali coś o dokładce tortu. Ja sama myślałam, że to koniec niespodzianek i byłam gotowa niedługo się ulotnić, by zasnąć w swojej sypialni. Gdy jednak opadłam na kanapę, by spędzić odrobinę więcej czasu w towarzystwie rodziny, okazało się, że mieli mi jeszcze coś do powiedzenia.

– Przy okazji – zaczął Vince i odchrząknął. – Jutro lecisz na Wyspy Kanaryjskie. Z Shane’em i Tonym.

Zakrztusiłam się ciastem i zaczęłam kaszleć. Will pomógł mi odłożyć na bok talerzyk, a Dylan poklepał mnie lekko po plecach.

– C-co takiego???

Oczywiście zaskoczona byłam tylko ja. Bliźniacy opychali się tortem i ta wiadomość nie zrobiła na nich wrażenia.

– Na Wyspy Kanaryjskie? Czemu tam? Z bliźniakami? Czemu z nimi? – pytałam Vincenta, mrugając w zaskoczeniu.

Shane przestał na chwilę przeżuwać i rzucił mi spojrzenie.

Will przeczesał palcami moje włosy i odpowiedział mi, patrząc na czubek mojej głowy.

– Ojciec chciałby cię zobaczyć.

Wybałuszyłam oczy.

– Jest na Wyspach Kanaryjskich?!

– Ciii. Tak, jest na wyspach.

-Dlaczego lecimy jutro? Od kiedy o tym wiecie? Dlaczego nikt nie powiedział mi wcześniej? – szeptałam z poruszeniem. Cóż, nie była to zwyczajna informacja. Jutro planowałam się uczyć, czytać książkę i może zrobić coś szalonego wieczorem, na przykład zamówić jedzenie. A tu nagle taka informacja.

– Pomysł pojawił się wcześniej, ale do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, czy wypali. Ojciec nie wiedział. Ale się udało. Wczoraj dostał się do Europy, wszystko poszło zgodnie z planem. Dzisiaj to potwierdził – wytłumaczył Will.

– Nie było sensu robić ci złudnej nadziei, w razie gdyby coś poszło nie tak – dodał Vincent.

Z nerwów zaczęłam namiętnie gryźć własną wargę, aż Will uniósł dłoń i palcem musnął mój policzek, bym się opamiętała.

– Robisz sobie krzywdę – mruknął.

Popatrzyłam na niego.

– No a dlaczego akurat Wyspy Kanaryjskie? To nie tak, że mam coś przeciwko, ale... dlaczego? Skoro to było dla niego tak skomplikowane, żeby się tam dostać?

– Zobaczysz – uciął Vincent, nieskory do prowadzenia dyskusji.

Zamilkłam na chwilę. Bardzo krótką chwilę.

– A co z moimi zajęciami? Na jak długo w ogóle mamy tam lecieć?

– Nie wiemy dokładnie, na jak długo. Okaże się. A zajęcia będziesz odbywała zdalnie. To nie będą wakacje ani dni wolne od nauki. Nazwijmy to po prostu... zmianą klimatu.

Zmiana klimatu, co?

– A czemu lecę tylko z Shane'em i Tonym?

Odpowiedź, którą otrzymałam, była dość oczywista. Bo Vince to Vince, jest zawsze zajęty i nie ma czasu na wycieczki, Will również jest zajęty pomaganiem mu, a Dylan ma ważne egzaminy na studiach, których nie może opuścić. Shane i Tony jako jedyni mogą poświęcić swoją edukację, ale i to nie na długo, więc możliwe, że polecą ze mną na miejsce i po kilku dniach wrócą, a ja zostanę, jeśli tylko będę chciała. Wyobraziłam sobie, że miałabym spędzać czas sama z ojcem, i... zdziwił mnie własny spokój.

Jeszcze jednym argumentem przemawiającym za wyjazdem, na który wpadłam, dopiero gdy już położyłam się do łóżka, było to, że tutaj ktoś próbował mnie zabić. Może na Wyspach Kanaryjskich miałam być bezpieczniejsza. Bardzo prawdopodobne, że moi bracia wzięli to pod uwagę.

Zasnęłam dopiero nad ranem, przejęta wizją nagłego wyjazdu. Nie mogłam się zdecydować, czy się bardziej cieszyłam, czy obawiałam. Miałam znów zobaczyć tatę.

Moi bracia się nie patyczkowali i jak już coś postanowili, to po prostu się to działo. W południe zjadłam późne śniadanie, a już dwie godziny później jechałam na lotnisko w towarzystwie Shane'a i Tony'ego. Oczywiście pożegnałam się z resztą mojej rodziny i jeszcze raz otrzymałam od nich garść życzeń.

Vince tradycyjnie kazał mi być grzeczną, Will warknął na niego, że przecież zawsze jestem, a Dylan odparł Willowi, że w końcu nie zaszkodzi mi przypomnieć.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie bałam się ani trochę opuszczać domu. Ciągle miałam wrażenie, że ktoś tu na zewnątrz czyha na moje życie. Musiałam się jednak wziąć w garść. Byłam z chłopakami i Sonnym. Będzie dobrze.

Od rana też dostałam wiele wiadomości od ludzi ze szkoły. Mona do mnie zadzwoniła i rozmawiałyśmy prawie pół godziny. Następny przepełniony radością i szczęściem telefon otrzymałam od Mai. Do jej życzeń dołączył się wesoło wujek Monty. Odezwała się do mnie też Roxane, przyjaciółka z dzieciństwa, i gdy odpisywałam tej dziewczynie, czułam się, jakbym na chwilę powracała do swojego starego świata.

Odpisałam na tyle wiadomości, na ile byłam w stanie, bo wiedziałam, że resztę urodzin spędzę w samolocie, a na miejscu wyląduję dopiero jutro.

Shane usiadł na pojedynczym fotelu po prawej stronie, a Tony na jednym z podwójnych po lewej. Ja z początku rozgościłam się w rzędzie za nimi, ale po starcie bliźniacy włączyli wiszący na ścianie telewizor i uruchomili grę na PlayStation. Zaczęłam zerkać na ekran z ciekawością. Tym razem nie była to zwykła strzelanka ani wyścigi. Chyba jakiś horror, sądząc po mrocznej planszy i przyprawiającej o gęśią skórę ścieżce dźwiękowej.

-Chcesz zagrać? – zapytał Shane, gdy nakrył mnie na wykręcaniu szyi.

Pokiwałam chętnie głową i wstałam, by nieśmiało usiąść obok Tony'ego.

- Tony, daj jej swojego pada.
- Sam jej daj swojego.
- No dawaj. Ma urodziny.
- No co ja?
- Siedzi obok ciebie, to akurat jej wytłumaczysz, co i jak.
- To rusz dupę i sam jej wytłumacz.

Wstałam.

- Dobra, nieważne – westchnęłam ostentacyjnie i zrobiłam krok, żeby wrócić na swoje poprzednie miejsce.
- Dobra, Jezu. – Tony wywrócił oczami, złapał mnie za bluzę, szarpnął i pociągnął z powrotem na fotel, na który opadłam, krzywiąc się. Wcisnął mi w rękę kontroler, który natychmiast ścisnęłam, nie kryjąc nawet triumfального uśmiešku.

Gra była przerażająca i bardzo emocjonująca, ale bawiłam się znakomicie. Wymagała nieco logicznego myślenia i zwykle, gdy trzeba było pokonać jakieś monstrum, ja byłam przynętą, a Shane atakował od tyłu i zabijał bestię. Całkiem niezła kooperacja.

Nawet nie wiem, kiedy przysnęłam, a gdy się obudziłam, moja głowa opierała się o ramię Tony'ego, który już dawno odebrał mi pada i wytrwale poruszał się w fabule gry do przodu. Najpierw drgnęłam, a potem zamrugałam i wyprostowałam się, na chwilę zapominając, gdzie jesteśmy.

- Obśliniłaś mnie – mruknął do mnie, nie odciągając wzroku od ekranu.
- Hę? – Zerknęłam na jego białą bluzę, gdzie na ramieniu faktycznie znajdowała się mała, mokra plama. Nie skomentowałam tego, tylko odwróciłam głowę, by jak najszybciej o tym zapomnieć. Ale wstyd.

Powoli uczyłam się produktywnie spędzać takie długie loty. Trochę czytałam i pracowałam nad bookstagramem. Przed wyjazdem ucięłam pączek jednej z róż z bukietu od Leo i włożyłam go między strony, by go ususzyć i zabrać ze sobą jako pamiątkę. Za każdym razem, gdy otwierałam książkę, myślałam tylko o tej wspaniałej niespodziance.

Dopiero gdy bliźniacy zdecydowali, że czas coś zjeść, i wyciągnęli kanapki, wróciłam na fotel obok Tony'ego.

- Tooo... powiecie mi, dlaczego lecimy akurat na Kanary? – zapytałam, biorąc pierwszego gryza i nie kryjąc swojej ekscytacji. Wciąż miałam w głowie piękno Tajlandii i cieszyłam się na myśl, że znowu będę miała szansę zobaczyć podobny raj na ziemi.

Chłopcy wymienili spojrzenia i Tony wrócił do jedzenia, a Shane potarł nos wierzchem dłoni, ciągle trzymając kanapkę, i zakaszał. Miałam wrażenie, że celowo przeżuwał dłużej, niż to było konieczne.

- Ej no, chcę wiedzieć. – Zerkalam to na jednego, to na drugiego brata.
- Powiedzieć jej już teraz? – Shane zapytał Tony’ego, który wzruszył ramionami, biorąc kolejny kęs.
- Jak chcesz.
- No mówcie – ponagliłam ich nieco poirytowana.
- Nastąpiła chwila ciszy, po czym odezwał się Shane, łypiąc na mnie ostrożnie:
- Tam mieszka nasza babcia.

35

WOLNOŚĆ

Otworzyłam buzię ze zdziwienia, a już na pewno wpatrywałam się w niego bez słowa.

- Jaka babcia? – zapytałam ze ściśniętym gardłem.

Na sam dźwięk tego słowa robiło mi się przykro. Kojarzyło mi się z moją jedyną, przekochaną babcią, która część swego życia poświęciła, by pomóc mojej mamie w wychowywaniu mnie. Złota kobieta, która piekła najlepsze ciasta, cudownie śpiewała i plotła piękne kosze.

- Nasza babcia – odparł zwyczajnie Shane.

- Wasza?

- Na- sza. Twoja też.

Ja wiem, że normalnie ludzie mają po dwie babcie. W moim małym światku jednak miano babci przypadało tylko jednej kobiecie, która zmarła. Nie mogłam sobie wyobrazić, że miałabym mieć inną. Tak jakby miała zastąpić tę prawdziwą.

- To mama naszego taty – wyjaśnił mi Shane.

Milczałam przez chwilę. Próbowalam oswoić się z nową informacją. Mimo że powinnam być przyzwyczajona do nagłego odkrywania sekretów podobnego kalibru, to ta rewelacja mnie zszokowała. Przygryzłam wargę i patrzyłam przez okno na białe i puszyste jak wata cukrowa chmury.

Nagle cmoknęłam z irytacją i gwałtownie odwróciłam głowę, by poczęstować obydwóch braci pełnym wyrzutów i złości spojrzeniem.

- Dlaczego nikt mi nie powiedział? – zapytałam przez zaciśnięte zęby.

Tony przechylał właśnie puszkę coli i zerknął na mnie z rezerwą, jakbym wcale nie miała powodów, by się na nich denerwować. To wkurzyło mnie tylko jeszcze bardziej.

– Najpierw dowiaduję się o was, potem o ojcu, o wujku, teraz mówicie mi o jakiejś babci... Kto będzie następny? Ciotka na Syberii?! A może mamy siostrę w Dubaju? Albo kuzyna w Egipcie?! – krzyknęłam.

– Nie mamy nikogo w Egipcie ani na Syberii – odpowiedział Shane, jakby w ogóle nie rozumiał, o co mi chodzi.

– Cały czas coś przede mną ukrywacie – poskarżyłam się, zakładając ręce na piersi.

Z chęcią bym gdzieś sobie poszła i najlepiej trzasnęła drzwiami, ale w samolocie nie było to możliwe, poza tym chciałam też dowiedzieć się więcej. Lądować mieliśmy za kilka godzin i warto było się przygotować na to, co spotka mnie po wyjściu z odrzutowca.

– Nie chodzi o to, żeby ukrywać przed tobą rzeczy dla zabawy. Wszystko ma swoje przyczyny.

– Co, ta cała babcia też ukrywa się przed Organizacją? – warknęłam, a słowo „babcia” ledwo przeszło mi przez gardło.

– Widzisz, dlatego Vince wołał z tym poczekać, aż wylądujemy. Lepiej, gdyby przekazał jej to ojciec – mruknął Tony.

Uderzyłam go z całej siły w ramię. Zabolął mnie dłoń, a on drgnął i popatrzył na mnie z irytacją.

– Bo ci oddam – ostrzegł mnie oschle.

Nie odpowiedziałam mu, ale spojrzeniem pełnym tupetu dawałam mu do zrozumienia: „Nie oddasz”.

I miałam rację.

– Okej – wtrącił Shane, unosząc wolną dłoń, żeby mnie uspokoić. – Słuchaj, masz prawo być zła. Faktycznie słabo, że nikt ci nie mówi o wszystkich szczegółach, ale wiesz dobrze, dlaczego tak późno dowiedziałaś się o ojcu. A babcia... cóż, nie jadamy u niej niedzielnych obiadków, nie widzimy się często. Ojciec chciał, żebyś ją poznała, tak, ale też chciał być przy tym obecny. A wiesz, niełatwo było mu się dostać do Europy – tłumaczył mi cierpliwie, podczas gdy ja siedziałam naburmuszona. Jednocześnie chciałam i nie chciałam go słuchać. – Nasza rodzina jest skomplikowana, to już wiesz. A z komplikacji rodzą się sekrety.

– Ale z ciebie poeta – zadrwił Tony.

– Przynajmniej próbuje mi coś wyjaśnić! – syknęłam na niego.

Tony rozłożył ręce.

– Niby co wyjaśnić? Za kilka godzin sama babkę poznasz. Zamiast układać jebane wiersze, mógłby cię na to przygotować.

– Na co przygotować?

Bliźniacy znowu wymienili spojrzenia.

– Jest specyficzna – oznajmił mi w końcu Shane, a gdy zobaczył mój pytający wyraz twarzy, rozwinął swoją wypowiedź: – Nie pierdoli się w tańcu, sama zobaczysz. Po prostu nie bierz do siebie wszystkiego, co mówi.

Na ustach chłopaków majaczyły tajemnicze uśmieszki, które tylko podsyciły moją ciekawość.

Dokończyłam kanapkę, nie spiesząc się. Miałam czas na rozmyślanie i co chwilę nachodziła mnie chęć, by ni z gruszki, ni z pietruszki zadać jakieś pytanie, ale szybko się powstrzymywałam i zaraz chciałam zadać kolejne, inne. Shane w końcu zasnął, a Tony zaczytał się w jakiejś grubej książce ze smokami i potworzyskami na okładce. Nie wyglądał na chętnego do udzielania wywiadu młodszej siostrze.

Przez resztę podróży myślałam o tym, co mnie czeka. Wcześniej trochę się denerwowałam, ale też w duchu szczerze cieszyłam na spotkanie z ojcem. Teraz zaczęłam się bardzo stresować, bo oto miałam poznać kogoś nowego, kto znowu wlezie z buciarami w moje życie i jeszcze na dodatek będzie nazywać siebie moją babcią. Czułam, jakbym zaraz miała zdradzić moją prawdziwą babcię.

No ale ta też jest przecież prawdziwa – szepnął mi do ucha nieśmiały głosik.

Bliźniacy ostrzegli jednak, że ta babcia jest specyficzna. Co to miało znaczyć – nie wiem. Gdy podchodziliśmy do lądowania, nie wytrzymałam i zapytałam o to chłopaków, ale nabrali wody w usta i kazali mi wyluzować.

Finalnie miałam w głowie tyle myśli, że jak tylko drzwi samolotu zostały otwarte, wzięłam ogromny wdech, by napełnić płuca świeżym powietrzem. Tak jak w Tajlandii, tutaj też natychmiast poczułam zmianę klimatu. Powietrze było inne, ciepłe, choć na pewno nie upalne. Momentalnie podekscytowałam się tym, że znów jestem w Europie.

Gdy tylko opuściliśmy samolot, Sonny natychmiast przybrał swoją profesjonalną maskę i pojawił się u mojego boku. Opuściliśmy budynek lotniska vipowskim wyjściem i poszliśmy na parking, śladem za Tonym, który rozmawiał z kimś przez telefon. Jak zwykle podniecona byłam widokiem palm i tym, że w domu lada dzień spadnie pierwszy śnieg, a tutaj było ciepło nawet pomimo uciążliwego wiatru.

Okazało się, że czekał na nas pewien pan, który przyjechał tu wielkim, terenowym autem. Nazywał się Benny, był całkiem wysoki i miał białe jak mąka włosy, łagodny wyraz twarzy. Ubrany w jasną, kraciastą koszulę z krótkim rękawkiem i kremowe spodnie do kolan, które trzymały się na jego wąskich biodrach dzięki brązowemu, skórzanemu paskowi. Przywitał się uściskiem dłoni z braćmi i nawet z Sonnym, a do mnie uśmiechnął się miło.

Po tym, jak zapakowaliśmy bagaże do auta Benny'ego i zajęłam swoje miejsce z tyłu razem z Shane'em, ruszyliśmy w drogę. Brat opowiedział mi, że mężczyzna jest przyjacielem naszej babki, że to w porządku gość i że poznał się z nią jeszcze w Ameryce.

Tony milczał i klikał coś na telefonie. Zajmował miejsce z przodu, obok Benny'ego, który najwyraźniej też nie był gadułą. Jechaliśmy zawiłymi drogami przez wzgórza i pagórki. Z jednej strony ciągnął się widok czarującego oceanu, z drugiej – pustyni, a potem nagle wyskoczyły surowe góry z ekstremalnie małą ilością zieleni. Z całą

pewnością Benny wioził nas w głąb wyspy, bo wkrótce woda zniknęła z zasięgu naszych oczu i wjechaliśmy w oliwny gaj.

Moja krew aż buzowała z nadmiaru emocji. To całe piękno, nowe krajobrazy, perspektywa zobaczenia ojca, poznania babci... Byłam bliska zawału. Kręciłam się na siedzeniu, jakby mało nami telepało przez nierówną drogę, w którą w pewnym momencie skręcił Benny. Wyglądałam przez okno i nagle tak zatrzęsło samochodem, że walnęłam się czołem w szybę, co wyjątkowo rozbawiło Shane'a.

Wreszcie auto zatrzymało się przed przeuroczo wkomponowanym w naturę domem. Stał on na pochyłym terenie tak, że tuż obok niego stromo pięła się wielka góra, ale z lewej strony było bardziej płasko i całkiem zielono.

Dom wyglądał na stary. Jego ściany pokrywała gęsto różnorodna roślinność. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie rudery, ale miał w sobie coś klimatycznego, niczym budynek z bajki. Szeroki ganek z zadaszeniem i ochronną moskitierą wokół zachęcał do odpoczynku. Roilo się tu od kwiatów, ale też dziwnych przedmiotów, a mówiąc wprost: gratów.

Moją uwagę od razu przyciągnął mężczyzna w białej bluzie z kapturem i krótkich, czarnych spodenkach. Miał brodę, odrobinę dłuższą niż ostatnio, gdy go widziałam, a włosy tradycyjnie spiał w luźną kitkę z tyłu. Opierał się o balustradę i palił cygaro, a jego ciemne oczy zdawały się nieprzyjemne. Zmieniły się jednak, gdy padły na nasz samochód.

Ojciec natychmiast się wyprostował i zgasił niedbale cygaro, po czym szybkim ruchem odgarnął moskitierę, by zejść kamiennymi schodkami w dół i czym prędzej nas przywitać.

Cała zeszytniałam i poczułam nagle równocześnie szczęście i strach, dlatego wysiadłam z samochodu jako ostatnia. Zaraz za nami zatrzymało się kolejne spore auto, którym przyjechał Sonny.

Ojciec zbliżył się do nas i najpierw przytulił Tony'ego. Przyjrzał się jego twarzy, jakby szukał w swoim synu jakichś znaczących zmian, a potem podszedł do Shane'a, roztrzepując jego włosy w taki słodki, ojcowski sposób. To było naprawdę urocze. Nieśmiało naciągałam rękawy bluzy na dłonie i przy okazji wbijałam w nie paznokcie, choć mimo denerwującego wiatru wcale nie było mi zimno. Stresowałam się. Nawet nieświadomie przygryzłam wargę i żałowałam, że nie mam w tej chwili niczego, czym mogłabym się zająć.

Ojciec wyściskał już Shane'a i najwyraźniej pamiętał, że zjawić się dziś miałam również ja, bo jak tylko nacieszył się synami, podniósł głowę i szukał mnie wzrokiem.

Uśmiechnęłam się znowu nieśmiało, a serce biło mi jak szalone.

– Hej – powiedziałam ciszej, niż zamierzałam, bo nie spodziewałam się, że głos mi tak zachrypie.

Ojciec ruszył w moją stronę i powoli otworzył dla mnie ramiona, jakby sprawdzał najpierw, czy zgadzam się na przytulanie. A ja nie tylko się na nie zgadzałam, lecz także go potrzebowałam, więc od razu zrobiłam krok do przodu i objęłam jego sporą sylwetkę ramionami. Czułam od niego świeżość i niedawno palone cygaro. Zaczynałam przyzwyczajać się do tego zapachu i go z nim utożsamiać.

– Hej, królowno – przywitał się, a jego ręka delikatnie przeczesła moje włosy. Ścisnął mnie dość mocno, ale nie przeszkadzało mi to. – Wszystkiego najlepszego.

Wspaniale było znowu widzieć się z tatą. Znowu miałam rodzica, chociaż jednego. Chciałam nacieszyć się tym naszym uściskiem, ale wybił mnie z niego nigdy wcześniej niesłyszany przeze mnie, wyraźny i zrzędlawy głos.

– Czy to moje szanowne wnuczka?

Oderwałam się od ojca, by z ciekawością spojrzeć w stronę jego źródła. Na ganek wyszła starsza kobieta. Szła powoli i zatrzymała się tuż przed moskitierą, jakby najpierw chciała obrzucić nas wszystkich spojrzeniem, choć w rzeczywistości na nas nie patrzyła. Złapała się poręczy i odgarnęła długie, siwe włosy za plecy. Pojedyncze kosmyki włosów powiewały wokół jej twarzy. Zapatrzyłam się na nią z fascynacją, bo musiała to być moja nowa babcia, a obraz babci, jaki do tej pory miałam w głowie, absolutnie odbiegał od tego, co właśnie widziałam.

Miała na sobie bluzę sportową. Taką luźną, podobną do tych, które nosili moi bracia i którą miał właśnie na sobie ojciec. Tylko że czarną i z jakimś dziwnym logo na samym środku. Sięgała jej połowy ud, a spod niej wystawała kwiecista spódnica do samych kostek.

Najbardziej zaskoczyły mnie jej duże, jasne oczy, które miały w sobie coś dziwnego, fascynującego i, nie ukrywam, przerażającego.

– Lepiej. Twój ulubieniec. – Shane się wyszczerzył i klasnął w dłonie.

– Aha. Co za zaszczyt – mruknęła babcia, przedzierając się przez moskitierę. Zeszła na dół, wspierając się na balustradzie, a gdy znalazła się u podnóża schodów, machnęła ręką, patrząc gdzieś w bok. – No co, podejdzie tu któryś łaskawie?

Shane i Tony ruszyli się w tym samym czasie, a kąci ich ust unosiły się w rozbawionych uśmieškach. Ojciec wciąż trzymał mnie blisko siebie, ale odwrócił się do Sonny'ego. Przywitał się z nim, zaskakująco przyjaźnie, bo zagadnął chyba nawet o jego samopoczucie i sytuację, a więc wywnioskowałam, że musiał go znać. Przekazał mu też parę słów ściszym głosem. Mój ochroniarz zachowywał ciągle powagę i odpowiadał mojemu ojcu z widocznym szacunkiem. Po tej krótkiej wymianie zdań podniósł swoje bagaże i ruszył za Bennym.

W tym czasie babcia wyściskała bliźniaków i zaraz uniosła ponownie brodę, jakby w oczekiwaniu.

– Podobno miałam poznać dziś swoją wnuczkę. Gdzie ona jest? – warknęła głośno, rozkładając ręce w mało przyjaznym geście.

Patrzyła w jakiś punkt za moimi plecami, więc się odwróciłam zdezorientowana, aż ojciec objął mnie mocniej swoim ramieniem i szepnął mi do ucha:

– Blanche nie widzi.

– Och – westchnęłam, nie wiedząc, jak inaczej zareagować.

– Twoja córka też chyba nie widzi, skoro jeszcze się nie zorientowała – zaskrzeczała babcia.

– Bądźże dla niej miła, co? – upomniął ją ojciec i potarł moje ramię w geście wsparcia.

Blanche uniosła brwi, co wyglądało komicznie i strasznie jednocześnie. Tony rozsiadł się na kanapie ogrodowej na ganku i wyciągnął papierosa, a Shane zniknął w domu, zostawiwszy po sobie tylko grzechoczące koraliki, które wisiały przy wejściu.

– No to gdzie jesteś, dziewczyno? – zapytała i chyba starała się rzeczywiście brzmieć bardziej przyjacielsko, ale szczerze mówiąc, nie wychodziło jej to najlepiej.

Chciałam nieśmiało do niej zamachać, ale w ostatniej chwili się powstrzymałam.

– Tutaj – odezwałam się cicho, niespecjalnie zachwycona tym, że muszę ściągnąć na siebie uwagę.

– Tutaj gdzie? – westchnęła. Znowu rozłożyła ramiona i odwróciła się w stronę, z której dobiegł mój głos.

Niechętnie zrobiłam kilka kroków w jej stronę, rzucając wcześniej szybkie spojrzenie ojcu. Mrugnął do mnie przyjaźnie, a postawa Blanche wydawała się nie robić na nim wrażenia.

Zatrzymałam się jakiś metr od kobiety i odezwałam znowu. Ona skorygowała swoją pozycję tak, by stać teraz już dokładnie naprzeciwko mnie i wyciągnęła dłonie przed siebie. Natknęły się na moje ręce i uniosły aż do ramion, gdzie spoczęły na chwilę. Potem powędrowały wyżej i poczułam ciarki, gdy przemknęły po mojej szyi. Nie czułam się komfortowo z chłodnymi palcami obcej kobiety na swoim gardle. Na szczęście ją interesowała bardziej twarz. Zadziwiająco delikatnie zaczęła muskać ją opuszkami. Dotknęły mojej brody, zbadały kształt szczęki, przebiegły po kościach policzkowych i nosie. Przymknęłam oczy, gdy zbliżyły się do brwi i łagodnie przemknęły po moich powiekach. Wszędzie zostawiała po sobie ślad ledwo odczuwalnego mrowienia.

– Faktycznie, podobna do Dylana – skomentowała, wreszcie zabrawszy ode mnie ręce.

Otworzyłam oczy i rzuciłam jej podejrzliwe spojrzenie.

– Mówiłem – odezwał się ojciec. Podeszedł do nas i znów położył mi dłoń na plecach, co po raz kolejny dodało mi otuchy.

Blanche pokiwała w zamyśleniu głową, po czym odwróciła się na pięcie, by z powrotem wspiać się po kamiennych schodach. Spódnica majtała jej się przy kostkach, a dodatkowo targał nią wiatr i bałam się, że kobieta się wywróci.

– Chodźmy do środka – zarządziła. – Benny przygotował paellę.

Próg chatki przekraczałam niepewnie. Bardzo doceniałam obecność taty, który na każdym kroku dawał mi do zrozumienia, że mam jego wsparcie zawsze i wszędzie. Liczyłam, że wkrótce poczuję się tutaj swobodnie, bo na razie zapowiadało się na to, że styl bycia Blanche może mi to utrudniać.

Zadziwiała mnie. Z niezwykłą sprawnością potrafiła przemieszczać się po domu bez wpadania na ściany czy meble, chociaż czasami przyłapywałam ją na ukradkowym wyciąganiu przed siebie rąk, w celu wybadania tego, co znajdowało się wokół.

Wnętrze domu urządzono bardzo przytulnie. Wszystko było tu drewniane i w wiejskim stylu. To rodzaj domu, w jakim chętnie zamieszkałaby moja babcia Bonnie, gdyby tylko miała takie możliwości. Ona tak samo jak Blanche miałaby kolekcję kolorowych, kraciastych ściereczek w kuchni, wygodny, bujany fotel w salonie oraz olbrzymi, oryginalny, kremowo- granatowy perski dywan.

Podłogi w holu trzeszczały z każdym postawionym przez nas krokiem. Z prawej strony ciągnęły się w górę proste, długie schody. Ściany przyozdobiono tu mnóstwem przeróżnych obrazów. Sporo kwiatów. Wisiały pod sufitem, stały w wazonikach bądź doniczkach. Wszystkie dekoracje zdawały się dobrane raczej losowo i bez smaku, ale babcia chyba miała to głęboko w poważaniu.

Woń, która unosiła się w powietrzu, sprawiła, że zaburczało mi w brzuchu, a do ust napłynęła ślinka. Wyraźnie czułam szafran. Pachniało wybornie.

W kuchni rozgościł się już Shane i właśnie nachylał się nad ogromną patelnię.

– Ani mi się waż – syknęła babcia, a ja przez chwilę myślałam, że może jednak udawała i tak naprawdę wszystko widzi. Ale zaraz pomyślałam, że przecież nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby się spodziewać, że Shane dorwie się do jedzenia.

Mój brat odsunął się posłusznie od gara, ale wcześniej też skubnął sobie z niego krewetkę. Tony znowu się rozsiadł, tym razem na solidnym drewnianym krześle, jednym z wielu poustawianych dookoła równie solidnego stołu nakrytego białym, żakardowym obrusem.

– Benny! – zaskrzeczała babka, a z rzeźbionej szafeczki nad zlewem wyjęła szklanki. Kuchnię znała jak własną kieszeń. – Gdzie jest Benny?

Ojciec odsunął dla mnie jedno z krzeseł, więc od razu je zajęłam, ciesząc się, że ktoś próbował ułatwić mi aklimatyzację.

– Jestem – zameldował się staruszek i od razu podszedł do czarnej patelni. Złapał za wielką, drewnianą łyżkę i fachowo przemieszał znajdujący się w środku żółtawy ryż z warzywami i owocami morza. – Pokazywałem sypialnię jednemu z naszych gości.

– Komu znowu? – burknęła, ale szybko machnęła ręką – Ach, tamtemu. Rozdaj talerze. On też będzie jadł? – Babka złapała za spory, podłużny dzbanek z wodą, przezroczysty, z namalowanymi na szkle kwiatami, i postawiła go na stole.

– Zaprosiłem go – odparł Benny i schylił się do również rzeźbionego kredensu utrzymanego w wiktoriańskim stylu. Talerze grzechotały, gdy stawiał je przed nami, a potem sięgnął do szuflady po widelce.

Nagle podskoczyłam, bo tuż przede mną coś się gwałtownie poruszyło. Tony parsknął śmiechem, bo przeraził mnie kot, który wskoczył właśnie na stół. Szczupły i bury dachowiec rzucił mi spojrzenie spode łba.

– Zjeżdżaj – warknął na niego ojciec, spychając go dłonią na ziemię. Kot zaprotestował z niezadowoleniem, ale szybko zniknął.

– Chyba cię nie lubi – zażartował do mnie Shane.

– Kto? Kot? Kogo? Hailie? – fuknęła Blanche, a mnie przeszły ciarki na dźwięk własnego imienia w jej ustach. Kobieta postawiła na stole kosz pieczywa zakryty papierową serwetką w zielone listki. – To gbur, nikogo nie lubi.

Później ścieżki moje i kota krzyżowały się wiele razy i w istocie był to najbardziej naburmuszony zwierzak, jakiego kiedykolwiek widziałam. Nie powiedziałam tego na głos, ale przypominał mi trochę Tony’ego.

Obiad minął swojsko i z załączkami rodzinnego klimatu. Chyba wpływ na to miał fakt, że oprócz mnie i bliźniaków był z nami również ojciec, no i babcia, czyli osoby w różnym wieku, tak jak na rodzinnych obiadach zwykle bywało. W końcu aż trzy pokolenia zasiadały teraz przy naszym stole.

Dołączył też do nas Sonny. Ojciec na to nalegał, bo głupio by było, gdyby jadł w innym pomieszczeniu. Sonny posłusznie zasiadł w kącie, ale nie odezwał się ani słowem.

Cam zagadywał mnie i bliźniaków o najrozmaitsze sprawy, spragniony rozmów ze swoimi dziećmi. Później podarował mi piękny złoty zegarek. Bardzo kobiecy i delikatny, z wąską bransoletką i wielką, białą tarczą, pośrodku której, w miejscu, gdzie krzyżowały się wskazówki, widniał drobny i subtelny diament. Założył mi go na mój nadgarstek.

– To taki drobiazg – mówił ojciec, gdy patrzył, jak oglądam go z oczarowaniem. – Wiesz, że nie podoba mi się, gdy urodziny obracają się wokół rzeczy materialnych. Z tobą po prostu widzę się tak rzadko... – tłumaczył się. – Chłopców potrafiłem wychowywać bardziej zdecydowanie. Rzeczy, które chcieli lub których potrzebowali, mogłem kupić im każdego innego dnia w roku, bez okazji. W urodziny chodziło zawsze o to, żeby na chwilę cała rodzina mogła zwolnić, choć na jeden wieczór, usiąść razem, zdmuchnąć świece, zjeść tort, nacieszyć się własnym towarzystwem... Wolałem, żeby chłopcy pamiętali swoje urodziny jako dzień, gdy każdy członek rodziny był dla nich i wspierał ich. Chciałem, żeby widzieli piękno w takich prostych, małych rzeczach.

-Dylan mówił, że wszyscy dostali auta na szesnastki – odparłam sceptycznie, odrywając wzrok od pięknej tarczy zegarka.

– Cóż, akurat w tym wypadku to się zgadza – zaśmiał się Cam. – Szesnaste urodziny to wyjątek... A właśnie, jak ci się podoba twoje porsche?

– Jest bardzo ładne – odpowiedziałam uprzejmie, na co Cam zaśmiał się znowu i mnie przytulił.

Tego dnia spędziłam z ojcem i braćmi dużo czasu, a gdy już nie mogłam zapanować nad opadającymi powiekami, poszłam spać. Choć planowo jutro powinnam rozpocząć zajęcia zdalne, Cam zasugerował, żeby przełożyć je na sobotę. Dzięki temu mogłam sobie odpocząć jeszcze przez jeden dzień. Mój życiowy grafik nie mógłby być bardziej rozbity, ale wtedy jeszcze myślałam, że będzie mi to zupełnie obojętne, więc przytaknęłam i następnego dnia cieszyłam się wolnym piątkiem.

Sonny również nie musiał pracować, jako że miałam i tak być ciągle pod opieką ojca. Nie wiem, po co on tu w ogóle przyjechał.

Śniadania pod dachem Blanche i Benny’ego były raczej ubogie i składały się głównie z owoców, ciastek, kakao, kawy i herbaty albo grzanek z dżemem lub oliwą i szynką

iberyjską. Vince by się tutaj przekreślił, słowo daję. Ten najważniejszy, podobno, posiłek dnia jadano też tutaj całkiem późno, ale w ogóle cały ten dom budził się do życia z wyjątkowym opóźnieniem. Zgodnie z tym, co usłyszałam z ust babci, tego dnia wstała o jedenastej. Moja babcia Bonnie zwykła przebudzać się około szóstej rano. Takie wczesne wstawanie wydawało mi się kolejną cechą charakterystyczną babć. Blanche zdawała się jednak wyjątkiem od prawie każdej reguły.

Potem dałam się ojcu zaprosić na spacer po plaży. Dzień nie był chłodny, ale całkiem nieźle wiało, dlatego założyłam na nagie ramiona sweter, a na gołe stopy baletki. Okazało się, że w ogromnym ogrodzie na terenie domu babci i Benny'ego znajdowały się zarośnięte i ekstremalnie strome schodki wyrzeźbione w skale ze starą, zardzewiałą balustradą po jednej stronie. Ojciec schodził po nich jako pierwszy, żebym w razie upadku wpadła na niego, a nie potoczyła się w dół. Widoki absolutnie wynagradzały tę drastyczną przeprawę. Raczej patrzyłam pod nogi i pilnowałam, by się nie poślizgnąć, ale gdy już unosiłam głowę, zamierałam z zachwytu.

Krajobraz był bardzo leniwy, taki, w jaki można by się wpatrywać przed drzemką po sytym obiedzie. Pojedyncze chmury sunęły sennie po niebieskim niebie, a piasek zdawał się tańczyć do melodii powolnej bryzy, która nadchodziła od oceanu i przy okazji przywiewała ze sobą małe, spokojne fale. Słychać było mewy, zapach soli uderzał w nozdrza, a przyjemna cisza działała relaksująco.

– Ładnie tu, co? – zagaił ojciec, uśmiechając się do mnie łagodnie. Gdy tylko znalazł się u podnóża tych okropnych, wąskich i jeszcze na dodatek śliskich schodów, odwrócił się, żeby wyciągnąć do mnie dłoń i pomóc mi zeskoczyć na piasek. Chętnie ją przyjął.

– Pięknie – zgodziłam się, biorąc głęboki wdech, który wypełnił całe moje płuca świeżym, morskim powietrzem. Oboje zdjęliśmy buty i przeszliśmy przez całą plażę aż do wody, by zanurzyć w niej stopy. Uśmiechnęłam się szeroko, gdy poczułam jej lekki chłód. – Przejdziemy się brzegiem?

– Jak sobie życzysz, królewno.

Chwilę rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Pokazywaliśmy palcami na wiszące daleko na niebie paralotnie. Przewidywaliśmy, czy słońce schowa się za tą nadchodzącą, małą chmurką, czy może ona je ominie. Komentowaliśmy, jak to jest tu miło i spokojnie. Aż w końcu przeszliśmy do zupełnie innych spraw.

Ojciec wypytywał mnie, co się dzieje w domu. Opowiadałam mu, jak bardzo nie podoba mi się pomysł ze zdalnym nauczaniem i po jego reakcjach widziałam, że Vincent na pewno informował go na bieżąco o wszystkim, bo w ogóle nie był zaskoczony moim narzekaniem.

– Chciałabym... pójść na spacer. Sama, bez chłopaków i ochroniarzy – mówiłam. – Albo wyjść na deszcz bez kurtki tak, żeby nikt mi nie zrządził nad uchem, że mam wracać, bo się rozchoruję. Chcę wymknąć się na chwilę z domu bez wiedzy Vincenta i reszty. Chcę napisać wiadomość do przyjaciółki o tym, jak bardzo wkurza mnie mój najstarszy brat, bez obaw, że on to przeczyta. Chcę, nie wiem... Pójść na imprezę i potańczyć, poznać ludzi, klaskać w rytm muzyki i śpiewać na głos hity z radia... Chcę wolności – wymieniałam, patrząc ciągle na stopy, które co chwilę zanurzały się przyjemnie w chłodne wody oceanu.

Ojciec milczał przez chwilę i słychać było jedynie szum fal.

– Hailie – zaczął Cam i przełożył sobie buty z jednej ręki do drugiej, jakby ta czynność miała mieć jakieś znaczenie. – Wiem, co czujesz. I choć pewnie cię to zdziwi, chłopcy też wiedzą. A już najbardziej Vince i Will. Rozumieli najwięcej po śmierci ich mamy. I najbardziej odczuli to, gdy rozkazałem trzymać ich wszystkich pod kluczem. Sam pojechałem na Florydę, jak już ci opowiadałem, a synów zostawiłem z opiekunkami i ochroniarzami, którzy nie odstępowali ich na krok i nie pozwalali wyściubić nosa poza teren naszej posesji. Minęły ze dwa lata, zanim pozwoliłem im wrócić do normalnego życia. Vince i Will się buntowali, zupełnie jak ty, a ja ich nie słuchałem, bo ważniejsze dla mnie było ich bezpieczeństwo. Nienawidzili mnie, a ja miałem to gdzieś i nie dawałem sobie smarkaczom wejść na głowę.

Popatrzyłam na niego zadziwiona.

– Ale... to nie to samo – zaprotestowałam. – To nie to samo. Bo ile oni mieli wtedy lat?

– Vince trzynaście, Will dziewięć...

– No właśnie. Co innego zamknąć przed światem dziewięciolatka, a co innego szesnastolatkę.

– Co innego, gdy ktoś morduje matkę moich dzieci, a co innego, gdy ktoś naprawdę próbuje zabić jedno z nich – odparł ojciec, a w jego głosie, choć delikatnym i dobrotliwym, pobrzmiwała nuta twardości i zdecydowania, która utwierdzała mnie w przekonaniu, że Cam podjął już decyzję i nie zmieni jej, a jedynie pozwala mi się wygadać.

Westchnęłam cicho i po prostu obserwowałam czarująco przeźroczystą wodę. Jakies dwie sylwetki zamajaczyły w oddali. Ktoś również przechadzał się brzegiem oceanu w chyba jeszcze wolniejszym tempie niż my.

– Wolność, Hailie – zaczął nagle ojciec, przerywając zarówno swoje, jak i moje ciche przemyślenia – jest przereklamowana.

Aż oderwałam wzrok od moich stóp i spojrzałam na niego z uniesionymi brwiami.

– Czy to nie wolność jest jednym z podstawowych praw człowieka?

– Ludzie lubią trąbić o niej na prawo i lewo. Gdyby się zamknęli na chwilę, żeby pomyśleć, uświadomiliby sobie, że nikt na tym świecie nie jest tak naprawdę wolny.

– Nie zgadzam się. Ludzie, którzy mogą o sobie decydować, są wolni.

– O jakich dokładnie decyzjach mówisz? – zapytał ojciec z uśmiechem na twarzy. Wyrażnie czerpał przyjemność z naszej małej dyskusji.

Znowu spojrzałam pod nogi. Minęłam właśnie piękną białą muszelkę i gdybym nie skupiła się tak na sformułowaniu sensownej odpowiedzi, to na pewno bym się po nią schyliła.

– No na przykład... Wybór zawodu, wybór szkoły, wybór, chociażby, ubrań.

– Wybór ubrań? – zaśmiał się Cam, wiedząc, że nie wspomniałam o tym bez powodu.

– No dobrze, Hailie, nie zrozum mnie źle. Wiem, o czym mówisz. Spróbuję teraz przedstawić ci ten problem z nieco bardziej abstrakcyjnego punktu widzenia, dobrze? Postaraj się, proszę, otworzyć umysł. Nie chcę zmieniać twoich poglądów, uważam

tylko, że to ciekawa rozmowa, i chciałbym poznać twoją opinię na temat tego, co powiem.

Pokiwałam głową.

– Okej. Powiedzmy, że Vince zabrania ci założenia krótkiej kiecki. Zgodnie z twoją definicją wolności nie powinien móc mówić ci, czego nie wolno ci nosić, tak?

– Tak.

– Dobra. Załóżmy, że jednak Vince ma w nosie, co na siebie zakładasz. I załóżmy, że bardzo zależy ci, żeby chodzić po ulicach nago. Chcesz tego, bo to jest zdrowe, bo masz fisia na punkcie natury, bo jest moda na człowieka pierwotnego czy jakieś inne gówno. Czy możesz wyjść na miasto bez ubrań?

Zmarszczyłam brwi na jego dziwne porównania.

– No nie.

– A czemu?

– Bo nie wolno. Ale takie jest prawo.

Cam wzruszył ramionami.

– Prawo ustanowili ludzie. A człowiek, który powiedział, że nie wolno chodzić nago po ulicach, właśnie ograniczył twoją wolność.

– Ale to co innego, to po prostu przekracza granice dobrego smaku. To jak pornografia – zaprotestowałam.

– Dla jednego pornografia, dla innego natura. A granice dobrego smaku każdy ma postawione gdzie indziej.

Pokręciłam głową, bo ojciec nieźle w niej namącił.

– Ale jako ludzie godzimy się przestrzegać prawa. A Vince prawem nie jest. To, że nie mogę nosić miniówki, to jego niepoparte sensownymi argumentami widzimisię.

– Vince jest twoim prawnym opiekunem. A prawo mówi, że prawny opiekun lub rodzic może wychowywać według własnych wierzeń i zasad. Niektórzy wegetarianie nie podają swoim dzieciom mięsa. Czy robią dobrze? To kwestia sporna. Niektórzy wybierają, żeby zaraz po urodzeniu ochrzcić dziecko, zamiast pozwolić mu być wolnym i samemu zdecydować się na jakąś religię. Niektórzy wybierają język francuski dla swoich dzieci, a inni wolą włoski. Niektórzy pozwalają swoim dzieciom zostawać na imprezach do rana, a inni żądają powrotu jeszcze przed jej rozpoczęciem – tłumaczył mi ojciec.

Minęliśmy się właśnie z tymi wędrowcami, których wcześniej widzieliśmy z daleka. Jakaś młoda para, uśmiechająca się od ucha do ucha. Rozmawiająca w języku, którego nie znałam.

– Są też tacy, którzy w ogóle nie pozwolą swoim dzieciom wyjść z domu – wtrąciłam ponuro.

– Są i tacy – zgodził się. – I niektórzy mają całkiem dobre powody. – Cam odchrząknął. – Chodzi o to, że wolność to pojęcie względne. Dorośli ludzie też wcale nie są wolni. Ogranicza ich, chociażby, praca. Muszą pracować, żeby zarabiać, a muszą zarabiać, żeby zjeść i zapłacić rachunki. Życie i społeczeństwo, w którym żyjemy, to więzienie dla nas wszystkich.

Wypuściłam powietrze, przygnieciona ciężarem poglądów ojca, który tylko rzucił mi przelotny uśmiech i kontynuował:

– Chcę powiedzieć, że każdy jest ograniczony w jakiś sposób. Tobie może się wydawać, że ty jesteś bardziej niż inni. Ale zmienisz zdanie w przyszłości – stwierdził. – Kiedyś zobaczysz, że decyzje, choćby te, o których wspominałaś, dotyczące zawodu czy studiów, będziesz mogła podejmować z o wiele większą swobodą niż chociażby twoi rówieśnicy. A to wszystko dzięki przynależności do naszej rodziny – opowiadał, a ja teraz już nie odrywałam od niego wzroku, chłonąc jego słowa. – Będiesz, moja Hailie, mogła studiować, co chcesz, gdzie chcesz, bez względu na wysokość czesnego. Będiesz mogła mieszkać w luksusowym akademiku albo małej willi i codziennie jeść obiady w restauracjach, skupiać się na nauce i nie martwić o pracę.

Milczałam.

– Takimi przykładami mógłbym sypać jak z rękawa. Wiem, że nie wszystkie cię przekonają, i wiem, że niektórzy ludzie osiągają wiele nawet bez odpowiedniego startu, co jest godne podziwu i czemu chylę czoła, ale i tak wniosek jest ten sam. Wolność to iluzja. – Nagle ojciec zatrzymał się i złapał mnie delikatnie za ramię, obracając się do tyłu. – Wracamy? Już i tak długo chodzimy, a jeszcze czeka nas kawałek do domu.

Pokiwałam głową.

– Naprawdę – zaczęłam i przygryzłam wargę, głowiąc się, jak dobrze ubrać w słowa to, co chcę powiedzieć – myślisz, że będę mogła studiować, gdzie chcę?

Cam zaśmiał się na widok mojej sceptycznej miny.

– To będzie na pewno wyzwanie dla chłopaków, żeby wypuścić cię z domu do college'u, ale nie chciałbym, żeby nasza nadopiekuńczość stanęła ci na drodze do spełnienia marzeń – mówił, po czym trochę się chyba zreflektował, zwłaszcza gdy spostrzegł, jak moje oczy rozbłyły. – Zobaczymy, oczywiście, jak się sprawy będą miały w przyszłości...

– Chodzi ci o to, czy nikt nie będzie chciał mnie zabić? – domyśliłam się.

– Na przykład – westchnął Cam, próbując brzmieć swobodnie, ale to chyba nie był dla niego najlepszy temat do żartów, bo trochę się spiął i chyba dlatego zaraz skierował rozmowę na lżejsze tematy.

Śmiałam się wniebogłosy, gdy opowiadał mi, jak dziesięć lat temu na tej samej plaży Vince upił Willa do nieprzytomności trzema butelkami wina, które wcześniej zabrał z zapasów Blanche i Benny'ego.

Był też moment, gdy przez dłuższą chwilę szliśmy w ciszy. Chyba prawie całe dziesięć minut. Dobrze nam się milczało we własnym towarzystwie. Czułam się komfortowo i nie miałam potrzeby paplać bez sensu. Zwłaszcza w takiej kojącej

scenerii. Robiło się chłodno, więc opatuliłam się swetrem, wystawiając twarz do przebijającego się przez chmurę słońca.

– Co do tego, o czym mówiłaś na początku – odezwał się znowu ojciec, a ja, nie otwierając oczu, wciąż powolutku szłam u jego boku. Uśmiechnęłam się tylko na dźwięk jego głosu. Miło, że zaczęłam jakiś temat, a on tak dokładnie chciał go ze mną przerobić. Dobrze było być słuchaną. – Mówiłaś, że chciałybyś iść na spacer bez ochroniarza, co jest zbyt ryzykowne. Wymknąć się z naszej rezydencji w Pensylwanii też ci się raczej nie uda. Wiem o tym dobrze, bo mając pięciu nieusłuchanych synów, zadbałem, żeby było to niemożliwe. Ale postaram się spełnić przynajmniej częściowo choć jedno z twoich życzeń... – obiecał.

I bardzo szybko dotrzymał słowa.

36

COŚ SŁODKIEGO

Bliźniacy siedzieli na ganku. Popijali piwo i przymykali z zadowoleniem powieki, co chwila coś do siebie mrucząc. Shane trzymał nogi na stole, a wokół głowy Tony'ego unosił się lekki dym, który zdradzał, że pod stołem chował papierosa. Rzadko byli do siebie aż tak podobni jak teraz.

Ojciec i ja na chwilę do nich dołączyliśmy. On oparł się tyłem o balustradę i zapalił cygaro, a ja wcisnęłam się na kanapę obok Tony'ego, który łaskawie przesunął się o zaledwie kilka milimetrów.

Wkrótce Blanche zawołała nas do kuchni, a ja do znudzenia byłam gotowa powtarzać to, jak wielkie wrażenie robiła na mnie swoją zaradnością mimo niepełnosprawności. Benny usmażył dla nas ryby, a ona zajęła się całą resztą, podając nam pyszną i prostą sałatkę z octem oraz pieczone bataty. Każdy dostał też po małej puszczonej piwa, łącznie ze mną, ale ojciec niby od niechcenia odsunął ją na bok.

Na deser jedliśmy galaretkę z pestkami ze świeżo zerwanych granatów, które Benny hodował w swoim sadzie. Potem nadszedł czas na odpoczynek i wszyscy rozeszli się po domu w mgnieniu oka tak, że jakimś cudem niefortunnie zostałam w kuchni sam na sam z Blanche. Gdy uniosłam głowę znad telefonu i sobie to uświadomiłam, przeszedł mnie dreszcz.

Przyznaję, w pierwszej chwili pomyślałam, żeby wymknąć się niepostrzeżenie, ale nie zrobiłam tego. Blanche na pewno usłyszałaby mnie i wiedziałaby, że to ja. W końcu stawiałam najłżejsze kroki ze wszystkich domowników.

Westchnęłam w duchu i patrzyłam na jej plecy, gdy stanęła przy zlewie i zaczęła zmywać naczynia. Dziś miała na sobie czerwoną podkoszulkę i białe, lniane spodnie. Gdy po raz pierwszy ją rano tak zobaczyłam, stanęłam jak wryta na widok jej chudego ramienia, na którym wytatuowaną miała przerażającą kostuchę w czarnej pelerynie z kapturem, pustymi oczodołami, potwornym grymasem i długą, ostrą kosą.

Prawie się przeżegnałam i po raz kolejny zatęskniłam za babcią Bonnie, która była jak dla mnie odpowiednio babciowata.

– Pomóc ci? – zapytałam z grzeczności.

Blanche nawet nie drgnęła, tak jakby wiedziała, że tu jestem, i tylko czekała, aż się odezwę.

– Możesz pozmywać – odparła i jak na rozkaz odsunęła się od zlewu, zdzierając z rąk gumowe rękawiczki. Przy okazji się odwróciła i zmroziła mnie tymi swoimi pustymi oczami. Nie sądziłam, że spotkam kogoś z bardziej lodowatym wzrokiem niż Vincent.

Pokiwałam głową, a zaraz bezgłośnie się w nią pacnęłam i rzuciłam „Okej”. Zająłam jej stanowisko i założyłam porzucone rękawice.

Gdy puściłam wodę, uderzyło we mnie, jak dużo czasu minęło, odkąd ostatni raz zmywałam. U Monetów prawie w ogóle tego nie robiłam. Czy ja tam kiedykolwiek przepłukałam chociaż szklankę? Jakiego koloru mamy kran?

Blanche sobie nie poszła, tylko chwilę na mnie patrzyła, a raczej stała nade mną i czuwała, po czym zabrała się do porządków.

– Spodziewałam się, że będziesz pyskątą, rozpuszczoną małodatą, która myśli sobie, że jest pępkiem świata – odezwała się nagle. – Muszę przyznać, że miło mnie zaskoczyłaś.

– Ja też spodziewałam się czegoś innego – wypaliłam, zanim zdążyłam pomyśleć.

Jej słowa brzmiały jak komplement. Moje... niekoniecznie, jednak Blanche wydała z siebie jakiś skrzekliwy dźwięk i znowu odwróciłam się, nie dowierzając, bo najwyraźniej zdołałam ją rozbawić.

-Nie wątpię – mruknęła, po czym dodała głośniejszym głosem: – Babcię od strony mamy znałaś pewnie od urodzenia, co?

– Tak, mieszkaliśmy z nią i z mamą. Była najlepsza – wyznałam z uśmiechem na ustach, który wpadł na nie na samą myśl o drogiej babci Bonnie.

– Niech zgadnę, nosiła siwego koka, świetnie gotowała, miała usposobienie anioła i pewnie robiła na drutach, co?

Zaśmiałam się cicho.

– Prawie. Nie robiła na drutach. Za to plotła kosze.

– Kosze? – powtórzyła Blanche.

– Kosze.

– Zajebista sprawa – mruknęła, a ja po raz kolejny się obróciłam, by na nią spojrzeć, zaskoczona przekleństwem, które w tak naturalny sposób opuściło jej usta. Ściągała właśnie obrus ze stołu i kierowała się z nim do wąskich drzwi, które wychodziły z kuchni na ogród, tak by nie zgubić po drodze ani okrucza z naszej małej uczty. Wytrzepała go u progu domu, po czym starannie złożyła w kosteczkę. Wtedy też ja

odłożyłam do suszenia ostatni pucharek na wyłożony ręcznikiem kuchennym blat, zakręciłam kran i zdjęłam ostrożnie rękawiczki.

– Skończone – oznajmiłam i rozejrzałam się po pomieszczeniu, poszukując innych czynności, w których Blanche mogłaby potrzebować pomocy.

– No to czas na sjęstę – zapowiedziała, ale na chwilę jeszcze się zatrzymała. – Dzięki za pomoc. Wnuczko. – Ostatnie słowo wypowiedziała w taki sposób, jakby było ono jakimś egzotycznym owocem, który właśnie po raz pierwszy w życiu posmakowała i jeszcze nie wyrobiła sobie o nim zdania.

– Nie ma za co. Babciu – odpowiedziałam tym samym.

Odwróciła się powoli na pięcie i zbliżyła się do mnie, wyciągając przed siebie rękę. Trochę się spięłam, co było najzwyczajszym mechanizmem obronnym mojego ciała, bo nie wiedziałam, czego się po tej kobiecie spodziewać. Jej palce musnęły moje ramię i podeszła do mnie jeszcze bliżej, błędząc dłonią w górę, do moich włosów. Dotknęła boku mojej głowy i poczułam twardość jej pierścionka na skroni. A potem zaskoczyła mnie, gdy złożyła delikatny, pełen czułości pocałunek na moim czole. Następnie pogłaskała mnie po policzku.

– Dobrze mieć cię w końcu w rodzinie.

I poszła.

Zostałam sama, wpatrując się w miejsce, w którym zniknęła.

Była dziwna i nie do końca wiedziałam, jak się z nią obchodzić, ale chyba mnie nie nienawidziła. Zdawała się miła na swój własny sposób, a jej ostatnie słowa sprawiły, że się uśmiechnęłam.

Zdecydowałam się także wykorzystać sjęstę i zamknąć się w przydzielonej mi sypialni, rozłożyć na łóżku i poczytać książkę albo nawet się zdrzemnąć. Gdy szłam długim holem, żeby wejść na schody, dotarłam do głównych drzwi, które były uchylone. Od razu usłyszałam głos ojca i jakieś znudzone westchnięcie Tony'ego. Za chwilę odezwał się też Shane i mimowolnie przystanęłam, zaintrygowana. Musieli w trójkę siedzieć na ganku.

– ...bez sensu – komentował Shane, a jego ton był wyraźnie sceptyczny.

– Jest smutna, czuje się osaczona, zresztą nie ma co się dziwić. Potrzebuje trochę rozrywki – mówił ojciec i nietrudno było wywnioskować, że chodziło mu o mnie, a więc nie było już szans, żebym tak po prostu przestała podsłuchiwać.

– Jest na pieprzonych Wyspach Kanaryjskich, to niewystarczająca rozrywka? – rzucił Tony typowym dla siebie, mruklwym głosem.

– Potrzebuje nowych doświadczeń, takich zupełnie bezstresowych – kontynuował ojciec. – Chcę, żeby się wyluzowała i uśmiechnęła. Dlatego zabierzecie ją na kolację. Jeśli będzie miała ochotę, to kupcie jej nawet kieliszek słodkiego wina albo jakąś, nie wiem, małą puszkę piwa cytrynowego. Rozumiecie, o co mi chodzi?

– Vincent groził nam, że jak któryś z nas poczęstuje ją alkoholem, to mu się oberwie – wtrącił Shane, z pobrzmiewającą nutą znużenia.

– Ale teraz ja mówię, że tego jednego, dzisiejszego wieczora może być inaczej – warknął ojciec i pewnie obrzucił moich braci ostrzegawczym spojrzeniem, aby lepiej zrozumieli przekaz jego słów. Tak sobie to wyobrażałam, bo ich nie widziałam. – Zabierzecie ją później do jakiegoś kulturalnego baru, gdzie będzie sobie mogła potupać nóżką do piosenek jakiejś Shakiry. Żadnych patusiarskich melin ani zdegradowanych nocnych klubów, jasne?

Nie dosłyszałam z ust chłopaków żadnego potwierdzenia, ale musieli pokiwać głowami, bo za chwilę ojciec mówił dalej.

– A teraz najważniejsze. Macie jej, kurwa, pilnować, rozumiecie? Mówię poważnie. Na każdym kroku. Żadnych tańców ani nawet rozmów z napaleńcami, nie spuszczać jej z oczu, choćby oznaczało to, że macie sterczeć w damskim kiblu pod kabiną. W końcu ona ma ledwo szesnaście lat. I skupcie się na tym, żeby przede wszystkim to ona się dobrze bawiła, jasne? Wy sobie możecie imprezować po swojemu każdej innej nocy. Jasne czy niejasne?

Bliźniacy mruknęli pod nosami coś, co chyba oznaczało „jasne”. Przykryłam usta dłonią, robiąc wielkie oczy z podekscytowania. Chwila, chwila, wow. Co tu się właśnie wydarzyło? Czy ojciec zmuszał chłopaków do zabrania mnie na imprezę? Do baru? Miałam ochotę parsknąć w oszołomieniu. No nie może być.

Rozmowa jeszcze się nie skończyła, ale ojciec się poruszył i wystraszyłam się, że wejdzie do domu, więc zwałam z tego niezbyt bezpiecznego do podsłuchiwania miejsca. Popędziłam na piętro, skacząc co drugi schodek, ale tak ostrożnie, żeby żadna deska pod moim ciężarem nie zatrzeszczała zbyt głośno. Zatrzymałam się u szczytu i obróciłam się, z zawodem odnotowując, że nikt jednak nie wszedł do środka, ale nie miałam odwagi wracać na dół.

Przed wszystkim czułam niewysłowioną sympatię do swojego taty, który potrafił słuchać jak nikt inny. Wystarczyła moja mała, pełna żalości skarga, by on postanowił mnie uszczęśliwić. Miałam ochotę wybiec na ten ganek i przytulić go z całej siły, tak bardzo wdzięczna mu byłam za powagę i zrozumienie, z jakimi się do mnie odnosił.

Cam traktował mnie jak człowieka i starał się też widzieć we mnie żywą istotę z uczuciami, które muszą być pielęgnowane i z którymi obchodzić się trzeba delikatnie, by ich nie zranić. Moi bracia byli w tym przypadku surowsi, co zapewne wynikało z ich wieku i braku doświadczenia w kwestiach rodzicielstwa.

Nie mogłam zasnąć, bo byłam zbyt podekscytowana myślą o dzisiejszym wieczorze. Zastanawiałam się, czy wyjście z braćmi dojdzie do skutku, a jeśli tak, to jak to będzie pójść gdzieś z Tonym i Shane'em. I to jeszcze do baru? Czy będzie fajnie? A może dziwnie? Czy może w ogóle ostatecznie ojciec wycofał się z tego pomysłu, nazwał go idiotycznym i kazał chłopakom zapomnieć, że taki temat został poruszony?

Bardzo się zmartwiłam, gdy ostatnie pytanie przyszło mi na myśl. Chciałam zeskoczyć z łóżka i już teraz zejść na dół, by pokręcić się tam trochę i może niby to przypadkiem wpadłabym na któregoś z bliźniaków, a wtedy oni zaproponowaliby mi wyjście, a ja udałabym zaskoczoną i w końcu wzruszyłabym ramionami, mówiąc coś w stylu: „W sumie, czemu nie”.

Nic by to jednak nie dało, bo wkrótce na schodach i na korytarzu usłyszałam swobodne już głosy ojca i chłopaków. Najwyraźniej cała trójka udawała się na drzemkę.

Gdy już myślałam, że prędzej ducha wyzionę, niż zdołam zmrużyć choćby jedno oko, promienie wczesnogrudniowego słońca, które zachodziło o wiele za szybko, niżby wypadało, utuliły mnie do snu.

Spałam czujnie, bo nie chciałam przespać okazji do wieczornego wyjścia, na które już zacierałam ręce, nie wiedząc nawet, czy dojdzie ono do skutku. Tak czujnie, że gdy tylko drzwi do sypialni się uchyliły, moje powieki natychmiast zatrzepotały.

– Hailie, śpisz? – zapytał Shane półszeptem, na co ja przetarłam oczy, grając swoją rolę najlepiej, jak potrafiłam.

– Już nie – odparłam z niby to lekkim poirytowaniem.

– Chciałabyś... chcesz iść z nami na miasto? Na... na kolację? Ze mną i z Tonym w sensie.

Przykryłam na chwilę twarz kocem, żebym ukryć kilkusekundowy uśmiech, który mimowolnie na nią wpelzł, po czym przywołałam się do porządku. Odkryłam się i rzuciłam bratu sceptyczne spojrzenie.

– Z tobą i Tonym?

– No. Tak wiesz, poszwendać się po centrum. Ojciec nie chce się pokazywać w turystycznych miejscach. A babka jest aspołeczna, nie nadaje się na takie wypadki – zachichotał Shane.

Udałam, że się namyślałam.

– Okej, jasne – odparłam po chwili, a cała ekscytacja sprzed paru godzin ponownie zaczęła się we mnie przebudzać.

– Okej – westchnął. Zgadywałam, że miał jeszcze nadzieję, że będę wołała zostać w domu. – Zarezerwuję nam stół w jakiejś restauracji z tapas. To takie hiszpańskie przekąski. Musisz spróbować papryczek padrón, są serio odjebane.

Shane rzeczywiście zajął się rezerwacją, a ja zaczęłam się szykować do wyjścia. Perspektywa bycia na mieście prawie nocą mnie podniecała, no bo przecież zwykle nie miałam do tego okazji.

Było ciepło, o wiele cieplej niż wczoraj, bo wiatr nie był taki nieznośny, a właściwie to teraz już zupełnie zaniknął. Pokierowałam się tym przy wyborze garderoby i padło na białą bluzkę z rękawem trzy czwarte i z płytkim dekoltem w serek. Była przykrótkawa, ale dobrałam do niej czarną spódnicę, której wysoki stan stykał się z brzegiem bluzki, skrywając moją nagą skórę, co miało braciom oszczędzić ataków serca. Spódnica sięgała mi tuż przed kostki, a jej wielką zaletą było długie rozcięcie ciągnące się aż do górnej części mojego uda. Szczerze mówiąc, gdy ją zamawiałam, na zdjęciach nie było ono w ogóle widoczne. Nie miałam jej gdzie założyć, ale z jakiegoś powodu wrzuciłam ją do walizki, gdy się pakowałam. Gdy stałam nieruchomo albo trzymałam materiał w odpowiednim miejscu, to moje nogi były całkowicie zasłonięte.

Włosy umyłam, wysuszyłam i rozpuściłam, a na uszy założyłam te wiszące kolczyki z diamentkami, które dostałam na wydarzeniu charytatywnym fundacji, tym samym, na którym innym podarunkiem okazały się śmiercionośne perfumy. Na nogi natomiast wsunęłam białe tenisówki i gdy nadszedł czas, zeszłam na dół, ciągle pilnując, by rozcięcie w spódnicy się nie poszerzało. Nie było ono niesmaczne, wręcz

przeciwnie, prezentowało się świetnie, ale wołałam nie ryzykować. Planowałam przestać się kryć, dopiero gdy będziemy już w centrum i będzie za późno, by wrócić i się przebrać.

– Hej! Popatrz na siebie, królewno – zawołał ojciec, gdy moja noga stanęła w salonie, a jego wzrok padł na mnie.

Przez chwilę wydawało mi się, że mówi to z wyrzutem, ale tak naprawdę był to szczerzy zachwyt, taki, jaki tylko mógł poczuć kochający ojciec na widok córki. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

Przycupnęłam obok niego na oparciu ogromnego fotela, a on jedną ręką objął mnie w pasie. Oczy przeniósł z powrotem na telewizor. Razem z Bennym coś tam oglądali. Benny siedział na narożniku, odpoczywając po całym dniu ciężkiej, acz przyjemnej dla niego pracy w ogrodzie. Blanche natomiast znajdowała się w drugiej części salonu i kręciła się wokół stołu bilardowego.

Zapatrzyłam się na nią, marszcząc z zainteresowaniem brwi. Kobieta naprawdę grała w bilard. Nie wiedziałam, na jakich zasadach, ale wyglądało to naprawdę profesjonalnie. Z fascynacją obserwowałam, jak delikatnie maca bile, by bez poruszenia ich poznać ich lokalizację. Zakodowałam sobie w głowie, by zapytać ją albo kogoś, jak ona je rozróżnia...

Zapomniałam o bilardzie, gdy do salonu wszedł odpicowany Tony.

Czarna koszulka zwisała mu luźno, a jej rękawy były tak workowate, że również mogłyby uchodzić za takie o długości trzy czwarte. Od niej i równie czarnych spodni wyraźnie odznaczały się kremowe buty sportowe z jakimiś pomarańczowymi znaczkami. Na szyi błyszczał łańcuszek, zgrabnie schowany pod koszulką tak, że widoczna była tylko niewielka jego część. Za uchem już w gotowości siedział wciśnięty papieros, a w swojej wytatuowanej ręce Tony trzymał zapalniczkę. Obrzucił mnie spojrzeniem od góry do dołu, a ja zacisnęłam palce mocniej na rozcięciu, tak na wszelki wypadek.

– Chodź – mruknął do mnie, a ja od razu wstałam, odsuwając się od taty, który odchrząknął i machnął na Tony'ego, żeby do niego podszedł.

– No rusz się – warknął groźnie Cam, gdy zobaczył, jak jego syn przewraca oczami. Potem zerknął na mnie i powiedział o wiele łagodniej: – Poczekaj na nich na zewnątrz, Hailie, dobrze?

Skinęłam grzecznie głową, szczęśliwa, że to nie ja muszę wysłuchiwać kazania od ojca. Posłusznie wyszłam na ganek i stanęłam przy poręczy, gapiąc się w granatowe niebo rozjaśnione pięknym księżycem, przypominającym świeżo upieczoną, idealnie okrągłą, pożółkłą bułeczkę.

Cokolwiek Cam miał do przekazania, szybko się uwinął, bo zaraz tuż przy mnie pojawił się Tony, a po niecałej minucie dołączył też Shane.

Shane poczochnął sobie włosy jeszcze bardziej niż zwykle. Wypikał się dobrą, mocną męską wodą kolońską, ale udało mu się nie przekroczyć granicy dobrego smaku. Miał na sobie koszulkę w kolorze zgniłej zieleni, z jakimś małym znaczkiem po lewej stronie, który chyba powinnam w końcu zacząć rozpoznawać. Miał też ciemnoszare, długie spodnie i białe buty.

Uszczypnął mnie w bok, na co ja uderzyłam go niedbale w pierś i skierowaliśmy się za Tonym do taksówki, która już na nas czekała kawalek dalej na drodze, tuż za autem Benny'ego. Nie zwróciłam na nią wcześniej uwagi, bo była schowana, z zupełnie wyłączonymi światłami. Tony od razu włądował się na miejsce obok kierowcy, a ja i Shane wcisnęliśmy się do tyłu.

Wiedziałam, że bliźniacy mówią całkiem nieźle po hiszpańsku, ale tej nocy miałam prawdziwy pokaz ich umiejętności, bo ze wszystkimi potrafili się dogadać. A to w taksówce, a to w restauracji, w której usiedliśmy.

Wybrali ją moi bracia i naprawdę pozytywnie mnie zaskoczyła. Nie był to jakiś wymuskany budynek z kolumnami, wymyślnymi żyrandolami, nie serwowano tu homarów w muślinowym sosie czy innych dziwactw, kelnerzy nie chodzili pod muszką, a klienci nie byli nadąsanymi bogaczami. Wręcz przeciwnie – malutkie stoliki stały jeden przy drugim, na krzeselkach zaś siedziało się niezbyt wygodnie, choć nikogo nie mogło to mniej obchodzić. Dania w menu nie były zbyt drogie, a goście to głównie lokalsi i studenci.

Tony i Shane ustalali między sobą, co zamówić, a ślinka aż ciekła im na samą myśl o nadchodzącej uczcie. Wkrótce podszedł do nas kelner. Zerkąłem na bliźniaków, ciekawa, co mi proponują. Nie ciągnęło mnie przesadnie do alkoholu, ale nie mogłam się oprzeć możliwości napicia się z braćmi. W końcu poczułabym smak równości między nami, nawet jeśli udawanej.

Shane podrapał się po głowie, Tony westchnął, po czym obaj spojrzeli na mnie.

– Chcesz jakieś wino? – zapytał ten pierwszy, ale zabrzmiał, jakby ktoś wmusił w niego te słowa. Od razu podniósł palec w moją stronę. – Tylko kieliszek.

Otworzyłam szerzej oczy, niby to zaskoczona, i uśmiechnęłam się przymilnie, nieśmiało wzruszając ramionami.

– Coś słodkiego.

Shane zacisnął wargi i zagadał do kelnera o rekomendację, jednocześnie patrząc w kartę. Wreszcie zamówili mi coś o nazwie sangria. Podobno to wino zmieszane z... czymś tam. Jakiś typowo hiszpański napój. Świetnie się składało.

Pięć minut później na stole znalazły się dwa kufle piwa dla bliźniaków oraz pusty, pękaty kieliszek przede mną, obok którego zaraz dostawiono wysoki dzbanek pełen czerwonego napoju. Pływało w nim mnóstwo kostek lodu oraz pokrojonych w plasterki owoców takich jak pomarańcza, limonka czy zielone jabłko. Do środka wetknięto drewnianą łyżeczkę.

Uniosłam brwi na ten widok.

Okazało się, że gdy kelner zapytał, czy podać tylko kieliszek sangrii, czy może cały dzbanek, Shane przypadkowo zgodził się na to drugie. Hm, może jego hiszpański nie był aż tak dobry, jak mi się wydawało.

– Nieważne, po prostu wypijesz kieliszek, a resztę się zostawi albo my się tym zajmiemy – zdecydował Shane zmęczonym głosem.

– Ja tego nie ruszę, przecież to w chuj słodkie – zaprotestował Tony, patrząc z niechęcią na trunek, który Shane wlał mi do kieliszka.

Trochę mi go pożałował, a nawet bardzo, bo ledwo napełnił naczynie do połowy. Od razu się na to poskarżyłam i Shane wreszcie obiecał mi dolać go odrobinę więcej, gdy już wypiję to, co mam.

No i jak już można się domyślić, ostatecznie wyłopałam cały dzban.

37

ŻYJĄCA W ZŁOTEJ KLATCE HAILIE MONET

Sangria absolutnie trafiła w moje gusta.

Smak miała słodki i piło się ją jak oranżadę. Jej chłód skutecznie gasił moje pragnienie, jednocześnie je podsycając. Brałam maleńkie łyki, ale bardzo częste. Śmiałam się i rozmawiałam z chłopakami, którzy sami poili się piwem i którym nastroje także się polepszały. Opowiadali mi o tym miejscu, o tym, jak spędzali tutaj różne wakacje czy święta. Blanche zamieszkiwała Wyspy już od bardzo dawna. Chłopcy mieli więc z tym miejscem wiele wspomnień. Dlatego też znali tę restaurację.

Moi bracia zamówili tak dużo jedzenia, że talerze ledwo się mieściły. Mój dzbanek z sangrią został odstawiony na parapet. Na stole natomiast zagościły patatas bravas, czyli ziemniaczki z czerwonym, pikantnym sosem, krążki z kalmarów w panierce, zielone papryczki smażone na oliwie w soli, chlebki z jajeczno-ziemniaczną tortillą, minigrzanki z jakąś pomidorową pastą, małe w dziwnym, zielonkawym sosie, wielkie, czarne oliwki z pestkami o niezwykle intensywnym smaku, plastry bakłażana polane miodowym sosem, bardzo słone anchois, chrupiące sardynki oraz smażone na maśle krewetki.

Choć zwykle z rezerwą podchodziłam do nowych smaków, tak teraz dałam ponieść się szaleństwu, za co dożgonnie wdzięczne było moje podniebienie.

Dolałam sobie wina, gdy Shane poszedł do łazienki, a Tony zagapił się na telefon. Również, gdy Tony wyszedł zapalić, a Shane wołał kelnera, by domówić więcej ziemniaków. Potem, kiedy obaj zaczęli gorąco dyskutować na jakiś temat, prawie się sprzecząc, i nie zwracali na mnie uwagi. Aż wreszcie nie zostało w nim prawie nic oprócz zabarwionej na różowo wody po stopniałych kostkach lodu.

– Ej, co do... Co się stało z winem? – zapytał Shane i mrużąc oczy, złapał za dzbanek i przechylił go, by zająrzeć do środka, mimo iż przecież był przeźroczysty.

Zagryzłam wargi, by nie wymknął mi się radosny chichot, którym miałam ogromną ochotę wybuchnąć. Tony patrzył na mnie podejrzliwie i nagle otworzył szerzej oczy i walnął się w czoło.

– Wychłata wszystko – zrozumiał i pokręcił z niedowierzaniem głową, zaśmiał się krótko pod nosem, a potem pchnął Shane’a w ramię. – Miałeś jej pilnować, zjebie.

– Naprawdę? – dopytywał się drugi bliźniak, skupiając się na mnie z powagą, choć mimochodem oddał też kuksańca Tony’emu.

– Nie – odpowiadałam psotnie.

– Ona jest nawalona – ocenił Tony, patrząc na moje drżące kąciki ust.

– Dolewałaś sobie tego do kieliszka, gdy nie patrzyliśmy?

– Patrzyliście, ale nie widzieliście – oznajmiłam wyniośle, niczym mówca na piedestale i już wiedziałam, a także bracia wiedzieli, że sangria uderzyła mi do głowy mocniej, niż przypuszczali.

Shane ukrył twarz w dłoniach, a Tony gapił się na mnie z uniesionymi brwiami i lekko rozbawioną miną. W zamian wyszczerzyłam się do niego serdecznie.

Wyciągnęłam rękę do dzbanka, by wyjąć sobie z niego plasterek jabłka. Bardzo smakowały mi te pływające tam owoce. Zdążyły pysznie nasiąknąć całym napojem i zjadałam się nimi bez opamiętania. Niestety, w połowie drogi moją dłoń pacnął Shane.

-Wystarczy ci już, co? – upomniął mnie, próbując chociaż brzmieć groźnie, po czym zerknął na Tony'ego. – Chyba lepiej wrócić do domu.

Słyszając te słowa, wygięłam usta w podkówkę, zmarszczyłam czoło i spojrzałam na braci błagalnie.

– Nie! Obiecaliście mi tańce. To nie fair, nie chcę wracać. Czuję się wyśmienicie.

Nieświadomie walnęłam pięścią w stół. Aż podskoczyły sztucce i talerze, ale w restauracji było teraz już tak głośno, że nikt nie zwrócił na to uwagi. Tłumy były ogromne, a moje upojone alkoholem zmysły doskonale ignorowały cały ten harmider.

– Ta, i co powiesz tacie? Że pozwoliłaś jej się nawalić i musieliśmy wrócić? – zapytał powątpiewająco Tony.

– No a co? Przecież ona jest pijana. Gdzie mamy z nią iść w takim stanie?

– Dżizas, Shane, nie jestem pijana. Wyluzuj – westchnęłam głośno.

– Zabierzemy ją gdzieś, gdzie wytańczy alkohol. Zmęczy się, pójdzie spać, a jutro rano obudzi się i powie tacie, że było fajnie. Proste.

– Tak, Tony, chodźmy potańczyć! – zawołałam ochoczo.

On spojrzał na mnie z politowaniem.

– Najpierw pokaż, że potrafisz ustać na nogach.

Natychmiast wstałam i zerknęłam na niego triumfalnie, tylko dyskretnie przytrzymując się stołu. Rany, chyba faktycznie trochę mnie złapało. Był to jednak przyjemny stan.

Nawet nie wiem, czemu tak bardzo ekscytowałam się tym tańcem, przecież nie wiedziałam, jak to jest iść w tłum ludzi i oddać się muzyce. Nie potrafiłam tego, nie miałam doświadczenia. Tańczyłam kiedyś taniec towarzyski, gdy byłam bardzo mała, ale nie podobało mi się, bo chłopiec, którego przydzielono mi jako partnera, dużo dłużej w nosie. Tak bardzo mnie to obrzydzało, że wkrótce zrezygnowałam.

Shane zapłacił za nasze jedzenie, a w tym czasie ja wyszłam z Tonym na zewnątrz. Stanęliśmy na dworze, gdzie chłonęłam widoki miasta o tak późnej porze. Byliśmy na głównej promenadzie, która ciągnęła się wzdłuż plaży, za dnia pewnie złotej, pięknej i szerokiej, ale teraz wraz z oceanem tworzyła tylko jedną, wielką, czarną otchłań.

Po chodniku przemykały grupki młodych chłopaków, roześmianych i z butelkami, w których mieszał się zapewne alkohol. Były też wystrojone dziewczyny. Niektóre prezentowały się tak jak ja, czyli w tenisówkach i na luzie, ale znalazły się też takie, które założyły wysokie obcasy i obcisłe, krótkie sukienki, a eyeliner na powiekach ciągnął im się po same skronie.

Bliźniacy zabrali mnie, zgodnie z obietnicą, do baru. Minęliśmy po drodze kilka ciekawie wyglądających lokalów, ale w każdym im coś nie odpowiadało. Pod niektórymi z nich ustawiały się długie kolejki. Wreszcie weszliśmy do jednego, w którym było już całkiem sporo osób, a niektóre z nich coraz śmielej kiwały się w rytm muzyki. Tony twierdził, że to tylko kwestia czasu, jak mały parkiet pośrodku będzie pełny.

Stanęliśmy przy barze, za którym ciągnął się rząd poustawianych równo butelek alkoholu. Uwijali się tam trzej barmani. Światła tu w środku były przyciemnione, a kilka dużych głośników, z których leciała głośna muzyka, poustawianych było po kątach.

Staralam się sprawiać wrażenie obeznanej, nie tyle przed moimi braćmi, którzy przecież wiedzieli, że nie byłam wcześniej w takim miejscu, ile przed pozostałymi obecnymi tu ludźmi, z których każdy sprawiał wrażenie, jakby przychodził tu codziennie. Musiałam znowu być najmłodsza w towarzystwie. Cieszyłam się, że wypitałam całą sangrię, ponieważ inaczej na pewno czaiłabym się nieśmiało pod ścianą. A tak to co chwilę coś ścirowałam ku irytacji, ale też rozbawieniu bliźniaków.

Nie było tu wielu miejsc do siedzenia. Wszelkie nieliczne stoliki poustawiane w lożach naprzeciwko baru były zajęte, i to zapewne już od dawna. Jedynie wysokie stołki przy barze zwalniały się co jakiś czas. W pewnym momencie Shane wyhaczył jeden z nich i mi go zaproponował, gdy po raz setny zakłósałam się lekko.

Bracia stanęli po obydwóch moich stronach, niczym rycerze w lśniących, markowych zbrojach, a ja oparłam się plecami o blat. Machając nogami, obserwowałam, jak imprezowicze powoli zaczynają wypływać na parkiet.

– Co normalnie robicie na takich imprezach? – zapytałam braci, powoli nudząc się ich towarzystwem.

– Nie pilnujemy małych dzieci – odparł Tony i wziął łyk piwa.

– Aaa, zamiast tego puszczacie się z losowymi dziewczynami?

Zachichotałam, gdy zobaczyłam jego minę.

– Nie mów tak, Hailie – upomniał mnie Shane.

Mocno zaciskał szczękę i nastroszyły mu się trochę brwi, więc żeby go wyluzować, uniosłam rękę i zarzuciłam ją na jego ramię.

– A jak mam mówić, hm? – zapytałam, zerkając z jednego brata na drugiego. – Jak mówię ładnie, to się ze mnie śmiejiesz, a jak brzydko, to się denerwujesz.

– W ogóle o tym nie mów.

Udałam smutną minę.

– Aw, co jest, Tony? Czujesz się niekomfortowo, jak wspominam o seksie?

Skrzywił się. Ha!

– Nie, ale po co paplać o czymś, o czym nie masz pojęcia, dziewczynko? – spytał.

Westchnęłam głośno i demonstracyjnie.

– A czyja to wina? To przez was będę wieczną dziewicą.

Obaj chłopcy zareagowali złośliwymi uśmiechami na te słowa. Jakiś facet stał obok Tony'ego i czekał, aż zostanie obsłużony przez barmana. Chyba słyszał nasze przekomarzanie, bo na koniec rzucił mi o wiele zbyt zainteresowane spojrzenie.

Zarumieniłam się, ale na szczęście po pijaku uczucie wstydu zniknęło tak szybko, jak się pojawiło. Obróciłam się zwinnie na siedzeniu i upiłam trochę piwa z butelki Tony'ego, którą odstawiał na bar.

Warknął na mnie i mi ją wyrwał. Trochę napoju się wylało, a ja się zaśmiałam, zlizując piankę z górnej wargi.

Nagle muzyka ucichła. DJ, który kilka chwil temu pojawił się na małej scenie niedaleko baru, rozłożył się ze swoim sprzętem i już zaraz rozbrzmiała muzyka o wiele głośniejsza, ściągająca uwagę wszystkich. Już pierwsze dźwięki latynoskich hitów zachęciły mnóstwo osób do wkroczenia na parkiet. Ja również zaczęłam się nieśmiało kiwać w rytm muzyki. Shane to dostrzegł, bo skinął głową na parkiet, rzucając mi łobuzerski uśmiech.

– Chcesz zatańczyć?

Pokiwałam ochoczo głową i zeskoczyłam ze stołka. Shane wprowadził mnie na sam środek parkietu, między pijanych, ale szczęśliwych ludzi. Jako niezbyt wybitna tancerka kilkakrotnie nadepnęłam mu na but, raz prawie wpadłam na jakiegoś wysokiego chłopaka, ale Shane w porę mnie złapał, a jeszcze potem obilałam się o jego klatkę piersiową, gdy obrócił mną zbyt szybko. Nie przejmowałam się tym, bo bawiłam się świetnie. Poza tym może i w tłumie ci ludzie zdawali się tańczyć całkiem nieźle, ale jakby przyjrzeć się im z osobna, to niemal każdy ruszał się pokracznie.

I to było w tym wszystkim piękne.

Kolejna piosenka. I jeszcze jedna. Same reggae tony. DJ wołał coś o robieniu hałasu i jakieś „olé”. A ludzie krzyczeli razem z nim. Zaczynało to zakrawać o istne szaleństwo, ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Wszyscy dobrze się bawili, przybywało coraz więcej osób.

– Olé! – wydarłam się nagle razem z innymi, wyciągając ręce do góry.

Zadziwiłam nawet Shane'a, który stanął na chwilę jak wryty.

A gdy puścili utwór Gasolina, myślałam, że wyskoczę z siebie. Krzyczałam tak głośno, że czułam, jak moje gardło się zdziera. Shane szerzył się do mnie szeroko. Cały parkiet bujał się w rytm muzyki, zrobiło się gorąco, prawie nie dało się oddychać. Unosił się zapach potu, zmieszanych perfum i alkoholu.

Shane nie dawał mi odejść nawet na krok, a gdy ktoś zbyt natrętnie się przepychał, to wtedy odciągał mnie na bok i sam szarpał tą osobą, by się uspokoiła. Jednak poza takimi momentami zabawa była naprawdę kulturalna.

– Hej! Pękła ci spódnica! – zawołał do mnie brat w pewnym momencie, a ja musiałam nadstawić ucha, by wyłapać, co powiedział.

Zerknęłam w dół. Gdy tańczyłam, jedna z moich nóg była praktycznie naga i na wierzchu. Nie wspominając o bluzce, która się podwijała i pokazywała kawałeczek gołych pleców.

Zaśmiałam się głośno i perliście, zarzucając ręce na szyję Shane'a, który obserwował mnie z ogłupiałą miną.

– Nieładnie, mała dziewczynko – burknął do mojego ucha, a ja wyszczerzyłam się jeszcze szerzej.

Już chciałam mu coś odpowiedzieć, ale poczułam szturchnięcie i się odwróciłam. Ktoś na mnie wpadł, jakaś dziewczyna. Bardzo wysoka blondynka, może nawet wyższa od Shane'a. Trzymała w ręku szklankę z jakimś pomarańczowym napojem. To na pewno jakiś drink i na pewno z dużą ilością alkoholu, sądząc po jej pijanych oczach i zaczerwienionej twarzy, z której pot zmył większość makijażu.

– Och, sorry! – zawołała do mnie, a ja poczułam, jak ramię Shane'a opiekuńczo zaciska się w moim pasie.

– Nie szkodzi!

– Nawaliłam się – wyznała dziewczyna, a ja zachichotałam.

– Też nie szkodzi.

– Bardzo mło- do wyglądasz. Jesztesz studentką z wymiany? – zapytała, a ja dopiero rozpoznałam, że mówi z jakimś nieznanym mi akcentem. Pijacki sposób, w jaki formułowała słowa, też nie ułatwiał sprawy.

Pokiwałam głową, unikając spojrzenia Shane'a. Przecież nie powiem jej, że mam szesnaście lat i chodzę do liceum.

– Skąd jesteś? – zapytała.

– Ze Stanów.

– Wow, zaje- biście! Ja z Holandii. Ej dobra, stara, muszę lecieć. Jeszcze się na pewno zobaczymy. Adiós! – pożegnała się dziewczyna, której imienia nie zdążyłam poznać.

Faktycznie jeszcze się tej nocy zobaczyłyśmy. Poczęstowała mnie jednym z szotów tequili, którymi dzieliła się razem z innymi studentami.

Właśnie schodziłam z parkietu i wracałam w miejsce, gdzie zostawiliśmy Tony'ego. Zajmował mój stółek i flirtował z jakąś dziewczyną, a obok Holenderka kupowała alkohol i jak tylko mnie zobaczyła, wcisnęła mi w rękę małego kieliszek, którym się ze mną stuknęła.

-Ani mi się waź! – zawołał Shane, gdy dostrzegł, co się dzieje, a ja ze strachu przechyliłam go i natychmiast poczułam ogień w gardle. Jakbym połknęła palącą się świecę. Zaczęłam kaszleć, moja nowa koleżanka chichotała i biła mi brawo, a dłoń Shane'a zacisnęła się na moim ramieniu. Mocno.

– Co, do cholery? Hailie!

Przetarłam usta wierzchem dłoni i odwróciłam wzrok, by nie musieć patrzeć mu w oczy. Zamiast tego zaczęłam rozglądać się za swoją oranżadą.

– Co z nią? – zapytał Tony, odchylając się na chwilę od dziewczyny, z którą rozmawiał.

– Wypiła szota!

– Czego?

– Tequila, bejbi! – zawołała Holenderka, minawszy nas, by zniknąć znowu w tłumie. Po drodze zerknęła przelotnie na moich braci. – O kurwa! Jesteście klonami!

I już jej nie było.

– Ja pierdolę, no przecież nie wytrzeźwiejesz, jak się będziesz poić alkoholem. Zwłaszcza szotami. Zwłaszcza tequilą – powiedział do mnie Tony.

– Ale to było tak mały – zaprotestowałam i pokazałam palcem wskazującym i kciukiem, ile dokładnie to było moim zdaniem. Wtedy też zorientowałam się, że trochę zaczął mi się plątać język, więc ugryzłam się w niego lekko.

– Chodźmy stąd już lepiej. Trudno ją upilnować.

– Nie! – zawołałam i prawdziwy strach zawładnął moim ciałem. Zaczęłam kręcić głową i zrobiłam krok do tyłu.

– Tak, małe dziewczynki już dawno śpią – rzucił Shane.

Chyba był mną poirytowany.

Tym bardziej nie miałam nic do stracenia. Odwróciłam się i dałam nura w gęsty tłum ludzi. Ledwo usłyszałam, jak bliźniacy za mną wołają, tak głośno było. Na dodatek szumiało mi w głowie. Resztki zdrowego rozsądku powstrzymały mnie przed opuszczeniem lokalu, a może po prostu za dobrze się tu bawiłam, by to zrobić. Lawirując wśród tańczących, uciekłam pod samą scenę, gdzie stał DJ.

Kątem oka dostrzegłam Tony'ego, który stał w środku i rozglądał się, więc pochylając się, ruszyłam wzdłuż podwyższenia z powrotem w stronę baru. Skupiając się na tej bardzo ważnej dla mnie misji, uderzyłam głową w udo jakiegoś studenta.

– Sorry! – wyszeptałam, czego na pewno nie usłyszał.

Przy barze się wyprostowałam. Nie widziałam w pobliżu chłopaków, ale zobaczyłam za to dziewczynę, z którą rozmawiał wcześniej Tony. Patrzyła na mnie dziwnie. Szepnęła coś znajomej na ucho. Pewnie mnie obgadywała. Już miałam jej coś powiedzieć, gdy ktoś znowu szturchnął mnie w ramię. Jakiś mężczyzna właśnie stawał na stołku barowym, żeby włączyć się na blat. Stojący najbliżej ludzie szybko się nim zainteresowali i zaczęli go dopingować. Znikąd pojawiła się też pijana Holenderka. To musiał być jej znajomy, bo coś do niego krzyczała w swoim języku. Nagle na blat wskoczył jeszcze jeden chłopak, o wiele zwinniej niż ten poprzedni i przybili sobie piątkę.

Barmani chyba w ogóle nie przejmowali się, gdy chłopcy wciągnęli na bar Holenderkę. Ledwo potrafiła ustać już teraz na nogach, ale dla widowni, której było coraz więcej, zrobiła powolny, seksowny przysiad, po czym poderwała się do góry i puściła buziaka w eter.

Śmiałam się głośno, przez chwilę zapominając o ścigających mnie braciach. Dziewczyna zerknęła w dół i mnie rozpoznała. Zanim się zorientowałam, wraz z pomocą towarzyszącego jej kolegi, dźwignęli mnie na górę.

Odwróciłam się oszołomiona. Głośna muzyka, śpiewy, klaskanie. Zakręciło mi się w głowie. Nie przeszkadzał mi nawet lepki blat, do którego kleiły się moje tenisówki. Poniżej znajdowało się morze ludzi, każdy ruszał się, coś mówił albo po prostu błędził we własnym świecie.

– Ale wysoko! – zawołałam, choć i tak nikt mnie nie zrozumiał. Powoli zniknęła z mojej twarzy zagubiona mina i z powrotem gościł na niej uśmiech.

Zaczęłam wczuwać się w muzykę. Holenderka nagle wpadła mi w ramiona, a ja z zaskoczenia zarzuciłam na jej biodro swoją odkrytą nogę i odchyliłam głowę, zanosząc się śmiechem.

– Stara, kocham cię! – zawołała dziewczyna, a zanim ja zdążyłam odwzajemnić jej uczucie, poczułam szarpnięcie na wysokości kolan i pisnęłam głośno, gdy Tony, podpierając się stołką, ze zdeterminowaną miną ściągał mnie z baru.

Przez chwilę spanikowałam, bo straciłam równowagę i leciałam, ale wylądowałam przerzucona przez ramię brata, najpierw zaciskając mocno pięści na jego koszulce, by się ustabilizować, a potem szamocząc się, by mnie puścić.

– Tonyyy! Nie psuj zabawy! – zawylałam, z żalem patrząc, jak oddalamy się od baru, na który już wciągano kolejną osobę.

Aż zachłysnęłam się świeżym powietrzem, gdy znaleźliśmy się na zewnątrz. Cisza zdawała mi się wręcz nienaturalna. Zaczęłam szarpać się jeszcze bardziej i tutaj moje krzyki były już bardzo dobrze słyszalne, więc Tony wreszcie postawił mnie przed sobą.

Najpierw odzyskałam równowagę i przymknęłam powieki, by nie zwymiotować od tych gwałtownych ruchów. Otworzyłam oczy z powrotem dopiero po chwili, żeby wbić świdrujące spojrzenie w swojego brata.

– Jaki masz problem? – zawołałam, podpierając się dla efektu pod boki.

Tony prychnął. Widocznie nie był w nastroju na moje popisy.

– Ja mam problem? Może opowiesz nam o swoim? – warknął. – Co to miało być? Ucieczka, tańce na barze? Coś ci się pomyliło, dziewczyneczko, to nie jest, kurwa, plac zabaw.

– Jesteś zły, bo ja się dobrze bawiłam, a ty nudziłeś – wytknęłam mu i położyłam palce w kącikach jego ust, żeby ściągnąć je w dół i podkreślić, jak wielkim jest smutasem.

Natychmiast odtrącił moje ręce.

– Miałeś rację, trzeba było od razu wracać do domu – burknął do Shane'a.

Och, on też tutaj był. Stał obok i także nie wyglądał na zadowolonego.

Coś mnie tknęło i obrzuciłam ich dwóch wściekłym spojrzeniem.

– Jesteście okropni! Było tak fajnie, a wy oczywiście musicie wszystko zniszczyć!

Staliśmy teraz na promenadzie – wystarczająco szerokiej, by pomieścić nasz spektakl oraz przechodzących ludzi.

– Hailie, upiłaś się, a potem zaczęłaś tylko coraz bardziej przeginać – powiedział do mnie Shane podniesionym głosem. – Nie jesteś jedną z nich. Nie jesteś studentką na wymianie. Dwa dni temu skończyłaś szesnaście lat. Miałaś zjeść z nami kolację, potańczyć i wrócić do domu, nie chlać tequilę i odwalać show na barze.

Zacisnęłam usta i popatrzyłam w dół. Chciałam na niego nawrzeszczyć, ale zabrakło mi słów. Przypomniałam sobie, że jestem tylko żyjącą w złotej klatce Hailie Monet, której granice są stawiane na każdym kroku.

Oczy mi się zaszklily i tym bardziej nie chciałam ich unosić, ale gdy Shane znowu przemówił, brzmiał o wiele łagodniej.

– To jeszcze nie twój czas – mruknął i chciał otoczyć mnie ramieniem, ale od niego odskoczyłam.

– I ty to mówisz? Jesteś niewiele starszy ode mnie – wytknęłam i zerknęłam też na Tony'ego. – I też nie jesteście jeszcze studentami. A imprezujecie cały czas! Cały czas!

Przewrócili oczami w tym samym czasie, co uznałabym za zabawne, gdybym nie była tak wkurzona.

– A widziałaś, ilu typów śliniło się do ciebie? – warknął Tony.

– I co, do was też śliniła się tam zdecydowana większość dziewczyn! – odpyskowałam, wskazując dłonią na bar.

Tony zrobił krok w moją stronę.

– Myślisz, że jakbyś wpadła na co niektórych z tych kolesi po pijaku, to okryliby cię kocykiem i podłożyli poduszkę pod głowę, żeby ci się dobrze spało? Co ty, nie masz wyobraźni?!

– To, że niektórzy faceci nie potrafią utrzymać fiuta w majtkach, to nie mój problem!!!

– Nie, ale dopóki nie zrozumiesz, że istnieją popaprańcy, którzy nie pytają dziewczyn o zgodę, tylko biorą sobie od nich to, na co mają ochotę, w dupie mając ich protesty, to sam, kurwa, zrobię wszystko, żeby cię więcej nie puszczono na żadną imprezę!

Walczyłam z Tonym na spojrzenia, trzęsąc się ze złości.

– Świetnie, tak, Tony! Zamknij mnie najlepiej w lochu do końca życia, nie robi mi to żadnej różnicy!

On wzniosł swoje jasne oczy do ciemnego nieba, jakby szukał tam wsparcia, a Shane przejął pałeczkę.

– Hailie, wyluzuj, Tony chce przekazać ci, że imprezowanie jest bardziej niebezpieczne dla dziewczyn niż dla chłopaków. My – tutaj wskazał na siebie i brata – co najwyżej dostaniemy w mordę. Tobie może stać się coś o wiele gorszego. Nie lekceważ tego. Bądź świadoma zagrożeń.

Byłam świadoma i rozumiałam, o co chodziło moim braciom. Normalnie nie ciągnęłabym tego tematu, ale alkohol był jak diabeł, który siedział mi na ramieniu i szeptał do ucha.

Chłopcy patrzyli na mnie uważnie, by poznać po mojej minie, czy zdołali do mnie dotrzeć, a ja odwzajemniłam spojrzenie i nagle czknęłam głośno. Natychmiast przykryłam usta dłońmi i się zarumieniłam.

Shane zaczął się śmiać, a nawet Tony, mimo iż był bardziej wkurzony niż jego bliźniak, też się kpiąco uśmiechnął. Właśnie za to go pchnęłam.

– Spadaj – mruknęłam. – I jakbyś chciał wiedzieć, to potrafię o siebie zadbać. Uczę się samoobrony, pamiętasz?

Nie zrobiłam na nim wrażenia, bo tylko pokręcił głową, nie dowierzając, że wciąż mam siłę i czelność na arogancję.

– Tak? – zapytał złowieszczo. – A pokazać ci, jak bardzo nie potrafisz się obronić w stanie takim, w jakim jesteś teraz?

Zrobił kilka kroków naprzód, tak że prawie się ze sobą stykaliśmy. Odparłam mój pierwszy odruch, żeby się przed nim cofnąć, i stałam dzielnie, zadzierając tylko głowę coraz wyżej. Wiedziałam, że jakby spróbował zrobić cokolwiek, tobym sobie z nim nie poradziła, bo mój refleks w tej chwili smacznie sobie drzemał.

Dlatego zrobiłam jedyną rzecz, która mogła uratować mnie w tej sytuacji. Wybuchnęłam szczerym, głośnym śmiechem. Pokazałam w nim prawie wszystkie zęby, a moje radosne oczy błyszczały tak bardzo, że najwyraźniej zdołały zmiękczyć kamienne serce Tony'ego, bo uśmiechnął się lekko, tym razem pobłażliwiej, i pokręcił głową, mówiąc:

– Wracamy do domu, bo nie wytrzymam z nią, przysięgam.

NUDNA NASTOLATKA

Bliźniacy nalegali, żeby nie łąpać od razu taksówki, tylko przejść się najpierw kawałek promenadą. Ich zdaniem świeże powietrze miało dobrze mi zrobić. Jednocześnie denerwowali się na mnie, bo mój pijany krok bardzo spowalniał nasz spacer. Co chwilę zbaczałam z toru. Musiałam się pilnować, by nie płały mi się nogi, a kilka razy nawet nieświadomie zatrzymałam się, zapatrzona na coś, co akurat mijaliśmy.

A mijaliśmy mnóstwo ciekawych scen. Patrzyłam, jak pod kolorowymi klubami, z których docierały głośnie, wibrujące basy, ludzie ustawiali się w kolejki, próbując wyglądać na trzeźwych, żeby tylko groźni, napakowani bramkarze łaskawie ich wpuścili. Wiele osób wychodziło z czeluści tych lokali na zewnątrz, by zapalić papierosa albo po prostu ochłonać.

Mijaliśmy przyjaciół czy nieznajomych, którzy toczyli głębokie, zapijaczone rozmowy na różne filozoficzne tematy. Była też dziewczyna, tryskająca łzami jak fontanna, ogarnięta najgłębszą z rozpacz, pocieszana przez wianuszek koleżanek. Były pary, które się kłóciły, godziły, i takie, które pożerały sobie nawzajem twarze. Był facet, któremu nie pozwolono wnieść maleńkiej buteleczki wódki do lokalu, więc wypił ją na raz tuż przed wejściem, by się nie zmarnowała, po czym wściekł się, bo i tak go nie wpuszczono.

Od czasu do czasu też zerkalam w lewo, a tam ciągnęła się plaża. Jej widok fascynował mnie i przerażał jednocześnie. Czarny piach zlewał się z czarną wodą, która niczym nie odróżniała się od czarnego nieba. Nie zwykłam myśleć o plaży jak o mroku. W końcu na ogół to, co się z nią kojarzy, to słońce, błękit, złoto i rajskość.

Pamiętałam plażę nocą w Tajlandii, gdy parę razy zasiedzieliśmy się na niej do późna, ale jej czerń tam nie dziwiła mnie tak bardzo, bo nie była skonstrastowana z pełną życia, tłumów i kolorowych świateł promenadą tak jak tutaj.

Pogrążona w rozmyśleniach, nagle przykryłam usta dłonią i poczułam, jak się pocę. Uniosłam wzrok na braci, którzy wyprzedzili mnie na kilka kroków, zanim pojęli, że się zatrzymałam. Odwrócili się i już wiedzieli, o co chodzi.

– Chyba mi niedobrze – wymamrotałam przez palce.

Tony przymknął powieki, a Shane cofnął się po mnie, złapał pod ramię i poprowadził na bok, żebym usiadła na niskim murku, który oddzielał chodnik od plaży. Posłusznie się na niego osunęłam i zgodnie z dalszymi instrukcjami włożyłam sobie głowę między nogi, biorąc głębokie wdechy.

Chwilę to trwało i wreszcie poczułam, że prawie zaczynam odpływać, więc zmusiłam się, by otworzyć oczy i unieść wzrok. Tony stał obok mnie niczym strażnik. Brakowało mu tylko włóczni na plecach. Jedną rękę trzymał w kieszeni, a w drugiej tradycyjnie papierosa. Obserwował ze spokojem mijających nas ludzi i leniwie przeniósł na mnie wzrok, gdy poczuł, jak ciągnę go za spodnie.

– Gdzie Shane? – zapytałam słabo.

– Zaraz wróci – odburknął. Patrzył na mnie z góry i nie wyglądał, jakby mi jakoś specjalnie współczuł.

– Chcę do domu.

– Zaraz wróci – powtórzył dobitniej.

Z żalonym westchnięciem ponownie schowałam twarz między kolana, próbując zrozumieć, dlaczego chwilę temu jeszcze miałam ochotę wywijać na barze, gdzie nie przeszkadzały mi ani wysokości, ani duchota, a teraz nagle nie mogłam usiedzieć w miejscu bez uniknięcia zawrotów głowy.

Minutę, dwie albo dziesięć później do mojego nieobecnego umysłu wdarły się dźwięki znajomych głosów bliźniaków. Właśnie wrócił Shane. Skarżył się na długą kolejkę. Pytał, jak się czuję. Nie uniosłabym znowu głowy tylko po to, by go powitać, ale zapach jedzenia sprawił, że ona sama wystrzeliła do góry.

Shane trzymał w rękach trzy zawinięte w sreberko tortille. Jedną z nich przejmował właśnie Tony, a ja wyciągnęłam ręce po swoją. Poczułam, że to jest to, czego mi teraz trzeba. Jak tylko ciepły naleśnik wylądował w moich dłoniach, odwinęłam folię i wgrzyłam się w niego, nawet nie próbując udawać, że jestem damą. Od razu umorusałam się czosnkowym sosem, którym polane było świeżo ścięte z rusztu mięso. Towarzyszył mu bukiet soczystych surówek. A wszystko to zawinięte w ciepłe, elastyczne ciasto tortilli. Mój żołądek niemal wył ze szczęścia, a ja byłam gotowa mu wtórować.

– Nie ma to jak poimprezowy kebs – westchnął z zadowoleniem Shane.

– Też mi impreza – prychnął cicho Tony, zlizując sos ze swojego kciuka.

Nie chciało mi się brać udziału w tej wymianie zdań, więc siedziałam cicho. Miałam jedzenie, więc byłam zadowolona. Co więcej, ono naprawdę zadziałało, bo nudności ustąpiły. Gdy wreszcie nie mogłam już wcisnąć w siebie ani grama, Shane dokończył moją porcję za mnie, w zamian częstując mnie zakupioną zapewne po drodze małą butelką wody. Przyssałam się do niej i zgodnie z poleceniem wypitałam prawie całą jej zawartość.

Najedzona i napojona, od razu poczułam się lepiej. Odzyskałam energię, za którą wciąż jednak odpowiadały procenty, mimo iż byłam święcie przekonana, że tak właściwie to już zaczęłam trzeźwieć. Błędny wniosek.

– Chodź, idziemy, postój taksówek jest tam, na końcu – powiedział do mnie Shane, gdy stał nade mną i zakręcał butelkę wody, którą mu właśnie oddałam.

Posłusznie wstałam, zakołysałam się i westchnęłam cicho zawiedziona brakiem kontroli nad własnym ciałem. Z napełnionym brzuchem byłam jeszcze wolniejsza. Próbowалам iść, ale albo złapał mnie mały skurcz, albo poczułam się tak strasznie zmęczona... Doszło do tego, że Tony po prostu stracił cierpliwość, podszedł do mnie i jednym szybkim ruchem podrzucił mnie sobie na plecy.

Mój zdezorientowany mózg potrzebował chwili, żeby ogarnąć sytuację. Przez sekundę nie mogłam się zdecydować, czy podobało mi się moje nowe położenie, czy nie, ale szybko dostrzegłam jego niepodważalne plusy. Nie przemęczałam się

i więcej uwagi mogłam poświęcić przyglądaniu się wszystkiemu wokół, gdy już nie musiałam kontrolować stawiania kroków.

Tony podtrzymywał moje nogi, a ja oplotałam ręce wokół jego szyi, oswajając się z jego tempem. Cieszyłam się, że ubrałam na ten wieczór długą spódnicę. Nie będę kłamać, nawet mi się spodobało bycie niesioną. Do czasu, aż zaczęłam się nudzić. Co jakiś czas cichutko wzdychałam pod nosem. Słyszałam, jak bliźniacy o czymś rozmawiają, ale nie miałam siły ani ochoty wytężyć słuchu, więc nadal odpływałam we własnych myślach.

Gapiałam się wciąż na przemykających, pijanych studentów, którzy zdawali się tej jednej nocy bawić lepiej niż ja przez całe życie. Siedzenie na plecach Tony'ego miało jedną podstawową wadę. Czułam się, jakbym została zaproszona na sytą ucztę, gdzie następnie nie pozwolono mi tknąć żadnej z potraw.

Westchnęłam i rzuciłam bezsensownie poirytowane spojrzenie tyłowi głowy mojego brata. Nikt go nie zauważył, ale ja dostrzegłam coś innego i zaalarmowana przechyliłam lekko głowę.

– Tony, Tony – zawołałam z przejęciem, klepiąc go w ramię i przerywając jego rozmowę z Shane'em. – Tony, słuchaj, to ważne.

– Co?

– Wiedziałaś, że masz tutaj pieprzyk?

Marszczyłam z uwagą brwi i wpatrywałam się w maleńką, ciemnobrązową kropkę na zewnętrznej stronie płatka jego ucha. Była ledwo widoczna, ale to na pewno musiał być pieprzyk. Wyciągnęłam rękę, by go dziabnąć tam palcem i pokazać dokładnie, o które miejsce mi chodzi, ale on potrząsnął głową, odganiając się ode mnie jak od muchy.

Zabrałam dłoń, niezadowolona z jego dziecinnego zachowania. Spojrzałam na drugiego brata, szczerze zainteresowana.

– Shane, a czy ty też masz taki sam?

– No jasne – parsknął i rzucił mi półuśmiech, patrząc na mnie jak na wariatkę. – Przecież jesteście bliźniakami.

Zamyślona, spojrzałam przed siebie. Jakaś spora grupka osób szła z naprzeciwka. Wszyscy zdawali się mieć wyśmienite nastroje. Przekrzykiwali się, a niektórzy trzymali w rękach różnego rodzaju napoje alkoholowe. Kilka obecnych tam dziewczyn rzuciło bliźniakom długie, zainteresowane spojrzenia, a niektóre nawet uśmiechały się zalotnie.

Chciałam krzyknąć, ostrzec je, żeby lepiej w ogóle na nich nie patrzyły, bo to diabły i najlepiej, żeby uciekały przed nimi gdzie popadnie, ale kiedy niezasłużenie oberwało mi się od nich zawistnym spojrzeniem, odwróciłam tylko głowę w drugą stronę, położyłam brodę na ramieniu Tony'ego i uniosłam ze znużeniem brwi.

Bracia znowu coś mówili. Tony poprawił mnie sobie na plecach, żeby wygodniej mu się szło. Ze znużeniem gapiałam się na Shane'a. W rękach trzymał telefon i pisał właśnie wiadomość. Butelka wody wystawała mu z tylnej kieszeni spodni. Miałam

ochotę wracać do domu i iść spać, a jednocześnie zostać na mieście i zrobić jeszcze coś fajnego. Ekscytującego.

– Ej, chłopaki – zagadnęłam sennym głosem.

– Co chcesz? – zapytał Shane. Też brzmiał na zmęczonego.

Mną.

Zanim znowu otworzyłam usta, uśmiechnęłam się zaczepnie i on chyba wiedział, że to, co zaraz nastąpi, mu się nie spodoba, dlatego posłał mi ostrzegawcze spojrzenie, które z największą przyjemnością zignorowałam.

-Kurwa, kurwa, kur- fhfbmhhphm – przerwałam, gdy ręka Shane’a przykryła moje usta, a Tony zatrzymał się tak gwałtownie, że straciłam równowagę i jeszcze mocniej zacisnęłam ręce na jego ramionach. – Auć!

Wiem, że z mojej strony to było dziecinne, ale skoro moi bracia traktują mnie jak dziecko, to proszę bardzo, tak się będę zachowywać.

– Hej! Co jest z tobą? – warknął Shane z nieskrywaną irytacją.

– Sorki.

Memorki.

Zachichotałam.

Mój brat patrzył na mnie jak na idiotkę.

– Uspokój się, nie żartuję. Nie wolno.

Z powagą uniosłam palec i zamachałam nim.

– Nu, nu, nu – zgodziłam się.

Shane tylko wywrócił oczami, a Tony westchnął i ruszył przed siebie, mocniej zaciskając ręce na moich nogach, jakby miał wielką ochotę strącić mnie ze swoich pleców i ledwo się od tego powstrzymywał.

Ja też się powstrzymywałam. Od przyrównania go do konia i krzyknienia „wio”. Nawet mój otumaniony używką mózg wiedział, że to byłby błąd.

Gdy dotarliśmy do końca promenady, kolejka do taksówek okazała się zaskakująco długa, a bliźniacy nie lubili czekać. Byli niecierpliwi i przyzwyczajeni do wygod. Dlatego obaj skrzywili się na sam pomysł ustawienia się posłusznie na końcu wężyka. Zamiast tego zaczęli kombinować.

Weszliśmy w boczną uliczkę, tam gdzie panował większy spokój. Wtedy Tony zrzucił mnie ze swoich pleców. No dobrze, może to trochę podkolorowałam. Nie zrzucił, tylko odstawił, czego się nie spodziewałam, więc się zakołysałam, ale udało mi się szybko złapać równowagę. Gdy przytrzymałam się szorstkiej w dotyku ściany piaskowego budynku, Tony uruchamiał w telefonie aplikację z taksówkami, licząc, że szczęście się do niego uśmiechnie i dzięki niej znajdziemy podwózkę szybciej.

Po paru próbach się udało i połączył się z kierowcą, który za kilka minut miał zatrzymać się przed nami w tej cichej ulicy, gdzie się teraz znajdowaliśmy. Nie bez powodu wspominam o jej odizolowaniu. Wałęsały się tu jedynie dzikie koty i było względnie spokojnie, choć dochodziły do nas imprezowe hałasy z głównej promenady.

Shane odszedł do jakiegoś całodobowego sklepiku, żeby kupić drugą butlę wody, skoro i tak mieliśmy jeszcze chwilę, a Tony oparł się o ścianę budynku, zapalił papierosa i klikał coś w telefonie, warcząc od czasu do czasu, że to jakiś żart z tymi taksówkami i czekaniem. Był w typowym dla siebie marudnym nastroju, więc wołałam go nie zagadywać i tylko człapałam sobie wkoło, ignorując jego negatywną aurę.

Próbowałam przywołać do siebie rudego kocura, który uciekł, gdy tylko kucnęłam i wystawiłam do niego rękę. Poszłam kawałek za nim, a tam, na rogu ulicy, znikąd pojawił się jakiś chłopak. Myślałam, że to przypadkowy przechodzień albo zagubiony imprezowicz, ale on stanął i puścił do mnie oczko. Skrywał się za winklem, więc Tony go nie widział.

– Głupi ten kot, że ucieka przed TAKĄ dziewczyną – skomentował, olśniewając swoim uśmiechem.

Gdy przyjrzałam się dokładniej jego twarzy, wywnioskowałam, że był to mężczyzna, którego uroda może albo fascynować, albo odpychać. Miał rzadki zarost i rozczochrane, brązowe włosy, a na ręce wytatuował sobie gitarę i od razu pomyślałam, że to jakiś muzyk, pewnie grający w niszowym zespole, czekający na sławę, która prawdopodobnie nigdy nie nadejdzie.

– Hej? – zagadnęłam uprzejmie, mimochodem zerkając kontrolnie na Tony'ego, który, dla kontrastu, nie zwracał na mnie uwagi, oddalony o kilkanaście metrów i zapatrzonego w ekran.

– Widzieliśmy się w barze, pamiętasz? – ciągnął nieznajomy. – Teraz zobaczyłem cię znowu, przy postoju taksówek. Też nie chce mi się na nie czekać. – Trochę się ślaniał na nogach, co powinno być dla mnie czerwoną flagą, ale zaintrygował mnie. Musiałam przyznać, że jego twarz wyglądała znajomo, dlatego zmarszczyłam brwi. Mężczyzna zamachał ręką, jakby chciał przyspieszyć moje procesy myślowe. – Ochrzaniałaś tych dwóch piękniśków, co byli z tobą, za pilnowanie twojego dziewczęstwa, heh.

O Boże, to ten facet z baru, który gapił się na mnie po tym, jak usłyszał moją rozmowę z bliźniakami. Natychmiast się speszyłam, ale nie dałam po sobie tego poznać.

Tak mi się wydaje.

– To były żarty – mruknęłam wymijająco.

– Aha. – Facet potarł bródkę i zakotłosał się, chamsko obcinając mnie spojrzeniem. – Co to w ogóle za obstawa? Jesteś królową Włoch czy co? – parsknął, jakby właśnie powiedział coś niezwykle zabawnego.

Uniosłam brew i nie byłabym sobą, gdybym nie powiedziała:

– Włochy są republiką parlamentarną.

– Co?

– Nie ma tam królowej – wyjaśniłam, ale widząc jego minę, dałam sobie spokój. – Nieważne. – Kiwnęłam głowę w stronę Tony'ego. – To moi bracia.

Chłopak pokiwał głową.

– Kumam, kumam. Trochę przerabane – ocenił, po czym pociągnął nosem, włożył sobie ręce do tylnych kieszeni spodni i wzruszył ramionami. – Seks jest fajny. Nie wiesz, co tracisz.

Skrzywiłam się.

– Mhm. Muszę iść.

Zrobiłam krok w tył, żeby od niego odejść i wrócić do Tony'ego, który mógłby jednak lepiej mnie pilnować.

Mężczyzna spanikował, że odchodzę, bo najwyraźniej już sobie wyobraził nie wiadomo co. Wydarł prawą rękę z kieszeni i złapał mnie za łokieć.

– Czekaj, czekaj...

– Nie dotykaj mnie! – warknęłam i się wyszarpnęłam, a on uniósł ręce, jakby się poddawał.

– Ej! Z kim ty gadasz?! – zawołał Tony, który na dźwięk mojego głosu podniósł głowę i rozejrzał się, najpierw zdezorientowany, gdy nie zobaczył mnie nigdzie w pobliżu, tylko na końcu ulicy, znacznie oddaloną. Rzucił papierosa na ziemię i nie oglądając się, ruszył biegiem w moją stronę.

Mężczyzna stojący przede mną dojrzał mojego brata, wystraszył się i próbował uciec, ale dla wysportowanego, zwykle nadaktywnego fizycznie Tony'ego jakiś chudawy artysta, który nie miał nawet dobrze zawiązanych butów, nie był żadnym wyzwaniem. Tamten nie zdążył jeszcze dobrze wystartować, a mój brat już złapał go za koszulkę.

– Co, do cholery? – ryknął Tony, przyciskając go do muru. Z furją gapił się na jego wykrzywioną wysiłkiem twarz, jednocześnie zwracając się do mnie: – Co on ci zrobił?

Wzruszyłam niewinnie ramionami.

– Gadał do mnie coś o seksie...

Facet mnie zdenerwował, bo naruszył moją prywatną przestrzeń i zachowywał się jak prostak, więc stwierdziłam, że nic mu się nie stanie, jak Tony trochę nim poszarpie, ale powinnam była się spodziewać, że w takich okolicznościach na przepychance się nie skończy.

Tony chyba chciał rzucić jakimś okropnym przekleństwem, obelgą skierowaną do mężczyzny, ale z wściekłości nie potrafił dobrać odpowiednich słów, więc po prostu splunął na niego, uniósł pięść i...

Nie wiem, bo zacisnęłam powieki i odwróciłam głowę.

On zamachnął się kilka razy na mojego brata, ale ewidentnie przegrywał to starcie. Bo Tony dostał od niego ze dwa razy, a on od Tony'ego z dwanaście. Poleciała mu krew z nosa, która zabrudziła dolną część jego twarzy, koszulkę oraz pięść mojego brata. Zobaczyłam to, jak tylko odważyłam się podglądać. To nie pierwszy raz, gdy widziałam Tony'ego w akcji, i wiedziałam, do czego jest zdolny. Jakaś część mnie chciała go powstrzymać, ale postanowiłam siedzieć cicho i dać mu robić swoje.

– Hej! – zawołał ktoś nagle i byłam przekonana, że to Shane wracał ze sklepu z wodą, dopóki nie zobaczyłam zatrzymującego się radiowozu.

– Tony! – krzyknęłam.

Chciałam go ostrzec, ale było już za późno, bo dwójka policjantów w aucie doskonale widziała, co się działo. Prowadziła kobieta, a towarzyszył jej mężczyzna, który wyskoczył natychmiast z ciemnogranatowego samochodu z kogutem na dachu i napisem „Policía Nacional”.

Tony zrozumiał, że coś jest nie tak, dopiero gdy gliniarz przerwał jego trans.

Artysta muzyk jęczał oparty o ścianę, a rąbkami koszulki próbował zatamować krwawienie z nosa. Jednocześnie odchyłał głowę do tyłu. Głupi, przy krwotoku z nosa trzeba pochylać się do przodu. Nie zamierzałam jednak biec do niego z pomocą, bo bardziej martwiłam się o Tony'ego, na którego policjant wrzeszczał coś po hiszpańsku. A potem błysnął kajdankami.

Z auta wysiadła policjantka i zbliżyła się do poszkodowanego, zadając mu pytania, których tamten nie rozumiał, dlatego przeszła na angielski i wtedy nadstawiłam ucha, by usłyszeć jego odpowiedź.

– Zaatakował mnie. Nic mu nie zrobiłem. Nie znam go. Idiota mnie zaatakował. Chcę odszkodowania. Wnoszę oskarżenie. Wnoszę. Aresztujcie go. Jest niebezpieczny, psychiczny – biadolili do stojącej przy nim mundurowej, która była niską kobietką o ciemnych włosach zebranych w kucyk. Miała surowy wyraz twarzy i wyglądała na twardą babkę.

Tony wywrócił oczami i nie wydawał się poruszony tym, że policjant właśnie w mało delikatny sposób skuwał mu ręce za plecami.

Cóż, mnie ten widok poruszył za nas dwoje.

– Tony? – zawołałam, podchodząc bliżej, żeby łatwiej mi było nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Wtedy dostrzegłam jego obojętne spojrzenie.

Policjant burknął do mnie chyba, żebym się odsunęła.

– Czekaj tu na Shane'a – rozkazał mi brat.

Aresztowali go i chyba chcieli zabrać na komisariat. To była moja wina, nie powinnam wdawać się w gadki z nieznajomym. Czułam, że wzbiera we mnie panika.

– Proszę go zostawić, on mi pomógł! – oznajmiłam policjantowi, który spojrzał na mnie spode łba. Chyba mnie nie rozumiał. Zwróciłam się do policjantki, zakładając, że jej angielski był lepszy. – To mój brat. Ten w kajdankach to mój brat, pomógł mi. Ten mężczyzna mnie zaatakował. Mówił mi, że widział mnie wcześniej w barze. Chyba mnie śledził. Dobierał się do mnie, rozpruł moją spódnicę, proszę spojrzeć. –

Zamachałam materiałem i wystawiłam nagą nogę. – Szarpał mną, on chciał... chciał, ja nie wiem... – przerwałam dramatycznie i wreszcie moja wrodzona płaczliwość mi się do czegoś przydała, bo w mig zalałam się łzami.

Tony zapatrzył się na mnie z ledwo skrywanym zdziwieniem.

Sroga twarz policjantki złagodniała, jej partner łypał to na nią, to na mnie podejrzliwie, a muzyk gapił się zszokowany, na chwilę zapominając o krwi, która wciąż sączyła się z jego nosa.

– Kłamie, nic jej nie zrobiłem!

– Mówił coś o fajnym seksie. Nie pozwolił mi odejść. Złapał mnie za łokieć o tu, mocno. Proszę spojrzeć, jest ślad. Bardzo się wystraszyłam – ciągnęłam, chlipiąc cichutko. Spuściłam głowę i głaskałam się opuszkami palców po miejscu, na którym rzeczywiście zacisnęły się wcześniej paluchy tego frajera. – Gdy zaczęłam krzyczeć, przybiegł do mnie brat. Uratował mnie przed tym zboczeńcem.

Policjantka przyglądała mi się uważnie, jakby sprawdzając moją wiarygodność. Ta historia, choć nieco podrasowana, bazowała jednak na prawdzie, więc łatwiej było mi ją do niej przekonać. Kobieta zerknęła na swojego partnera, który stał za Tonym i go pilnował. Odwzajemnił jej spojrzenie, a gdy ona przetłumaczyła mu na hiszpański moje chaotyczne zeznania, zdeorientowany zerknął na plecy mojego brata.

– Ona jest nieletnia – dorzucił luźno Tony.

– Proponował pan seks nieletniej? – oburzyła się policjantka, tym razem oskarżycielsko patrząc na muzyka.

– To nie była propozycja, proszę pani – poprawiłam ją uprzejmie, wierzchem dłoni ścierając z policzków łzy.

Następnie wszystko potoczyło się już bardzo szybko. Policjantka wściekła się i z godną podziwu jak na kobietę siłą obróciła oszołomionego rozwojem akcji nieznajomego, następnie przycisnęła go do ściany, o którą się wcześniej opierał, i zakuta go w kajdanki, które nosiła przypięte do pasa. Facet krzyczał coś, gdy policjantka prowadziła go do radiowozu. Chyba nawet mnie obrażał, ale za bardzo płątał mu się język, żebyśmy mogła rozróżnić jakieś konkretne obelgi.

Tymczasem dołączył do nas zdeorientowany Shane. Nie wiedział oczywiście, co dokładnie się wydarzyło, ale szybko podłapał moją wersję i pociągnął ją tak, że nawet jeśli policjanci mieli jeszcze jakieś opory przed puszczeniem Tony'ego, to po argumentach Shane'a dali sobie spokój. On objął mnie opiekuńczo, a ja robiłam, co w mojej mocy, by dalej odgrywać rolę pokrzywdzonej. Byliśmy dość przekonujący, bo ostatecznie policjanci poszeptali między sobą, po czym mężczyzna rozkuł Tony'ego.

Wylegitymowali nas. Pytali o to, czy wniesiemy oskarżenie, czy złożymy zeznania. Wytknęli też, że byłam pod wpływem alkoholu, a przecież nie mam osiemnastu lat. Chyba nie wytrzeźwiałam tak bardzo, jak mi się wydawało. Miałam wrażenie, że policja w Hiszpanii była jednak bardziej wyluzowana, bo w Stanach chyba nie puściliby mnie do domu jedynie po zapewnieniach moich braci, że na pewno zostanę za to ukarana.

Postanowiliśmy już nie drażyć tematu zaczepki przez nieznajomego. Nie chcieliśmy tułać się nocą po komisariatach ani w ogóle tłumaczyć się z tej sprawy ojcu, dlatego

postanowiliśmy machnąć na nią ręką i pozwolić policji zabrać tego głupka. Sami natomiast wpakowaliśmy się do wozu, który wcześniej Tony zamówił przez tę swoją aplikację w telefonie. Okazało się, że kierowca zatrzymał się niedaleko już jakiś czas temu i obserwował przez chwilę całe zajście z policją. Na całe szczęście nasz show na tyle go zainteresował, że nie odjechał.

Shane podyktował mu adres i ten bez żadnych komplikacji dowiózł nas pod dom Blanche i Benny'ego. Nocą niewiele aut przemierzało ulice wyspy, a już zwłaszcza poza miastem i turystycznym terenem. Było cicho i spokojnie. Podczas drogi omawiałam z bliźniakami całą sytuację. Wyjaśniłam, że widziałam faceta wcześniej w barze, powtórzyłam, co dokładnie do mnie mówił, i stanęło na tym, że sprawa ma zostać między nami. Nie było sensu niczego roztrząsać. Zwłaszcza przy ojcu.

– Tak w ogóle, to nieźle z tego wybrnęłaś, mała Hailie – docenił Shane, rzucając mi uśmiech z przedniego siedzenia.

Triumfalnie popatrzyłam na Tony'ego, który zerkał przez boczne okno.

– No. Gdyby nie ja, toby cię aresztowali – wytknęłam mu i szturchnęłam go lekko.

On przeniósł wzrok na mnie.

– Gdyby nie ty, to nie musiałbym obijać nikomu mordy.

Co racja, to racja.

W głębi ducha wiedziałam jednak, że trochę Tony'emu zaimponowałam.

O dziwo, czułam się lepiej, ale marzyłam o łóżku. To było zbyt wiele wrażeń jak na jedną noc dla tak nudnej nastolatki jak ja.

Dom babci Blanche skąpany w mroku robił dość spektakularne wrażenie. W nocy wyglądał jak jeden z tych opuszczonych domostw na odludziu, które żyją własnym życiem. Brakowało tu jeszcze historii rodem z horroru. Może o jakiejś szczęśliwej rodzinie, której głowa, ojciec na przykład, pewnego dnia został opętany przez zmary z strychu, po czym zamordował swoje dzieci, żonę i na koniec popełnił samobójstwo. Tak, coś takiego pasowałoby tu jak ulał.

Na podwórku co jakiś czas coś trzeszczało bądź świszczało i gdy tylko wysiedliśmy z taksówki, z oczami wbitymi w ziemię podążałam za bliźniakami, byleby jak najszybciej znaleźć się w środku. Tam miałam się poczuć bezpieczniej. Uniosłam wzrok, dopiero gdy usłyszałam rzucone po cichu przekleństwo w wykonaniu Shane'a, na którego wlałam, gdy nagle się zatrzymał.

Obaj moi bracia stanęli jak wryci na widok ojca, który ubrany w czarne, luźne ciuchy, gapił się na nas z ganku. Musiał tu na nas czekać, bo popijał sobie też whiskey i oprócz pustej literatki na stole stała cała butla trunku, tak jakby potrzebował zapasu na dłuższe posiedzenie. W rękę tradycyjnie trzymał grube cygaro, którego żarząca się końcówka była jedynym, co wyraźnie odznaczało się w ciemności.

Cieszyłam się, że mogłam chować się za plecami wyższych ode mnie braci, bo naprawdę nie czułam się na siłach, by stać teraz w pierwszej linii.

Niestety, tym razem nie oznaczało to dla mnie nietykalności.

CZAR JEDYNEJ CÓRKI

Wiecie, która jest godzina?

Zanim błyszczące niebezpiecznie w panującym mroku ciemne oczy ojca zdążyły przenieść się z braci na mnie, zerknęłam z powrotem na ziemię.

– Czwarta? – Tony wzruszył ramionami.

– To było pytanie retoryczne, cwaniaku – warknął na niego natychmiast, jakby tylko czekał na prowokację. Patrzył na syna przez chwilę, samym spojrzeniem doprowadzając go do porządku, po czym zerknął również na Shane’a. – Co wam mówiłem? – zapytał i wcale długo nie czekał na odpowiedź. – Żadnego szlajania się.

– Ale wcale się nie szlajaliśmy – zaprotestował Shane. – Poza tym pisałem ci, że będziemy trochę później.

– Ale jesteście za późno. Hailie ma rano lekcje.

O, faktycznie. Zapomniałam, że zgodziłam się przełożyć zajęcia zdalne na sobotę.

Niedobrze.

– No to już, akurat, wróciliśmy i idziemy spać. – Shane machnął ręką, totalnie bagatelizując argumenty ojca, który nie dał się jednak tak łatwo zbyć i wyciągnął szyję, by mnie dostrzec.

– Hailie?

Miałam ochotę westchnąć ciężko i wałnąć się dłonią w czoło. Nie potrafiłam w tej chwili wykrzesać z siebie ani krzty talentu aktorskiego. Chciałam tylko iść już spać, tylko tyle.

– Hm? – zapytałam, zmuszając się do słabego, grymasnego uśmiechu. Oczy same mi się zamykały, słowo daję.

– W porządku? – upewnił się podejrzliwie Cam. – Shane, odsuń się.

Wtedy zrozumiałam, że bliźniacy celowo kryli mnie za sobą, żeby ojciec nie widział mnie zbyt dobrze.

– W porządku, tak. Tak – mówiłam i pokiwałam głową, robiąc, co w mojej mocy, by wyglądać i brzmieć przekonująco. – Jestem tylko zmęczona.

Może ziewnę dla efektu? Ziewnęłam. Chyba dobrze wyszło.

Nastąpiła chwila ciszy i nie spodobało mi się, że ojciec wykorzystał ją, by uważnie mi się przyjrzeć. Starłam się stać prosto i wyglądać na znudzoną i zmęczoną, co nie było ogromnym wyzwaniem.

– To do łóżek, już – westchnął w końcu i odsunął się na bok, byśmy swobodnie mogli wspiąć się po schodkach i wreszcie wkroczyć do domu.

Był nie w ciemni bity i na pewno widział, że coś tu nie gra. Bez wątplenia nie pomógł fakt, że wyrznęłam się na schodach w tej samej sekundzie, w której moja stopa na nich stanęła. Poleciałam jak długa, zanim ktokolwiek zdążył mnie podeprzeć.

Może inaczej: przede mną szedł Shane, więc lecąc, złapałam się jego koszulki, którą rozciągnęłam do niewiarygodnych rozmiarów tak, że on też by się wyrzucił, gdyby nie przytrzymał się balustrady. Ja o tym nie pomyślałam. Zamiast tego upadłam na kolana. Aż przez całe moje ciało przeszedł nieprzyjemny dreszcz.

Zabolało. Zapewne byłoby gorzej, gdybym była zupełnie trzeźwa, ale nie znaczy to, że zostałam jakoś totalnie znieczulona. Wszyscy obecni panowie oczywiście rzucili się czym prędzej mi na pomoc. Przez chwilę nie potrafiłam wstać, czułam, jakbym nie mogła wyprostować kolan. Syknęłam z bólu, nienawidząc się za własną łamagowatość, i to jeszcze w tak istotnym momencie.

Ojciec otoczył mnie ramieniem i pozwolił mi uwiesić się na sobie. Praktycznie doniósł mnie na ogrodową kanapę, którą przed chwilą sam zajmował. Zapalono też lampkę na ganku. Zaciskałam mocno zęby, żeby nie wyrwał mi się nawet jęk bólu ani żadna łza, jednak na widok krwi sapnęłam cicho.

Jedno kolano oberwało mocniej. To, które odslaniała spódniczka. Drugie ochronił materiał, ale i tak pojawiło się na nim brzydkie rozcięcie, tylko trochę mniejsze.

– Przynieście apteczkę – zażądał Cam, klękając naprzeciwko mnie.

– Nic mi się nie stało – mamrotałam, dyskretnie poruszając nogą, by sprawdzić, czy jeszcze kiedykolwiek będę w stanie chodzić.

– Tylko stłukła sobie kolanko – potwierdził Tony, wywracając oczami.

– Dobrze, ale chyba trzeba to wyczyścić, nie? – warknął na niego ojciec tak głośno, że Tony nie odpowiedział, a Shane zniknął w domu w poszukiwaniu apteczki.

– Nie trzeba. Sama to zrobię – zaoponowałam, przerażona nadchodzącym bólem.

Ojciec mnie zignorował, a ja, widząc jego powagę, nie śmiałam wdawać się z nim w dyskusję. Musieliśmy przenieść się do środka, bo światło na ganku było zbyt nędzne, a ja zaczynałam marznąć. Na początku bałam się wstać, bo mój mózg wmawiał sobie, że nogi odmówią mi posłuszeństwa, ale wkrótce, z pomocą silnej ręki ojca, przekonałam się, że wszystko ze mną w porządku i moje kolana, choć krwawiły i bolały, wciąż spełniały swoje funkcje.

Usiadłam w kuchni, na długiej ławie i podsunęłam się do tyłu, by ojciec miał dostęp do moich ran. Shane przyniósł apteczkę, z której wyciągnięto bandaże, gazy, jakąś maść. Na widok pęsety zamknęłam oczy i odwróciłam głowę. Nie chciałam dramatyzować, ale myśl, że ktoś będzie nią zaraz gmerał w mojej ranie, nie nastrajała mnie pozytywnie.

– Spokojnie – mruknął pod nosem ojciec. – Mam wprawę.

– I to jaką – dodał żartobliwie Shane.

Wraz z Tonym towarzyszyli nam w kuchni. Jeden z nich dopadł do szklanki wody, a drugi zaczął wsuwać coś chrupiącego, nie wiem co, bo zaraz zacisnęłam powieki. Nie bolało, ale moje przewrażliwienie to żaden sekret.

Bliźniacy trochę się ze mnie podśmiewali. Ojciec się nie odzywał, zajęty swoim zadaniem, a ja wdierałam się na wyżyny własnej odwagi i pilnowałam, by nie zacząć panikować niczym małe dziecko.

Po starannym oczyszczeniu rany, nałożeniu przeźroczystej maści oraz zabandażowaniu Cam wstał, by wyrzucić zużyte gazy. Wtedy dopiero ośmieliłam się spojrzeć na swoje kolana, które były teraz owinięte schludnie białymi opaskami.

Uff, nie było tak źle.

– Dziękuję – mruknęłam, a ojciec zbliżył się do mnie znowu, położył dłoń z tyłu mojej głowy i pocałował mnie w jej czubek, po czym pogłaskał mnie czule. Zaskoczył mnie ten gest, bo byłam pewna, że jest na mnie zły.

On jednak odwrócił się, by w końcu spojrzeć w stronę bliźniaków, którzy opierali się o kredens i wyjadali Blanche sucharki.

– Zechciecie mi powiedzieć, jakim cudem dwóm chłopom nie udało się upilnować młodszej siostry?

– Jak nie?

– Co upilnować?

– To nie ich wina – wtrąciłam się również, ale ojciec nawet na mnie nie spojrzał.

– Jest pijana, widzę przecież. Ile wypila?

Tony i Shane zaczęli się bronić, udając niewzruszonych.

– Niewiele.

– Mało bardzo.

– Ma słabą głowę.

– To przez te owoce nasączone winem.

– Za mało zjadła.

Cam wziął głęboki wdech, przymknął powieki i zacisnął palce u nasady nosa.

– Słuchajcie – westchnął, po czym spojrzał na nich znacząco. – Obaj daliście ciała, ale zdaję sobie sprawę, że to ja byłem pomysłodawcą tego jakże genialnego planu – powiedział i przelotnie zerknął też na mnie. – Uznajmy, że to się nie wydarzyło, jasne? Macie siedzieć cicho. Zwłaszcza przy reszcie. Zwłaszcza przy Vincencie. I Dylanie. Broń Lordzie, żeby Dylan się dowiedział. Rozumiecie?

Chłopcy parsknęli w tym samym czasie, ale pokiwali głowami. Ja też pokiwałam swoją. Za żadne pieniądze świata nie chciałam, żeby to, co się dzisiaj stało, dotarło do uszu Dylana. Ani Vincenta. Ani nawet Willa.

Ojciec okazał się jednak o wiele bardziej spostrzegawczy, niż nam się wydawało.

– Tony, co ci się stało w dłoń?

– Nic – mruknął od razu brat, głupio chowając ją do kieszeni.

Przed wejściem do taksówki opłukał ręce wodą, którą przyniósł Shane, ale tym sposobem zmył z niej tylko krew. Jego knykcie wciąż były zaczerwienione, a skóra na nich zdarta.

Nigdy nie rozumiałam, jak można uderzyć kogoś tak mocno, żeby aż samemu zrobić sobie krzywdę.

– Masz mnie za idiotę? Co? – zawarczał ojciec, podchodząc do niego. – Laleś się?

– Nie – westchnął Tony, patrząc w bok.

– To co ci się stało w dłoń, się pytam.

Mój brat przez chwilę żuł wargę, po czym odpowiedział wolno:

– Walnąłem pięścią w ścianę.

Przymknęłam powieki. Tony... Spodziewałam się po nim lepszej wymówki. Nie było szans, żeby ojciec się na to nabrał.

– Co?

Tony cmoknął z irytacją, że musi się tłumaczyć.

– No wkurwiłem się i uderzyłem pięścią w ścianę.

Cam odchylił nieco głowę, patrząc na syna ze złością i politowaniem jednocześnie. Jego wzrok prześlizgnął się po Shanie, ale ojciec, wiedząc, że bliźniaki na bank będą się wzajemnie kryć, ostatecznie skierował go na mnie.

– Hailie, jak było?

Wszyscy obecni wgapiali się we mnie, a ja się zdenerwowałam. Nie chciałam kłamać ojcu ani wsypywać braci, więc w końcu zdecydowałam się na wymijającą odpowiedź:

– Tony... jest głupi.

Tony wzruszył ramionami, Shane parsknął, a Cam westchnął ciężko.

– Wiecie co? Idźcie spać. W tej chwili. Zejdźcie mi z oczu – zarządził, kciukiem pokazując za plecy, w stronę wyjścia z kuchni i na schody. – Ty też, królowno, jazda. Już.

Nie mogłam się powstrzymać i rzuciłam mu maleńki uśmiech, który chyba odwzajemnił, a przynajmniej zadrżały mu lekko kąciki ust. Razem z chłopakami opuściliśmy kuchnię. Szłam, opierając się o ścianę, bo moje kolana wciąż były zbyt obolałe, by je zginać. Po drodze Shane szturchnął mnie i pokazał mi uniesiony kciuk. To był znak, że dobrze się spisałam.

Ucieszyłam się, że moje wysiłki zostały docenione.

Rano pierwsze co zaatakowały mnie ból w kolanach i okropne łupanie w czaszce. Nie potrafiłam kiwnąć choć palcem. Wzdychałam głośno i czułam się jak ryba wyjęta z wody. Długo tak leżałam i znosiłam te tortury, aż rozległo się ciche stukanie do drzwi. A potem ich cichy skrzek, gdy się uchyliły.

– Jak samopoczucie? – To ojciec postanowił sprawdzić, czy żyję.

Mruknęłam coś słabym głosem.

Usłyszałam jego kroki. Wszedł do pokoju. Zatrzymał się przy łóżku. Położył coś na stoliku nocnym. Chyba była to szklanka. Moje wysuszone na wiór gardło natychmiast zapagnęło zwilżyć się jej zawartością.

– Masz tu aspirynę. Pomoże – oznajmił ojciec.

– Nie potrzebuję tabletki, czuję się dobrze. Jestem tylko zmęczona – skłamałam, wzdychając ciężko.

Guzik prawda, oczywiście, że nie czułam się dobrze. Nie chciałam po prostu przyznawać przed Camem, że przeziębiam z alkoholem na tyle, że trzeba mnie dziś ratować.

– Te, dobra, dobra – mruknął lekceważąco i skierował się do okna. Uchylił je i chłodne świeże powietrze od razu zaczęło napływać do środka. – Radzę ci wziąć tabletkę, długi prysznic i pić dużo wody przez cały dzień, to może uda ci się go jakoś przetrwać. Za godzinę zaczynasz zajęcia. Z nauczycielem połączysz się na poddaszu, tam masz przygotowane stanowisko do nauki. Zapamiętasz?

– Mhm, poddasze – mruknęłam bez sensu w poduszkę.

Nagle otworzyłam oczy.

Oderwałam policzek od poduszki i odwróciłam się, by spojrzeć na tatę, ignorując mocny ból w głowie. On już wychodził, ale na widok mojego nagłego zrywu zatrzymał się i spojrzał na mnie z uniesioną brwią.

– Tak?

-Eee... – zawahałam się. Nie wiedziałam, jak ubrać w słowa to, co chciałam powiedzieć. – Te zajęcia. Chodzi o szkołę, tak?

Jego twarz pozostała poważna.

– Tak, chodzi o twoje szkolne zajęcia.

Nie miałam teraz siły nawet myśleć o nauce.

– A czy... czy możemy to może przełożyć? Na jutro? Albo mogę zacząć od poniedziałku? Tak już na poważnie?

Ojciec milczał przez chwilę.

– Na poważnie możesz zacząć już dziś, Hailie.

Zagryzłam wargę i zerknęłam w dół, na pomietą koldrę. Nie sądziłam, że mi odmówi.

– Godzina – oznajmił nagle. – Możesz zacząć godzinę później. Będziesz miała więcej czasu, by doprowadzić się do porządku. Okej?

Pokiwałam z wdzięcznością głową, a on przypieczętował naszą umowę skinięciem swojej. Nie spodziewałam się, że tak surowo podejdziesz do sprawy z lekcjami, ale cieszyłam się, że ostatecznie wywalczyłam dla siebie chociaż godzinę więcej. Dzięki temu dłużej mogłam poleżeć jeszcze w łóżku.

Kac był najgorszym uczuciem na świecie. Nie mieściło mi się w głowie, jak ci wszyscy ludzie to wytrzymywali. A co najważniejsze, dlaczego oni potem upijali się znowu? To zdecydowanie niewarte takiego cierpienia.

Upiłam łyk wody, która zabiła pragnienie dokładnie na kilka sekund, po czym znowu je poczułam. Połknęłam tabletkę, ale minęło z pół godziny, zanim zaczęła działać i mogłam zmusić się do wygrzebania z pościeli.

Byłam brudna, włosy zamieniły mi się w jeden wielki kołtun, skóra się wysuszyła, oczy zmęczyły, kolana protestowały przy każdym zgięciu, brzydko pachniało mi z ust, a na domiar złego w takim stanie zdążył mnie już dziś zobaczyć mój ojciec. Gdy to sobie uświadomiłam, aż mi się zrobiło wstyd.

– Zachciało mi się, kurczę, tequili – syknęłam złośliwie do samej siebie i pokręciłam głową, natychmiast tego żałując, bo każdy niepożądany ruch kosztował mnie zbyt wiele cierpienia.

W Rezydencji Monetów łazienki znajdowały się na każdym kroku, oprócz tego, że wszyscy mieli też swoją w sypialni. U Blanche jednak rozkład pomieszczeń nie został zaplanowany tak wspinałomyślnie, bo łazienek było stanowczo mniej, niżbym chciała. Swoją musiałam dzielić z chłopakami i ojcem. Była mała, zagracona i ktoś musiał już w niej dzisiaj urzędować. Ten ktoś nie uchylił okna, więc woda z prysznica skropiła się na błękitnych kafelkach, a lustro pomazane paluchami zaparowało. Intensywnie pachniało też męskim żelem pod prysznic. Prawie zaczęłam się dusić.

W końcu wzięłam długi, chłodny prysznic, który był pierwszym krokiem do mojego ozdrowienia. Rzeczywiście pomógł. A może to tabletki robiły swoje. Spędziłam kilka długich minut, oblewając sobie wodą twarz. Nie wiedziałam na początku, co zrobić z bandażem i ostatecznie zdecydowałam się go nie zdejmować, tylko uważać, by go nie zamoczyć. Nie do końca mi się to udało. Potem załatwiłam resztę porannej toalety i następnie przemknęłam do sypialni, by przebrać się w najwygodniejsze dresy, jakie znalazłam.

Było kilkanaście minut po dziesiątej, gdy zeszłam na dół, do kuchni. Wtedy już czułam się dużo lepiej. Spotkałam tam Tony'ego. Popijał kawę i skubał szynkę iberyjską, zaczytując się w komiksie. Na mój widok nawet nie próbował ukryć wrednego uśmiechu.

– Spadaj – rzuciłam automatycznie i zajrzałam do lodówki. Wyjęłam z niej napój migdałowy, a następnie wybrałam się na poszukiwania płatków. Bardzo miałam ochotę na coś zimnego, więc pomysł na takie śniadanie wydał mi się idealny. Dość swobodnie grzebałam sobie po kuchni Blanche, pewnie dzięki temu, że ona sama

wcześniej zapowiedziała, że nie zamierza nad nami wiecznie skakać, więc mamy się czuć jak u siebie.

Tony nie pozbył się tego swojego irytującego uśmiešku, nawet kiedy już zasiadałam obok niego. Chciałam podarować mu zabójcze spojrzenie, ale jak tylko mu się uważniej przyjrzałam, przypomniałam sobie, co ja tak naprawdę wczoraj wyprawiałam, i zawstydyłam się tak, że pokornie spuściłam wzrok na miskę płatków.

Jakie ja im bzdury wczoraj mówiłam!

O co mi chodziło z tym pieprzykiem?

– Głupio ci, nie? – zaczął mnie Tony, odrywając się od komiksu. Widocznie uznał, że ja zabawię go bardziej.

– Nie.

– A powinno.

– Bo ty się nigdy nie upiłeś.

– Jesteś małym alkoholikiem.

– Widać to u nas rodzinne.

Chyba całkiem trafnie to podsumowałam, bo Tony na chwilę zamilkł. Ja w tym czasie chleptałam zimny napój niczym wygłodzone kocię. Na szczęście oboje doskonale wiedzieliśmy, że nie ma co wracać do sytuacji z policją.

– Powodzenia na lekcjach – rzucił złośliwie, gdy wreszcie wstał.

Opuściłam łyżkę i skrzywiłam się, ale już zniknął. Zostawił po sobie papier po szynce oraz pusty kubek. Rozpuszczony gamoń. Kiedy myłam własne naczynia, posprzątałam również po Tonym z myślą, by odciążyć Blanche i Benny'ego.

Chwilę przed jedenastą zjawił się w kuchni ojciec. Z zadowoleniem skwitował moją gotowość do zajęć. Zmienił mi szybko opatrunki na kolanach i musiałam przyznać, że teraz, gdy przyglądałam się jego poczynaniom na trzeźwo, naprawdę mogłam zgodzić się z jego przechwałkami. Miał niebywałą wprawę. W końcu wychował pięciu chłopców. Liczyłam jeszcze nieśmiało, że może mi odpuści i poradzi, żebym poszła się położyć, a lekcje będą mogły poczekać do poniedziałku, ale niestety taka propozycja nie padła z jego ust. Zamiast tego tuż przed jedenastą, z zerowymi chęciami wspięłam się na poddasze.

Ostatecznie przetrwałam ten dzień, a po późnym obiedzie nareszcie otrzymałam wymarzoną drzemkę. Niewiele więcej się wydarzyło tej soboty. Przynajmniej nie z mojej perspektywy, bo gdy ja odsypiałam, ojciec i bliźniacy spędzali wspólnie czas. Moi bracia przylecieli tu tylko na niecały tydzień. Już następnego dnia musiałam zdecydować, czy zgadzam się zostać na wyspach sama z ojcem, Blanche i Bennym, czy wolę wracać z Shane'em i Tonym do domu. Wyczuwałam, że przywieziono mnie tutaj z zamysłem, abym została na dłużej, ale pozornie dano mi wybór. Zdawało mi się, że ojcu bardzo zależało, bym postanowiła się tu zatrzymać, ale nie próbował usilnie wpłynąć na moją decyzję. Ja szybko rozważyłam plusy i minusy. W domu z braćmi czułam się zdecydowanie swobodniej niż tutaj, ale z drugiej strony miło byłoby spędzić z ojcem trochę więcej czasu, no i może nawet

lepiej poznałabym Blanche? Nie zapomniałam też, że w domu czekały na mnie areszt domowy, zabójcy czyhający na moje życie oraz brzydka pogoda.

Tak więc zostałam na wyspach. Siedziałam na ganku i patrzyłam, jak Benny odpala silnik, żeby odwieźć Shane'a i Tony'ego na lotnisko. Chłopcy musieli wracać głównie z powodu szkoły. Ich Vincent nie wysłał na zdalne nauczanie. Gdy patrzyłam, jak odjeżdżają, zrobiło mi się przykro. Po raz pierwszy od ponad roku się z nimi rozstawałam.

Dostałam braci, do których najpierw nie mogłam się przywiązać, a z którymi teraz nie chciałam się rozdzielać. Pocieszałam się tym, że nasza rozłąka nie będzie długa.

Ojciec obserwował samochód z synami, dopóki ten nie zniknął za zakrętem, wśród oliwnych krzewów. Wtedy wrócił wolnym krokiem w stronę domu, na ganek. Oparł się rękoma o balustradę, plecami do mnie. Rozległ się odgłos zapalniczki i zanim jeszcze ponad jego głową pojawił się dym, ja już wiedziałam, że odpalił cygaro.

Kiedys utożsamiałam je z Vincentem, bo widziałam kilka razy, jak je palił, ale teraz, gdy po raz drugi spotkałam ojca, wiedziałam już, kto tak naprawdę zapoczątkował ten trend w naszej rodzinie.

Dyskretnie przymknęłam książkę, jako zakładki używając zasuszonej róży od Leo, i odłożyłam ją na stolik. Podciągnęłam też kolana, które goiły się o wiele za wolno i wciąż mi dokuczały, pod brodę i szczelniej okryłam się kocem.

– Czuję się paskudnie – oznajmił znikąd Cam. Jego głos był lekko zachrypnięty.

– Bo chłopcy wyjechali? – zgadywałam, przekrzywiając głowę.

Dłoń Cama powędrowała do jego nieujarzmionych, ciemnych włosów, jakby chciała je ułożyć, w rezultacie roztrzepując je jeszcze bardziej.

– Jasne, że wolałbym, żeby tu byli, ale mają szkołę i obowiązki. Lepiej, że pojechali. Jeszcze się zobaczymy – tłumaczył mi i samemu sobie. Następnie wypuścił z płuc sporo dymu. – Bardziej dokucza mi fakt, że zgodziłem się rozpić własną córkę, tylko po to, żeby jej się przypodobać.

Och, czyli będziemy o tym rozmawiać. Myślałam, że zamieciemy tę sytuację pod dywan. Odetchnęłam cicho.

– To nie jest ani twoja wina, ani chłopaków. Sama się upiłam. Shane pozwolił mi tylko na kieliszek, a ja nie posłuchałam. Nie wiedziałam, że tak się załatwię. To smakowało jak soczek.

Cam odwrócił się, by poczęstować mnie swoim spojrzeniem znad uniesionej brwi. Było trochę rozbawione, ale próbował być poważny, w taki typowo ojcowski sposób. Wychowywana przez matkę i babcię, a potem braci, nie byłam z nim obeznana, więc przygryzłam wargę i zerknęłam na Cama spod rzęs, próbując go urobić swoim czarem jedynej córki.

– Zgoda, królowno, trochę przegięłaś, ale jak by nie było, dałem ci zielone światło. – Pokręcił głową. – Muszę się uodpornić na twój urok.

Uśmiechnęłam się.

– Hej, nie żartuję. Co innego mieć córkę, a co innego syna.

– Ale nie pozwoliłeś mi przenieść zajęć na poniedziałek.

Zaśmiał się.

– Aż taką ciepłą kluchą nie jestem, żeby patrzeć, jak zawałasz swoje obowiązki przez kaca – powiedział. – Potraktuj to jako lekcję ode mnie. Jeszcze znienawidzisz moje metody wychowawcze. Zapytaj chłopaków, coś o tym wiedzą.

Przez chwilę w ciszy oboje przyglądaliśmy się niezmiennemu widokowi oliwnych drzew. Gdzieś w oddali, między nimi mignęła mi sylwetka jakiegoś człowieka, ale zanim podniosłam rąk na całe gospodarstwo, że jakiś obcy kręci się po posesji, dostrzegłam białą czuprynę mężczyzny i rozpoznałam w nim Benny'ego.

– Cieszę się, że cię poznałam. Nie chcę o tym myśleć, ale trochę mi przykro, że mama przez te wszystkie lata zabraniała nam kontaktu – wyznałam.

Czułam potrzebę, by mu to powiedzieć. Takie myśli krążyły mi po głowie od dawna.

Cam rzucił mi delikatny uśmiech, ale potem trochę spoważniał.

– Miło mi to słyszeć, choć muszę ci się do czegoś przyznać i może ci się to nie spodobać. Trochę ci nakłamałem – przyznał. – No dobrze, może nie nakłamałem, ale zataiłem kilka faktów.

– O co chodzi? – zapytałam natychmiast, starając się zachować spokój.

– Opowiadałem, jak zawarłem z twoją mamą umowę, że nie będę ingerował w twoje wychowanie dla waszego bezpieczeństwa. Powiedziałem ci, że skontaktowałam się ze mną tylko raz, żebym wiedział, że urodziła zdrową córeczkę. Wysłałem wtedy te kolczyki, pamiętasz?

– Tak. – Pokiwałam głową. Po imprezie zadbałam, by z powrotem je założyć i teraz błyszcząły na moich uszach.

– Myślałem o tobie często. Bardzo, bardzo często. Ale życie toczyło się dalej. Miałem ręce pełne roboty... Któregoś razu o twoim istnieniu dowiedział się Monty. Przyznałem mu się przy flasce, że mam córkę. A on, możesz sobie wyobrazić, zbulwersował się, że w ogóle pozwoliłem Gabi odejść. – Cam pokręcił głową. – Kretyn nakręcił mnie tak, że w końcu, pewnego dnia, nie wytrzymałem i wsiadłem do samolotu... żeby cię odzyskać.

Zmroziło mi krew w żyłach na te słowa. Jednocześnie poczułam małe ciepłko, gdzieś w środku, niedaleko serca. Od czasu, gdy dowiedziałam się, że ojciec jednak żyje, zastanawiałam się nieśmiało, czy żałował kiedykolwiek, że mnie opuścił. Nic na to nie mogłam poradzić, że ucieszyłam się na wieść, że jednak nie było mu łatwo. W końcu moje dzieciństwo bez taty też nie było usłane różami.

– Jak... jak to się skończyło? – drążyłam, widząc jego opory.

Cam zapatrzył się na mnie. Zastanawiał się, jak bardzo mógł być ze mną szczery. Zaciągał się swoim cygarem, uparcie milcząc. Byłam cierpliwa. Nie zamierzałam mu odpuszczać, ale jeśli potrzebował chwili, by zebrać myśli, to niech mu będzie.

Oplaciło się czekać.

40

RASOWY KLAUN

Zajechałem pod wasz blok wypożyczonym autem. Późnym popołudniem. Miałem ze sobą kanapkę z grubym kawałem wołowiny. Całkiem niezłą, pamiętam. Żułem ją, gdy gapilem się na wasze okna. Drugie piętro, niski, strasznie wąski dom, typowa angielska klita. Wasze osiedle to były rzędy takich właśnie budynków. Pamiętam tę pogardę, z jaką rozglądałem się po okolicy. Popisany graffiti mur czy ławka, z której niemal gołym okiem widać było, jak wystają drzazgi. Myślałem sobie wtedy: „Cholera jasna, czy moja córka naprawdę mieszka w takim miejscu?”.

– Potem je odnowili – wtrąciłam, za wszelką cenę starając się wybronić swoje rodzinne strony. – Nasze osiedle w sensie. Zmienili ławki, zbudowali też piękny plac zabaw.

Naprawdę nie było tak źle.

Ojciec zerknął na mnie sceptycznie.

– Wiesz, co sobie wtedy myślałem? Byłem wściekły. Wyobrażałem sobie, że Gabriella zapewni ci dom taki rodem z Gotowych na wszystko. Wiesz, z plotkarskimi sąsiadami wkoło, gdzie dzieciaki bawią się na ulicy, a na każdym podjeździe stoi jebane volvo. – Ojciec pokręcił głową. – Myślałem sobie, że to przecież moja córka, ona powinna mieszkać jak królowa, powinni rozwijać czerwone dywany wszędzie, gdzie idzie. A nie, kurwa, jakaś średnio bezpieczna, mało atrakcyjna dzielnica.

– Ja zapamiętałam ją jako atrakcyjną.

Ojciec uśmiechnął się lekko. Dostrzegłam w nim to samo, co czasem widywałam u braci. Absolutne przyzwyczajenie do luksusu i przepychu. Zaryzykowałabym nawet stwierdzenie, że Cam jest nie mniej rozpuszczony życiem w dostatku niż chłopcy. Dla niego najwyraźniej posesja bez hektarów ziemi, garażu wielkości hangaru na samoloty oraz miliona dwustu sypialni nie zasługuje na miano domu.

– Zatrzymałem się na parkingu i patrzyłem, jak powoli zapełnia się samochodami. Ludzie wracali z pracy. To był dość pochmurny dzień z dodatkowo dołującą aurą. A ja się jeszcze nakręcałem, że żyjesz w jakimś, kurwa, Smutasowie. Oczami wyobraźni widziałem już, jak wyrastasz na kogoś pozbawionego chęci i motywacji do życia. Koszmar.

– Czy my mówimy o tym samym miejscu? Tam, gdzie się wychowałam, sąsiedzi byli dla mnie zawsze bardzo mili i serdeczni. Pan Nelson pozwalał mi nawet zbierać czereśnie ze swojego ogródka.

Cam skinął głową, jakby nie chciał się ze mną na ten temat kłócić.

– Zgoda, królowno, może trochę przesadzam i wyolbrzymiam. Jednak tak to zapamiętałem, mówię szczerze. Zupełnie się przeraziłem. – Ojciec wzruszył ramionami.

Milczałam, bo zadowoliła mnie jego odpowiedź.

– W każdym razie czekałem na wieczór, żeby okolica opustoszała. Siedzę, czekam, patrzę. Podjeżdża jakieś auto, najwykleszy ford, i zatrzymuje się niedaleko bramy. Nie parkuje, tylko stoi. No i nie mija kilka minut, jak nagle z bloku wychodzi Gabriella. – Ojciec przewrócił oczami na wspomnienie, podczas gdy moje się zaświeciły, jak zawsze, kiedy mówił o mamie. – Włosy miała zebrane do tyłu, ładnie tak, była umalowana i miała na sobie długą sukienkę. Granatową, z dżinsową kurtką zarzuconą na ramiona. Przez kilka sekund gapilem się na nią jak idiota. Przypomniałem sobie, jak kiedyś mnie oczarowała i że jest nie tylko piękną kobietą, lecz także mądrą. Taki klejnot. A jak jeszcze się uśmiechnęła? Cholera, przecież aż mi serce stanęło. – Cam zaciągnął się cygarem, patrząc w dal, zapewne w głowie wizualizując sobie to, co lata temu zobaczył na własne oczy.

Też przypomniałam sobie uśmiech mamy. Był piękny, zawsze szczerzy i sympatyczny. To był taki uśmiech, dla którego warto było mieć zmarszczki.

– No. – Ojciec pokiwał głową. – Potem zobaczyłem, że uśmiechała się tak właśnie do tego gościa w aucie. A on to był taki, kurwa, wiesz, klasyczny figo- fago. – Zerknął nagle na mnie i odchrząknął. – Przepraszam, Hailie, nie powinienem się wyrażać.

Machnęłam lekceważąco ręką. Wulgaryzmy już dawno przestały robić na mnie wrażenie. Żyjąc pod jednym dachem z bliźniakami i Dylanem, zdążyłam się do nich przyzwyczaić.

– Gaby wsiadła do tego samochodu i zamieniła z typem parę słów. Nie było żadnego całowania, więc wywnioskowałem, że dopiero zaczynali się spotykać. Zaraz odjechali. A ja zostałem i jeszcze bardziej się nachmurzyłem, bo jak by nie było, moja męska duma ucierpiała. To takie głupie, moja Hailie, wiem, bo przecież nie spotykałem się już z twoją mamą, ale coś mnie tak ukłuło. – Cam położył sobie wolną dłoń na żebrach. – No po prostu wkurwiłem się, co tu dużo mówić.

Słuchałam go w milczeniu. To było dla mnie trudne. Z jednej strony chciałam bronić mamy, z drugiej wiedziałam, że ona sama też nie była bez winy i szkoda było mi ojca. No a przecież byli dorosłymi ludźmi, powinni byli jakoś, bo ja wiem, rozpracować to razem.

– Ile ja wtedy miałam lat? – zapytałam, marszcząc brwi.

– Prawie cztery.

Och. Prawie cztery. Niewiele pamiętałam z tak wczesnych lat mojego życia. A już na pewno żadnych ojców.

– I co było dalej?

– Ściemniło się. W jednym z waszych okien wkrótce zapaliło się światło. Ze dwa razy mignęła mi postać kobiety, więc domysliłem się, że musi tam z tobą być twoja babcia albo może ewentualnie jakaś niania. Stawiałem na babcię. Wiedziałem, że Gabriella mieszkała ze swoją matką.

Cam przez chwilę wpatrywał się w końcówkę swojego cygara i zupełnie nie potrafiłam odgadnąć, o czym myśli.

– Ta wasza ulica zrobiła się bardzo ponura, gdy zapadł mrok. Oświetlały ją tylko lampy, ale co druga nie działała, więc efekt był upiorny. Ja jednak nie narzekałem, bo pod przykrywką nocy zawsze czuję się swobodniej. Jest jak dobra, lojalna przyjaciółka, która dotrzyma każdej tajemnicy. Dlatego czekałem, aż nadejdzie. Był październik, więc nastąpiło to całkiem szybko. Chodniki opustoszały, bo to wasze osiedle zamieszkiwali tacy najwyczajniejsi w świecie ludzie, którzy po powrocie z nudnej pracy już nastawiają budziki, by rano znowu do niej wstać, a szczytem ich wieczornej atrakcji jest obejrzenie programu w telewizji. Nieliczni tylko wychodzili na ostatni spacer ze swoimi psami. Wtedy zdecydowałem, że czas zacząć działać.

Poczułam, jak wzbierają we mnie emocje.

– Trochę się denerwowałem. Nie twoją babką czy sąsiadami, ale tym, że już zaraz zobaczę na żywo swoją córeczkę. Że będę ją trzymać. Miałem dosłownie ciarki na plecach. Dlatego jeszcze sobie zapaliłem. W tamtym czasie naprawdę dużo paliłem. – Mówiąc to, ojciec wymachiwał swoim cygarem. – Najwięcej zacząłem po śmierci żony. Wiesz, morderstwo, piątka dzieciaków na głowie, świadomość, że mam córkę, której nigdy nie poznałem. Praca. Nie było sekundy, żebym się nie stresował. Dusłem się z nerwów, każdego dnia, o każdej godzinie. Do tego stopnia, że prawie się do nich przyzwyczaiłem. Jeszcze trochę i może byśmy się zakumplowali – zażartował ojciec, zapewne chcąc rozładować atmosferę.

Słuchałam go uważnie, bo wołałam, by nic mi nie umknęło, i uśmiechnęłam się sztucznie, bo widziałam, jak oczekuje mojej reakcji.

Cam westchnął i może pożałował, że w ogóle zaczął tę opowieść, ale wiedział, że nieelegancko byłoby się teraz wycofać, dlatego kontynuował.

– W końcu wypaliłem papierosa. Wzruszyłem ramionami, żeby je rozluźnić. A nawet strzeliłem knykциями, jakbym już szykował się na bójkę. W sumie wiesz, nigdy nic nie wiadomo. – Uniósł delikatnie jeden kącik ust. Tak również robił czasem Vincent. – A potem ruszyłem przed siebie, w stronę waszego domu. W drodze poklepałem się po kieszeniach kurtki, żeby upewnić się, że na pewno mam tam kluczyki od auta i broń.

Za długo mieszkaliśmy z moimi braćmi, żeby miało mnie zszokować słowo „broń”, chociaż świadomość, że ojciec, realizując swój plan rzekomego odzyskania mnie, uznał bycie uzbrojonym za konieczne, wzbudzała we mnie mieszane uczucia.

– Wszedłem do środka i zacząłem wspinać się po schodach. Zapaliło się światło. Nie spodobało mi się to, bo, jak mówiłem, w ciemności czułem się bezpieczniej. Przynajmniej mogłem porozglądać się wkoło, żeby nie umknął mi żaden szczegół. Choć szczerze, wszystkie te korytarze były takie same. Długie, puste i nieciekawe. Cholernie ciasne.

Trudno mi było wyobrazić sobie Cama w budynku, w którym mieściło się nasze stare mieszkanie. Jak wchodzi po tych samych schodach, po których ja sama zasuwałam przez większość swojego życia. On też tam był! Hailie z przeszłości, gdyby to usłyszała, dostałaby zawału. Zresztą Hailie z teraźniejszości też niewiele do niego brakowało.

– Jak tam wszedłeś bez klucza?

Cam uniósł brew.

– Wejście do waszego budynku to bułka z masłem. Zadzwoiłem do domofonu pod losowy numer. Przedstawiłem się jako sąsiad, który zapomniał kluczy, i jakaś kobitka wpuściła mnie, zanim zdążyłem nawet dokończyć zdanie. Ludzie powinni być ostrożniejsi.

Nagle kurtyna koralików w drzwiach poruszyła się i zagrzechotała, gdy z domu wyszła do nas Blanche. Jedną rękę miała jak zwykle kontrolnie wyciągniętą przed siebie, ale w drugiej trzymała ceramiczny półmisek, różowy, ze złotymi brzegami. Znajdowały się w nim minicroissanty z białą czekoladą, oprószone delikatną warstwą cukru pudru.

– Macie – burknęła, wyciągając przed siebie półmisek, który przejął od niej Cam. – Zostawiłam kilka specjalnie dla was.

Podziękowaliśmy jej, bo był to dosyć spory wyczyn. Blanche upiekła te rogaliki na pożegnalne śniadanie dla bliźniaków, którzy nie dość, że opychali się nimi przy stole jak nienormalni, to jeszcze zwinęli pozostałości do pudełka, żeby mieć przekąskę na drogę. Dlatego podwójnie doceniłam starania Blanche i jej przebiegłość, że jednak udało jej się cokolwiek przed nimi ukryć.

Babcia nie zamierzała urządzać sobie z nami pogaduszek, bo od razu schowała się z powrotem w domu, a ja z ojcem powróciliśmy do rozmowy. Całe szczęście, że to on głównie mówił, bo mogłam sobie bezwstydnie zapchać usta słodkościami. Gdy już pobudziłam kubki smakowe, rzuciłam mu ponagląjące spojrzenie.

Zanim ponownie podjął temat, uśmiechnął się do mnie lekko.

– No to... wreszcie stanąłem pod waszymi drzwiami. Drzwi jak drzwi, łatwo by mi z nimi poszło, gdyby ktoś, nie wiem, na przykład nie chciał ich otworzyć po dobroci. – Na to stwierdzenie przebiegły mnie ciarki. – Zapukałem. Judasz zakryłem palcem, chociaż twoja babcia i tak miała go chyba dla ozdoby, bo otworzyła mi w ciemno. Wkurzyłem się jeszcze bardziej. Że moją córką zajmuje się ktoś tak łatwowierny i nieuważny. Nieodpowiedzialny.

– Twierdziła, że nigdy cię nie poznała – powiedziałam, specjalnie przeżuając szybciej, żeby się wtrącić, bo nie chciałam wysłuchiwać tych wszystkich przykrych słów, którymi Cam opisywał moją babcię.

– No wiesz, to nie było tak, że tam sobie piłem z nią herbatkę i pierdoliłem o głupotach. Nie wiedziała, kim jestem, ale szybkoitko się domyśliła. Chciała zatrzęsnać mi drzwi przed nosem, ale jej nie pozwoliłem. W końcu nie pierwszy raz nieproszony wjechałem się komuś do domu. Wszedłem. Nie pierwszy raz. Chryste, przepraszam cię, Hailie, jestem zbyt wulgarny. – Cam potarł sobie czoło. – To przez emocje. Za dużo przeklinam. Tylko po mnie nie powtarzaj, królewno.

– Nie będę – obiecałam.

Uśmiechnął się do mnie, ale zaraz szybko spoważniał.

– Wiedziałem na pewno, że to twoja babcia, bo była bardzo podobna do Gabrielli. Wprosiłem się do środka, nie miała szans. Bez słowa chodziłem od pomieszczenia do pomieszczenia, kompletnie ją ignorując. A ona wszędzie za mną. I ciągle coś tam

szeptała gorączkowo, a to, żebym się wynosił, że to najście, że tak nie można i takie tam pitolenie. Wiesz, czemu się nie darła?

Pokręciłam głową, gdy przerwał na chwilę.

– Bo ty spałaś. Nie chciała, żebyś się obudziła.

Serce zacisnęło mi się mocniej.

– Tak, a ja miałem wszystko w dupie, bo jak już sobie coś wbiłem do głowy, to miało być po mojemu, zawsze. Byłem w salonie, gdzie świecił się wyciszony telewizor, w kuchni, gdzie unosił się zapach suszonych grzybów. Na lodówce wisały te takie kolorowe magnesy dla dzieciaków. W kształcie literek. Takie abecadło, wiesz. A następne drzwi, które otworzyłem, prowadziły właśnie do twojej sypialni. Dopiero wtedy się zatrzymałem.

Widziałam to. Wszystko widziałam w głowie. Przecież wspaniale znałam rozkład tego mieszkania. Wyobrażałam sobie każdy krok, jaki stawiał ojciec. I to, jak babcia podążała za nim, biadoląc półgłosem. A potem jak stanął w progu mojej dziecięcej sypialni. Ojciec też właśnie przywoływał te wspomnienia, widziałam to w jego zapatrzonych w dal oczach.

– Całe mieszkanie było zaskakująco przytulne. A twój pokójk przeuroczy. Miałś takie małe mebelki. Dużo zabawek. Wszystkie schludnie poukładane. Pomyślałem sobie, że musisz być podobna do Vince'a, on też od małego był perfekcjonistą.

Oczy mi się zaszkliły.

– A potem dostrzegłem maleńką postać na łóżku. W pokoju było ciemno, ale wpadało trochę światła z korytarza przez otwarte drzwi. Zobaczyłem cię. Po raz pierwszy. Leżałaś skulona pod kocem w takie, nie wiem, kurwa, co to było, jakieś zezowate żyrafy. Włosy miałaś rozsypane na poduszce. Ciemne. Moje, nie rude jak Gabrielli, tylko moje ciemne włosy. Stanąłem jak wryty i myślałem sobie tylko, że „Chryste, to przecież ona, to moja dziewczynka”.

Usta przykryłam dłonią, bojąc się, że wydostanie się z nich jakiś niepożądany dźwięk.

– Z transu wyrwała mnie twoja babcia, która złapała mnie za ramię, ale od razu się wyszarpnąłem i ruszyłem w twoją stronę. A ona zaczęła skomleć znowu, żebym cię zostawił w spokoju, że źle się czujesz, że jesteś chora i masz gorączkę, że to grypa i że przeze mnie dostaniesz zapalenia płuc. Zbliżyłem się do twojego łóżka, zupełnie głuchy na jej słowa. Spojrzałem na twoją twarzyczkę, na drobny nosek, pucołowate policzki, wachlarz rzęs. Byłaś idealna. I już wiedziałem, że nie ma, kurwa, szansy, żebym wyszedł stamtąd bez ciebie. Dlatego wziąłem cię na ręce. Delikatnie. Poruszyłaś się, ale oparłaś o moje ramię i wciąż spałaś. Wtedy to już w ogóle twoja babka spanikowała. Zaczęła mówić coraz głośniejszym głosem i chyba nawet ryczeć. Niespecjalnie obchodziło mnie jej wycie.

Nie potrafiłam się ruszyć. Zapomniałam już nawet o croissantach. Siedziałam i wgapiałam się w ojca, który z kolei już na mnie nie patrzył. On duchem był teraz w przeszłości, jakieś dwanaście lat temu. Ja natomiast słuchałam, słuchałam i nie wierzyłam własnym uszom. Próbowałam sobie zwizualizować prawie czteroletnią siebie, zaspaną, w ramionach wysokiego, brodatego faceta odzianego w czarną skórzaną kurtkę i z pistoletem za pazułą.

– Kierowałem się do wyjścia, a twoja babka mnie wyprzedziła i krzyczała, że mnie nie puści. I znowu ta gadka o zapaleniu płuc. Kazałem jej zejść mi z drogi. A ona swoje. A ja nie miałem czasu do stracenia... Wtedy wyjąłem broń.

Głośno nabrałam powietrza. Cam zacisnął palce na balustradzie.

-Groziłeś mojej babci? – wyszeptałam słabo.

– To za chwilę. Najpierw ty się rozbudziłaś. Rozejrzałaś się nieprzytomnie. Rzeczywiście źle się czułaś. Nie do końca rozumiałaś, co się dzieje. Twoja babcia coś tam do ciebie świergotała, żebyś się nie bała, nie wiem, na cholerę, bo wcale nie byłaś wystraszona, tylko bardziej dezorientowana. A ja pogłaskałem cię po tych roztrzepanych włoskach, po czym przycisnąłem twoją główkę z powrotem do swojej piersi w nadziei, że wrócisz do snu. Tą samą ręką, w której trzymałem broń. – Cam zaśmiał się bez krzty humoru. – Tak, moja Hailie, zonglowałem sobie pistoletem przy główce mojej córeczki niczym rasowy klaun.

Milczałam.

– Odplynęłaś znowu. A ja wiedziałem, że naprawdę muszę się już zbierać. Wtedy wycelowałem w twoją babcię. Powiedziałem, że zabieram ciebie, a ona zostaje, żywa lub martwa. Jej wybór. Rozumiała, że mówiłem serio. Dlatego gdy odbezpieczyłem broń, żeby pokazać, że tracę cierpliwość, odsunęła się. Nie czekałem na zaproszenie, tylko uciekłem z tego mieszkania jak najszybciej. Zbiegłem po schodach. Opatuliłem cię szczelniej twoim kocem, bo bałem się, że na serio dostaniesz tego całego zapalenia.

Ciągle myślałam o mojej biednej babci. Ona była łagodna jak baranek, nie zasługiwała na tak szorstkie obejście. Ależ ona musiała być przerażona.

– Auto wypożyczyłem z fotelikiem, więc od razu cię tam posadziłem. Chryste, jak mi drżały ręce... nie mogłem trafić w zapiecia. Przykryłem cię kocem. Zsunął się. Przykryłem znowu. Przeklinałem w myślach jak szewc. No, a potem usiadłem za kierownicą i odjechałem, nie oglądając się za siebie. Wiedziałem, że w oknie na pewno stała ta twoja babka, już z telefonem przy uchu.

Czyli naprawdę mnie zabrał. Gdy zaczął opowiadać tę historię, nie sądziłam, że posunął się tak daleko. Dlaczego nie pamiętałam tak istotnego wydarzenia ze swojego życia?

– Porwanie cię w tak niezrównoważonym stanie, w jakim wtedy byłem, to jedna z najidiotyczniejszych rzeczy, jaką w życiu zrobiłem. – Cam pokręcił do siebie głową.
– Straszny był ze mnie porąbaniec. Planowałem przez część nocy być w trasie. Zawsze lubiłem prowadzić, gdy jest ciemno. Oczyszcza to głowę. Wymyśliłem sobie, że ty będziesz spała, a ja się otrząsnę i trochę wezmę w garść. Docelowo miałem łapać do domu samolot, ale to później i na pewno nie z pobliskiego lotniska. Jednak pokrzyżowały mi się szyki, bo w trakcie jazdy się przebudziłaś. A nawet nie wyjechaliśmy jeszcze z miasta... Trochę kaszlałaś. Miałaś rumieńce na policzkach. Drżałaś. W końcu zaczęłaś sobie mamrotać coś pod nosem. Chciałaś do mamy. Ale byłaś zbyt wyczerpana chorobą, żeby stawiać większy opór. Patrzyłem na ciebie ciągle w lusterko i z tego wszystkiego prawie wjechałem się na rondo nie z tej strony co trzeba. Cholerna Anglia.

Teraz też drżałam. Zagryzłam wargę.

– Do samego końca białem się z myślami, ale coś mnie tak tknęło, że nie no, nie mogę być takim bucem. Nie chciałem ci zaszkodzić, naprawdę. Chciałem, żeby było ci ciepło i wygodnie. Żebyś czuła się komfortowo. Nie przewidziałem tego, że będziesz chora. Jakoś tak ciężko oddychałaś. Powinnaś była być w łóżku i ja to wiedziałem. Panikowałem, Hailie, że przeze mnie poczujesz się jeszcze gorzej.

Ojciec w końcu wypalił swoje cygaro. Nachylił się, by zgasić jego końcówkę w popielniczkę, i odchrząknął, a potem dotknął kieszeni swoich spodni, jakby od razu chciał wyciągnąć nowe. Jednak powstrzymał się przed tym i zamiast tego pogładził swoją brodę.

Patrzyłam na niego z niemożliwą do ukrycia rezerwą, mimo że wiedziałam, jak opowieść się skończy. Przecież nawet nie pamiętałam tego epizodu. Wychowywała mnie mama. Chłopcy długo nie wiedzieli o moim istnieniu. A mimo wszystko bałam się finału. Jakbym miała usłyszeć, że ojciec mnie wtedy porwał i już nigdy nie zobaczyłam mamy i babci.

– Zatrzymałem się w końcu na obrzeżach miasta. Długo szukałem w nawigacji odpowiednika typowego amerykańskiego motelu, bo zależało mi na prywatnym wyjściu z pokoju. W końcu coś znalazłem, stary i obskurny budynek. Na dworze kręciło się kilku podejrzanych typów. Całe szczęście, że ja też byłem podejrzany, więc się mnie nie czepiali. Wparowałem z tobą na rękach do recepcji. Wziąłem jakiś pokój, byle jaki, żeby tylko był ciepły i z wielkim, wygodnym łóżkiem, tak sobie zażyczyłem. I taki był. Od razu tam cię położyłem. Przykryłem kocem, tym w żyrafy. I kołdrą. Kaszlałaś, więc dałem ci wody. Spuściłem rolety. I chodziłem tam i z powrotem. Chciałem zapalić. Ale nie chciałem cię zostawiać. Siedziałem i patrzyłem na ciebie, głaskałem cię po głowie. Uczyłem się twojej twarzy, byłaś najpiękniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widziałem. Myślałem, że jak już będę cię miał przy sobie, to poczuję się lepiej, ale ciężar w środku nie zelżał.

– Nie bałeś się, że policja od razu cię namierzy? – zapytałam. Gardło miałam ściśnięte, więc zdawało mi się, że brzmię dziwnie.

– Gabriella wiedziała, że gdyby poszła na policję, to tylko pogorszyłaby sprawę. Znała moje możliwości. Sam jej opowiadałem, jakie przekręty robiliśmy. Wiedziała, jak szybko mogę sprawić, żeby prawo było po mojej stronie. Nawet w innym kraju. A, jak mówiłem, była inteligentna. Wiedziała, że jeśli naśle na mnie policję, to obróci się to przeciwko niej.

-W takim razie co... jak? Znalazła cię? Musiała cię znaleźć. Jak? – pytałam, starając się wymyślić coś sensownego, co na jej miejscu można byłoby zrobić.

– Był środek nocy. Spałaś, ale bardzo płytkim snem. Męczył cię trochę kaszel. Plułem sobie w brodę, że nie kazałem twojej babce oddać mi żadnych syropów czy czym cię tam leczyli. Nie pomyślałem. Nie chciałem też cię budzić, ciągnąć do apteki. Hailie, za nic nie wiedziałem, co robić. Siedziałem na chodniku przed pokojem, paliłem fajkę za fajką, a drzwi były uchylone tak, żebym cię widział. Co chwilę zerkalem na łóżko, ale gapilem się też na parking. No i za którymś razem podjechało auto, które natychmiast rozpoznałem. To był wóz tego frajerka, z którym wcześniej spotkała się Gaby. Ledwo się zatrzymał, a z miejsca obok kierowcy już wyskoczyła ona, ubrana tak samo jak przedtem, tylko już nie tak ładnie uczesana. No i nie uśmiechała się. Była blada, przejęta, przerażona. Biegła do recepcji. Ta jej niebieska sukienka plątała jej się przy kostkach. Obserwowałem ją, wiedząc, że za sekundę odwróci głowę i mnie dostrzeże. Było ciemno, ale nie aż tak bardzo. Czekałem, czekałem, aż mnie zobaczy. Mógłbym uciekać, ale w głębi ducha ucieszyłem się, że

mnie znalazła. Rozumiesz, czułem się tak bezradny, że nagle wydało mi się to najlepszym rozwiązaniem.

– Ale chwila, skąd wiedziała, gdzie się zatrzymałeś? – Zmarszczyłam brwi. Wzięłam też kolejnego croissanta, ale już bez zamiaru zjedzenia go. Byłam na to zbyt przejęta. Obracałam go po prostu w rękach, brudząc palce pudrową posypką.

– No właśnie. Okazało się, że ten frędzel, z którym miała randkę, to gliniarz. Żadna szychy, ale wiesz, dostęp gdzie trzeba miał. A ja na pewniaka zameldowałem się na swoje nazwisko. Jak tylko cię zabrałem, twoja babka zadzwoniła do Gabrielli. Ona zaczęła panikować i ten facet, z którym była, chciał pewnie jej się przypodobać, więc pomógł jej ustalić, gdzie się zatrzymałem. Przez kawał nocy wydzwaniał po hotelach i zajazdach w mieście i okolicach, by powołując się na jego autorytet, wypytać o gościa o nazwisku Monet. Gabriella potem przyznała, że nie wierzyła, że uda jej się mnie tak znaleźć. Nie sądziła, że naiwnie wynajmę pokój w motelu w okolicy. Najpierw kontaktowali się z lotniskami. Przyznałem jej, że pierwotny plan był inny.

– Rozmawialiście? Chciała z tobą rozmawiać?

Odłożyłam już croissanta na bok, niezdolna w tej chwili do przeżuwania. Spuściłam stopy na ziemię i znowu się skrzywiłam z powodu bólu kolan. Szybko jednak nachyliłam się też do przodu, bo czułam się, jakbym oglądała wciągający film, z którego nie chciałam przegapić ani sekundy.

– Nie od razu. Faktycznie mnie zobaczyła. Zanim wpadła na recepcję. Zatrzymała się na chwilę i zmrużyła oczy. Wiedziałem, że już za sekundę mnie rozpozna. Gasilem papierosa, gdy nagle biegiem rzuciła się w moją stronę. Na twarzy miała wymalowaną determinację i wściekłość. Do tej pory pamiętam jej oczy. Tęczówki prawie zniknęły, gdy z tej całej złości źrenice jej się rozszerzyły.

Pamiętałam to. Gdy moja mama się złościła, jej źrenice faktycznie się powiększały. Działo się to jednak bardzo rzadko, bo zwykle potrafiła panować nad emocjami.

– Wydarła się do mnie: „Ty łajzo!”. – Cam pokręcił głową i zaśmiał się krótko, dosyć ponuro. – Ale ominęła mnie natychmiast i wpadła do pokoju, przed którym siedziałem. Westchnąłem. Wstałem. Tamten jej frajerek ruszył w moją stronę, ale go zlałem i wszedłem do środka, zamknąłem za sobą drzwi. Gabriella leżała już na łóżku, tuż obok ciebie, przytuliła cię. Ty też ją przytuliłeś. Mruczałeś pod nosem takim cienkim głosikiem „Mama, mama, mama...”. A ona cię uspokajała.

Moje oczy znów zaczęły błyszczeć od łez. Żałowałam, że nie mam w zasięgu ręki żadnej chusteczki. Przypomniały mi się kojące uściski mamy.

– Otuliła cię, dała jakieś lekarstwo, które wyjęła z torebki, a wcześniej zabrała z domu. Wiedziała, jak się tobą zająć, nie to, co ja. Długo tak z tobą leżała, a ja opierałem się o ścianę i patrzyłem na was... Na dwie dziewczyny, które mogłyby być moje, ale nie były.

Z PRAWEM NIE PO DRODZE

Chwilę to trwało, zanim zasnął znowu. Wtedy Gabriella się od ciebie odsunęła, wstała, poprawiła twój koc i wreszcie odwróciła się do mnie.

Była nadal wściekła, ale potrafiła kontrolować swoją złość.

– Coś ty zrobił, co to miało być?! – zawołała do mnie półszeptem.

Dłonie zaciskała w pięści. Żądała wyjaśnień tu i teraz.

Pokręciłem głową. Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć.

Wtedy do drzwi zapukał ten jej picuś.

– Gaby?! Gaby, jesteś tam? Wszystko okej?

Ona odpowiedziała mu, że tak i żeby chwilę poczekał. Mądra kobieta, dobrze wiedziała, że jego obecność tylko by mnie rozdrażniła.

– Porwałś moją córkę! – wycodziła Gabriella przez zaciśnięte zęby.

Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała. Jeansowa kurtka prawie ześlizgiwała jej się z ramion.

– To też moja córka – odparłem. Wciąż opierałem się o ścianę, a ręce założone miałem na piersi.

– Której wychowanie zgodziłeś się powierzyć mnie!

– Wymusiłaś na mnie obietnicę, której wcale nie chciałem składać. Zagrałaś mi na emocjach.

– Och, jakiś ty biedny, jaki zmanipulowany! – zakpiła Gabriella. – Daruj sobie te teksty. Żyjesz życiem, jakiego żadne z nas nie chce dla Hailie. Wiedziałeś to wtedy i wiesz to teraz.

– Jestem jej ojcem i mam prawo się nią zajmować.

Gaby odrzuciła głowę i zaśmiała się ironicznie.

– Chłopie, ty ją PORWAŁEŚ! – zawołała. – Wpadłeś do mojego mieszkania, groziłeś mojej mamie BRONIA i zabrałeś sobie śpiące, na dodatek chore dziecko! Co ty w ogóle sobie myślałeś?

Westchnąłem i odepchnąłem się od ściany, a także uniosłem przed siebie ręce.

– Okej, okej. Może mogłem to lepiej załatwić...

– Lepiej załatwić? – Gaby znowu się zaśmiała i pokręciła głową z jawnym niedowierzaniem. – Moja matka prawie dostała przez ciebie zawału! To starsza kobieta, mogłeś ją zabić! Będzie miała przez ciebie traumę...

– To po cholere otwiera drzwi nieznanym? – burknąłem, bo akurat wierzyłem, że na jej bezmyślność naprawdę powinno zwrócić się uwagę.

Gaby wycelowwała we mnie palcem wskazującym.

– Nie. Odwracaj. Kota. Ogonem.

– Gdybyś sobie nie randkowała z jakimiś platfusami, tylko zajmowała się córką, to nie poszłoby mi tak łatwo.

– Jak śmiesz wytykać mi takie rzeczy? Co ty wiesz o moim życiu prywatnym?

Teraz to ja uśmiechnąłem się złośliwie.

-Wiem, że zamiast zostać z, jak sama to podkreśliłaś, chorym dzieckiem, wolałaś wałęsać się z tamtym wałem.

Gabriella zrobiła krok do przodu, jakby rozważała rozszarpanie mnie.

– Jeśli musisz wiedzieć, pierwszy raz wyszłam w tym roku na spotkanie, które ledwo można określić mianem randki. Pierwszy raz! Wskoczyłam na chwilę po tym, jak Hailie zasnęła. Na kolację. Tylko i wyłącznie kolację. A ty pewnie sobie pukasz i stukasz dziewczyny na prawo i lewo, nie mam racji? I ty masz czelność wytykać mi wyjścia?!

Nie mogłem nie unieść na to kącika ust. Nie jestem też dumny z tego, co następnie zasugerowałem...

– Jesteś zazdrosna?

– Chciałbyś.

Na chwilę zapadła cisza, którą przerwało ciche stukanie do drzwi.

– Gaby, wchodzę – oznajmił ten jej przydupas.

Wywróciłem oczami, a Gaby zwróciła się w jego stronę, gdy już pojawił się w środku. Był chudy, chyba w życiu nie widział siłowni na własne oczy, no i też dosyć wysoki. Założył kraciatą koszulę i wytarte dżinsy. Musiał być koło trzydziestki. Nic specjalnego.

– Wszystko w porządku? – zapytał, podchodząc do Gabrielli. Położył dłoń na jej ramieniu, jakby chciał okazać jej wsparcie. Zerknął też na ciebie, śpiącą na łóżku obok.

– Tak, tylko wyjaśniamy sobie kilka rzeczy – powiedziała chłodno Gaby, brodą wskazując na mnie, stojącego naprzeciwko.

– Słuchaj, powinienem cię aresztować za taką akcję – zwrócił się do mnie, a ja nie mogłem się powstrzymać i znowu przewróciłem oczami.

– Ach, a więc to policjancik. Teraz wszystko się zgadza. – Pokiwałem ze zrozumieniem głową, bo wtedy domyśliłem się, jakim cudem mnie znaleźli. Rzuciłem krzywe spojrzenie Gabrielli. – Ależ sobie wybrałaś.

Od razu wyobraziłem go sobie w mundurze, jak zapewne musiał cwaniakować na służbie. Miał taki arogancki wyraz twarzy. Ale ja też potrafię być arogancki.

– Już słyszałem, że tobie z prawem nie po drodze – wytknął mi policjant.

– Zdradziłaś przypadkowemu psu, kim jestem? – Zwróciłem się do Gabrielli, udając oburzenie. Udając, bo tak naprawdę w dupie miałem, co on o mnie wie.

– Jakoś musiałam mu wyjaśnić, dlaczego nie chcę oficjalnie zawiadomić policji o porwaniu córki.

– Mogę wypisać ci mandat za obrazę funkcjonariusza – dodał policjant, a jego brwi się nastroszyły.

Mówię ci, królewno, cymbał.

– Nie ośmieszaj się – mruknąłem.

Chciał mi coś odszczekać. Już na dzień dobry widziałem, że nie darzy mnie sympatią, zresztą z wzajemnością. Twoja mama jednak go powstrzymała, nawiązała z nim kontakt wzrokowy, po czym odwróciła się do mnie. Wyraz twarzy jej się zmienił. Nie był już taki wrogi.

– Cam – powiedziała i brzmiała też inaczej. – Cam, proszę. Nie zabieraj mi jej.

Na zewnątrz była twarda, ale w duchu trzęsła się na myśl, że miałbym pojawić się w waszym życiu. Skąd to wiedziałem? Na Florydzie, jak ci opowiadałem, utkaliliśmy sobie wspólną nić porozumienia, dzięki której tamtego dnia tak łatwo mi się Gabriellę czytało. Po prostu ją znałem. Nieporównywalnie lepiej niż ten nadęty gach, z którym przyjechała.

Spojrzałem wtedy na ciebie. Spałaś niespokojnie, ale trudno się dziwić, skoro tuż obok ciebie klóciła się trójka dorosłych.

– Bo co, już jej załatwiasz nowego tatusia? – prychnąłem bez rozbawienia.

Pajac, który zrozumiał, że mówiłem o nim, się uśmiechnął. Uśmiechnął.

– Nie – odpowiedziała mi Gabriella, siląc się na spokój.

– Na pewno byłbym dla małej lepszym ojcem niż przestępca. – Policjancik mrugnął do mnie, a ja się wściekłem. Nikt do mnie nie mówi w ten sposób, Hailie, nikt absolutnie.

– Przestań – fuknęła na niego twoja mama, ale to na nic, bo ja już się na niego rzuciłem.

W biegu dostrzegłem, jak sięga za pas. Ruch typowy dla posiadaczy broni. Zrozumiałem, że ją wyciąga, więc ja wyjąłem swoją. I nagle wszystko się zatrzymało. Staliśmy naprzeciwko siebie w motelowym pokoju, celując do siebie z broni.

Znieruchomiła Gaby patrzyła na naszą dwójkę, po czym zaczęła się cofać, przy okazji próbując zakryć cię swoim ciałem.

– Strzelisz do mundurowego? – syknął policjant z niedowierzaniem.

– Mundurowi też czasem znikają. – Wzruszyłem ramionami, a on wycelował jeszcze precyzyjniej.

– Myślisz sobie, że jesteś kimś ważnym, ale w rzeczywistości zwykła z ciebie kanalia. Brzydzę się zbrodniarzami jak ty.

– A ja brzydzę się małymi pieskami, które głośno szczekają, bo przygniatają je kompleksy wielkie jak Azja. Leć lepiej z powrotem lizać dupę swojemu przełożonemu, mała płotko, i pozwól dorosłym porozmawiać.

-Cam... – jęknęła błagalnie Gaby.

– Wyświadczyłbym światu przysługę, gdybym cię załatwił. Nikt by za tobą nawet nie zapłakał – odpyskował.

– Alec... – Tym razem zwróciła się do niego, tym samym tonem.

– Ty sam byś zapłakał, gdyby moi wspólnicy dobrali ci się do dupy.

Platfus otwierał usta, żeby zarzucić kolejną ripostą, gdy Gaby nie wytrzymała.

– Wystarczy! – wrzasnęła tak głośno, że aż się poruszyłaś, ale tylko zakaszłaś i nie otworzyłaś oczu. Rzuciła się, by pogłaskać cię po głowie, ucałować w czoło, a potem, gdy upewniła się, że wciąż jesteś pogrążona we śnie, z powrotem odwróciła się do nas. Prawie drżała ze złości. – Co wy odwalacie? Zachowujecie się jak dzieci, które obrzucają się wyzwiskami i tylko przypadkowo dorwały się do broni. Ty! – Popatrzyła na mnie. – Twoja córka znajduje się w tym samym pomieszczeniu, a co ty robisz? Ciesz się, że jest chora, słaba, śpi i nie rozumie, co się dzieje, bo ja naprawdę nie wiem, jakbym miała jej to wytłumaczyć!

Zawahałem się na te słowa. Gabriella, oczywiście, miała rację. I nie skończyła.

– A ty! – Tym razem zwróciła się do psa. – Wcale nie zachowujesz się jak obrońca praworządności, na jakiego się kreujesz. Nie tak postępują policjanci z powołania.

– On porwał twoją córkę! – zawołał i wyrzucił rękę w powietrze. – Nawet nie zdążysz mrugnąć, nim ci ją odbierze!

– Weź spierdaj – warknąłem.

Hailie, mówię ci, to, co tam się działo, to był istny cyrk na kółkach. Ja wkurwiony, Gaby wkurwiona, platfus wkurwiony. No, takiej komedii jeszcze nie grali.

– Przestańcie do siebie celować! – zapiszczała w końcu Gabriella i gdyby miała osiem lat, to pewnie by zaczęła ze złości tupać, machać głową i bić powietrze pięściami. Niewiele brakowało, naprawdę. – Odlóżcie te cholerstwa!

Nie należę do osób, które odpuszczają jako pierwsze. Normalnie nie ma szansy, żebym opuścił broń, gdy ktoś inny do mnie celuje. Zawzięty jestem, co tu dużo mówić. Ale tym razem było inaczej. Bo usłyszałem twój głosik.

– Mama?

Spojrzałem na ciebie natychmiast. Tym razem oczy miałaś otwarte. Zaspane, ale otwarte. Lekko się podniosłaś i rozglądałaś po pomieszczeniu. Trochę się odkryłaś i widać było twoją różową piżamkę. Włosy sięgały ci tutaj, trochę za obojczyki. Jedną rączką pocierałaś sobie nos, a drugą odgarniałaś je z twarzy. Twoje ruchy były śmieszne, takie urocze, dziecinne, niezdarne. W momencie, w którym przenosiłaś spojrzenie na mnie, ja szybko schowałem broń za plecy, żebyś jej nie zobaczyła. Gaby natychmiast do ciebie doskoczyła.

– Hej, myszko, wszystko dobrze? Nic się nie dzieje. Wrócisz do spania? Hm? – szeptała do ciebie.

– Pić – zachrypiałaś, ukradkiem darując mi więcej ciekawskich, acz nieśmiałych spojrzeń. Gabriella rzuciła się po swoją torebkę, by wyjąć z niej małą butelkę wody. Machnęła gwałtownie na tego swojego policjanta, żeby schował broń, bo cymbał dalej trzymał ją wyciągniętą.

Patrzyłem na ciebie, zrobiłem krok w twoją stronę, ale się zatrzymałem. Nie chciałem cię spłoszyć. Nienawidziłem tego, że jestem dla ciebie obcy. Stałem tam jak dureń i słuchałem jak rozmawiasz z Gaby.

– Mami, gdzie jesteście?

– Nie przejmuj się, kochanie, pójdziesz spać? Jest noc, na dworze jest już bardzo ciemno, wiesz?

– A czemu nie jestem w pokoiku?

– Mama ma coś do załatwienia i chciała wziąć cię ze sobą. – Gaby dotknęła twojego noska, gdy podawała ci wodę. Podobało mi się, jak naturalnie się z tobą obchodziła. Wtedy poczułem się głupio, że oskarżyłem ją o bycie złą matką. Wytknięcie jej wieczornego wyjścia było nie na miejscu.

– Jedziemy na wycieczkę? – zapytałaś.

Boże, byłaś taka niewinna.

– Nie, to nie wycieczka, skarbie. Ale możemy coś zaplanować, hm? Jak wstaniesz rano, co? Zgadzasz się?

Coś tam jeszcze sobie pomruczałyście między sobą. Nadstawiałem ucha, żeby wyłapać każde jedno słowo, które padło z twoich ust. Chciałem do ciebie podejść i powiedzieć ci, że tak, kurwa, jedziemy na wycieczkę, że zabiorę cię, gdzie tylko sobie wymarzysz, do każdego Disneylandu, do krainy Świętego Mikołaja, gdziekolwiek, w kosmos nawet. Ale stałem i patrzyłem, jak na powrót układasz się do snu w ramionach Gaby. Powiedziałaś jej coś na ucho, zapytałaś o tych panów, co tu stoją, a ona szepnęła ci jakąś odpowiedź, po czym zamachała na nas dłonią, byśmy wyszli.

Zrobiliśmy to. Najpierw ten pajac, a ja, z ciężkim sercem ruszyłem za nim. Zatrzymaliśmy się pod pokojem. Ja oparłem się o barierkę, o tak jak i teraz, i sobie zapaliłem, a on sterczał prosto z założonymi na piersi rękami, całą swoją postawą wyrażając pogardę. Nie ruszały mnie jego fochy, nawet nie myślałem, żeby brać typa

na poważnie. Ważniejsze sprawy zwracały mi w tamtej chwili głowę. Słowem się do siebie nie odezwaliśmy, czekając na Gabriellę.

Aż w końcu do nas wyszła. Od razu zwróciła się do mnie.

– Cam, chcę zabrać ją do domu.

– Zawiozę was – zaoferował się platfus, jeszcze zanim zdążyłem choćby otworzyć usta.

Gaby zacisnęła wargi, ale wpatrywała się ciągle we mnie. Czekala na jakieś potwierdzenie z mojej strony, na akceptację. Patrzyłem prosto w jej piękne oczy. Wiedziałem, co muszę zrobić.

-Wypierdalaj – rzuciłem do policjanta prawie automatycznie, po czym odpowiedziałem jej: – Ja was odwiozę.

Platfus prychnął.

– Gaby, chyba nie wsiądziesz z tym bandziorem do auta?

– Wsiądzie, gdzie jej się podoba.

– Gaby, jesteś z dzieckiem. A on jest niezrównoważony. Nie możesz mu ufać – przekonywał ją.

Już myślałem, że odstrzelę, ale Gaby mnie powstrzymała, bo zbliżyła się do mnie i spojrzała mi prosto w oczy. Jej zielone tęczówki błyszczały, trochę skruszył jej się pod oczami tusz z rzęs. Była zmęczona. Wszyscy byliśmy.

– Cam, na pewno odwieziesz nas do domu? Do mieszkania, z którego zabrałeś Hailie? Odwieziesz tam mnie i ją? – dopytywała.

Przeszło mi przez myśl, by skłamać, że tak, a potem wywieźć je obie. Ale za bardzo szanowałem Gabriellę, by tak zrobić. Miałem do niej sentyment, zależało mi na niej. Nie chciałem jej oszukiwać. Nie chciałem was krzywdzić.

– Obiecuję.

Pokiwała wolno głową. Uwierzyła mi. Zobaczyłem ulgę na jej ślicznej twarzy.

– Okej – szepnęła.

Hailie, między nami była taka chemia, takie napięcie, że nie zdziwiłbym się, gdyby zaczęły strzelać iskry. Pierwszy i ostatni raz miałem coś takiego z twoją właśnie mamą.

– Gaby. – Platfus rozłożył ręce, patrząc na nią wyczekująco. – Co jest?

– Gówno – odparłem.

Wiem, że to dziecinada, królewno, ale nie mogłem się powstrzymać.

Gabriella odwróciła się do niego z przeproszącą miną.

– Alec, pojedę z nim – powiedziała. – Musimy wyjaśnić sobie kilka rzeczy. Dlatego to robię. Dziękuję za twoją pomoc, jestem ci naprawdę bardzo, bardzo wdzięczna.

Policjant się naburmuszył, chyba nawet nic nie powiedział. Miał zaciśniętą szczękę. Pokiwał głową, kąciaki ust zadrżały mu, jakby powstrzymywał się przed cierpkim uśmiechem i powoli zaczął się wycofywać. Bez słowa pożegnania odwrócił się i odszedł. Za chwilę usłyszeliśmy dźwięk silnika, gdy odpalił swoje auto. I odjechał.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem z twoją mamą z żalem i tęsknotą. To było takie smutne. Mówię ci szczerze, że gdyby to ode mnie zależało, to bylibyśmy razem... Hej, hej, ale czekaj, nie płacz. Nie o to mi chodziło. Królowno. Hej. To nie takie proste, ja tak sobie gadam, z mojego punktu widzenia, ale motywy twojej mamy były jasne i sensowne. Bała się, nie chciała żyć moim życiem. A ja nie byłem gotów, by je porzucić. A Hailie, musisz wiedzieć, że to, czym zarządza Vincent teraz, to pikus w porównaniu z tym, z czym ja sam się użerałem. Potęga naszej rodziny nie wzięła się znikąd. Różne rzeczy robił twój dziadek, różne rzeczy robiłem ja. Dlatego też później zdecydowałem się wyprowadzić nasze biznesy na właściwą drogę. Było zbyt niebezpiecznie. Mówię ci o tym, żebyś wiedziała, że obawy twojej mamy wcale nie były nieuzasadnione. Weź głęboki wdech. Już dobrze? Już ci lepiej? No. Nie masz co się smucić, szkoda twoich łez, naprawdę...

Otarłam wilgotne policzki raz jeszcze, nienawidząc się za to, że nie potrafiłam kontrolować wrażliwości, i to na oczach taty. Nic nie poradzę jednak, że ta historia tak mnie poruszyła.

– Myślałam, że rodzina jest najważniejsza – wymamrotałam.

Cam usiadł obok mnie, otaczając moje plecy ramieniem.

– Dla Gaby rodziną byłaś przede wszystkim ty. O ciebie dbała. Ty ją najbardziej obchodziłaś.

Prychnęłam prześmiewczo, choć tego nie planowałam.

– Ale moją rodziną jesteś również ty i chłopcy. O tym już nie myślała? Nie myślała, że chciałabym was znać i się z wami wychowywać? Starłam się ją zrozumieć, ale teraz, gdy dowiaduję się, że pojawiłeś się w naszym życiu raz jeszcze, kilka lat później... Nie wiem, jakoś nie potrafię być tak wyrozumiała. – Czułam złość do mamy. Bardzo podłe uczucie, bo przecież kochałam ją nad życie, ale doprawdy niektórych jej wyborów zrozumieć nie potrafiłam. – Zachowała się egoistycznie – dodałam, a moje brwi się nastroszyły.

Cam od razu zaczął kręcić głową, bardzo też spoważniał.

– Miej na uwadze, Hailie, że łatwo ci będzie ją teraz oceniać. Nie ma jej tu z nami, ona już nigdy nie będzie mogła się wybronić ani uzasadnić przed tobą swoich decyzji. Jestem pewien, że gdybyście mogły porozmawiać, to przekonałaby cię do swoich racji. A przynajmniej usprawiedliwiłaby swoje wybory.

– Gdyby mnie nie okłamywała, mogłaby mi je wyjaśnić, jeszcze zanim umarła.

– To było dla niej ważne, by utrzymać przed tobą w tajemnicy istnienie rodziny Monet. Chciała, żebyś miała normalne, bezpieczne dzieciństwo. Żebym nie musiał zamykać cię w domu ze strachu przed mordercami, tak jak miało się to w przypadku twoich braci. I jak muszę to robić teraz. – Przerwał na chwilę. – Nie chciała też, żebyś wychowywała się w obrzydliwym luksusie. Gdy siedzieliśmy pod pokojem motelowym, rozmawialiśmy o tym wszystkim. O pieniądzach, o twoich studiach. Powiedzmy, że rozumiałem, że miała opory, by kupować ci markowe sukienki, ale co w takim razie ze sprawami ważnymi, jak twoja edukacja? Wysyłałem wam rocznie kupę kasy, ale ona jej nie ruszała. Ani, kurwa, dolara. Założyła ci fundusz powierniczy, na który przelewała wszystkie te pieniądze. Powiedziała, że kiedy już wyrośniesz na dorosłą, inteligentną dziewczynę, wtedy ci je przekaże, a także zdradzi prawdę i zaaranżuje spotkanie. Wtedy wreszcie pozwoli mi cię rozpuszczać.

Zakryłam usta dłonią, a na plecach znowu poczułam dreszcze.

– Chciała nas zapoznać, kiedy będę starsza? – wyszeptałam.

– Umowną datą miało być twoje ukończenie szkoły średniej.

Zrobiło mi się niedobrze, moje ciało było jak wielki kociół, w którym niczym zupa gotowały się wszystkie skrajne emocje.

– Długo rozmawialiśmy. Prawie do rana. Nie mogliśmy przestać. Gaby tylko na chwilę wstała, żeby zadzwonić do twojej babci i ją uspokoić. No i co jakiś czas sprawdzała, czy śpisz spokojnie. Mieliśmy sobie mnóstwo do powiedzenia. Ulżyło mi, gdy zgodziła się, żebym cię poznał. Nieważne, że za jakiś czas, ale miałem czego się ucześć, tej nadziei, to się dla mnie liczyło. Zapewniała mnie też, że nie poznała za dobrze policjanta. Spotykała się z nim, bo był porządnym facetem, ale nie miała zamiaru kontynuować tej znajomości. Potem opowiadała mi trochę o tobie. O twoim charakterze, osiągnięciach w twoim prawie czteroletnim życiu. Mówiła, że zawsze wszystko musisz mieć poukładane, że uwielbiasz wróżki i księżniczki, no i kochasz lody.

Uśmiechnęłam się delikatnie. Tak, to się zgadzało.

– Pożegnaliśmy się nad ranem. Około szóstej was odwiozłem. Obudziłaś się, gdy dojeżdżaliśmy pod wasz blok. Gaby rzuciła do mnie na koniec „do zobaczenia”, uśmiechnęła się lekko i wzięła cię na ręce. Gdy odchodziła do bramy, widziałem jej plecy i ciebie, jak twoja bródka spoczywała na jej ramieniu. Patrzyłaś na mnie. Pomachałem do ciebie. Ty mi nie odmachowałaś, ale patrzyłaś. Byłaś jeszcze zaspana. Przeurocza... Potrzebowałem jeszcze chwili. W lusterku zerkąłem na pusty fotelik. Nie mogłem odjechać. Nie potrafiłem. Ależ to było trudne. – Cam kręcił do siebie głową. – A potem zadzwonił mój telefon. Jedna z niań chłopaków. Była przestraszona. Poinformowała mnie, że Tony jest w szpitalu.

Mimo iż wiedziałam, że z Tonym wszystko w porządku, to aż sama się zmartwiłam.

– Co się stało?

Ojciec zerknął na mnie, krzywiąc się.

– Dylan rzucił w niego cegłą.

– Chryste.

– Ta. I wtedy zrozumiałem, że i tak mam ręce pełne roboty. Że czas wracać do domu. Dopiero po tym telefonie miałem siłę uruchomić z powrotem silnik i od razu zawinąć na lotnisko, skąd złapałem pierwszy lepszy samolot do Stanów. I tak się skończył ten epizod.

-Czy z Tonym było wszystko w porządku?

– Nic poważnego mu się nie stało. Choć bliznę ma chyba do dzisiaj. Schowaną gdzieś pod tą swoją czupryną.

Siedzieliśmy chwilę w ciszy. Te krótkie przerwy były nam potrzebne, zwłaszcza mi, by przetrwać tę historię.

– Czyli gdyby mama nie umarła, i tak byśmy się poznali?

Spróbowałam wyluzować się jeszcze bardziej. Nawet sięgnęłam po zmasakrowanego już przeze mnie wcześniej croissanta.

– Na bank. Żyłem normalnie, ale ciągle myślałem o tym, że pewnego dnia wreszcie poznam córkę. Między innymi to wpłynęło na chęć zalegalizowania większości biznesów. Myślałem, że jak to zrobię, to przypodobam się Gabrielli i ograniczę ryzyko, którego tak bardzo się obawiała. Nie była to oczywiście prosta sprawa. Wymagała lat poświęceń i okazało się, że finalnie i tak musiałbym odpowiedzieć za przeszłość. Pójść do więzienia. A nie spieszy mi się tam. Dlatego sfabrykowałem śmierć, jak już wiesz. Z ciężkim sercem, ale było już za późno, by się wycofać. A wtedy dowiedziałem się, że Gabriella umarła. To był dla mnie niesłychany cios, naprawdę. Ryczałem jak dziecko. Świadomość, że z Ziemi zniknęła nagle tak wspaniała dusza, była druzgocąca. Resztę już znasz. Nastąpiła zmiana planów, adoptował cię Vincent...

Co za zawiła historia, można by napisać o tym książkę. Byłam nią trochę przytłoczona, ale też czułam dziwny spokój. Tak jakbym znalazła brakujące puzzle do układanki swojego życia.

To była najpoważniejsza rozmowa, jaką w trakcie pobytu na Kanarach z nim przeprowadziłam. Poza tym czas mijał mi dość szybko. Każde moje następne zajęcia szkolne były lepsze niż te początkowe, głównie dlatego, że nie tknęłam już więcej alkoholu i nie zasiadałam do nich na kacu.

Chodziłam na plażę z ojcem albo w towarzystwie Sonny'ego. Lubiłam tam czytać, gdy nie było zbyt wietrznie. Któregoś dnia podeszłam też do Blanche, gdy grała w bilard, a ona zaoferowała, że nauczy mnie kilku trików. Przy okazji dowiedziałam się, że biała bila miała kilka charakterystycznych rys, dzięki którym babcia mogła z łatwością odróżnić ją od reszty kul.

Moją sympatię zdobył nawet Benny, który mimo swojego introwertyzmu i chmury milczenia, która wisiała nad nim dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, okazał się bardzo miłym starszym panem. Zawsze dawał mi dyskretnie znać, gdy przynosił nowe skarby ze swojego sadu. Ostatnio przywłókł całe wiadro migdałów zerwanych prosto z drzewa. Zajadałam się nimi jak szalona.

Często też pisałam z Leo. On mi opowiadał o swoim dniu, a ja jemu o tym, co u mnie. Wiedział, że wyjechałam do babci. Dostałam pozwolenie na zdradzenie tych szczegółów. Śmiał się ze mnie, że jednego dnia smucę się, że będę musiała siedzieć w domu, a następnego pozdrawiam go z bajecznej wyspy.

Mona też o mnie nie zapomniała. Ekscytowała się jakąś świąteczną imprezą i ubolewała, że nie możemy pójść razem. Ja też żałowałam, choć w duchu myślałam sobie, że Vincent zapewne prędzej udusiłby mnie gołymi rękoma, niż zgodził się, bym poszła na domówkę organizowaną przez jakiegoś średnio rozgarniętego licealistę.

Co więcej, odzywali się też do mnie chłopcy. Było to absolutnie przesłodkie i rozanieliłam się, gdy pewnego wieczora Dylan zadzwonił do mnie na kamerce. Siedział rozwalony na kanapie w naszym salonie i na powitanie wepchnął sobie garść czipsów do buzi.

– Co tam, mała dziewczynko? – zapytał z pełnymi ustami.

– Stęskniłeś się? – zachichotałam.

– Sprawdzam, czy aby na pewno się uczysz, zamiast oglądać bajki.

– Uczę się lepiej od ciebie, chciałabym przypomnieć.

– Nie pyskuj.

Uśmiechnęłam się.

– Co tam?

– E, znowu gadasz z jakąś dupą? – zapytał Shane. Za sekundę pojawił się w zasięgu kamery. Zerknął na telefon, który Dylan trzymał przed twarzą pod dziwnym i mało atrakcyjnym dla siebie kątem. – O chuj, to Hailie, mogłeś mówić, młocie. Siema, Hailie! – zawołał Shane i zamachał to mnie.

– Cześć, Shane! – Odmachałam, szczerząc zęby.

– Kto to? – spytał Tony, również znikąd pojawiając się obok chłopaków. Zajrzał w ekran i powiedział: – A, ona. Ale ma pryszcz pod nosem. – I zajął miejsce w fotelu.

Jak mówiłam, przesłodko.

– To nie pryszcz. Ugryzł mnie komar.

– No ale ta dioda na czole to już na pewno pryszcz – stwierdził Dylan, mrużąc oczy, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Odwalcie się – jęknęłam i zasłoniłam twarz dłonią.

– Wyciskałaś go?

– Nie wolno wyciskać.

– Właśnie, bo jej się rozniesie po całej twarzy.

– Już się trochę rozniosło.

-Czyli wyciskała.

Westchnęłam głośno.

– Przepraszam, czy możemy przestać rozmawiać o moich problemach skórnych?

Nie mogliśmy. Chłopcy jeszcze chwilę się ze mnie ponabijali. Docinali mi, a ja starałam się nie pozostać im dłużna, choć nie było łatwo.

Cóż, pewnie sprawy miałyby się inaczej, gdyby moja mama nie zabrała mnie od Cama i mogłabym wychowywać się z piątką braci od małego.

42

NOŻE LATAJĄCE PO DOMU

Chłopcy nie przyjadą na święta, królewno, przykro mi.

Nie spodziewałam się, że te słowa tak mnie zabolą. Złamały mi serce i z rosnącym w środku przerażeniem i zdumieniem odkrywałam właśnie, jak bardzo uzależniłam się od swoich braci i jak bardzo ich potrzebowałam.

Po śmierci mamy i babci wbiłam sobie do głowy, że żadna gwiazdka nie rozjaśni już nigdy mojego Bożego Narodzenia. Nawet wydawało mi się, że się z tym pogodziłam. A potem, dokładnie rok temu, odczułam tę nieopisaną ulgę, gdy towarzystwo moich braci zdołało znieczulić ból, który nieuchronnie miał nadejść. Dlatego teraz czułam niepokój. To uczucie zakiełkowało na początku grudnia i z każdym dniem stawało się silniejsze. Cieszyłam się towarzystwem ojca, a nawet babci i Benny'ego, ale martwiłam się, że nie dość, że będę tęsknić za mamą, to jeszcze zrobi mi się przykro, że chłopcy będą daleko. Bałam się tego smutnego oświecenia, w które za nic nie chciałam wpadać.

A dziś, gdy wreszcie przyszedłam do taty z pytaniem, jak będą wyglądały nasze tegoroczne święta, on podzielił się ze mną tą smutną informacją.

– Vince musi pracować, Will go nie zostawi, a reszta nie chce, żeby spędzali święta samotnie, tylko we dwóch. Rozumiesz, królewno?

Pokiwałam głową, że niby tak, ale nie potrafiłam wydobyć z siebie ani słowa. Gardło miałam zaciśnięte i skupiałam się na tym, żeby przy ojcu być twarda.

Przez kolejne dni starałam się przekonać samą siebie, że jest spoko, że święta z tatą, babcią i przyszywanym dziadkiem też będą ekstra. Muszę przyznać, że nie było łatwo udawać. Byłam przybita i markotna, a dodatkowo dołował mnie fakt, że bracia nie odzywali się do mnie już od kilku dobrych dni. Ojciec mówił, że na pewno zrobimy sobie wspólną wideokonferencję, ale w ogóle mnie to nie pocieszało. Było mi przykro, że tylko ja za nimi tęsknię, a w drugą stronę już niekoniecznie.

Często chodziłam na plażę. Szumne fale pomagały mi zmyć wszelkie lęki. Oddychałam rześkim, słonym powietrzem, które studziło mój przegrzany od nadmiaru przemyśleń mózg. Tego właśnie potrzebowałam, dlatego dzień przed świętami już z samego ranka zdecydowałam się tam wybrać.

Oczywiście, moja miniwycieczka nie mogła się odbyć bez Sonny'ego, który przejął od ojca zwyczaj asekurowania mnie na śliskich schodach, prowadzących z ogrodu Blanche do samej zatoczki. Mój ochroniarz szedł więc przede mną, a ja wpatrywałam się w jego szerokie plecy odziane w granatową wiatrówkę i tak zapatrzona prawie potknęłam się, gdy zamiast na kolejnym stopniu moja stopa stanęła na piachu.

Pogoda, jak na grudzień, była cudowna. Jasne, bryza nadchodząca od wody nie miała litości, ale słońce, świecące dziś nad wyraz ostro, zdecydowanie to wynagradzało. Plaża była jak zwykle pusta. Naciągnęłam kaptur cienkiej, fioletowej kurtki na włosy, żebym później nie wyglądała jak czarownica, gdy wiatr już je wytarł, i ruszyłam w kierunku swojego ulubionego miejsca. Znajdowało się ono tuż przy piaskowej skale, o którą lubiłam się opierać.

Wpatrywałam się w bezkresny ocean. Tak wielkie, otwarte wody zdawały mi się okrutnie groźne, choć miałam wrażenie, że podczas mojego pobytu udało mi się z nimi zaprzyjaźnić. Niestety, nie potrafiły pocieszyć mnie słowem, a chyba tego właśnie potrzebowałam, dlatego po raz kolejny doceniłam obecność Sonny'ego.

Mój ochroniarz zawsze trzymał się na dystans tak, żebym miała tę namiastkę prywatności, jednocześnie w każdej chwili był gotowy wkroczyć do akcji. Na szczęście, na tej wyspie szanse na taką akcję były znikome i gdyby moje życie było filmem, to widzowie pewnie już dawno by go wyłączyli.

Zwykle przychodziłam na plażę czytać, uczyć się lub pisać recenzje. Tym razem jednak gapiłam się przed siebie widocznie strapiiona i to chyba dlatego Sonny zdecydował się do mnie zagadać.

– Wszystko w porządku, panno Monet? – zapytał, a ja natychmiast obrzuciłam go zaskoczonym spojrzeniem. Zwykle robił, co mógł, byle zachować profesjonalizm, i nie spoufalał się ze mną bez potrzeby.

Stał obok mnie, bliżej niż zazwyczaj, ręce miał splecione przed sobą, a wyraz twarzy jak zawsze skupiony i poważny. Musiałam sprawiać naprawdę depresyjne wrażenie, skoro się do mnie odezwał.

– Mhm. – Skinęłam uprzejmie głową, z początku nie zamierzając wychodzić z mojej roli idealnej panny Monet, ale zaraz zrozumiałam, że właśnie mam szansę na wygadanie się. Sonny również skinął głową i nie chcąc ciągnąć mnie za język, poruszył się, by odejść i zostawić mnie w spokoju, gdy dodałam melancholijnie: – Lubisz święta?

Przez chwilę wyglądał, jakby wolał uciec, niż odpowiadać na to pytanie, ale szybko wziął się w garść i wzruszył ramionami.

– Nie obchodzi.

Przekrzywiłam z zainteresowaniem głowę.

– Nigdy?

– Nie kojarzą mi się dobrze.

– Och. Przykro mi. – Skinęłam ze zrozumieniem, choć w ogóle tego nie rozumiałam.

Sonny chyba wiedział, ale docenił mój takt, bo uśmiechnął się do mnie lekko.

– Czyli nie masz wolnego? Nie odpoczniesz ode mnie? – dopytywałam, starając się zażartować.

Sonny rzucił mi rozbawione spojrzenie.

– Chyba to ty chciałyś odpocząć ode mnie, co, panno Monet?

Otworzyłam szeroko oczy.

– Nie, nie o to chodzi – zaprotestowałam prędko. – Naprawdę bardziej myślałam o tobie. Miło jest mieć wolne w święta.

Ochroniarz pokiwał głową, wciąż nieco kpiarsko, ale zaraz spoważniał.

– Nie potrzebuję teraz wolnego czasu, bo i tak nie mam nikogo, z kim mógłbym go spędzić. Lepiej już zarobić dodatkowy grosz. A premię świąteczną nie pogardzę.

Znowu zrobiło mi się przykro.

– Chwila, nie masz nikogo? Żadnej rodziny, przyjaciół?

Sonny zacisnął usta i zerknął na ocean, ale zanim zdążyłam przeprosić za wścibskość, machnął ręką i wycofać się, on mi odpowiedział.

– Mam córkę.

Moja głowa wystrzeliła w górę, a oczy zawiesiły się na twarzy mężczyzny, która przybrała teraz kamienny i napięty wyraz. Jego oczy zdradzały, że temu tematowi towarzyszy chmara emocji za każdym razem, gdy jest poruszany.

– Nie wiedziałam – wymamrotałam, sama nie wiem, dlaczego taka zadziwiona, skoro jakby się zastanović, nie miałam bladego pojęcia o życiorysie swojego ochroniarza. Znałam jedynie jego wiek. No właśnie. – Chwila, ona musi być bardzo młoda, prawda?

– Trzy lata ma jakoś. Na imię jej Lea.

Dla odmiany wciąż wpatrywał się w wodę. Jej widok potrafił zdziałać cuda. Ukoić najbardziej zszargane nerwy.

– Śliczne imię – skomentowałam, uśmiechając się do siebie na samo wyobrażenie trzyletniej blondwłosej Lei, damskiej miniaturki Sonny'ego.

– Imię jak imię. – On wzruszył ramionami, a z mojej twarzy spełza chwilowa radość.

– Nie ja je wybrałam.

– Nie jesteś z nią blisko.

– Mieszka ze swoją matką w Chicago. Ja pracuję u was. Nie mam czasu na podróże – wyjaśnił.

– Chicago nie jest znowu tak daleko od naszego domu. A czy gdybyś poprosił Vince'a od czasu do czasu o wolne, toby się nie zgodził?

Sonny znowu wzruszył spiętymi ramionami. Widać po nim było, że potrzebował się wygadać. Nie byłam tylko pewna, czy akurat mnie.

– Mam umowę z twoim bratem. Jednym z warunków jej zawarcia była moja nieograniczona dyspozycyjność – uciął, a po chwili dodał nieco ciszej: – Zresztą nie chodzi tylko o to. Nie dogaduję się z jej matką. Lepiej, jak mnie tam nie ma.

– Ale nie... nie tęsknisz za nią? – zapytałam, opuszczając ręce.

Sonny wziął głęboki wdech i uniósł dłoń, żeby potrzeć czoło i przy okazji podrapać się po głowie. Jakby desperacko wykonywał byle jakie gesty mające opóźnić jego odpowiedź.

– Nie... wiem. Nie znam jej za dobrze. Wysyłam im pieniądze. Panno Monet, chyba lepiej, że się nie mieszam...

Przejechałam dłonią po gładkim piachu, zostawiając na nim ślad. Zanim się odezwałam, dokładnie przemyślałam, co powiedzieć.

– Nie wiem, jak to wygląda w oczach rodzica, ale znam perspektywę dziecka. Ja dużo bym oddała, żeby mój tato był obecny w moim dzieciństwie. Nawet jeśli miałoby to być wbrew mojej mamie. Sądzę, że Lea kiedyś będzie myślała podobnie.

Oczy Sonny'ego wbiły się we mnie po raz pierwszy od początku rozmowy na dłuższą chwilę. Zdziwiła mnie jego reakcja, przecież tylko powiedziałam prawdę.

Nagle zrobiło mi się głupio. Za kogo ja się miałam, żeby go pouczać? Nie znam jego historii, może zbyt się pospieszyłam z radami?

Z drugiej strony jedynie przedstawiłam mu inny punkt widzenia. Punkt widzenia jego córki. Chciałabym, żeby ktoś w przeszłości to samo szepnął mojemu ojcu. Albo mamie. Jestem prawie pewna, że Lea byłaby mi za to wdzięczna.

– Chcę wracać – mruknęłam na głos, żeby Sonny wiedział, że zbieramy się do domu. Po prostu nagle zamiast oceanu miałam ochotę zobaczyć tatę. Planowałam spróbować wykrzesać z siebie trochę świątecznego nastroju.

Może zaoferuję, że zrobię ciasto.

Słońce zaczęło już powolutku zachodzić, więc i tak powinnam się zbierać. Miałam niepisany zakaz wałęsania się po ciemku. Nawet z ochroniarzem. Tak, tak, zgadza się, kolejny zakaz. Człowiek naprawdę może się do tego przyzwyczaić.

Sonny już się więcej nie odzywał. Miałam nadzieję, że nie był na mnie zły i nie uważał mnie za przemądrzałą małątkę. A nawet jeśli tak było, to w żaden sposób tego nie okazał. Po prostu grzecznie wspinał się po schodach tuż za mną, najprawdopodobniej pogrążony we własnych rozmyślaniach.

Szłam w stronę domu babci i uśmiechnęłam się delikatnie na widok świecących już z dala lampeczek. Mieniły się na różne kolory. Mrugały i od samego patrzenia na nie do moich uszu docierały nuty wszystkim znanych melodyjek świątecznych. Kilka dni temu ojciec z Bennym obwiesili nimi front domu, nieco na odwal, bez konkretnego planu. Nie mieli szalenie rozwiniętego poczucia estetyki, przynajmniej jeśli chodzi o dekoracje, a Blanche była w tym temacie już w ogóle zupełnie bezużyteczna. Ja, co prawda, starałam się udzielić im kilku dobrych rad, obserwując ich pracę swoim

młodym kobiecym okiem, ale nie do wszystkich wzorowo się zastosowali. Moja dusza perfekcjonistki cierpła na widok rezultatu ich pracy, ale starałam się wyluzować i nie wytykać im niedociągnięć. Poza tym uważałam też, że było coś uroczego w tej na pierwszy rzut oka rozpadającej się posiadłości Blanche i Benny'ego.

Babcia już kilka razy pogoniła mnie z kuchni, gdy tam zaglądałam, by zaoferować jej pomoc. Nie mogłam zdzierżyć faktu, że niewidoma kobieta wzięła na swoje barki przygotowanie świątecznego obiadu, nawet jeśli miał on być tylko dla czterech osób. Zakładałam, że mimo obycia w swojej kuchni wiele czynności przysparzało jej nie lada trudności, bo siedziała w niej już od dobrych kilku dni, non stop zasuważąc z małymi tylko przerwami. Wpuszczała tam jedynie Benny'ego.

– Ona ma swoje chimery i wszystko lubi mieć po swojemu – uspokajał mnie ojciec, opiekuńczo gładząc moje plecy, gdy czasem mu się skarżyłam. – Nie przejmuj się.

Nie lubiła za to sprzątać i chętnie zaganiała mnie do tego, choć regularnie odwiedzała nas pani sprzątająca. Nie była zatrudnioną na pełny etat gospożą, jak Eugenie, ale to ona utrzymywała ten dom we względnej czystości.

W rezultacie jedyną świąteczną czynnością było ubranie choinki. Któregoś dnia Benny przytargał wielkie drzewko iglaste, które następnie razem z ojcem rozstawili w salonie, obok telewizora. Dostałam stołek, kilka kartonów wypchanych ozdobami i pełną swobodę w dekorowaniu. W życiu nie widziałam aż tylu bzdetów w różnych kolorach, obsypanych brokatem i nie, szklanych, plastikowych, materiałowych. Dobierałam je do siebie cały dzień i na koniec miałam szczerą ochotę zawisnąć na choince razem z bombkami, tak wykończona byłam.

Ojciec chwalił mnie za efekt końcowy chyba ze sto razy. Benny stwierdził, że nigdy jeszcze nie mieli tak pięknej choinki, a Blanche przewróciła oczami i sobie poszła, wywołując porozumiewawcze uśmiechy na naszych twarzach, które z jakiegoś powodu wszyscy staraliśmy się ukryć.

Niestety, wielka, piękna, złota gwiazda na baterie, która lśniła ciepłym, jasnym światłem na cały pokój i która powinna sterczeć na czubku choinki, miała uszkodzony stojak i już ze dwa razy spadła na podłogę.

Trzeci raz spadła w dniu Bożego Narodzenia, kiedy rano, jeszcze w piżamie, zeszłam na dół. Normalnie uwielbiałam świąteczne poranki, bo jako dziecko zawsze rzucałam się po prezenty. Mama zwykła robić herbatę, a śniadanie podawała mi na podłodze, gdy zbyt podekscytowana, by zająć miejsce przy stole, siedziałam pośród rozdartego papieru podarunkowego, ciesząc się nowymi zabawkami. Rok temu moi bracia pokazali, że święta pod ich dachem obchodziło się nieco inaczej, czyli na przykład w ogóle nie przywiązywało się tam wagi do prezentów, co w tym roku mój ojciec bardzo zaakcentował, gdy zapytałam, czy mogłabym jechać do miasta kupić jakieś drobiazgi dla wszystkich.

Wracając do gwiazdy – znalazłam ją na dywanie, leżącą tuż przy choince. Musiała spaść w nocy. A może Blanche, przechodząc obok, szturchnęła drzewko. Podeszłam i schyliłam się po nią, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów. Cisza. Benny jako jedyny w tym domu lubił wcześniej wstawać, ale od rana siedział w ogrodzie. Zakładałam, że nie zmienił przyzwyczajenia ze względu na święta.

Ojca też nie widziałam w pobliżu, więc tylko westchnęłam cicho i patrzyłam na tę gwiazdkę, która teraz błyszczała w moich dłoniach. Dotykałam jej opuszkami palców i zaczęłam zastanawiać się, co by tu zrobić, żeby trzymała się stabilniej na czubku.

Ten poranek nie był tak cudownie ciepło- rodzinny, jakbym tego sobie życzyła, ale próbowałam wbić sobie do głowy, że każdy obchodzi święta inaczej i nie warto się niepotrzebnie smucić.

Wtedy podniosłam głowę, by zmierzyć spojrzeniem choinkę. Trzeba z powrotem wsunąć na górę tę gwiazdę. Byłam za niska, by dosięgnąć, więc potrzebowałam stołka. Rozejrzałam się za nim. Gdzieś tu musiał być.

– Ale z ciebie karzeł.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to ojciec się ze mnie nabija, ale było to do niego niepodobne, więc odwróciłam się zszokowana, by zobaczyć przed sobą Dylana.

Stał w wejściu do salonu i szczyrzył się do mnie złośliwie.

Chwila, Dylan?

– Dylan! – zawołałam o wiele zbyt radośnie, niż później potrafiłam przyznać.

Wciąż ze złotą gwiazdką w dłoni, rzuciłam się w jego stronę. Zawiesiłam mu ręce na szyi. To był naprawdę on, tutaj! Wielki jak zawsze, w ciemnozielonej bluzie opinającej mięśnie i podkreślającej kolor jego brązowych oczu.

– No już, dziewczynko. Przecież wiem, że mnie uwielbiasz – zakpił, obejmując mnie i czochrając mi włosy.

Byłam tak rozweselona, że mnie to nie wkurzyło.

– A reszta? Też przyjechali? – zapytałam. Wpatrywałam się w niego wyczekująco, nawet nie próbując ukryć nadziei.

– Czy to ważne? – Dylan wzruszył lekceważąco ramionami i wskazał na siebie. – Ważne, że jest tutaj twój ulubiony brat.

– Przyjechał Will?! – zawołałam z niedowierzaniem.

Wtedy usłyszałam więcej głosów z zewnątrz. Wyminęłam brata i pognałam na ganek, przedarłszy się przez ścianę wiszących w drzwiach frontowych koralików.

Bliźniacy właśnie przywitali się z ojcem i robili miejsce dla Willa. Szedł w naszą stronę z auta i włosy zwiewało mu na lewo, na nosie miał czarne okulary przeciwsłoneczne. Uśmiechał się szeroko w tym swoim zniewalającym stylu.

– Hej, dziewczynko. – Shane mrugnął wesoło i pociągnął za kosmyk moich włosów. Skrzywiłam się tylko, ale nie zareagowałam na zaczepkę, bo zapatrzyłam się na uroczą scenę rozegraną przed moimi oczami.

Cam otworzył szeroko ramiona, przyciągając Willa do siebie. Mój brat jednym płynnym ruchem zdjął okulary, odsłaniając swoje błękitne jak niebo tęczęwki. Aura ojcowskiej miłości, która towarzyszyła spotkaniu ich dwójki, była tak silna, że niemal

biła blaskiem oślepiającym wszystkich wkoło. Trwali tak chwilę w mocnym uścisku, a potem ojciec potarł jego plecy i przeszedł do Vincenta.

Vincent! On też tu był! We własnej osobie!

Z auta wysiadł jako ostatni. Jego ciemne włosy nie rozczochrały się tak bardzo, jak powinny po tak długiej podróży. Może to zasługa dobrego żelu, a może nawet jego własna fryzura nie śmiała okazać mu nieposłuszeństwa. Gładko ogolony, blady, wzrok miał bystry, szczękę zaciśniętą, a brwi lekko zmarszczone, co sygnalizowało, że mimo względnie luźnego jak na jego standardy stroju, czyli czarnej bluzy i ciemnych spodni, wciąż miał się na baczności.

Oczywiście z Willem witałam się najdłużej, rozkoszując się obecnością mojego ulubieńca, który na mój widok ucieszył się wcale nie mniej niż ja na jego. Trwając w jego objęciach, zerkalam znad ramienia na najstarszego brata, który powoli zbliżał się do ojca.

Cam wyprostował się, a gdy jego syn stanął wreszcie przed nim, wyciągnął ręce i najpierw położył je na jego ramionach, uważnie przyglądając się jego twarzy. Potem splótł palce na jego karku, kciuki kładąc mu na policzkach i zajrzał mu głęboko w oczy. Następnie przyciągnął go do siebie. Aż zakłuło mnie w klatce piersiowej na widok tak wymownego powitania.

Zarówno Vincent, jak i ojciec dużo mówią o znaczeniu rodziny i jej więzów. To, jak ci mężczyźni zareagowali na swój widok po długiej, zapewne, rozłące, doskonale pieczętowało ich słowa. W postawie ojca widziałam szacunek do swojego pierwotnego syna, który po jego odejściu przejął obowiązki i świetnie sobie poradził. W Vincencie zaś dostrzegłam głęboko skrytą ulgę, która musiała go zalać przy spotkaniu jedynej osoby, która naprawdę rozumie, z czym on się na co dzień boryka.

– Idźcie do środka, dzieci. – Cam klasnął w ręce, a kiedy jego wzrok padł na moją rozjaśnioną nieudolnie skrywany szczęściem twarz, puścił mi oczko.

Na nazwanie braci Monet, którzy byli już mężczyznami, dziećmi pozwolić mogli sobie naprawdę jedynie nieliczni dorośli.

Vincent uśmiechnął się do mnie swoim firmowym uśmiechem, a ja w zamian wyszczerzyłam się do niego serdecznie.

Dom Blanche natychmiast ożył, jakby ktoś machnął magiczną różdżką i tym samym tchnął w niego nieco ciepła. Nagle wystrojona choinka w salonie nie zdawała się tak samotna, a ja oczami wybujałej wyobraźni obwijałam swoje rodzeństwo wstążkami i wrzuciłam pod drzewko, bo ich przyjazd naprawdę był dla mnie najlepszym prezentem.

Momentalnie zrobiło się głośno i wesoło. Shane komentował, że choinka jest naprawdę ładnie ubrana, nie to co zwykle. Tony przyczepił się, że na czubku nie ma gwiazdki, którą cały czas ja miałam przecież w dłoniach. Dylan wyjął sobie zachomikowane zapewne przez Blanche cukierki z komody, o których istnieniu nie miałam pojęcia, i natychmiast zaczął szeleścić papierkami. Will wyjął mi z dłoni gwiazdkę, żeby pomóc mi z powrotem ją zawiesić, a Vince wyciągał właśnie z kieszeni telefon, który ojciec dyskretnie mu wyrwał, zaraz potem warcząc mu coś do ucha. Nigdy nie widziałam, by ktoś na tyle pozwalał sobie przy Vincencie, i stwierdziłam, że przyglądanie się ich relacji będzie naprawdę ciekawe.

Śniadanie każdy zjadł wedle własnych upodobań, bo i tak wszyscy szykowali się na świąteczny obiad, który był przecież najważniejszym posiłkiem tego dnia.

Dziobałam sobie kawałek ciasta i popijałam je herbatą w towarzystwie Cama i Dylana, który wygrał z Shane'em bitwę o łazienkę i wykąpał się pierwszy.

– Dlaczego powiedziałaś mi wcześniej, że oni nie przyjadą na święta? – zapytałam ojca z małym wyrzutem.

– Bo przez moment była taka możliwość i chciałem cię na nią przygotować. Właściwie w ostatniej chwili okazało się, że jednak wszystko się uda – odparł.

– Na święta zawsze wyskakuje dużo roboty – wtrącił Will, który czysty, świeży i pachnący po kąpieli właśnie pojawił się w kuchni, łapiąc za talerzyk dla siebie.

– Właśnie tak – przytaknął mu ojciec.

– I to takiej, która wymaga nadzoru kogoś zaufanego. Dlatego Vince i ja w pierwszej chwili mieliśmy zostać.

– No ale co, nie macie jakichś zastępców czy coś? – spytałam, unosząc brew.

– Mają, ale nieraz... – zaczął ojciec, ale dokończył Vince, który również do nas dołączył:

– Jak chcesz mieć coś zrobione dobrze, to musisz zrobić to sam.

Rzucił mi też znaczące spojrzenie, bo kiedyś już mi to zdanie wyrecytował.

Pokiwałam głową, akceptując tę odpowiedź. I tak lepszej nie dostanę, tego byłam pewna.

– Fajnie, że jednak udało wam się przyjechać – powiedziałam szczerze.

– To zasługa Monty'ego. Są teraz z Mayą u nas w domu. Ona i tak musi odpoczywać, więc wujek ma dużo wolnego czasu i zaoferował swoją pomoc – oznajmił mi Will.

Ucieszyłam się na wzmiankę o Mai. Trochę nawet pożałowałam, że nie mogę się z nią zobaczyć. Poczułam też wdzięczność do wujka Monty'ego za to, że odciążył trochę Vince'a.

– Liczę tylko, że będzie nad sobą panował, bo obawiam się, że jeśli Charles nie wyprowadzi go z równowagi, to zrobi to Adrien – westchnął Vincent, poprzedzając swoją wypowiedź tykiem czarnej jak noc kawy.

Ojciec odchrząknął.

– Monty da sobie radę. Jest dobry w te klocki. Wbrew pozorom.

– Chciał zaaranżować moje małżeństwo – przypomniałam mu ze zgorzeleniem, nie mogąc się powstrzymać.

Ojciec uspokajająco pogłaskał mnie po ramieniu.

– Wiem, królowno, ostro z tym poleciał, ale nie masz się czym przejmować. Nikt nie wyda cię za mąż wbrew twojej woli. To nie te czasy.

Rozległo się kolejne prychnięcie, tym razem należące do Blanche, która w bluzie i roztrzepanych po śnie, długich, siwych włosach wyglądała jak nastolatka przebrana za wiedźmę na Halloween.

– A szkoda. Można tym było rozwiązać masę konfliktów.

Żałowałam, że nie mogła zobaczyć mojego oburzonego spojrzenia, które właśnie jej posłałam.

– To nieetyczne – syknęłam, by chociaż usłyszała mój sprzeciw.

– A tam. – Babka machnęła lekceważąco ręką, wciskając się na miejsce przy stole obok Shane’a, który leniwie się posunął. – Moje małżeństwo zaaranżowano i żyję. Świetnie się z waszym dziadem bawiłam. Zasuwalismy na motocyklach aż miło – powiedziała i szturchnęła Shane’a w ramię swoim pustym kubkiem, żeby nalał jej kawy.

Ojciec przewrócił oczami.

– Non stop się z nim żarłaś. Noże latały po całym domu.

– Słyszysz, mała dziewczynko? – Mrugnął do mnie Dylan. – A więc to rodzinne.

Shane zarechotał pod nosem, a zawtórował mu Tony, który jako ostatni z naszego rodzeństwa pojawił się w kuchni. Włosy miał wciąż mokre i gdy siadał do stołu, potrząsnął głową i ochlapał nas drobinkami wody. Nie pofatygował się też, żeby założyć koszulkę.

– Klótnie to nieodłączny element każdego małżeństwa. Pokaż mi zgodnych kochanków, to ja ci pokażę seks bez pasji. O- hy-da. – Blanche się skrzywiła.

Wszyscy, łącznie ze mną, wydali zgorzone jęki. To nie były rzeczy, których chcieliśmy wysłuchiwać od własnej babci.

– Och, co z wami, myślicie, że ludzie gżą się po kątach tylko, gdy są młodzi i piękni? Dorośnijcie.

– Dlatego wylądowałaś teraz z Bennym, który jest najspokojniejszym człowiekiem, jakiego znam? – zapytał drwiąco ojciec.

– Benny jest spokojny, to prawda, ale ma swoją mroczną stronę, możesz mi wierzyć – odparła babcia, uśmiechając się upiornie.

Ich wymiana zdań niezwykle mnie bawiła.

– A poza tym – ciągnęła – ty z Lissy niby nie skakaliście sobie do gardeł? – Ostrzegawczo uniosła palec wskazujący. – Tylko nie ściemniaj, Willy i Vincey pamiętają, jak było.

Willy i Vincey, słodko.

Ojciec opuścił głowę i się zaśmiał.

- Okej, może czasem, ale przyznaję, miałem swoje za uszami.
- Och, to wiemy doskonale.
- Lissy nie była lepsza.
- To też wiemy.

Brakowało mi tak żywych rozmów przy śniadaniu, cieszyłam się każdą ich sekundą, choć niektóre przyprawiły mnie o niesmak. Było naturalnie i rodzinnie, tak jak lubiałam najbardziej. Nadal porównywałam też w głowie rodzinę od strony taty oraz mamy, a im dłużej tak robiłam, tym więcej różnic dostrzegałam. Miały one jednak jedno olbrzymie podobieństwo.

Obydwie były kochające.

43

HAKI

Świąteczny obiad zjedliśmy w podobnej atmosferze, tylko nieco bardziej formalnej. Po pierwsze, wszyscy się ładnie ubraliśmy. Ojciec, bracia oraz Benny mieli koszule, niektórzy nawet z krawatami, Blanche założyła na siebie gotycką, koronkową sukienkę godną Morticii Addams, a ja pudrowo- różową koszulkę ze wstążką pod szyją i błękitną plisowaną spódniczkę.

Jedliśmy w salonie, ponieważ był o wiele ładniej ozdobiony niż kuchnia. Tam również znajdował się niepozorny stół, który po rozłożeniu pomieścił nas wszystkich. Jako główną potrawę zaserwowano indyka, ale już wiem, czemu Blanche tyle czasu spędziła w kuchni. Oprócz niego podała też kilka różnego rodzaju pieczonych szynek, lasagne oraz setki przystawek takich jak purée ziemniaczane, gotowane i pieczone warzywa, były też ryż z chrupiącymi orzechami, zielona fasolka z bekonem, papryczki padrón, które zachwalał Shane, ostrygi oraz kilka innych rodzajów owoców morza, których nawet nie potrafiłam nazwać. Blanche zjadała się krabami, z których odnóży z wielkim smakiem wysysała mięso. Choć spróbowałam mnóstwa potraw, to były tutaj również takie, których tknąć się nie odważyłam.

Wspaniałe było to, jak swobodnie czułam się w towarzystwie swojej rodziny. Nie przejmowałam się zrzędzeniem babci, nie bałam się odpyskować Tony'emu, szturchać Dylana, wystawić język do Shane'a ani przytulić się do ramienia ojca, obok którego miałam zaszczyt siedzieć. On sam zajął miejsce u szczytu stołu, a po jego prawej znajdował się Vincent, czyli też naprzeciwko mnie. Dzisiaj jednak było między nami zdecydowanie inaczej niż zwykle. Bo na ogół Vincent odgrywał rolę przede wszystkim mojego opiekuna, a teraz widocznie się wycofał, ustępując w tym miejsca naszemu ojcu. Wreszcie był wyłącznie moim bratem.

Na pierwszy rzut oka zwątpiłam, czy zdołamy zjeść choć połowę z wystawionego jedzenia, ale nie doceniłam braci, których żołądki przypominały czarną dziurę.

Uczta trwała praktycznie do kolacji, więc nawet nie do końca zdążyliśmy wstać od stołu, a już do niego wróciliśmy. Za miło nam się tak siedziało. Mieliśmy siebie oraz masę jedzenia pod nosem, a czego więcej potrzeba w święta? No i przecież w tej rodzinie wyjątkowo trudno było o częste spotkania w tak rozbudowanym gronie. W końcu pojawił się nawet Vincent!

Musieliśmy należycie to uczcić.

– E, Dylanek, jak tam, spotkasz się ze swoją lasią? – zagadał Shane, ciamkając swoje ulubione papryczki.

Natychmiast zainteresowałam się odpowiedzią na to pytanie i wytężyłam słuch, bo tuż nad moim uchem ojciec toczył jakąś nudzącą mnie dyskusję z Bennym.

Dylan uniósł brew.

– Lasia?

– No, jak jej tam było... – Shane niecierpliwie stukał dłonią w blat, by przyspieszyć swoje procesy myślowe.

– Karina – zasugerował Tony, jedząc kawałek pieczonej szynki w sosie wiśniowym prosto z półmiska.

– Nie Irina? – wtrącił się Will, wycierając usta kawałkiem serwetki w renifery.

– Patrina – wtrącił Vince, odkładając na środek stołu miskę z sałatką.

– Martina, debile – warknął w końcu Dylan.

Wszyscy bracia pokiwali głowami. Tony pstryknął palcami.

– Właśnie tak, Martina...

– Kto to Martina? – zainteresowałam się.

– Nikt, wracaj do jedzenia – burknął na mnie Dylan. O ile Vince odpuścił z rozkazywaniem mi, o tyle Dylan nie zamierzał odbierać sobie tej przyjemności.

– Jem przez cały dzień. – Przewróciłam oczami. – Chcę wiedzieć, kim jest Martina.

– Pierwsza miłość Dylana – odpowiedział mi Will, który właśnie skubnął sobie kawałek pysznego sernika Blanche.

Wybałuszyłam oczy.

– Że jak?

– Żadna miłość, odwalcie się – warknął Dylan, świdrując Willa wrogim spojrzeniem.

– Wyrażaj się przy stole.

– Kochasz się w dziewczynie? – ciągnęłam i szturchnęłam Dylana w bok, co było błędem, bo gdy mnie odepchnął, prawie spadłam na podłogę. Złapałam i podtrzymałam się krawca stołu.

– Ej! – upomnieli go Will i ojciec w tym samym czasie.

Wyprostowałam się i niezgrabnie nachyliłam w jego stronę.

– Dy- lan zakochał się w Marti- nie! – zaśpiewałam mu do ucha.

– I bzykał się z nią w ki- nie – zawtórował mi Shane.

Śmiałam się, gdy po raz drugi zostałam odepchnięta. Tym razem zsunęłam się na podłogę, gdyby ojciec nie podtrzymał mnie za ramię. Jednocześnie warknęła:

– Shane, opanuj się. Dylan, do cholery, zrobisz jej krzywdę.

Babka natomiast obiema rękami obejmowała kubek, w którym chyba miała coś mocniejszego niż herbatę, i się zadumała.

– Ach, Martina Guerra. Całkiem niczego sobie dziewczucha. Już tu nie przebywa tyle co dawniej, wyjechała na studia do Madrytu.

– Kiedyś przed każdymi świętami i wakacjami wypytywała, czy wnuki Blanche tu przyjadą – dodał od siebie Benny, uśmiechając się sympatycznie.

– Ta, ale w rzeczywistości chciała wiedzieć tylko, czy Dylan będzie – zaśmiał się Will.

– Mieszkała na tej wyspie? – zapytałam, poważnie zaintrygowana tematem pierwszej miłości Dylana, który nie wydawał się zdolny do obdarowania jakiejkolwiek dziewczyny uczuciami.

– Nie interesuj się – fuknął Dylan, ale przy tak wielkim stole od razu znalazł się ktoś, kto mi odpowiedział na pytanie.

– To córka sąsiadów zza wzgórza. W porządku ludzie, choć trochę namolni – wyjaśniła Blanche.

– Poznali się za małolata – dorzucił ojciec, nachylając się lekko ku mnie. – Całkiem romantyczna historia, jej pies prawie urznął Dylanowi nogę.

Skrzywiłam się z przerażeniem. Nawet zerknęłam pod stół, tak jakoś, żeby się upewnić, że Dylan ma obie nogi na miejscu.

– Bo się pchał gdzie nie trzeba. – Vincent pokręcił głową.

Dylan się najeżył.

– Nigdzie nie było napisane, że to teren prywatny!

– No nie wiem, może trzeba było poznać, że to czyjaś posiadłość po tym, że była otoczona płotem? A wyście go sobie bezmyślnie przeskoczyli jak jakieś pieprzone sarenki – prychnął ojciec, a jego poirytowane spojrzenie padło również na Shane'a i Tony'ego, więc domyśliłam się, że oni także mieli z tym coś wspólnego.

– Ugryzł cię? Ten pies? – zapytałam.

– Capnął go zaraz nad kostką. I potem się, kurwa, zaczęło, koczowanie po szpitalach
– odparł mi ojciec, wywracając oczami, bo Dylan siedział cicho.

– A Martina przylatywała później do nas każdego dnia, a to z domowej roboty ciasteczkami, a to z bombonierą. Skakała nad nim, a ten leżał, niczym wielce schorowane panisko. Jak tylko dziewczyna wychodziła, to nagle wstawał z łóżka jak nowo narodzony. – Blanche kręciła swoją siwą głową, chichrając się pod nosem.

– Stare dzieje – skwitował Dylan przez zaciśnięte zęby.

– Dylan, to urocze – zaświergotałam.

Ale on najwyraźniej nie był w nastroju do żartów. Powinnam wiedzieć, że nie należy go w takich sytuacjach drażnić, bo on bez zastanowienia gotów był odbić piłeczkę.

– A chwaliłaś się tacie, że ostatnio pod twoim balkonem sterczał jakiś Romeo z kwiatami?

Ojciec się zakrztusił.

Mój uśmieszek natychmiast zniknął.

-To było z okazji moich urodzin – wytłumaczyłam szybko.

– Kto to? – zapytał Cam, ale gdy się do niego odwróciłam, by coś mu odpowiedzieć, zobaczyłam, że tym pełnym wyrzutów głosem zwraca się do Vince’a.

– Jakiś dzieciak.

– I co on robił u nas w domu, możesz mi powiedzieć?

– Małą niespodziankę dla twojej córki.

– Aha, już ja znam te niespodzianki. Pozwoliłeś mu wejść do środka?

– Nie.

– Ale czekoladki przyniósł pierwsza klasa – wtrącił Shane, próbując rozluźnić atmosferę.

– Czekoladki też przytargał? – prychnął ojciec. – Romantyk jak z koziej dupy trąba.

– Ale z was marudy, dajcie jej spokój – obroniła mnie Blanche. – Hailie, w tej rodzinie musisz porozstawiać tych chłopów po kątach, bo inaczej wleżą ci na głowę. Wiem, co mówię, uwierz mi.

Zacisnęłam usta w prostą linię. Babcia miała rację.

– Wiesz – zaczął Dylan, tym razem mówiąc do ojca – już raz wpakował ją w kłopoty. A ona się nie słucha i cholera wie, o czym sobie z nim tam romansuje w wiadomościach.

Gołym okiem widać było, jak łatwo Dylanowi było prowokować ojca. To musiał być dla niego drażliwy temat. Postanowiłam się uspokoić, wziąć głęboki wdech i nie

reagować emocjonalnie. Dylan to Dylan, z nim trzeba było radzić sobie sprytem, nie krzykiem.

– Nie masz się czym martwić, Dylan – zaczęłam uprzejmie. – Nawet jeśli troszkę sobie romansujemy, to nie zamierzam robić z nim tego, co robiłeś ty z tą tajlandzką pokojówką.

Oddałabym małego palca, byleby mieć kamerę, która zarejestrowałaby reakcję Dylana na moje słowa. Jak jego kpiarski wyraz twarzy zmieniał się w szok i niedowierzenie. Ogromny szok i ogromne niedowierzenie. Jakby zapomniał, że byłam świadkiem tej sceny! No niestety, wypaliła się w moim mózgu chyba już na wieki.

Na twarzach wszystkich zebranych z kolei wymalowało się zainteresowanie. Tylko ojciec łypał na niego podejrzliwie, wiedząc, że o czymkolwiek mówiłam, nie mogło to być nic dobrego.

– Co znowu za pokojówka?

– Dylan stał, a ta dziewczyna klę... – przerwałam, bo Dylan zatkał mi usta ręką. Nie protestowałam jednak. Naprawdę wołałam nie kończyć tego zdania.

– Czy ty jesteś poważny? Czy do reszty cię porąbało?! – huknął na niego ojciec, zaciskając pięści.

– Jezus – szepnął do siebie Will, zakrywając oczy.

Vince przymknął swoje.

Shane i Tony wybuchnęli gromkim śmiechem.

Blanche się przeżegnała. Benny utkwiał wzrok w swoim talerzu.

Ja wpatrywałam się w dół, próbując pohamować śmiech.

– Dobra no, nie róbmy wielkiego halo – burknął Dylan. – Nic nie widziała.

– Widziałam – mruknęłam pod nosem, a on znowu zakrył mi usta.

Bliźniacy nie mogli się uspokoić do nocy, tak bawiła ich wtopa Dylana. Will i Vince nie wiedzieli chyba, jak to skomentować, i cieszyli się, że nie musieli ochrzaniać brata za taki nietakt, bo wszystkim zajął się ojciec, który był absolutnie wściekły. Zapanował nad sobą na tyle, że jego złość nie zepsuła nam świąt, ale widocznie kosztowało go to wiele wysiłku. A o mnie i Leo nikt już więcej nie wspomniał.

Dzień zwieńczyła wygrana Blanche w bilarda. Wszyscy wypili też sporo wina, cydru i jakichś innych poważniejszych trunków, których nazw nawet nie znałam. Nie to, że mnie interesowały, i tak nie skapnęła mi ani kropla.

A gdy wszyscy rozchodziliśmy się do sypialni, upojeni świąteczną atmosferą, Dylan złapał mnie na schodach i szepnął mi do ucha:

– Zapamiętam to sobie, mała dziewczynko.

Jak powiedział, tak zrobił.

Do gościnnej sypialni, którą zajmowałam, zapukał, a następnie wszedł Shane. Od razu rzucił się na wąskie łóżko, na którym siedziałam na wpół przykryta wełnianym kocem, nieumiejętnie wydzierganym przez Blanche.

-Auć – mruknęłam, opuszczając książkę na kolana i zerkając na brata znacząco.

Przygniótł mi nogę.

– Dylan szuka na ciebie haka – poinformował mnie, jak gdyby nigdy nic. Następnie jego wzrok spoczął na paczce miniciasteczek z czekoladą, które przywłaszczyłam sobie z kuchni, by umilić sobie czytanie. Dwie sekundy później już chrupał je ze smakiem.

Westchnęłam.

– Co znowu?

– Nie krzyw się, bo ci tak zostanie. Haka szuka Dylan.

– Bo co, bo powiedziałam wszystkim o pokojówce?

– Ojciec wczoraj pruć się o to do niego cały dzień.

Wetknęłam między strony książki ususzoną różę od Leo, której wciąż uparcie używałam jako zakładki, po czym zamknęłam lekturę.

– Sam zaczął.

Shane wyciągnął się jeszcze bardziej, tak że jego biała koszulka podwinęła mu się i ukazała nieco umięśnionego brzucha, na który upadały okruchy ciastek. Flejtuch. Już wiedziałam, że będę musiała po nim sprzątać. Gdybym tylko miała pewność, że ujdzie mi to na sucho, to z przyjemnością skopałabym go z tego łóżka na podłogę.

– Ta, ale wiesz... Jak już decydujesz się zrzucić taką bombę, to musisz liczyć się z tym, że Dylan ci tak łatwo nie odpuści. – Shane wzruszył ramionami. Złapał za jasiek, który leżał obok, i podłożył go sobie pod głowę.

– Nie interesuje mnie, co Dylan sobie roi w tej swojej pustej głowie – oznajmiłam twardo.

Shane rzucił mi pobłażliwe spojrzenie.

– Aha, to dlatego właśnie spojrzałaś na drzwi, żeby się upewnić, że są zamknięte i że on czasem nie usłyszy, jak to mówisz?

Zacisnęłam usta. Wcale nie dlatego zerknęłam na drzwi.

– Ja cię tylko ostrzegłem, Hailie. Co z tym zrobisz, to twoja sprawa.

Zmarszczyłam brwi, zirytowana, że muszę przejmować się takimi głupotami.

– Skąd w ogóle wiesz, że czegoś na mnie szuka?

– Bo przylazł do mnie i chciał, żebym oddał mu swojego haka, którego mam na ciebie.

– Ty masz na mnie haka? – zdziwiłam się.

– Nawet ze dwa.

– Czekaj, co?

– Jednego dzielę z Tonym, no a Dylan ma haka na Tony'ego, więc Tony mu pewnie zdradzi naszego haka na ciebie. Dylan ma też haka na mnie, ale ja mam jednego na niego, o czym nie wiedział, jak do mnie przyszedł. A gdy się dowiedział, to poszedł do Tony'ego. Bo Tony w tej chwili nie ma na niego nic.

Zamrugalam.

– Jakiego haka niby macie z Tonym na mnie?

– Halo, nawaliłaś się w barze. – Wywrócił oczami, jakby jego odpowiedź była najoczywistsza na świecie.

Usta same mi się rozchyliły z oburzenia.

– Tony nie może powiedzieć o tym Dylanowi!

– Ale powie. – Shane wzruszył ramionami i wrzucił do buzi kolejne ciastko. – Takie prawo dżungli.

– Sami oberwiecie, jak wyjdzie, że się upiłam.

– Może trochę, ale ostatecznie najbardziej przerażane i tak będziesz miała ty.

– No to powstrzymaj go!

– Wolę się nie wtrącać. I tak nic nie mógłbym zrobić. Wiesz, bo Tony z kolei ma haka na mnie.

– Co jest z wami nie tak?

Shane przekrzywił głowę z drwiącym wyrazem twarzy.

– Kumam, że przez większość życia wychowywałaś się jako jedynaczka, ale to nie są takie znowu trudne do ogarnięcia zasady.

Pokręciłam z niedowierzaniem głową, jakbym już teraz próbowała pozbyć się z niej wspomnienia tej idiotycznej rozmowy, którą właśnie prowadziłam.

– Wiesz co? W nosie to mam. Nieważne. Nie obchodzi mnie to. Nie dam się wciągnąć w wasze dziecinne gierki – zdecydowałam i zaczęłam wygrzebywać się spod koca. I tak miałam zamiar rozruszać kości. Książkę odłożyłam na bok.

– Ale ty już się dałaś w nie wciągnąć.

– To co niby mogę zrobić?

-No... jeśli nie masz już haka na Dylana ani nic na Tony'ego, to niewiele. – Mówiąc to, Shane machał nadgryzionym ciastkiem, niczym ekspert tłumaczący jakieś zawile zjawisko.

– Jesteś totalnie bezużyteczny – skwitowałam z uniesioną brwią.

Shane po raz kolejny wzruszył ramionami. Łaskawie się podniósł z łóżka, dopiero gdy sama wstałam. Tak jak przewidywałam, okruszki z jego brzucha zsunęły się prosto na moją pościel. Widząc to, powieka mi zadrżała, ale zacisnęłam tylko szczękę z jeszcze większą siłą i wyszłam z pokoju.

44

ŻYCIEM RZĄDZA NAGRANIA

Słyszając dobiegający z kuchni głos Vincenta, zwolniłam kroku. Nadal cieszyłam się z niespodzianki, jaką było nieoczekiwane pojawienie się moich braci na wyspach, ale dom Blanche był zdecydowanie za mały, by nas wszystkich tu pomieścić. Co chwila na kogoś wpadałam.

– ...widzisz, jak ukrywa twarz? Przygotował się. Wiedział dobrze, gdzie są kamery.

– Nie szkodzi – burknął ojciec. – Nie jest w stanie zamaskować wszystkiego. Zatrzymaj. Cofnij. Dwie klatki. Jeszcze.

Przystanęłam w holu dosłownie na sekundę, bo wiedziałam, że podsłuchiwanie ojca i Vincenta jest po pierwsze samobójstwem (z uwagi na wyczulony szósty, siódmy i ósmy zmysł mojego najstarszego brata), po drugie bezsensowne, bo najwyraźniej komentowali coś, o czym nie miałam pojęcia, a po trzecie nudne. Po prostu nie miałam ochoty sterczeć w korytarzu.

Wkroczyłam więc do kuchni, gdzie Vincent siedział przy stole ze swoim laptopem, a ojciec stał, opierając się o kredens i spoglądał mu przez ramię na ekran.

Cam przeniósł od razu wzrok na mnie, a jego zmarszczone brwi i ściągnięte w dół kąciki ust natychmiast się rozluźniły.

– Witaj, królewno. Czego potrzebujesz?

– Przyszłam po herbatę – odparłam, z zainteresowaniem zezując na laptopa, ale zanim podeszłam na tyle blisko, by cokolwiek dostrzec, Vincent zdążył całkowicie niepozornym ruchem zminimalizować okienko, tak że zobaczyłam tylko pulpit i kilka schludnie ułożonych na nim ikon.

Ojciec jak na rozkaz ruszył się i wyręczył mnie, nalewając wody do czajnika elektrycznego.

Wyczuwając, że obaj panowie nie zamierzają kontynuować rozmowy ze względu na moją obecność, sama ją pociągnęłam. Ręce splotłam z tyłu i obserwowałam, jak ojciec sięga dla mnie po kubek.

– Co oglądaliście, zanim weszłam?

– To nic, słońce. Praca. – Zbył mnie i machnął ręką, zanim rozsunął szufladę. – Na jaką herbatę masz ochotę?

– Właściwie to uważam, że należy pokazać jej to nagranie – wtrącił się Vincent.

Zaskoczył tym zarówno mnie, jak i ojca, którego brwi natychmiast z powrotem się nastroszyły.

– Ale o czym ty mówisz, Vincent? – warknął w nienaturalny sposób, jasno akcentując swoje niezadowolenie i złość. Nie zabrakło również bardzo znaczącego spojrzenia, które wbił w swojego syna.

Vincent zniósł je ze stoickim spokojem.

– O tym, że mogła coś widzieć. Jest szansa, że coś skojarzy. Należy pokazać jej nagranie.

– Raczej chyba należy to przedyskutować, tak czy nie? – Przekrzywił głowę. – Vincent, do cholery.

Wpatrywali się w siebie. Ciemne oczy gromiły te błękitne, spokojne i chłodne.

– Napiłabym się rumianku – mruknęłam.

– Robi się. – Ojciec natychmiast obdarował mnie kolejnym, serdecznym uśmiechem, jak tylko odciągnął surowy wzrok od syna.

– Możesz tu, proszę, na chwilę usiąść, Hailie? – zwrócił się do mnie Vince, wskazując na wolne krzesło obok.

– Nie – syknął ojciec, prostując się i odwracając w naszą stronę.

Ale ja już zajęłam miejsce i tylko rzuciłam mu zdeorientowane spojrzenie.

– Pamiętasz przyjęcie charytatywne na rzecz naszej fundacji, w którym wzięłaś udział miesiąc temu? – zapytał Vincent, uważnie mnie obserwując.

Powstrzymałam się od przewrócenia oczami. To przecież nie tak, że muszę teraz sięgać pamięcią do całej listy przyjęć, na których ostatnio byłam.

– Niech pomyślę... – Udałam, że się zastanawiam. – To tam dostałam perfumy z kwasem?

– Vincent – upomniał go ojciec, jeszcze bardziej zdecydowanie, a potem zerknął w dół, na mnie. – Nie musimy o tym rozmawiać. To nie jest coś, czym powinnaś zaprzątać sobie głowę, królewno.

– Ale ja chcę o tym rozmawiać – zaprotestowałam. – Chcę wiedzieć, co macie.

Byłam twarda i zdecydowana, co pozytywnie wpłynęło na obraz stanowczej i dojrzałej osoby, za jaką chciałam uchodzić w swojej rodzinie. Ojciec patrzył na mnie z zaciśniętymi ustami, a Vince z dobrze skrywanym zadowoleniem.

– Pokażę ci nagrania z kamer, a ty powiedz mi, proszę, czy mężczyzna, którego ci wskażę, wydaje ci się jakkolwiek znajomy, dobrze? – Vincent znów włączył film.

Pokiwałam głową, wygodniej usadawiając się na krześle. Byłam prawie pewna, że wcześniej zasłyszane przeze mnie komentarze odnosiły się właśnie do nagrania z hotelu i, jak widać, nie myliłam się.

Przypomniałam sobie, jak Vince pokazywał mi nagranie z cukierni pani Hardy. Wtedy bałam się, że wpadnę w kłopoty. Teraz byłam niewinna, a mimo to także czułam się nieswojo. Jakby zaraz miało wyjść na jaw, że sama sobie podłożyłam te perfumy.

Jakość nagrania była dużo lepsza niż tego z cukierni, ale tym razem chyba naprawdę brakowało głosu. Nic dziwnego, bo w tak wielkiej przestrzeni jak hotelowe lobby i tak zapewne ściągnąłby się on w postaci irytującego szumu, nieudolnie próbującego oddać panujący tam gwar.

Oglądaliśmy akcję z rogu, gdzie znajdowała się szatnia. Przygarbiony pan odbierał płaszcze bogaczy, którzy przyszli pogratulować mi angażu w sprawy fundacji, z którego ostatecznie wyszło tyle co nic.

Przy szatni kręciły się osoby, które potem składały mi gratulacje, prawily komplementy i zachwycaly moją urodą. W oddali dostrzegłam nawet swoje plecy. Stałam obok Willa, który rozmawiał z jakimś mężczyzną. Bawiłam się bransoletką. Ze stresu.

– To on – powiedział Vincent, swoim smukłym palcem wskazując na postać, która weszła właśnie na plan.

Osobnik patrzył w dół, a na głowie miał staroświecki kapelusz, którego rondo skutecznie chroniło jego tożsamość. Na ramiona zarzucił sobie sporawy płaszcz. W niektórych ujęciach ukazywał część jego przydużej marynarki. Mężczyzna był chudy i całkiem wysoki.

– Nie kojarzysz go skądś? – dopytywał Vincent.

Zmrużyłam oczy.

– Niewiele tu widać.

– Widać całkiem sporo – zaoponował i zatrzymał nagranie. – Stawiamy na to, że jest młody. Nieobyty w obecnym tam towarzystwie i niezamożny. Coś musiało go wiązać z tym hotelem w przeszłości.

Rzuciłam mu spojrzenie znad uniesionych brwi.

– Chwila, serio? Skąd to wiesz?

Ojciec postawił na stole tuż przede mną parujący kubek rumianku, odchrząknął i pochylił się nade mną i Vincentem, przytrzymując się oparcia krzesła, na którym siedziałam.

– Spójrz na jego ubranie. Ten wieśniacki kapelusz. Płaszcz wisi na nim jak na manekinie. Spodnie też są za duże. Widzisz te nogawki? Za szerokie. – Ojciec wskazywał na widoczne na nagraniu poszczególne części garderoby łyżeczką.

– Może po prostu nie potrafi się dobrze ubrać? – zasugerowałam.

Ojciec pokręcił głową.

– To nie są ciuchy najlepszej jakości, ale wciąż całkiem dobrej. Wyglądają na szyte na miarę. Choć na pewno nie na miarę tego pajaca. Skądkolwiek je wytrzasnął, nie mogą należeć do niego.

– Wiedział, że to eleganckie przyjęcie i trzeba się odpowiednio ubrać, żeby zbytnio się nie wyróżniać, ale nie dorobił się jeszcze swojego garnituru, więc pożyczył go od kogoś. Na pierwszy rzut oka wygląda to tak, jakby znalazł w szafie marynarkę i spodnie po dziadku – wyjaśnił Vincent.

– Dlatego zakładamy, że jest młody. Dorośli, starsi faceci raczej mają w szafie przynajmniej jeden w miarę przyzwoity gajer na specjalne okazje – dodał ojciec.

Dłońmi objęłam gorący kubek. Przyjemnie parzył mi palce.

– No a co, jeśli celowo tak się ubrał, żeby wyprowadzić was w pole? – zapytałam sceptycznie.

Vince z ojcem spojrzeli po sobie.

– Wtedy nasza teoria leży – westchnął Cam.

– Nie wydaje mi się, że chciał nas w ten sposób dezorientować – stwierdził stanowczo Vince. – Bycie tak ubranym, bez jakiegokolwiek smaku, w tym konkretnym towarzystwie, już samo w sobie jest ryzykowne. Są tam snoby, które lubią komentować stroje innych. Myślę, że gdyby miał możliwość ubrania dopasowanego garnituru, żeby zupełnie nie rzucać się w oczy, to chętnie by z niej skorzystał.

– Dlatego też zgadujemy, że nie ma funduszy, nawet po to, żeby kupić porządne przebranie do wykonania swojego planu. Tutaj amatorszczyzna aż tańczy i śpiewa – uzupełnił ojciec.

– Zdecydowanie nie obraca się też w naszych kręgach towarzyskich. Nie martwił się, że ktoś go rozpozna. Wyraźnie ukrywał się przed kamerami, ale żadna z obecnych tam osób nie zwracała na niego szczególnej uwagi. Musi mieć nierzucającą się w oczy twarz.

Podmuchałam wciąż gorący napar i upiłam maleńki łyk. Musiałam jakoś pobudzić mózg do działania. Byłam pod niemałym wrażeniem analizy, jaką Vince i ojciec przeprowadzili.

– A dlaczego waszym zdaniem wiązało go coś z tym hotelem? Przez to, że wiedział, jak unikać kamer?

– Też. Tutaj, na tym nagraniu, znika na chwilę w łazience. Nie szuka jej, tylko śmiało porusza się w jej stronę.

– Czyli co, w przeszłości mógł zatrzymać się tam jako gość? – zapytałam, marszcząc brwi.

Ojciec przekrzywił głowę z małym uśmiechem, błędzącym mu na ustach, jakby zachęcał mnie do główkowania. A ja nie potrzebowałam dużo czasu, żeby zrozumieć, o co mu chodzi.

– Och – mruknęłam.

– Tak, królowno, bardzo dobrze. Idąc naszym tokiem rozumowania, naszego podejrzanego raczej nie stać, by gościć się w takim hotelu. Ale mógł tam pracować. Ewentualnie babrać się w jakichś brudnych interesach. Ten hotel słynie nie tylko z bycia miejscem idealnym do organizacji bankietów. Czasem dzieją się w nim różne szachrajstwa. Wiesz, idealny jest do tańca i różańca.

Następnie Vincent przewinął moment, w którym mężczyzna zniknął za drzwiami łazienki. Tam nie było kamer, więc mogliśmy go obserwować, dopiero gdy wszedł z powrotem do lobby, w którym liczba gości znacznie się już zmniejszyła. Większość z nich przeszła na salę, w której odbywały się przemowy i poczęstunek. To tam podejrzanego się skierował, a gdy tylko zniknął z pola widzenia kamery, Vince przełączył się na kolejną, która już znajdowała się na wspomnianej sali.

Znowu odnalazłam siebie. Rozmawiałam z żywiołowo gestykulującą Ruby. Uśmiechałam się, ale byłam też widocznie zestresowana. W ogóle nie zwracałyśmy uwagi na stojący w kącie obok stoliczek, okryty żółtawym obrusem, na którym w kryształowym wazonie był bukiet kolorowych kwiatów. Tuż przy nim stała pięknie wyeksponowana, złocista taca, na której znajdowało się kilka małych paczuszek. Moje podarunki. Patrzyłam na nie, gdy nagle obserwowany przez nas mężczyzna zbliżył się do nich. Rozejrzał się niepostrzeżenie, najpierw podrzucił tam swoją, wyjętą zza pazuchy szerokiego płaszcza paczkę, a potem obrócił się dyskretnie i zabrał jeden ze znajdujących się tam prezentów. Działał bardzo szybko i sprawnie. Natychmiast się oddalił. Perfekcyjnie krył się przed kamerami. Poza tym to nie było duże przyjęcie, ale zbyt wielu gości zwracało tu uwagę jedynie na czubek własnego nosa.

Gapiałam się na paczkę, którą zostawił pośród moich innych podarków, i aż przeszedł mnie dreszcz. Kilka godzin później miałam ją otworzyć i o włos uniknąć śmierci.

Kim był ten człowiek?

– Potem widać, jak spada stamtąd jak najszybciej. Wciąż dobrze zakamuflowany. Auto musiał zostawić gdzieś poza terenem hotelu – powiedział ojciec, wzdychając.

– Nie wydaje mi się, żeby to był ktoś, kogo miałam okazję poznać – oceniłam, zagryzając wargę. Chyba niestety okaże się bezużyteczna. – Trudno stwierdzić.

– Zwróć uwagę na jego chód, na to, jak się obraca. Na jego posturę. Na to, w jaki sposób chwyta za paczkę. Vince, cofnij to, niech obejrzy jeszcze raz.

Naprawdę starałam się skupić. Może i kogoś mi te jego ruchy przypominały, a może wcale nie. Marszczyłam brwi, mrużyłam oczy, nachylałam się w stronę ekranu. I nic, nic nie byłam w stanie powiedzieć. Tak w ogóle to ja przecież nie znałam zbyt wielu osób...

– Nie wiem – westchnęłam na koniec. – Przykro mi, ale nie mam pojęcia.

Ojciec zacisnął swoje palce na moim ramieniu.

– Nie szkodzi, królowno. To i tak prawdopodobnie był ktoś, kogo nie znasz – powiedział do mnie, po czym syknął do syna: – Jak mówiłem, nie trzeba zawracać jej tym głowy.

– Niemniej jednak warto było spróbować. Każda informacja jest na wagę złota – odparł Vincent rzeczowo.

– HA, HA – huknął Dylan, wkraczając do kuchni. Wpatrując się prosto w moją twarz, powoli zbliżył się do nas o wiele zbyt zadowolony z siebie, żeby nie było to podejrzane. Gdy dzieliła nas już wystarczająco mała odległość, nachylił się do mnie nad stołem i dodał: – HA.

Wpatrywałam się w niego z zaciśniętymi ustami i niepoczyszonym wzrokiem. W sercu poczułam niepokój. Cholera, nie spodziewałam się, że będzie działał tak szybko.

– Informację na wagę złota mam ja – pochwalił się, a atmosfera natychmiast się rozrzedziła.

Vincent z ojcem zerknęli na niego bez specjalnego zainteresowania.

– Cokolwiek Tony ci powiedział, to nieprawda – rzekłam natychmiast.

– No już, mała Hailie – zaśmiał się wrednie Dylan – nie panikuj. Możemy dojść do porozumienia.

Unikałam spojrzenia zarówno ojca, jak i Vincenta. Próbowałam zdecydować właśnie, czy powinnam iść w zaparte, czy się przyznać i udobruchać Dylana.

– Zostaw ją w spokoju – westchnął ojciec i odszedł od nas, a łyżeczkę, którą trzymał w ręku, wrzucił do zlewu. Vince zamknął laptop.

Dylan obserwował mnie z irytująco triumfalnym uśmieszkiem, dlatego ostatecznie odetchnęłam, przymknęłam powieki i, dopijając ziółka, wstałam.

– Dobra już! – syknęłam.

Całe szczęście ani ojciec, ani Vince nie byli wystarczająco wścibscy, by dopytywać, o co chodzi. Dylan z nieskrywaną przyjemnością podążył za mną na ganek. Gdy już trzasnęły za nami drzwi frontowe, odwróciłam się, by na niego spojrzeć. Zaskoczyła mnie zmiana, jaka zagościła w jego wyrazie twarzy.

Psotne zadowolenie z siebie zostało zastąpione irytacją.

– Co?

– Pstro – odparł od razu, trącając mnie swoim paluchem w nos. Cmoknęłam niezadowolona i odchyliłam głowę.

– Chciałeś gadać, to gadaj.

Tym samym palcem wskazał na mnie.

– Uważaj sobie. – Chwilę mnie obserwował, a ja stwierdziłam, że rozsądnie będzie znieść to w milczeniu. Musiałam go wybadać. Co wiedział i w ogóle. Wreszcie odsunął się ode mnie, zerknął w dal, na oliwny gaj i rozwałił się na kanapie ogrodowej.

Ja natomiast objęłam się ramionami i oparłam o drewnianą barierkę, tak żeby w razie co zachować odstęp od krwiożerczego brata.

– Tony sprzedał mi smaczka – zaczął w końcu, a brzmiał o wiele poważniej niż wcześniej. Spodziewałam się, że celowo chciał wzbudzić we mnie dyskomfort, więc z całych sił starałam się zachować spokój.

– Cokolwiek Tony ci powiedział, na pewno jest to nieprawdą. Zrobił to dla świętego spokoju, żebyś się od niego odczepił – oznajmiłam twardo. – Wiem, że masz na niego haka. Bał się po prostu, że go wydasz.

Dylan patrzył na mnie przez chwilę i w końcu parsknął.

– Nieźle kombinujesz, mała dziewczynko – przyznał. – Tylko że masz pecha. Chcesz wiedzieć dlaczego?

Śmiało uniosłam podbródek do góry.

– No dlaczego?

Dłoń Dylana niedbale powędrowała do kieszeni jego spodni, z której wyłonił się telefon komórkowy. Wielki, czarny, płaski i pozbawiony wszelkiego etui chroniącego (co zapewne było powodem maleńkiej rysy tuż obok aparatu).

– Bo studia to piękny w życiu czas. – Dylan uśmiechnął się zaczepnie, gdy uniosłam brew. – Zwłaszcza studia za granicą. Później wspomina się ten okres już zawsze.

– No i?

– No i dlatego studenciaki mają kota na punkcie trzaskania zdjęć gdzie popadnie. Jak i nagrywania filmików...

Milczałam, a Dylan leniwie się wyciągnął, machając telefonem w ręce.

– W sumie na każdej chyba imprezie organizowanej dla studentów z wymiany jest jakiś typ z kamerą.

Mimowolnie przełknęłam ślinę. Dłonie zacisnęłam mocniej na balustradzie, o którą się opierałam.

– No podejdź tu. – Dylan zaczął grzebać w telefonie, a ja, na zeszywniałych nogach zbliżyłam się posłusznie, acz nieufnie.

Mój brat znalazł już to, co chciał mi pokazać. Jakiś filmik.

Świetnie, kolejny.

Moim życiem rządzą nagrania.

Przewinął go do momentu, w którym zapamiętał, że pojawia się to, co interesujące. A dokładnie momentu, w którym dziewczyna w białej bluzce i czarnej, długiej spódnicy właśnie wyciągała ręce do góry, a dwie osoby wciągały ją za nie na bar.

Drgnęłam z żalości, a mój żołądek zacisnął się w ciasny supeł. Odwróciłam szybko wzrok od telefonu, jakbym bała się, że filmik wypali mi oczy.

To byłam ja.

Narąbana, uciekająca przed bliźniakami, wdrapująca się na blat baru, ja.

45

KILKA PYTAŃ

Skąd to masz?...

– Dobre pytanie – pochwalił mnie Dylan, brzmiąc niczym prezenter lipnego telewizyjnego show. – Ten durny filmik wisi sobie na oficjalnych stronach baru i promuje kolejną imprezę.

– Co ty mówisz?

– Tak – potwierdził, krzywiąc się na mnie. – Jakieś wideo z moją małą, naprutą siostrą stało się, kurwa, narzędziem marketingowym.

Najpierw patrzyłam w bok, zagryzając wargę, ale potem zerknęłam wreszcie na brata.

– Przecież to... nic takiego. Głupi filmik, jeden z wielu na stronie baru, jednego z wielu. Nawet do końca nie widać, że to ja.

Moja twarz mignęła tylko w paru momentach. Oświetlenie pozostawiało wiele do życzenia. A sam filmik nakręcono w dość chaotyczny sposób. Nie robił ze mnie głównej atrakcji, tylko jedną z wielu pobocznych. Kolejne ujęcia przeskoczyły na barmanów, przyprawiających specjalne szoty ogniem. Alkohol widowiskowo zapłonął żywym płomieniem, po czym kilku śmiałków wychyliło małe kieliszki, robiąc kwaśne miny i krzycząc do kamery. To tyle. Nie ma szans, żeby ktokolwiek kiedykolwiek wygrzebał ten materiał z odmętów internetu.

Poza Dylanem, najwyraźniej.

– Jak ojciec się dowie... – zaczął brat złowrogo, ale mu przerwałam. Takie pogrożki mógł sobie wsadzić w cztery litery.

– Tak się składa, że ojciec wie.

– Ojciec wie, żeś się upiła, ale nie wie, że odwaliałaś takie cuda, które na dodatek komuś udało się nagrać. Nie masz pojęcia, mała dziewczynko, jak przewrażliwiony jest na punkcie takich pierdół – powiedział Dylan i z jednej strony zdawał się czerpać radość z kłopotów, w jakich się znalazłam, a z drugiej sam był nimi rozdrażniony. –

A poza tym, istnieje taka osoba, która wciąż nie wie o twoim wysoku, a która ma jeszcze większego fisia na punkcie prywatności i tego, co krąży na temat naszej rodziny w sieci.

Miałam ochotę ukryć twarz w dłoniach. Nie zrobiłam tego wyłącznie dlatego, że starałam się być twarda przed Dylanem. Jednak mimo starań nie panowałam nad swoim spojrzeniem jasno wyrażającym obawy, jakie zakiełkowały w mojej duszy.

Dylan skwitował je cierpkim uśmiechem.

– Vincent porządnie się wścieknie, jak odkryje, że po pierwsze, doprowadziłaś się do takiego stanu, a po drugie, że jest na to dowód w internecie.

Jak w zwolnionym tempie uniosłam dłoń i zacisnęłam palce na koszulce Dylana, mniej więcej na wysokości jego obojczyków.

– W takim razie całe szczęście, że żadnej z tych rzeczy nie odkryje, prawda? – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

Dylan wzruszył ramionami.

– No nie wiem, trzeba usunąć to gówno z internetu. Jak właściciel baru nie będzie chciał współpracować, to będziemy musieli zaangażować naszego prawnika. Wtedy Vince na bank się o wszystkim dowie.

Poluzowałam uścisk.

– Dylan – jęknęłam żałośnie. – To chyba lekka przesada! To tylko głupi fragment filmiku, na którym nawet nie widać dobrze, że to ja. Przyznaj się, że mścisz się za pokojówkę i tyle.

– Dobra, mszczę się za pokojówkę – przyznał bez zażenowania. – Ale też myślę, że przegięłaś, upijając się, że ojciec przegiął, dając na to ciche przyzwolenie, i że Shane i Tony przegięli swoim nieogarnięciem sytuacji. – Dylan znowu uniósł palec wskazujący. – Gdybym był z wami, w życiu by do tego nie doszło.

– Kiedy tak naprawdę do niczego nie doszło! Poza tym wkopiesz nie tylko mnie, ale i bliźniaków. Jak sam zauważyłeś, oni też są częściowo odpowiedzialni za tę całą sytuację.

– Będziesz to tłumaczyć Vincentowi, jak już wezwie cię na dywanik. Shane i Tony spadną na cztery łapy – zadrwił. – A co do ciebie... Strzelam, że Vince załatwi ci następnego ochroniarza. Jeden będzie pilnował twojego bezpieczeństwa, a drugi bronił cię przed twoimi własnymi, głupimi pomysłami.

Patrzyłam na niego niepocieszona.

– Nie mów mu – wyszeptałam, co brzmiało bardziej jak rozkaz, nie prośba i na pewno nie zachęciło Dylana do współpracy.

– Spoko, mała Hailie – uspokoił mnie. – Nie powiem. Nie teraz. Nie jestem głupi. Według moich obliczeń najbardziej opłaca mi się wkopać cię, jak już będziemy w domu. Vince czuje się wtedy za ciebie o wiele bardziej odpowiedzialny, niż gdy jesteśmy razem z ojcem.

Krzywiłam się na jego kpiarski wyraz twarzy. Na koniec podniósł się i popatrzył na mnie z góry. Był wielki jak wieżowiec i zadarłam głowę, bo walczyliśmy właśnie na nienawistne spojrzenia i bardzo chciałam wygrać. Dylan zrobił krok, by mnie wyminąć, czym wymusił na mnie odsunięcie się w bok. Wtedy nachylił się nade mną jeszcze na chwilę i szepnął:

– A dopóki nikt się o tym nie dowie, to ja będę pilnować, żebyś więcej nie pakowała się w żadne kłopoty. Zrobię sobie z tego, kurwa, misję życia, mała Hailie.

Po czym swoją wielką łapą poklepał mnie po głowie i zniknął z powrotem w domu, zostawiając mnie na ganku, wściekłą i zmarnowaną.

Jedyną, na co miałam teraz ochotę, to wyżycie się na kimś. Nie przez przypadek padło na Tony'ego. To on doniósł na mnie Dylanowi. Tamta noc miała być tajemnicą, a on wypaplał wszystko naszemu najbardziej czepialskiemu bratu.

Znalazłam go na strychu. Siedział wyciągnięty na workowatym fotelu i grał na przenośnej konsoli. Wdrapałam się tam po schodach dudniącymi krokami, których echo z daleka niesło oznaki mojej złości.

– Zadowolony?! – krzyknęłam piskliwie, jak tylko go dostrzegłam.

Tony rzucił mi przelotne spojrzenie, po czym z powrotem wlepił gały w swoją zabawkę.

– Nie wywracaj na mnie oczami! – ciągnęłam z rozjuszeniem godnym bogini gniewu.

No dobra, bez przesady. Chyba nie robiłam na nim aż takiego wrażenia. Przynajmniej do czasu, aż podeszłam na tyle blisko, by wyrwać mu konsolę z dłoni.

Wtedy zyskałam jego uwagę. Przeklął na głos i popatrzył na mnie z rozdrażnieniem.

– Oddawaj to.

Cofnęłam się o kilka kroków, a konsolę schowałam za plecy.

– Jak mogłeś naskarżyć na mnie Dylanowi?

– No oddawaj! – Tony rzadko podnosił głos, a gdy to robił, to brzmiał jak teraz, czyli jak krzyżówka rozsierzonego niedźwiedzia i rozpuszczonego dzieciucha, który denerwuje się, bo coś poszło nie po jego myśli.

– To miał być sekret. A ty się wygadałeś!

On cmoknął z niezadowoleniem, że musi fatygować się, by odebrać swój gadżet. Podniósł się sprawnie z fotela i zaczął iść w moją stronę.

– Oddaj to.

Wciąż się cofałam, obserwując jego ruchy z wrogością, ale i ostrożnością, by w razie czego wyczuć dobry moment do ucieczki, co okazało się zupełnie bezcelowe. Pomimo mojej drobnej sylwetki i sprytu, który powinien iść z nią w parze, Tony okazał się w tej sytuacji zwinniejszy i gdy nagle przyspieszył, a ja spróbowałam czmychnąć w bok, znalazłam się w pułapce.

Zdawało mi się, jakbyśmy szarpali się z kilka minut, mimo iż w rzeczywistości trwało to o wiele krócej. On złapał mnie za ramię i odwrócił, by dosięgnąć konsoli, więc ja przytuliłam ją do piersi, zaciskając na niej palce ze wszystkich sił. W cokolwiek Tony wcześniej grał, na pewno już przegrał, bo nieliczne guziki znajdujące się na panelu udało mi się wcisnąć niechcący już po kilka razy w trakcie tej szamotaniny. Ostatecznie zgięłam się wpół, broniąc się, jak potrafiłam, a Tony rozłupał moją skorupę obronną. Zabrało mu to trochę czasu, bo – jak się domyślałam – nie był przyzwyczajony do walki z dziewczynami. Na początku zdawał się nie wiedzieć, jak pokonać mnie, jednocześnie nie używając przemocy. Było to dość niepokojące, ale przynajmniej skutecznie hamował się przed zrobieniem mi krzywdy, a zawsze to już coś.

A ja, gdy w pewnym momencie próbował wyszarpnąć konsolę z moich dłoni, a jego nadgarstek znalazł się zachęcająco blisko moich ust, po prostu musiałam go capnąć. Zacisnęłam zęby na jego skórze, na początku lekko, a potem dodając mocy do uścisku szczęki.

Tony syknął i próbował wyrwać rękę, a gdy mu się to nie udało, wolną dłonią zatkał mi nos. Szybko skończyło mi się powietrze, więc otworzyłam usta, a wtedy on wytarł swój ośliniony nadgarstek o koszulkę i z coraz większym rozdrażnieniem spróbował pokonać mnie w inny sposób.

Kretyn zaczął mnie łaskotać.

Nie było w tym nic zabawnego, mimo iż zanosłam się śmiechem. Należało go określić jako oznakę bezsilności. Szybko wyładowałam na podłodze i ostatkami energii broniłam łup, jednak finalnie nie wytrzymałam. Wśród moich pisków i krzyków wreszcie rozbrzmiało pełne załamania „Okej! Okej! Już! Już!”. Wpuściłam konsolę z dłoni, a Tony sprzątnął ją mi sprzed nosa, kończąc moje tortury.

Leżałam bez ruchu, uspokajając oddech i tylko usłyszałam szelest fotela, gdy z powrotem na niego opadł. A potem melodyjkę tej jego głupiej gierki. Przymknęłam powieki.

Nie wytrzymam z tymi braćmi.

Powoli podniosłam się – najpierw do pozycji siedzącej, a następnie, po chwili, stanęłam na równe nogi. Mięśnie brzucha i policzki bolały mnie od śmiechu. Po takiej jego dawce czułam się nieco oszołomiona, dlatego musiałam ochłoniąć, zanim znowu zwróciłam się do Tony'ego.

– Dowiem się – zaczęłam głośno, zdeterminowanym tonem – dowiem się, co Dylan na ciebie ma. Dowiem się i załatwię cię tak, jak ty mnie.

Na dźwięk mojej groźby Tony uniósł głowę i nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy.

Wtedy zabrałam się z tego strychu i pognałam schodami w dół. Nogi same zaniósły mnie do salonu. Wciąż błyszczała w nim choinka, w tle leciała cicha muzyka, której raz po raz towarzyszyły uderzenia kija bilardowego. Blanche grała partyjkę z Willem. Na jego widok moja broda zadrżała jak galaretka. Chyba lubiłam użalać się nad sobą w jego obecności.

– Co tam, malutka? – zagadnął, gdy tylko mnie dostrzegł. W jednej ręce trzymał pionowo kij bilardowy, a drugą wyciągnął, by przytulić mnie do swojego boku.

Chętnie skorzystałam z tego zaproszenia. Przycisnęłam policzek do jego miękkiej, bawełnianej bluzki. Byłam jak komórka na wyczerpaniu, dla której Will robił za najlepszą ładowarkę.

– Nie lubię Tony’ego. Ani Dylana. I Shane też mnie denerwuje.

Poczułam, jak jego klatka piersiowa drży, gdy zareagował śmiechem.

– Nie tylko ciebie – wtrąciła Blanche, zaraz po popisowym ruchu, w którym wbiła na raz trzy bile do dwóch różnych łuz.

Will gwizdnął z uznaniem.

– Ale to mnie dokuczają – poskarżyłam się.

– No i co? Mnie drażnią tym, że oddychają. – Blanche machnęła ręką, zanim przybrała kolejną pozycję, opierając się o stół.

– Ale z ciebie zrzęda – skomentował Will z rozbawieniem.

– Ano – przytaknęła babka, tak jakby to była najoczywistsza rzecz, i zgarnęła kolejny punkt.

– Co ci zrobili? – zapytał mnie brat, ze zmarszczonymi brwiami przyglądając się grze Blanche.

– Chodzi o te ich haki – westchnęłam. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, jak nieczytelna moja odpowiedź była, ale Will mnie zaskoczył, bo pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Mają coś na ciebie?

Zerknęłam na niego podejrzliwie.

– Wiesz o tych beznadziejnych gierkach?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się do mnie. – Aktualnie nie mam nic na Tony’ego, ale jak będziesz potrzebowała czegoś drobnego na Shane’a, to służę pomocą.

Kręcąc z niedowierzaniem głową, wymknęłam się z objęć Willa, ale on złapał mnie za łokieć.

– Czekaj, no powiedz mi. Co się dzieje?

– Szantażują mnie! – wydałam z siebie zirytowane westchnięcie.

– O co? – Will przestał zwracać uwagę na rozgrywkę.

– O nic, nieważne.

– Hailie? – zawołał za mną, ale zdołałam wywinąć się z jego uścisku i czmychnąć z salonu.

– To serio nic, idę poczytać – rzuciłam przez ramię.

Nie powinnam była nic mu mówić, Will przecież słynął z wyjątkowej nadopiekuńczości wobec mnie. Tym bardziej zależało mi na ukryciu przed nim mojego pijanego tańca na barze.

Przejęłam się rozgrywkami świętej trójcy na tyle, że nie potrafiłam skupić się na czytaniu, pomimo iż kanapa ogrodowa na ganku Blanche zapewniała idealne warunki na popołudnia z książką. Po prostu stresowałam się, że gdzieś tam w czeluściach internetu znajduje się filmik, który może kosztować mnie pogadankę u Vincenta, Willa i ojca razem wziętych.

Próbowałam go znaleźć. Długo się czałam, bo nie wiedziałam, czy tryb incognito wystarczy, by zatrzeć za sobą ślady, ale nie miałam wyboru i w końcu zaryzykowałam. Szukałam go i nie znalazłam, nigdzie. Nawet nie byłam pewna, czy sprawdzałam stronę właściwego baru, dlatego przeczesałam kilka z tych, których lokalizacja na mapie mniej więcej się zgadzała i które na zdjęciach były podobne do lokalu z moich niejasnych wspomnień.

Poderwałam głowę znad ekranu, dopiero gdy ktoś wyszedł z domu.

Shane, Tony i Dylan minęli mnie bez słowa. Patrzyłam podejrzliwie, jak idą w stronę samochodu, pozostawiając po sobie ciągnący się zapach mocnej wody kolońskiej.

– Hej! – zawołałam, tknięta niezawodnym przeczuciem, że coś było nie tak. Odrzuciłam książkę na bok i zerwałam się na równe nogi. – Hej, dokąd wy jedziecie?

Oni nigdy nie byli skłonni do tłumaczenia mi się, więc nie zdziwiłam się, gdy oberwałam od nich tylko zobojętniałymi spojrzeniami. To Tony'ego na dodatek było podłużne, jakby wielce królewicz chował urazę po naszej szamotaninie na strychu. Shane raczej mnie ignorował, natomiast najbardziej zirytował mnie tradycyjnie Dylan, któremu w tęczówkach przebłyskiwała drwina.

To wtedy, stawiając twarde kroki, ruszyłam w ich stronę.

– Dokąd jedziecie? – powtórzyłam najostrzej, jak potrafiłam.

Dylan uniósł brwi i zatrzymał się z dłonią na klamce drzwi od strony kierowcy.

– Jedziemy, dziewczynko, posprzątać twój bałagan.

Zerknęłam przelotnie na bliźniaków, którzy znikali właśnie w aucie.

– Do baru? – upewniłam się.

– Porozmawiać sobie z właścicielem.

– Jadę z wami – oznajmiłam natychmiast.

– W swoich snach.

– Jadę z wami, odsuń się.

– Nie ma mowy, mała dziewczynko. Wracaj robić babki z piasku i pozwól dorosłym zająć się poważnymi sprawami.

– Jeśli to wszystko rozchodzi się o ten idiotyczny filmik, to jest to moja sprawa i ja powinnam ją załatwić.

Jestem pewna, że z wnętrza auta dosłyszałam ciche prychnięcie Tony’ego.

Dylan też patrzył na mnie z nieskrywanym dłużej rozbawieniem.

– Ty chcesz ją załatwić? Jak? Zadrapiasz właściciela swoimi małymi paznokciami?

– Wiem, że w twojej głowie to może być trudne do pojęcia, ale istnieją bardziej cywilizowane sposoby na komunikację z drugim człowiekiem niż przemoc fizyczna.

– Jak będziesz wymądrzała się w tak długich zdaniach, to nikt nie będzie słuchał cię do końca, dziewczynko.

– Jadę z wami. – Podparłam się o boki.

Dylan nachylił się.

– Słuchaj, może nawet i bym cię zabrał, żeby zobaczyć, jak się kompromitujesz, ale to nie misja dla małych dzieci. Zostajesz w domu. A teraz odsuń się, bo zawołam Sonny’ego, żeby zabrał cię siłą.

Zmrużyłam powieki.

– Okej – powiedziałam, ale zanim Dylan zdążył triumfalnie unieść kącik ust, dodałam:

– W takim razie ja przejdę się teraz do taty i zapytam go, co dokładnie pokojówka robiła z tobą w Tajlandii.

– Co? – Dylan skrzywił się.

– Słyszysz. Mówiłam, że nic nie widziałam, ale może jednak coś zapamiętałam? Może mam kilka pytań? – Uniosłam podbródek. – Zadam je tacie, Dylan, choćbym miała zapaść się pod ziemię z zażenowania, zadam je też Vincentowi, a na koniec pójdę z nimi do Willa i...

– Dobra już – syknął Dylan, czerwieniejąc na twarzy. Milczał przez moment, świdrując mnie wzrokiem. – Wsiadaj.

Uśmiechnęłam się cierpko, wyminęłam go i dołączyłam do Shane’a na tyłach samochodu.

– Co jest? – zdziwili się bliźniacy.

– Zmiana planów. Załatwimy tę sprawę cywilizowanym sposobem Hailie – odpowiedział Dylan, zasiadając za kierownicą.

Zadowolenie szybko zniknęło z mojej twarzy, gdy w lusterku napotkał moje spojrzenie i dodał:

– Chyba że nie zadziała. Wtedy wejdziemy my.

CYWILIZOWANY SPOSÓB KOMUNIKACJI

Za dnia promenada robiła o wiele radośniejsze i niewinniejsze wrażenie niż nocą. Kluby czekały w uśpieniu na mrok, a w ich miejsce tętniły życiem restauracje i sklepy z pamiątkami.

Bar, w którym przeżyłam swoją pierwszą imprezę, o tej porze wyglądał niepozornie i nie rozpoznałabym go, gdyby nie bliźniacy.

– Usiądą sobie przy ladzie, zamówią coś, a potem wejdiesz ty. Są tam tylko po to, żeby cię pilnować. Będą udawać, że się nie znacie – tłumaczył mi Dylan, gdy patrzyliśmy, jak nasi bracia znikają we wnętrzu lokalu.

– Nikt nas nie skojarzy z imprezy?

– Nie sędzę. A już na pewno nie właściciel.

– Wejdiesz ze mną do środka?

– Poczekam przy drzwiach. Będę sobie zerknął, jak skuteczny jest ten twój cywilizowany sposób komunikacji.

Ignorowałam docinki zarówno Dylana, jak i bliźniaków. Miałam proste zadanie i zamierzałam je wykonać. Niecałe dziesięć minut później nie mogłam już słuchać gderania brata, więc zapowiedziałam, że czas na moje wejście.

Zadziwiły mnie niewielkie rozmiary wnętrza baru, bo ledwo zapamiętałam to pomieszczenie jako olbrzymią, zatłoczoną przestrzeń bez światła dziennego. Oprócz bliźniaków, którzy siedzieli sobie kulturalnie przy barze, było tu jeszcze z kilka osób. Póki co żadna z nich nie zwracała na mnie uwagi.

– Przepraszam, czy jest pan właścicielem? – zapytałam barmana, celowo nawet nie zerknąwszy w stronę Shane’a i Tony’ego.

– Nie – mruknął, chyba niechętnie podejmując rozmowę po angielsku.

– A czy mógłby pan zawołać właściciela? Mam do niego prośbę – ciągnęłam, miło się uśmiechając. Założyłam też włosy za uszy.

Barman przez chwilę ignorował mnie, skupiony na krojeniu cytryn w plasterki, ale gdy moje wyczekujące spojrzenie zaczęło mu ciążyć, odetchnął, odłożył nóż i zniknął na zapleczu.

Celowo, z wymuszonym uśmiechem, nie odwracałam wzroku od ściany alkoholi, nawet gdy usłyszałam parsknięcia bliźniaków. Wiedziałam, że w tym momencie byłam dla nich wspaniałą rozrywką. Nie chciałam dawać im satysfakcji. Ucieszyłam się, gdy z tyłów baru wyłonił się mężczyzna. Po jego łysiej głowie oceniłam, że powinien być wystarczająco dorosły, by przeprowadzić z nim dojrzałą rozmowę.

To mój pierwszy wniosek, ale, niestety, zaraz oberwałam od niego nieprzyjaznym spojrzeniem i zwątpiłam. Znowu poprawiłam włosy.

– Dzień dobry panu – przywitałam się. Staralam się nadać swojemu głosowi słodkie brzmienie, żeby trochę zmiękczyć serce mężczyzny. Na moich braci i ojca zawsze fantastycznie to działało.

Właściciel baru jednak nie był żadnym z nich, dlatego wciąż stroszył brwi. Oparł się o ladę i uniósł wysoko podbródek.

– Tak?

– Będę mówić po angielsku, dobrze? – Zaczęłam bawić się dłońmi. – Dziękuję, że znalazł pan dla mnie chwilę. Widzi pan, odwiedziłam ten bar jakiś czas temu. Jeszcze przed świętami. Pierwszy raz byłam w takim miejscu. Bardzo mi się podobało, naprawdę. Gratuluję organizowania tak wspaniałych imprez...

Mężczyzna unosił brwi coraz wyżej.

– Problem w tym, że ktoś nagrał tę noc, zmontował z niej film, który jest udostępniony na stronie pańskiego baru. – Pilnowałam się, by nie zerknąć na bliźniaków. – Tak się złożyło, że pojawiłam się na nim. Tańczyłam. Na barze, o właśnie tu, gdzie trzyma pan ręce. Wiem, że od tańca jest parkiet, ale rozumie pan, tak wyszło. W każdym razie przyszedł poprosić o usunięcie tego filmu. Lub wycięcie z niego fragmentu, w którym się pojawiam.

Zamilkłam, a policzki zaczynały mnie boleć od tego szczerzenia się.

– Skończyłaś? – zapytał właściciel.

Skinęłam niepewnie głową, a on oblizał wargi i potarł podbródek.

– Słuchaj – zaczął łamanym angielskim. – Nic nie usuwam.

– Ale... – zawiesiłam głos. – Proszę, to naprawdę bardzo ważne.

– Muszę czymś promować knajpę, za zmontowanie każdego takiego filmu płacę kupę kasy. Gdybym miał usuwać każdy materiał tylko dlatego, że jakiejś paniusi nie podoba się, jak wyszła, to mógłbym równie dobrze zamknąć ten bar na dobre.

– Ale tu nie o to chodzi. – Zmarszczyłam brwi. – Nie mam problemu z tym, jak wyszłam. Wyszłam całkiem dobrze. Chodzi o to, co ja tam robię. O ten taniec. I pijaństwo. Widzi pan, ja jestem niepełnoletnia.

– I co, boisz się rodziców?

Braci.

Milczałam, a mężczyzna pokręcił głową.

– Na przyszłość siedź w domu, oszczędzisz sobie kłopotu.

– Czyli usunie pan ten filmik?

– Już powiedziałem, że tego nie zrobię.

Serce zabiło mi przeciągle i przetknęłam ślinę.

– Ale... ja pana proszę...

– Wyjdź z mojego baru i do niego nie wracaj.

– Ale...

Pokręcił głową i machnął niedbale dłonią.

– Już, do widzenia, dzieciaku.

Nie ruszyłam się. Oczy mężczyzny były nieugięte. Trochę jakby rzucał mi wyzwanie, bym go dalej testowała. Wahałam się, co zrobić. Wreszcie westchnęłam i jego kącik ust drgnął zwycięsko, ale i z kpina, a ja wtedy wzniosłam oczy do sufitu i powiedziałam głośno:

– No dobra, wygraliście.

Właściciel uniósł brew.

– Zróbmy to po waszemu – dodałam.

Jak na rozkaz bliźniacy podnieśli się, a przy moim boku momentalnie pojawił się Dylan.

Stółek zaszurał i upadł, kiedy Tony podparł się o niego, żeby wskoczyć na ladę. Kucając na niej, wpatrywał się wyzuty z emocji spojrzeniem w właściciela, który wybałuszył na niego oczy.

– Ej, co jest? – warknął. – Złaż stamtąd!

Shane, by ściągnąć uwagę ze swojego bliźniaka, wszedł za bar od drugiej strony i nacisnął na jeden z kilku umiejscowionych akurat pod jego ręką kraników. Na podłogę zaczęło lać się piwo.

– Co ty wyprawiasz?! – ryknął mężczyzna.

Ruszył w stronę Shane'a, a wtedy Tony sprytnie jak kot zeskoczył z lady. Znalazł się przy ścianie z alkoholami i machnąwszy leniwie ręką, rzucił dwie butelki. Rozbiły się o podłogę z głośnym brzdękiem.

Przymknęłam powieki.

– Porąbało was? Wynoście się!

Dylan odchrząknął.

– Ten filmik, o którym mówiła moja siostra...

Zadrżałam, gdy właściciel znowu na mnie spojrzał. Nachylił się jeszcze bardziej, obiema dłońmi podpierając się o ladę.

– Za kogo ty się uważasz? – syknął do Dylana.

Rozległ się trzask, gdy Tony rozbił kolejną butelkę.

Jak zdołałam dostrzec kątem oka, w barze nie było osoby, która by na nas nie patrzyła.

– Widzę to tak – przemówił Dylan, przechylając głowę – że przychodzi do ciebie nastolatka i kulturalnie prosi cię o usunięcie jakiegoś gównianego nagrania, a ty robisz jej problem. Dlaczego?

– Już powiedziałem. Zapłaciłem...

Dylan się zaśmiał.

– Przecież my zaraz wygenerujemy ci tutaj o wiele większe straty.

Jak na potwierdzenie Tony zbił kolejną butelkę.

– Przestań, do cholery – zawołał właściciel, zaciskając ręce w pięści.

I jeszcze jedną. Tym razem Tony nawet przeklął i odskoczył, bo prawie zrzucił ją sobie na stopę.

Shane zarechotał.

– Wynoście się – powtórzył właściciel, ale nie brzmiał już tak stanowczo.

– Filmik, głąbie, już – warknął Dylan i sięgnął do kieszeni bluzy. Jakby chciał z niej coś wyciągnąć, ale nie zrobił tego, a tylko rzucał mężczyźnie wyzywające spojrzenia.

Bałam się pytać, co tam trzymał.

Choć domyślałam się.

Właściciel też się domyślał, bo z sekundy na sekundę tracił pewność siebie.

Shane trącił kilka ułożonych obok kranu szklanek. Niektóre tylko się przewróciły, inne potłukły. Mruknął „Oj” totalnie nieprzejęty.

Mężczyzna przymknął oczy i nawet na chwilę wyglądał, jakby próbował się nie rozpłakać. Mrugałam, nie mogąc uwierzyć w przepaść pomiędzy jego arogancją sprzed chwili a aktualnym zachowaniem.

– Okej, dobra – powiedział cicho. – Usunę to, jasne?

– Zrób to teraz – naciskał Dylan.

Bliźniacy znowu coś potłukli.

– Przecież mówię, że usunę! – zdenerwował się właściciel.

– Długo zwlekałeś. – Dylan wzruszył ramionami.

– Usuwa już, do cholery! – Mężczyzna gwałtownymi ruchami pomacał kieszenie i wyjął z nich telefon.

Brzdęk tłuczonego szkła.

– Przestańcie!

Cała czwórka spojrzała na mnie. Bo tym razem to mnie wyrwał się krzyk.

Zamilkłam na chwilę, żałując, że się odezwałam, ale w końcu, nieśmiało przygryzając wargę, mruknęłam:

– Przecież powiedział, że usunie.

Tony, który trzymał nową butelkę, gotowy, by przypadkowo ją upuścić, znieruchomiał.

– Usunie pan go teraz? – zapytałam.

Mężczyzna pokiwał głową i zaczął klikać w telefonie.

Unikałam spojrzeń braci, choć musiałam przyznać, że mnie posłuchali i powstrzymali się od dalszego rozrabiania. Grzecznie czekaliśmy, aż właściciel uniesie wzrok znad komórki i zakomunikuje, że zadanie usunięcia nagrania ze strony jego baru zakończyło się sukcesem. Gdy to zrobił, odwróciłam się na pięcie, gotowa do wyjścia i rzuciłam ponaglące spojrzenie Dylanowi.

On łypał na właściciela spode łba, jakby jego łobuzerski duch nie został zaspokojony.

– Wiedz – zaczął złowrogo – że masz nas z głowy tylko i wyłącznie dzięki naszej siostrze. Gdyby nie ona, to nie byłbyś w stanie otworzyć tej knajpy przez następny miesiąc, tak byśmy ci ją zrujnowali.

Właściciel spojrzał na mnie, mrugając w zdezorientowaniu. Żeby go już więcej nie oglądać, odwróciłam od niego wzrok.

– Chodźmy już – mruknęłam.

Shane i Tony wyszli z baru. Ten ostatni nawet zwinął sobie jedną z butelek, które przed chwilą tak chętnie tłukł.

Dylan nachylił się do mnie, gdy kierowaliśmy się wszyscy do wyjścia.

– Widzisz, dziewczynko, twój sposób może i jest cywilizowany, ale nasz za to skuteczny.

Jak to możliwe, że oni wszyscy byli tak cudowni, a w tym samym czasie tak przerażający? Bo mimo tych wszystkich nierzadkich przepychanek spędziłam z nimi też najlepsze momenty. Na przykład dzień później wynajęliśmy quady i wszyscy ruszyliśmy poszaleć po pustyni i na plażę. Coś niesamowitego. Sama nie prowadziłam, ale na przemian towarzyszyłam Willowi, Dylanowi oraz tacie i obiektywnie mogłam ocenić, że styl jazdy całej trójki jest równie nieodpowiedzialny, przez co najadłam się strachu, adrenaliny i, ostatecznie, mnóstwa rozrywki.

Innego, równie przyjemnego dnia, wybraliśmy się na plażę. Tę obok chatki Blanche. Było to na tyle wyjątkowe, że biwakowaliśmy tam przez długie godziny i to wszyscy razem. Zaczęliśmy w porze lunchu i skończyliśmy trochę po zachodzie słońca. Plaża,

tradycyjnie, była praktycznie pusta, poza nielicznymi spacerowiczami, którzy tylko czasami przemykali brzegiem oceanu. My usadowiliśmy się trochę dalej, tak żeby za bardzo nam nie wiało. Blanche przygotowała mnóstwo smakołyków, chłopcy wzięli ze sobą zapas piwa i rozłożyliśmy się na kilku olbrzymich kocach.

Prowadziliśmy też wiele ciekawych rozmów, które chłonęłam jak gąbka, zwłaszcza że wiele z nich opierało się na wspomnieniach, które pozwalały mi zajrzeć w przeszłość mojej rodziny. Towarzyszyło nam również mnóstwo zabawy i tym razem Tony nie musiał mnie łaskotać, żebym umierała ze śmiechu.

– Ale chwila, chwila – zawołała Blanche, krztusząc się swoim skrzekliwym śmiechem. Siedziała na swoich podwiniętych nogach, długi, nieposłuszny warkocz co chwila zarzucała za plecy, a w ręce ścisnęła butelkę piwa. – Oczywiście, że każdy ma swoich ulubieńców. Cam, nie próbuj mi wmówić, że jest inaczej.

Ojciec leżał wyłożony na jednym z koców, również popijał piwo i podtrzymywał się na łokciu.

– To w takim razie kto jest twoim ulubieńcem? Ja czy Monty?

– Ty – odpowiedziała babka bez zastanowienia. – Kocham Monty’ego, to mój syn, ale czasami mam wrażenie, że z niego trąba niesamowita.

Cam parsknął.

– No nie jest tak bystry jak ja, to się zgadza.

– Inaczej nie wytrzymałby z Mayą – wtrącił się Dylan.

– O to, to! – podłapała babka.

– Maya jest w porządku – zaprotestowałam, po czym przypomniałam sobie o propozycji aranżacji mojego małżeństwa i dodałam: – Z reguły.

– To rozpieszczona gówniara. Grała mi na nerwach zawodowo, gdy tu przyjechała – oznajmiła babka. – Ale nie ma złego charakteru, to jej przyznam. Jak na moje gusta jest po prostu zbyt hałaśliwa i taka jakaś... świergotliwa. Jak taki... taki – Blanche użyła do pomocy gestykulacji, by lepiej oddać opis zachowania przyszłej synowej – mały, obsypany brokatem dzwoneczek, który wkurza tym, że co chwila tarabani, nawet przy najmniejszym poruszeniu.

Rozbawiła nas tym porównaniem.

– No dobra, to kto jest twoim ulubieńcem? – Blanche ponowiła pytanie, które wcześniej skierowała do naszego ojca i które rozpoczęło całą tę dyskusję.

– Hailie – odparł, a ja, mimo iż wiedziałam, że pewnie mówi tak, żeby jak zwykle mi się przypodobać, uśmiechnęłam się. Nic na to nie poradzę, że bardzo to było dla mnie miłe.

Blanche przewróciła oczami.

– Nie. Hailie się nie liczy. Dmuchacie i chuchacie na nią tak, że wiadomo, że jest oczkiem w głowie was wszystkich.

Chyba się zaczerwieniłam, a niektórzy z moich braci podjęli próbę nieudolnego zaprzeczenia słowom babki, która koniec końców zakończyła się ciszą.

– Dobra – mruknął ojciec, wznosząc oczy do nieba. – W takim razie Vince.

Na twarzy mojego najstarszego brata pojawił się uśmiešek. Leżał w podobnej pozycji co ojciec i wciąż dziwiłam się za każdym razem, gdy widziałam go biorącego udział w tak nieoficjalnych momentach jak piknik z rodziną.

Rozległy się kolejne oburzone protesty reszty mojego rodzeństwa.

– Wy wiecie, dzieciaki, że ja sobie żartuję – zaśmiał się Cam. – Wszystkich kocham jednakowo, bo wszyscy mnie tak samo wkurzacie. I nie myśl, Vince, że masz fory.

– Ale jednak to syn pierworodny – zauważyła Blanche ze złośliwym uśmiechem.

– Czyli najlepszy – mruknął Vince.

– Chyba najbardziej wkurwiający – poprawił go Dylan.

– I arogancki – dodał Shane.

– I napuszony – wtrącił Tony.

– I despotyczny – dorzucił Will.

– I zaborczy – mruknęłam.

Vince z rozbawieniem rzucał spojrzenia nam wszystkim po kolei, na końcu dłużej wpatrując się we mnie, kompletnie nieurazony. Wręcz przeciwnie, zdawał się zadowolony z listy swoich wad.

– Mhm, zapamiętam to sobie, gdy następnym razem któreś z was przyjdzie do mnie z jakąś sprawą do załatwienia.

Ups.

-Vince ma w sobie dużo z Lissy – oceniła Blanche.

Cam pokręcił głową.

– Trochę, ale nie do końca. Lissy najbardziej przypomina Will.

– Jaka ona była? – zapytałam z ciekawości, szybko tego żałując. Nie pomyślałam, że drażnienie charakteru matki chłopaków mogłoby być nietaktowne, zwłaszcza w ich obecności.

Na szczęście moje pytanie nikogo nie uraziło. Nikt nie popatrzył na mnie z niechęcią ani nie uniósł brwi, nikt nie wymienił z nikim zgorszonych spojrzeń. Ucieszyłam się, że jestem pełnoprawnym członkiem tej rodziny, który może interesować się takimi rzeczami. Postać matki chłopaków od dawna mnie zastanawiała.

– Często wzdychała. Tak głośno – zaczął Will. – Jak ktoś narozrabiał, to nie miała siły non stop nas upominać, więc tylko tak charakterystycznie wzdychała, pamiętacie?

Vince parsknął pod nosem i pokiwał głową.

– Ja pamiętam, że lubiła świece. W całym domu było ich pełno.

Dylan wybuchnął nagle śmiechem.

– Pamiętam, jak kiedyś Shane zżarł taką jedną o zapachu jakiegoś, nie wiem, piernika, czy coś.

– Ej, nie wiem, po co w ogóle robią świece o zapachu żarcia – bronił się Shane, podczas gdy cała reszta, ze mną na czele, rżała ze śmiechu. – A w ogóle to takie rzeczy powinno się chować przed dziećmi.

– Przed wami wszystkimi to trzeba było schować cały dobytek – burknął ojciec, kręcąc głową, po czym zwrócił się do mnie: – A odpowiadając na twoje pytanie, to wierz lub nie, ale poznałem się z Lissy w kościele.

Uniosłam brew.

– Ty w kościele?

– Też się dziwiłam – mruknęła Blanche.

– Miałem tam coś do załatwienia. Zwróciłem na Lissy uwagę, bo śpiewała w chórze, na samym przodzie. Była bardzo poukładana. Od razu widać było, że jest z dobrej rodziny. I sobie pomyślałem, że chciałbym ją poznać. Zabawić się – opowiadał ojciec.

– Zabawić? – powtórzyłam.

– Byłem bardzo młody i głupi. Jeszcze wtedy nie myślałem o małżeństwie. Myślałem jedynie o zdobyciu dziewczyny z powszechnie szanowanej rodziny. Przepraszam, jeśli cię to gorszy, królowo.

Słyszałam, jak bliźniacy się śmieją. Przewróciłam oczami.

– Bo wiesz, w przeszłości nasza rodzina miała złą sławę. Za to rodzina Lissy była jedną z bardziej szanowanych. Jej ojciec paprał się w polityce i był jednym z największych snobów o mocno konserwatywnych poglądach. Strasznie porąbany człowiek.

– Obrzydliwy – zgodziła się Blanche.

– Nigdy go nie poznaliśmy – dodał Will.

– Nie był zainteresowany wnukami z takiego związku. – Cam wzruszył ramionami. – Wyrzekł się Lissy. Uznał, że splamiła honor rodziny, wiążąc się z jednym z Monetów.

– Naprawdę? Nie chciał poznać swoich wnuków? – dziwiłam się.

– Wnuków ma pod dostatkiem. Lissy miała jeszcze trzy siostry. Najstarsza z nich ma chyba z szóstkę dzieciaków.

– To w sumie tak jak i ty – zauważył Shane.

– Tak jak i ja – przytaknął Cam, a gdy po chwili milczenia natrafił na moje zainteresowane spojrzenie, podjął na nowo: – Lissy była typową damą. Tańczyła balet, śpiewała w chórze, grała na pianinie i czytała poezję. Jednocześnie silna i kobieca. To mi się w niej spodobało. I tak ostatecznie z naszego romansu narodziła się miłość.

– Była też rozkapryszona – oceniła Blanche.

Cam pokręcił głową.

– Była przede wszystkim zraniona. Tęskniła za rodziną, za siostrami.

– Tylko jedna z nich utrzymywała z nią kontakt po waszym ślubie, prawda? – powiedział Will.

– Zgadza się – przytaknął Cam. – Clarissa była jej najmłodszą siostrą. Spotykały się w tajemnicy przed swoim ojcem. Uwielbiały się. Clarissa bardzo przeżyła śmierć Lissy.

– Dalej macie kontakt? – zapytałam.

Will pokręcił głową.

– Clarissa uwielbiała naszą mamę, ale nienawidziła każdego, kto przyczynił się do wydziedziczenia jej z ich rodziny.

– Nie widziałem jej od lat. – Cam wzruszył ramionami. – Pokierowana przez swojego ojca, wyszła za bogatego polityka o dekady starszego. Jej zadaniem było urodzenie mu dziecka, ale z tego, co wiem, miała problem z zajściem w ciążę. Zawsze była dziwaczką, ale to odbiło się na jej zdrowiu psychicznym jeszcze bardziej.

– Wiadomo, co z nią teraz? – zapytałam współczująco.

-Od czasu, gdy musiałem wyjechać, przestałem śledzić jej poczynania. Tak jest lepiej, w końcu zrozumiałem, że po śmierci Lissy nic już nas nie łączy. Niech żyje swoim życiem, ja się nie będę interesował. Zresztą... – Ojciec uniósł z rozbawieniem brew – ... mam własną rodzinę do zadbania.

I przytulił mnie do boku, a ja się uśmiechnęłam.

47

OBRZYDLIWY

Mój pobyt na Kanarach dobiegał końca i mniej więcej wtedy padły pierwsze ustalenia co do powrotu, które zakładały, że nowy rok przywitam jeszcze w towarzystwie ojca, a niedługo potem wrócę sama do domu. Moi bracia natomiast szykowali się do opuszczenia wyspy jeszcze przed sylwestrem. Każdy z nich miał już jakieś plany na ten dzień. Niektórzy rozrywkowe, inni zawodowe. Łatwo zgadnąć, kto miał jakie.

Ja nie miałam żadnych, bo dobrze wiedziałam, że wymknięcie się na imprezę, na którą wybierał się chyba cały mój rocznik, było w mojej sytuacji zwyczajnie niemożliwe. Przekonanie Vincenta, by mnie na nią puścił, również odpadało. Mogłabym, oczywiście, pojęczeć mu o tym nad uchem, ale zakończyłoby się to z marnym skutkiem i ja to wiedziałam bardzo, bardzo dobrze.

A ponieważ przez całe życie dorastałam bez ojca, to teraz poświęcenie mu choć jednej sylwestrowej nocy nie wydawało mi się wielkim wyczynem.

Ten niecały tydzień, który dzieli święta od Nowego Roku, spędziliśmy w możliwie najbardziej rodzinny sposób. Ojciec był szczęśliwy, bo po raz pierwszy w życiu udało mu się zebrać wszystkie swoje dzieci pod jednym dachem. Babcia też była szczęśliwa, co od czasu do czasu dało się dostrzec przez zawsze otaczającą ją, niewidzialną, gęstą mgłę utworzoną z jej wiecznych fochów.

Ja także byłam szczęśliwa i tylko niekiedy powstrzymywałam się przed wyrwaniem sobie z głowy wszystkich włosów razem z cebulkami.

Jeśli chodzi o sprawę z nagraniem, to wciąż nade mną wisiała i nie dawała spokoju. Dylan miał być teraz mniej chętny do szantażowania mnie, bo sam zabrał mnie do baru, żeby porozmawiać z właścicielem. To potencjalnie mogło wróżyć dla niego kłopoty, gdyby Vince i ojciec się dowiedzieli. Nie wiedziałam tylko, jak wielkie.

To sprawiało też, że relacja między mną a Dylanem stała się lekko burzliwa. On zjawiał się często znikąd i torturował mnie swoim uciążliwym sposobem bycia. Ciągle się mnie o coś czepiał i dość często się z nim ścierałam. Starłam się zachować ostrożność i pamiętać o hakach. Wciąż nie rozpracowałam tego, jak się zachować, by w razie co spaść na cztery łapy.

Tego dnia Dylan jednak mnie zaskoczył, bo gdy idąc na plażę, wpadłam na niego pod domem, zareagował na mój widok nadzwyczaj pozytywnie. Akurat przepychał się z Tonym, ale gdy mnie zobaczył, wyprostował się i za mną zawołał.

Planowałam rozsiąść się nad morzem i pogadać z kimś z zewnątrz, najpewniej z Leo, bo Mona nie była w stanie poprowadzić dłuższej rozmowy. Szwankował jej głośnik od kiedy telefon wpadł jej do gara z masą czekoladową, gdy piekła ciasto na święta.

Zignorowałam Dylana, no i niedługo musiałam czekać, aż poczułam na ramieniu jego palce.

– Ej, pytałem, dokąd idziesz? – powtórzył, a ja odwróciłam się, żeby poczęstować go zirytowanym spojrzeniem, bo próba wyrwania się nie miała sensu.

– Na plażę.

– Sama?

Wywróciłam oczami.

– Z Sonnym. – Machnęłam ręką za siebie, dobrze wiedząc, że na pewno musi gdzieś tam być. Byłam coraz lepsza w ignorowaniu go. A kiedyś myślałam, że nigdy nie przyzwyczaję się do ochroniarza.

Dylan zerknął ponad moją głowę. Wyglądał, jakby coś rozważał, ale cokolwiek to było, nie obchodziło mnie.

– Puść mnie – zażądałam, szarpiąc ręką.

– Czekaj – mruknął, ale usłuchał i zabrał dłoń. – Ja jadę na plażę. Dużo lepszą niż ta tutaj. Proponowałem Tony’emu, żeby dołączył, ale mu się nie chce ruszyć tej leniwej dupy. Dlatego zaszczyt towarzyszenia mi przypada teraz tobie. Fajnie, nie?

– Nie, dzięki.

– Czekaj. To naprawdę ładna plaża. Woda jest przeźroczysta. Nie chcesz zobaczyć nowego miejsca?

– I jechać tam tylko z tobą? Nie bardzo. – Założyłam ręce na piersi. Wciąż byłam na niego zła.

On uśmiechnął się złośliwie.

– No już, przecież cię nie zjem.

No i oczywiście pojechałam. Tak, wiem, jestem książkowym przykładem młodszej siostry, która przez swój miękki charakter daje się frajerzyć swoim braciom na każdym kroku. Bo Dylan oczywiście miał interes w zabraniu mnie na piękną, ustronną plażę, z którą wiązało wiele magicznych wspomnień.

Przyznać muszę, że przywitał mnie tam jeden z cudowniejszych widoków, jaki kiedykolwiek miałam przyjemność oglądać. Pojechaliliśmy terenówką Benny’ego i zatrzymaliśmy się na pięknej i opustoszałej plażeczce. Dylan torował mi drogę, gdy przedzieraliśmy się przez kłujące krzaki. Potem przecisnęliśmy się między sporymi skałami. Sama w życiu nie wepchnęłabym się w te labirynty. Marudziłam na głos na to, ale brat kazał mi przestać jęczeć i obiecał, że nie pożałuję.

Rzadko kiedy takie słowa przeszłyby mi przez gardło, ale tym razem mogłabym wypowiedzieć je bez bólu: „Dylan miał rację”. Niewielka plaża wyglądała jak wydrążona w potężnej skale. Nie było tu piachu, bo składały się na nią ciemne kamyczki. Dylan się jednak przygotował i miał ze sobą karimaty. Błękitna woda migotała w słońcu, a fale dziś toczyły się po oceanie wyjątkowo łagodnie. Dookoła chroniły nas wysokie ściany, a atrakcyjności temu miejscu dodawał fakt, że byliśmy tu kompletnie sami.

– Nieźle, co? – zagadnął Dylan i uśmiechnął się kpiarsko na widok mojej miny.

Zbliżył się do brzegu, by rozłożyć karimaty jak najbliżej wody. Ruszyłam za nim, dopiero gdy za plecami usłyszałam ponaglący mnie szmer, który oznaczał, że Sonny bez słowa podążał za nami.

Zaskakująco miło spędziliśmy kilka długich chwil, siedząc w tym niezwykle urokliwym miejscu i rozmawiając na luźne tematy. Dylan naprawdę okazywał się w porządku, gdy robił sobie przerwę od bycia idiotą. Poza tym pogoda była fantastyczna i nie mogłam uwierzyć, że wciąż mamy grudzień! Siedziałam w samej koszulce i szortach. Mimo że miałam ze sobą bluzę, ani myślałam jej zakładać. Nie mówiąc już o Dylanie, który szybko pozbył się nawet koszulki.

Oczywiście, nie mógłby być sobą, gdyby wkrótce nie wymyślił czegoś głupiego.

– Co ty robisz? – zapytałam, przenosząc wzrok z horyzontu na niego, kiedy nagle się podniósł z karimaty.

– Widzisz tamtą wysepkę? – Wskazał na niewielki zbitek białych skał wynurzających się spod wody spory kawałek stąd. – Popłynę tam.

Zmrużyłam oczy, bo przysięgam, że słońce świeciło dziś jak w lecie. Może to ono zmotywowało Dylana do kąpeli.

– Przecież to daleko.

Ale on już zrzucił z siebie wszystkie pozostałe zbędne ciuchy i stanął w czarnych bokserkach, muskularny jak zawsze. Z oczu odgarnął ciemne kosmyki i zaczął rozciągać ramiona.

– Tak się wydaje – odparł.

Znowu tam spojrzałam, niezbyt przekonana.

– Nie no, Dylan, zostań tu.

– Wyluzuj, mała dziewczynko.

– Bo pójdę za tobą – zagroziłam, z coraz większymi obawami się przyglądając się temu, co wyprawia. Woda była dziś wyjątkowo spokojna, ale wiedziałam, że w przypadku oceanów to może okazać się zdradliwe.

– Ani mi się waż. Zostaniesz na brzegu. Pobaw się kamyczkami albo coś.

Podniosłam się, gdy zaczął iść w stronę brzegu.

– Nie żartuję, wejdę za tobą – powiedziałam, a on odwrócił się i wskazał za moje plecy.

– Spróbuj tylko, to Sonny zobaczy i cię wywlecze z powrotem na brzeg.

Tak naprawdę ostatnie, na co miałam ochotę, to rozbierać się do bielizny (zwłaszcza na oczach mojego ochroniarza) czy włożyć do zimnej wody.

– Wymyślasz no – westchnęłam, gapiąc się, jak dziarsko wchodzi do wody. Tak jakby jej temperatura nic się nie różniła od tej powietrza. I nagle złożył ręce w kształt strzały, po czym zniknął w środku nadchodzącej właśnie fali.

Mając Monetów za braci, żyłam w ciągłym strachu nie tylko o własne życie, lecz także ich. Zwłaszcza że ci najmłodsi, wiecznie znudzeni poszukiwacze ekstremalnych przeżyć, miewali naprawdę durne pomysły. Całe szczęście w większość z nich mnie nie wtajemniczano, bo chyba bym osiwiła przed osiemnastką, ale bywały takie momenty jak ten, kiedy to musiałam zacisnąć zęby i modlić się o to, żeby mój głupi brat się nie utopił.

Westchnęłam i usiadłam na karimacie okrytej ręcznikiem kąpielowym. Jedyna wada tych kamyczków była taka, że plaża traciła na wygodzie. Podciągnęłam kolana pod brodę i objęłam je rękoma, ciągle mrużąc oczy i nie odciągając wzroku od postaci Dylana, która raz po raz wynurzała się z wody i coraz bardziej się oddalała.

Rozważałam właśnie, czyby nie zrobić mu zdjęcia i potem nie naskarżyć ojcu, że Dylan zostawił mnie na brzegu i sam popłynął hen daleko, ale to chyba było za mało, by wpakować go w kłopoty. Ojciec sam lubił pływać, zwłaszcza bardzo wcześnie rano, gdy jeszcze wszyscy spali, i na pewno by Dylana rozumiał. A ze mną został przecież Sonny.

Cóż, po chwili i tak zdecydowałam się zrobić to zdjęcie. Tak na wszelki wypadek.

Chowałam właśnie telefon do materiałowej torby w różowo-zielone kwiatki, gdy usłyszałam szuranie przebijające się wyraźnie przez delikatny, miarowy szum fal. Podniosłam głowę, by zerknąć z powrotem za Dylanem. Był już bardzo, bardzo daleko. Wiedziałam, że dopłynięcie do tej wysepki wcale nie będzie takie proste.

Obróciłam głowę, spodziewając się, że to może Sonny z jakiegoś powodu postanowił pospacerować sobie za moimi plecami. Aż podskoczyłam, gdy zobaczyłam, że zbliżała się do mnie jakaś dziewczyna.

Zatrzymała się kilka metrów dalej i świdrowała mnie intensywnym spojrzeniem czarnych oczu. Niezbyt mi się to spodobało. Nie tak patrzy się na nieznajomych.

– Eee... cześć? – zagadnęłam niepewnie.

Rozejrzałam się, niezbyt dyskretnie, w poszukiwaniu Sonny'ego, tak na wszelki wypadek.

– Cześć – odparła twardo i wyraźnie z mocnym, hiszpańskim akcentem, który nadawał jej głosowi uroczej słodczy nawet pomimo niezbyt przyjaznego tonu.

Jeszcze raz zerknęłam za Dylanem, a gdy wróciłam wzrokiem do niej, ona też patrzyła w tamtą stronę.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytałam, starając się ukryć pierwsze oznaki nerwowości.

Czarne tęczówki nieznajomej wbiły się z powrotem we mnie. Milczała, a jej klatka piersiowa falowała o wiele bardziej wzburzona niż ocean rozpościerający się przed nami. Kiedy mój mózg zaczął dostawać już pierwsze zawiadomienia o ogarniającej mnie panice, ona nagle przymknęła powieki i wzięła głęboki wdech. Kątem oka dostrzegłam, że dłonie zacisnęła w pięści.

Była niska, nie bardzo, ale na pewno niższa ode mnie. I krągłejsza. Mogła się pochwalić ładnym, kobiecym biustem. Miała też szerokie biodra i – sądząc po jej lekko zarysowanych mięśniach na ramionach – lubiła ćwiczyć.

Przypatrywałam jej się, gdy wzięła jeszcze ze dwa oddechy, cały czas z zamkniętymi oczami. Kiedy je otworzyła, wyglądała już na dużo bardziej opanowaną.

Szepnęła do siebie coś, czego nie zrozumiałam.

– Przepraszam, ale nie słyszę. I nie mówię za bardzo po hiszpańsku – oznajmiłam, przekręcając nieco głowę, skora do wysłuchania jej teraz, gdy już w większości wyzbyła się swojej niewytłumaczanej złości.

Dziewczyna westchnęła i przeczesła palcami gęstą kitkę, z której wydostawały jej się pojedyncze, uparte kosmyki.

– Ja przepraszam. Nachodzę cię, a ty przecież nawet mnie nie znasz. – Dziewczyna uśmiechnęła się krzywo, zdecydowanie bez wesołości.

– Wcale nie nachodzisz – skłamałam, starając się brzmieć sympatycznie. – Szukasz kogoś? Czegoś? Może mogę pomóc... – zaproponowałam ostrożnie.

– Raczej nie – ucięła kwaśno, po czym objęła się rękami, jakby zrobiło jej się zimno, choć pogoda dopisywała. Po chwili dodała nieco zmienionym tonem: – Jesteś tu z nim, prawda?

Zmarszczyłam brwi.

– Z kim?

– No z Dylanem.

Och, a więc dziewczyna zna Dylana.

Świetnie.

– Widziałam was – dodała.

– A, no tak – potwierdziłam – jestem tu z nim.

Dziewczyna parsknęła ponuro.

– Co za cabrón. – Niemal splunęła, więc założyłam, że musiała to być jakaś hiszpańska obelga. – Będzie mi tu się kręcił z jakimiś zdzirami.

Uniosłam brwi.

– Słucham?

Wskazała na kawałek plaży za moimi plecami, a oczy ponownie błysnęły jej złością.

– To moje miejsce! – zawołała do mnie, a tym samym palcem zaraz pokazała na siebie. – To ja mu je pokazałam. Nikt tu nie przychodzi, turyści nie znają drogi. Nie wiedzą, że to trzeba iść przez skały. Nie trafiają tu. Pokazałam tę plażę Dylanowi dawno bardzo temu – kontynuowała i znowu zacisnęła dłonie w pięści. – A on tu sobie teraz przynosi swoje dziewczyny!

Otworzyłam buzię ze zdziwienia. Tego się nie spodziewałam.

– Ty jesteś Martina? – zapytałam i choć nie mogłam być pewna na sto procent, to tak podpowiadała mi intuicja. Wszystko się zgadzało, Hiszpanka, z okolic, zna Dylana...

Ona na chwilę wytrzeszczyła na mnie te swoje duże, czarne jak kawa, którą zwykle pija Vincent, oczy.

– Co on ci o mnie nagadał?

Odwróciłam się tułowiem w jej stronę, bo do tej pory tylko wykręcałam szyję, która zaczynała mnie już poboledować. Uniosłam też dłonie w obronnym geście, próbując ujarzmić jej nagrzany temperament.

– Nic takiego, słowo. Podobno kiedyś ugryzł go twój pies, to prawda? – zagadnęłam łagodnie.

Martina patrzyła na mnie nieufnie i w milczeniu. W końcu skinęła głową.

– Prawda.

– No więc to wszystko, co o tobie wiem.

Ona w odpowiedzi westchnęła i położyła sobie dłonie na głowie, jakby próbowała nie oszaleć.

– I nie jestem żadną zdzirą – dodałam urażona.

Martina opuściła ręce i spojrzała na mnie umęczonym wzrokiem.

– Nie jesteś, wyniosło mnie. Przeniosło. Znaczy poniosło, do cholery jasnej! – krzyknęła, po czym znowu wzięła kolejny głęboki wdech, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy wszystko z nią w porządku. – Miesza mi się angielski trochę, za mało używam – wyjaśniła, a ja skinęłam wyrozumiale głową.

– Mówisz bardzo dobrze.

Popatrzyła na mnie, a ten maleńki uśmiech, jaki mi rzuciła, był najszczerzy, jaki do tej pory miałam okazję u niej zaobserwować.

– Przepraszam, żadna z ciebie zdzira. Nie powinnam ci tak mówić, nie znam cię. Zła jestem na Dylana, to dlatego. Ale to nie twoja wina. – Martina zamachała dłonią, jakby próbowała się od czegoś odpędzić.

– Co Dylan ci zrobił? – zapytałam, kontrolnie sprawdzając, czy ten idiota się aby czasem naprawdę nie utopił. Przez chwilę go nie widziałam, ale potem dostrzegłam go, jak był już bardzo blisko wysepki.

Martina schyliła się i usiadła na podkulonych nogach niedaleko mnie. Też za nim patrzyła.

– Nic takiego – mruknęła – tylko myślałam, że to miejsce jednak znaczy dla niego więcej. – Spojrzała na mnie. – Bez urazy. Pokazałam mu je w tajemnicy i dużo tu wspomnień. Nie myślałam, że przyprowadzi tu ot tak swoją nową dziewczynę. Nie chodzi mi, żeby mu na tobie nie zależało, ale myślałam, że przeszłość też jest dla niego ważna, tak wiesz, no chociaż trochę...

– Stop, stop, stop... – wyrecytowałam, jeszcze grubo przed tym, jak ona skończyła. – Ja, dziewczyną Dylana? Ja? Dylana? – Skrzywiłam się. – Ohyda. Fuj. Ohyda. – Miałam ochotę splunąć. – Dylan jest obrzydliwy! Wielki i... ma paskudny charakter przecież. Wredne to takie... – Mlasnęłam językiem. – I jest brzydki. Oblesny. Fujka.

Nawet się zatelepałam. Martina patrzyła na mnie, jakby mi wyrosły dwie głowy. Zupełnie nie spodziewała się takiej reakcji, to na pewno. Chciała coś powiedzieć, ale tylko gapiała się na mnie, czekając na jakieś wyjaśnienie.

Dostała je, dopiero gdy się otrząsnęłam.

– Poza tym to mój brat.

Patrzyła i patrzyła, aż nagle jej twarz zaczęła tężeć. Przełknęła ślinę, zacisnęła usta i uniosła podbródek, a wyraz jej oczu znowu zrobił się nieprzyjemny.

– Kłamiesz.

Uniosłam brwi.

– Nie kłamię.

– Kłamiesz – powtórzyła i zmrużyła powieki. – Znam Monetów długo. To same chłopaki, Dylan nie ma siostry.

Zawahałam się.

– To... długa historia... Ale chodzi o to, że to nie mój chłopak. Nigdy nim nie był i nigdy nie będzie. Zapewniam cię.

Martina spoglądała na mnie chwilę, po czym zapatrzyła się w ocean. Tym razem ośloniła dłonią oczy od słońca i wydała zduszony okrzyk.

– Wraca – pisnęła i zerwała się na równe nogi.

Zerknęłam w tamtą stronę. Rzeczywiście, mój brat płynął już z powrotem. Wciąż był daleko, ale przegapiłyśmy moment, w którym wyszedł na ląd. Ciekawe, czy widział z daleka, że mam towarzystwo.

– No wraca, wreszcie – mruknęłam i obejrzałam się za Martiną, gdy kątem oka dojrzałam tylko, jak jej kucyk podskoczył od gwałtownego zrywu. – Hej, a ty gdzie? Martina!

– Nie zamierzam z nim rozmawiać – rzuciła w pośpiechu.

– Poczekaj! Martina! No przecież przyszłaś tu już, więc nie uciekaj, no co ty! – wołałam za nią, ale ona nawet się nie odwróciła. Niemal biegiem skierowała się do przesmyku w skałach.

Podniosłam się do pozycji klęczącej i kamyczki wbijały mi się teraz w kolana. Nie było sensu wstawać, lecieć za nią ani nawet więcej krzyczeć. Dziewczyna uciekła jak spłoszona mysz i nic nie mogłam z tym zrobić.

Westchnęłam i z powrotem usiadłam, rozmyślając o tym krótkim, niespodziewanym spotkaniu. Niedługo potem Dylan wreszcie wyszedł z oceanu, rozbryzgując wodę na boki. Wciąż uspokajał oddech, gdy zbliżył się do mnie. Nie byłby też sobą, gdyby dopiero wtedy się nie wytrzepał, szczerze mnie ochlapując.

Cmoknęłam z irytacją, ale ciągle obserwowałam jego poczynania i to, jak sięga po ręcznik, by zetrzeć z siebie krople wody błyszczące na jego skórze. Nawet takiego chłopaka jak Dylan rundka, którą sobie zrobił, kosztowała wiele wysiłku. Wargi zdążyły mu posinieć.

– Poznałaś Martinę? – zapytał nagle znikąd, nie patrząc na mnie i pocierając ręcznikiem włosy.

– Wydaje się sympatyczna – odparłam, wzruszając ramionami.

Dylan parsknął, rzucając mokry już ręcznik na ziemię.

– O tak, już z daleka widziałem, jak wymachiwała rękami.

– Bo myślała, że jestem twoją dziewczyną – wyjaśniłam, wcale nie powstrzymując odruchu wymiotnego, na co Dylan rzucił mi rozbawiony uśmiech.

– No przykro mi, mała dziewczynko, ale jestem dla ciebie nieosiągalny – zaśmiał się i poklepał mnie niedbale w czoło, włosy i kawałek skroni.

– Mówiłam, obrzydliwy – mruknęłam do siebie, a głośniej dodałam: – Nazwała mnie zdziurą.

– Naprawdę? – Dylan się zaśmiał i pokręcił głową, po czym mruknął do siebie: – A jednak.

– Doceniłabym, gdybyś nie próbował wzbudzać mną zazdrości w swoich dziewczynach. Na przyszłość informuj je, że jestem twoją siostrą. Żeby uniknąć nieporozumień.

Dylan usiadł obok mnie i potarł sobie brodę, widocznie zadowolony z siebie.

– Okej, okej, przepraszam za Martinę – powiedział – wiedziałem, że mogę ją tu spotkać. Zwłaszcza w taki ładny dzień. Pokazała mi to miejsce. Sama przesiaduje tu prawie cały czas, kiedy jest w domu. Tu albo tam... – Dylan podniósł głowę i wskazał wysoko na skałę, która tworzyła zatoczkę. – Czasami tam chodzi, żeby popatrzeć na ocean z góry. Spodziewałem się jej tu dzisiaj. I się nie pomyliłem. Dlatego poszedłem się przepłynąć. Podejrzewałem, że jak zniknę, to wyjdzie z ukrycia. Ostrzegłem też Sonny'ego.

Na chwilę ukryłam twarz w dłoniach.

– Nie mogłeś po prostu napisać jej esemesa?

– Nie odpisała. Ale przyszła tu. – Wywrócił oczami. – To skomplikowana dziewczyna. Ale nieważne, mała Hailie. Najważniejsze jest to, że teraz już mam dowód.

– Dowód na co?

Dylan puścił mi oczko.

– Dalej jej zależy.

48

STARA MIŁOŚĆ
NIE RDZEWIEJE

Wróciliśmy na lunch. Z Dylanem zatrzymaliśmy się pod domem, a wszyscy siedzieli przy stole na ganku. Powitali nas, już coś przeżywając. Ja wcisnęłam się na krzesło między ojcem a Willem, a Dylan szturchnął Shane'a, by się trochę przesunął.

Na stole gościły dziś głównie steki. Benny chwalił się, że mięso pochodzi od zaprzyjaźnionego rzeźnika. Była też tradycyjnie sałata z octem i sos pieczarkowy, a także krążki cebulowe w panierce. Benny poczęstował Dylana małą puszką piwa, które do obiadu popijali tu wszyscy. Wyciągnął je z przenośnej lodówki, która stała obok jego krzesła. Ja poprosiłam o mrożoną herbatę. Na początku pobytu Blanche i jej partner proponowali mi alkohol tak jak wszystkim, ale z czasem się nauczyli, żeby tego nie robić. Dylan nie mógł się jednak powstrzymać, żeby przypomnieć na głos, że mi alkoholu nie wolno. Naprawdę nie musiał tego robić. Tylko mnie tym zdenerwował.

– Dylan wykorzystuje mnie do jakichś podrywów – poskarżyłam się w odwecie.

– O, podryw na młodszą siostrę? – zainteresował się Shane. – To działa?

Westchnęłam zirytowana.

– Martina zrobiła się zazdrosna i wyszła z ukrycia, żeby trochę pokrzyczeć, więc powiedziałbym, że zadziałało idealnie. – Dylan wzruszył ramionami i upił łyk piwa.

– Jesteście beznadziejni – oświadczyłam.

– Dylan, weź ty się czasem walnij w głowę – upomniął go ojciec, rzucając mu nad miską sałatki spojrzenie spode łba.

– Przecież nic jej się nie stało.

– Nie, ale nie życzę sobie, żebyś mnie wykorzystywał – mruknęłam.

– Dobra, wyluzuj.

– I jeszcze nazwała mnie zdzirą!

Fakt, że Dylan lekceważył tę historię, sprawiał, że sama miałam ochotę drażnić ją w nieskończoność.

Ojciec uniósł brwi i znowu spojrzał z wyrzutami na mojego wrednego brata, jakby to on w pełni za to odpowiadał.

– Przestań być wkurzająca – powiedział do mnie Dylan, świdrując mnie wzrokiem, który tężał przez moją nieustępliwość.

– Ty jesteś wkurzający – burknęłam.

– Dylan, nikt nie ma prawa obrażać twojej siostry, nawet jeśli to twoja dziewczyna, którą sam bez sensu prowokujesz, jasne? – Ojciec z całkowitą powagą nawet pogroził mu palcem.

– Wiem przecież. I to nie jest moja dziewczyna. – Przewrócił oczami, po czym zerknął na mnie: – Poza tym przecież cię za nią przeprosiłem.

Wzruszyłam ramionami i skupiłam się na nałożeniu sobie dokładki krążków cebulowych. Był też do nich sos aioli. Pyszny. Odczuwałam złość na Dylana, ale też radość na widok jedzenia, więc na chwilę zamilkłam.

Wszyscy zamilkli. Tony sięgał po kolejny stek, Shane doprawiał swój, Vincent odstawiał piwo, w prawej ręce trzymając nóż, a Will zaproponował mi dokładkę sałaty, bo właśnie sam sobie jej nałożył i trzymał miskę w powietrzu, wskazując na nią głową.

Dylan przeżuwał zamyślony, aż w końcu przerwał ciszę:

– Chyba zostanę na sylwestra tutaj. Wrócę do domu po nowym roku, z Hailie.

Przymknęłam powieki, a z moich ust od razu wydarł się cichy, lecz żalosny jęk.

– Chcesz spędzić tu sylwestra? – zdziwił się Shane. – Przecież to strasznie nudne.

Uniosłam brew, bo sama miałam przywitać nowy rok na Kanarach, ale chyba nie załapałam, o co mi chodziło. Za to Tony wychwycił faux pas, jakie popełnił jego bliźniak, bo nie odrywał oczu od talerza, a z jego gardła wyrwał się krótki, złośliwy chichot.

– Lepiej spędzić go tutaj niż na pospolitej, zakrapianej imprezie, po której będziesz dochodzić do siebie przez tydzień – wytknął mu Will, kręcąc głową.

– I od kiedy Dylan tak myśli?

– Od kiedy usłyszał, że Martina zostaje w domu do końca ferii – odpowiedział mu Vincent, wywracając oczami nad desperacją swojego młodszego brata.

– Myślałem, że już tak za nią nie latasz – zachichotał Shane, rzucając w Dylana zwiniętą w kulkę chusteczką.

– Nie latam, odwal się.

– Jasne, że lata – zakpił Will. – Stara miłość nie rdzewieje.

– Skoro Dylan zostaje tu na sylwestra, to ja jednak wracam do domu jutro, z wami – postanowiłam.

Tak, ewidentnie byłam dziś nie w sosie, a sama myśl, że Martina może odrzucić Dylana, a wtedy on naburmuszony spędzi zabawę sylwestrową u mojego boku, skutecznie mi ją uprzykrzając, niezbyt mi się podobała.

Mina ojca wskazywała na to, że naprawdę zależało mu, bym jeszcze te kilka ostatnich dni spędziła w jego towarzystwie na wyspach, tak jak planowaliśmy.

– Jak chcesz – zaczął Vincent, wzruszając ramionami – ale żebyś się nie rozczarowała, bo dla bezpieczeństwa spędzisz go w domu.

– Dla bezpieczeństwa proponuję zamknąć mnie w piwnicy – warknęłam z irytacją.

– Rozważę to – odparł Vincent, patrząc mi prosto w oczy z ostrzegawczym błyskiem.

– Tato... – jęknęłam błagalnie i skorzystałam z tego, że siedział obok mnie, by złapać go za ramię. On delikatnie uwolnił je z mojego uścisku i objął mnie nim, przyciskając moją sylwetkę do swojego boku, w wolnej ręce wciąż trzymając widelec. Udało mi się

zerknąć przelotnie na jego twarz, zanim przytuliłam policzek do jego piersi, i dostrzegłam, jak rzuca swojemu najstarszemu synowi upominające spojrzenie.

Widocznie tak jak większość moich braci irytowała mnie, tak i ja czasem irytowałam ich.

– Weź nie rób z siebie sieroty, mała dziewczynko.

– Nie, to ty musisz się ogarnąć – wytknął mu Will, dzielnie stając w mojej obronie. – Nie wszyscy są tak gruboskórni jak ty.

Dylan prychnął pogardliwie.

– Ona ma więcej za uszami, niż myślisz.

Przycisnęłam policzek do bluzy ojca jeszcze mocniej.

– No co takiego? – zapytał ostro Will. – Co ona takiego mogła zrobić, powiedz mi?

Przygryzłam wargę. On mnie nawet nie podejrzewał.

Dylan parsknął i pokręcił głową, jakby nie dowierzając.

– Nie no, masz rację. Nic takiego. Przecież to mały aniołeczek. Prawda, Hailie? – Mrugnął do mnie.

Tony zdawał się jeszcze bardziej zainteresowany resztką swojego steka niż wcześniej, Shane zaczął przeglądać się w swoim nożu, jakby próbował zlokalizować na nim jakąś smugę, a Will i Vincent jako jedyni nie wiedzieli do końca, o co chodzi, i widocznie ostatecznie się nie wyciągać żadnych pochopnych wniosków.

Dylan zostawiłby pewnie ten temat, aby wyciągnąć go z rękawa w najmniej dogodnej dla mnie chwili, ale ja postanowiłam zadziałać pierwsza. Absolutnie nie miałam ochoty przyznawać się do żadnych win, zwłaszcza teraz, gdy był tu z nami Will, który darzył mnie tak bezgranicznym zaufaniem, ale już się nauczyłam, że w tej rodzinie wszystko prędzej czy później wychodzi na światło dzienne.

Dlatego zacisnęłam palce na bluzie ojca, ściągając na siebie jego uwagę i mruknęłam cichutko:

– On wie o tym moim wyjściu z bliźniakami.

– Który się wygadał? – warknął głośno ojciec.

Mogłam tylko zgadywać, że wpatrywał się w bliźniaków takim spojrzeniem, jakby chciał ich podusić na miejscu. Wnioskowałam to po gwałtownych uniesieniach jego klatki piersiowej.

– Tony – mruknął bez ogródek Shane.

W rodzinie Monet braterska solidarność miała się dobrze, gdyby ktoś pytał.

– O co chodzi? – zapytał Will i albo mi się zdawało, albo mocniej zacisnął palce na sztuccach, co było pierwszą oznaką napięcia. Co gorsza, Vince również przestał skupiać się na jedzeniu.

Wyobraziłam sobie, jak to wszystko dzieje się później. Za kilka tygodni, może za miesiąc. Dylan wsypuje mnie przed naszym najstarszym bratem, a on wtedy patrzy na mnie tymi swoimi skutymi lodem tęczęwkami. Jak obrywa mi się w samotności, wtedy gdy nie ma komu mnie bronić...

– Byłam w barze z Shane'em i Tonym.

Wymamrotałam to, z jednej strony zerkając nieśmiało na Willa, a z drugiej jeszcze mocniej przytulając się do ojca.

Usta mojego ulubionego brata rozchyliły się w zdumieniu, a brwi powędrowały do góry. Tony nie wziął kolejnego gryza, tylko głośno cmoknął i odchylił głowę do tyłu, jakby właśnie przegrał w tę swoją grę na konsoli. Dylan patrzył na mnie bez słowa, zapewne główkując naprędce, jak najlepiej poprowadzić nadchodzącą rozmowę, by mi się nie upiekło.

– W barze? – Głos Vincenta był pozornie spokojny, ale ja zadrżałam. Zwłaszcza gdy spojrział na bliźniaków z niedowierzaniem. – Zabraliście ją do baru?

– Pozwoliłem im – wtrącił się ojciec.

Vince i Will popatrzyli na niego, jakby przemówił w języku elfów.

– Pozwoliłeś im zabrać Hailie do baru? – zdumiał się mój ulubiony brat.

– Pozwoliłem i co z tego? Koniec tematu.

Jakie to musi być świetne, mieć taki autorytet, by móc jednym warknięciem zakończyć dyskusję z moimi braćmi.

No chyba że ktoś, jak Dylan, doda od siebie coś jeszcze.

– Zalała się z nimi w trupa.

– Wcale nie w trupa – zaprotestowałam szybko, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. W trupa to chyba znaczy, że do nieprzytomności, nie? Ja byłam przecież przytomna przez cały czas.

Obserwowałam z zainteresowaniem swoje tenisówki, za nic nie kwapiąc się do nawiązania kontaktu wzrokowego z żadnym z braci, zwłaszcza teraz, gdy czułam, że wszyscy oni patrzą na mnie.

– I... i co, naprawdę się na to zgodziłeś? – zapytał Will, a niedowierzanie w jego głosie przebijało się tak wyraźnie, jak słońce przez chmury na kanaryjskich plażach.

– Zgodziłem się tylko na wyjście. I może na łyk wina. Tamci jej nie upilnowali i wyszło, jak wyszło, nie ma co drażnić tematu – odparł Cam niechętnie.

– Przepraszam, co to znaczy, że jej nie upilnowali? – zapytał Vincent. – Czy nasza droga siostra nie ma własnego rozumu?

– No właśnie – mruknął ledwo słyszalnie Tony.

– No właśnie – powtórzył głośniejszym głosem Dylan.

– Dobra, dobra, ona już wie, że źle zrobiła. Nie ma powodu wracać do tej sprawy.

Cieszyłam się, że ojciec twardo stoi za mną, choć obawiałam się, że mój wredny brat nie odpuści, i miałam rację.

– No jasne, co było, minęło. – Z drańskim uśmiechem machnął ręką. –
Najważniejsze, że nie było problemu z usunięciem tamtego filmiku z sieci, nie?

Co ja bym dała, żeby wyrosły mi teraz na plecach wielkie skrzydła, takie, na których mogłabym odlecieć w siną dal. Poczułam, jak obejmujące mnie ramię ojca sztywnieje.

– Jakiego filmiku?

– A nie – westchnął Dylan i teatralnie pacnął się w czoło. – Trzeba była pojechać do właściciela baru i trochę go postraszyć, żeby dwa razy zastanowił się, czym promuje swój gówniany lokal.

– O czym ty gadasz? – syknął ojciec. Wciąż się do niego przytulałam, choć było to coraz mniej przyjemne.

Dylan wyciągnął swój telefon.

– Ale ty jesteś wredny, wiesz? – rzuciłam do niego jadownicę.

– Macie tu waszą małą, niewinną Hailie.

Puścił to idiotyczne nagranie na komórce i położył ją na samym środku stołu. Zadbął, żeby wszyscy dobrze go widzieli. Ojciec i Will nachylili się, a Vince zmrużył oczy. Tylko ja i bliźniacy nie czuliśmy potrzeby zerkania na ekran.

Ramię ojca napięło się jeszcze bardziej i czułam się, jakby obejmowała mnie teraz kamienna rzeźba. Gdy nieśmiało zerknęłam na jego twarz, nie wydawał się zadowolony. Nie, to za mało powiedziane. Wyglądał, jakby był bombą i saperem w jednym. Ze wszystkich sił próbował nie wybuchnąć.

Co gorsza, wkrótce nawiązał kontakt wzrokowy z Vincentem. Komunikowali się bezsłownie i jakby decydowali, czy wystarczy założyć mi kłódkę w drzwiach do sypialni, czy lepiej na wszelki wypadek dorzucić również kraty w oknach.

Rozpaczliwie szukałam wsparcia u Willa, ale i na nim nie robiłam wrażenia.

W końcu ojciec się poruszył.

– Gdzie to wisiało? – zapytał, przybierając maskę profesjonalisty.

– W mediach społecznościowych i na stronie baru – odparł Dylan, a telefon wrzucił sobie zwinnie z powrotem do kieszeni.

– Dużo osób to udostępniło? Pobrało?

– Kilka udostępnień i ze dwa pobrania, żadne szalone liczby.

– I już to usunięto?

- Tak. – Dylan skinął głową. – Mieliśmy rozmowę z właścicielem.
- Kto miał rozmowę z właścicielem? – syknął ojciec.
- No ja z chłopakami. – Dylan wskazał ruchem głowy na Shane'a i Tony'ego, a potem dodał ciszej: – I Hailie.
- Co? – Ojciec uniósł brwi. – Zabraliście ze sobą Hailie?!
- Chciała sama naprawić swój błąd.
- To żart? – oburzył się Will.
- To przerażający brak odpowiedzialności. – Vince przymknął powieki.
- Hailie chciała wziąć odpowiedzialność za swoje czyny – bronił mnie Dylan.

A raczej bronił samego siebie. Ja się nie odzywałam. Nie miałam odwagi, gdy spojżenia moich dwóch najstarszych braci i ojca ciskały gromami.

Cam wreszcie pokiwał głową, jakby do siebie i zmrużył oczy, celując palcem w Dylana.

- Na przyszłość zapamiętaj sobie, że nie zabierasz Hailie do załatwiania takich spraw, na litość boską. W ogóle sam ich nie załatwiasz. Przychodzisz do mnie albo do Vincenta. Kapujesz?
- To tylko jakiś randomowy gostek, który prowadzi bar, nie trzeba było robić rabanu.
- Dylan wywrócił oczyma.

– Ja ci zaraz zrobię raban, jak chcesz. Mówię ci, że masz informować o takich rzeczach kogo? – Ojciec niebezpiecznie zniżył głos i zaczęłam żałować, że znajduję się tak blisko niego. – Mnie albo Vincenta. Ewentualnie Willa. A nie, kurwa, jakieś samowolki. Zrozumiano?

Dylan pokiwał głową, patrząc gdzieś w bok, ewidentnie niezadowolony z bury, jaką zbierał.

- To samo się tyczy was – kontynuował Cam, tym razem zwracając się do swoich dwóch najmłodszych synów. – Co jest z wami nie tak? Dlaczego od razu nie powiedzieliście mi o tym wideo? Kryjecie swoje tyłki kosztem wizerunku waszej siostry? Tak mam to rozumieć?
- Nie – burknął Tony i mimo iż nie skończył jeszcze jeść, to sięgnął po paczkę papierosów, która leżała na parapecie obok niego.
- Nie wiedzieliśmy o tym filmiku wcześniej. To Dylan dopiero go wygrzebał – dodał Shane.
- Wy to o niczym nie wiedzieliście! – huknął ojciec. – W ogóle tam z nią byliście? Bo na filmie tańczy na barze sama. A wy w tym czasie to co? Wybraliście się na spacer?! Nie wyraziłem się jasno, jak kazałem wam jej nie spuszczać z oczu?
- No przecież byliśmy tam z nią... – Shane spokojnie wzniosł oczy do nieba. – Zwała nam na chwilę po prostu...

Usłyszałam tuż nad uchem ironiczne parsknięcie.

– Shane, zastanów się, co ty do mnie mówisz, co? Zastanów się, dobrze ci radzę. Jesteś od niej dwa razy większy. I ty mi mówisz, że nie potrafiłeś jej upilnować? Nie rób z siebie pierdoły, co?

– No właśnie, jest mała... – Shane wskazał na mnie, żeby wszyscy jeszcze raz mi się przyjrzeni, tak jakby nie widzieli wcześniej mojej sylwetki. – Dlatego łatwiej jej zniknąć w tłumie.

Ojciec odwrócił się w stronę Vincenta, który w ciszy przysłuchiwał się dyskusji.

– Słyszysz? Od teraz za każdym razem, jak Hailie wychodzi z Shane'em albo Tonym, ma być z nimi Sonny. Choćby się waliło i paliło. Bo jak widać, sami nie potrafią zapewnić jej należytej ochrony.

Bliźniacy milczeli, a nasz najstarszy brat skinął głową. Ja unikałam spojrzeń swojej rodziny, ale trudno było mi ignorować ojca, gdy zwrócił się wreszcie do mnie:

– A ty, Hailie, wiem, że chciałaś wziąć odpowiedzialność za swoje czyny i jestem z ciebie bardzo dumny, natomiast na przyszłość załatwianie takich spraw zostaw, proszę, braciom. Dobrze, królewno?

Pokiwałam prędko głową i już myślałam, że wcale mi się nie oberwie, gdy Vincent się odezwał, jak zwykle wypranym z emocji głosem:

– Ja chciałbym wiedzieć... – zaczął i odchylił się nieco, a jego spojrzenie wylądowało na ostatniej osobie w towarzystwie, która miała chęć i odwagę je znosić – jak w ogóle doszło do tego, że Hailie skończyła w takim stanie?

Nastąpiła cisza i dopiero po chwili zorientowałam się, że nadszedł czas, bym głos zabrała właśnie ja.

– No... to nie moja wina – odchrząknęłam, szukając w głowie sensownych argumentów. Podczas rozmów z nim te zwykle mnie zgodnie opuszczały.

– Nie twoja? – Vince uniósł brwi, a następnie je zmarszczył. – Czyżby ktoś siłą wlał ci alkohol do gardła?

– Nie – westchnęłam – ale to było niechcący.

– Szła, potknęła się, upadła na butelkę wódki i stało się. Czego tu nie rozumieć? – zakpił Dylan.

– Nie? – warknęłam na niego, bo już dawno nie denerwował mnie tak, jak dziś. – Nie piłam żadnej wódki. Shane zamówił dla mnie sangrię, ale zamiast kieliszka przynieśli cały dzbanek i... jakoś tak wyszło.

– To w dalszym ciągu idiotyczna wymówka – ocenił Vincent. – Abstrahując już w ogóle od absurdu, jak dla mnie, faktu, że dostałaś pozwolenie na napicie się, nie posłuchałaś się i spożyłaś więcej alkoholu, niż powinnaś. Mogłaś zachować się dojrzałe albo dziecinnie. Wybrałaś drugą opcję, jak dosyć często ci się zdarza.

– Nie da się ukryć – zachichotał pod nosem Tony i akurat miał pecha, bo go usłyszałam.

– Aha, no ale chyba nie było ze mną aż tak źle, co Tony? Inaczej plątałby mi się język i nie wybroniłabym cię przed policją – warknęłam, a palce ledwo świadomie zaciskałam na bluzie ojca. Wciąż znajdowałam się blisko jego boku, ale nie mogłam się dłużej do niego przytulać.

Wtedy oberwało mi się wrogim spojrzeniem od najmłodszego z moich braci.

– Co, proszę? – wtrącił się Will i spojrzał na niego, jak chyba wszyscy pozostali.

– O czym ona mówi? – sapnął ojciec, a jeśli choć trochę zdążył się uspokoić przez ostatnią minutę, to teraz znowu musiało skoczyć mu ciśnienie.

Shane pocierał czoło niczym mędrzec udręczony życiem i nawet Vincent wyglądał, jakby miał już dość.

– No jakiś przychlast zaczął ją zaczepiać, to dostał – wytłumaczył Tony.

Oczywiście ojciec pociągnął go za język jeszcze bardziej, tak że mój brat finalnie dość szczegółowo nakreślił sytuację. Cam zdenerwował się faktem, że komuś w ogóle udało się podejść do mnie na tyle blisko, żeby złapać mnie za rękę, oraz na tyle długo ze mną rozmawiać, żeby zdążyć powiedzieć mi coś niestosownego, ale w żadnym razie nie wydawał się choć w połowie tak przejęty tym, że prawie aresztowano jego syna, jak się spodziewałam, że będzie.

– To jakaś groteska – skwitował Vincent, wstając od stołu, wcześniej przecierając usta serwetką. Odszedł na bok, jakby nie chciał nas oglądać, ale zatrzymał się nieopodal z założonymi na piersi rękoma. Krew buzowała mu w żyłach, choć starał się udawać niewzruszonego.

– No. Pijana Hailie to groteska – mruknął Dylan.

Już otwierałam usta, by coś odszczeknąć, ale zamilkłam, robiąc miejsce do popisu dla ojca, który uniósł pionowo dłoń, jak nas hamując.

– Dobra, dobra, dobra – powiedział zmienionym głosem. – Chwila. Spokój. – Zamilkł, po czym zaraz kontynuował: – Zejdźcie z niej. Nawaliła się. Nie powinna była. To był błąd. Taki błąd, który, jak by nie patrzeć, popełnił w przeszłości każdy z nas.

Will pokręcił głową z jawną dezaprobatą.

– Tato, rozumiem, co próbujesz powiedzieć, ale sposób, w jaki bagatelizujesz ten problem, sprawi, że przy kolejnej pierwszej lepszej okazji Hailie znowu wychyli przez przypadek cały dzban. Tym razem może nawet nie sangrii, a czegoś mocniejszego.

– No i najpierw pozwalasz jej się napić, a potem robisz nam jazdę, bo na chwilę straciliśmy nad nią kontrolę – poskarżył się Shane. – Sam spróbuj przez chociaż pięć minut na trzeźwo wytrzymać z nią, kiedy ona jest pod wpływem. Robi się z niej mała diablica, ocipiałbyś.

– Jak się za ciebie zaraz wezmę, to sam ocipiejesz. Uważaj, jak do mnie mówisz, słyszysz? – warknął ojciec od razu, po czym dodał spokojniej: – Przyznałem już wcześniej, że to była moja wina. Mój głupi pomysł. Dlatego też odpuszcę wam

wszystkim. Z Hailie włącznie. Ale skoro koniecznie chcecie, żebym przestał się hamować, to proszę bardzo. – Wziął głębszy wdech. – Zastanawiał się któryś z was, dlaczego Hailie przesadziła z alkoholem? Dlaczego stwierdziła, że wydudnienie całego wina będzie świetnym pomysłem?

Słuchałam w napięciu, zastanawiając się, co ojciec zamierzał powiedzieć. Vincent odwrócił się z powrotem w naszą stronę. Reszta moich braci również zastygła w milczeniu.

-Bo zakazany owoc smakuje najlepiej, a obecnie całe życie tej dziewczyny składa się właśnie z zakazów. Wyobraźcie sobie, jak odświeżające musi być złamanie choć jednego z nich – powiedział Cam, a ja wciąż nie byłam pewna, czy podoba mi się, że tak o mnie mówi w mojej obecności i przy chłopakach.

– To nie tłumaczy takiego zachowania... – zaczął Vincent lekceważąco, ale ojciec mu przerwał, unosząc palec wysoko.

– Tłumaczy. Nie usprawiedliwia takiego zachowania, tak, zgadzam się, ale na pewno je tłumaczy.

– Dla nas jakoś nie byłś taki wyrozumiały – wytknął mu Dylan.

– Bo was wychowywałem od małego. Inaczej, niż mama Hailie wychowywała ją. Dlatego nie wszystko jest dla niej tak oczywiste jak dla was. Następnym razem, jak któryś chce jej czegoś zakazać dla jej własnego dobra, to jej to wyjaśnijcie, do cholery, a nie mówcie, że ma być tak, jak chcecie, bo tak chcecie. Ta dziewczyna ma uszy, wykorzystajcie to. Rozmawiajcie. A nie tylko grozicie jej palcem. Nic dziwnego, że przy pierwszej lepszej okazji się zbuntowała.

Chłopcy milczeli, a on zaraz kontynuował, zwracając się, ku mojemu przerażeniu, do mnie.

– Żeby było jasne. To... – Tutaj ojciec wskazał na miejsce, w którym wcześniej leżał telefon Dylana. – To było przegięcie. Całkowicie nieakceptowalne. Nie popieram takich rzeczy, nie bronię ich. Masz chronić swoją prywatność, Hailie, bo są ludzie, którzy zawodowo zajmują się przeczesywaniem internetu, by znaleźć takie właśnie materiały. Do różnych celów, naprawdę. Dlatego musisz być ostrożna.

Pokiwałam głową, którą spuściłam nieśmiało, bo ojciec po raz pierwszy tak ostro wyrażał dezaprobatę, komentując moje czyny. I to jeszcze przy wszystkich! Gdy jednak poczułam, jak przytula mnie do siebie mocniej i jak całuje mnie w czubek głowy, to mi nieco ulżyło. A więc był zły, ale nie aż tak bardzo, jak się spodziewałam.

– Jestem z was dumny, naprawdę. Vincent, czasem irytujesz mnie niesamowicie, ale robisz naprawdę dobrą robotę. I odważnie zgodziłeś się wziąć odpowiedzialność za waszą młodszą siostrę. Przykro mi, że nie mogę być z wami, by cię odciążyć. To ja powinienem z wami mieszkać i podejmować decyzje, które teraz spoczywają w waszych rękach. Wiem to, ale życie ułożyło się tak, a nie inaczej i musimy sobie z tym radzić. A wy macie siebie i to jest w tym wszystkim najważniejsze.

DŻENTELMEN TONY

Wróciłaś, wreszcie!

Mona spojrzała mi przelotnie w oczy i znowu mnie przytuliła.

Do domu wróciłam naszym odrzutowcem razem z Dylanem. Nie było tak źle, bo mój sylwester w towarzystwie ojca minął udanie, a i najwyraźniej Martina ulitowała się nad moim wrednym bratem, bo ten wrócił do chatki Blanche dopiero po Nowym Roku w przednim nastroju. Dzięki temu w drodze powrotnej mi nie dokuczał.

Lot odrzutowcem to był bezsens niesamowity, bo samolot najpierw zawiózł naszych braci do domu, a potem wrócił kilka dni później na Kanary pusty, by zabrać nas. Uważałam, że to bardzo nieekonomiczne oraz nieekologiczne, ale ojciec uparł się, że nie po to kupił samolot, by ten się teraz kurzył w hangarze.

Mój powrót do domu wiązał się przede wszystkim z szokiem termicznym, jako że w Pensylwanii zima hulała na całego. Od razu wskoczyłam w wir nauki, bo w połowie miesiąca w naszej szkole miały się odbyć egzaminy semestralne, do których musiałam podejść. Wciąż uwięziona w rezydencji Monetów, nie mając nawet nic lepszego do roboty, po prostu skupiłam się na książkach i gdy przyszedł czas zaliczeń, czułam się bardziej niż gotowa.

Jeśli przyznanie, że byłam podekscytowana podejściem do egzaminów, brzmi żałośnie, to uznajmy, że po prostu cieszyłam się powrotem do szkoły, choćby na chwilę. Znowu miałam zobaczyć przyjaciół, wreszcie coś miało się dziać. Pierwszy krok w powrocie do normalności. Poprosiłam, by tego dnia wcześniej odwieziono mnie do szkoły. Musiałam odwiedzić sekretariat po jakiś świstek związany z nauczaniem indywidualnym oraz chciałam wykorzystać ten zapas czasu także na pogaduchy z Moną.

Jak dobrze było wreszcie ją widzieć! Wydawało się, jakbyśmy ostatnio spotkały się lata temu. Zaczęła kręcić sobie lokówką swoje brązowe włosy i coraz lepiej opanowywała sztukę malowania się.

– Znalazłaś sobie już nowe koleżanki? – zapytałam ze śmiechem, choć tak zupełnie szczerze, to naprawdę się obawiałam, że przez moje nieobecności stracimy z Moną tę więź, którą udało nam się stworzyć. Ona była otwartą osobą, która łatwo nawiązywała znajomości. Chyba łatwiej niż ja. Poza tym zaczęła chodzić na imprezy. Była już na przedświątecznej domówce oraz na sylwestrze. Obawiałam się, że będzie teraz w nieskończoność wspominać najlepsze momenty z ludźmi, których tam poznała, a ze mną wspólne tematy się po prostu wyczerpią.

– Tak, ale żadne nie są takie fajne jak ty – zachichotała.

Uśmiechnęłam się. Dobrze było wrócić.

Gdy przestałyśmy się po raz drugi obejmować, zorientowałam się, że Mona uparcie ucieka od nawiązania ze mną kontaktu wzrokowego.

– Co jest? – zapytałam. – Wszystko w porządku?

– Tak. Tak – zapewniła mnie szybko, rzucając mi sztuczny uśmiech, który momentalnie znikł. – Nie.

– Chodzi o egzamin?

Mona pokręciła przecząco głową.

– Nie, zupełnie nie. Chodzi... chodzi o coś innego.

Czekałam niecierpliwie. Z każdą sekundą serce waliło mi coraz mocniej. Bałam się usłyszeć nieprzyjemnych wiadomości.

– No? Powiedz mi, proszę, nie strasz mnie.

-Nie chcę cię denerwować. Myślałam, że powiem ci po egzaminach albo w ogóle później. Ale teraz widzę, że nie mogę ci nawet w oczy spojrzeć.

Patrzyłam na nią przejęta i w końcu rozejrzałam się raz jeszcze. Wtedy złapałam ją za nadgarstek i pociągnęłam na bok.

– Powiedz mi teraz.

Mona wzięła głęboki wdech i udręczona, błagała mnie spojrzeniem, sama nie wiem o co.

– Całowałam się z twoim bratem.

Zakrztusiłam się powietrzem. Nie wiedziałam nawet, że to możliwe, a tu proszę. Stałam i myślałam, że się uduszę. Na dodatek wnętrzności skurczyły mi się, jakby niewidzialna ręka próbowała wycisnąć z nich ostatnie soki. Myślałam, że zemdleję.

– Z którym?!

– No przecież z Tonym, a z którym innym – odparła Mona i złożyła ręce jak do modlitwy. – Nie złość się na mnie, Hailie, proszę.

Kręcąc głową, zrobiłam krok do tyłu, tak jakby przyjaciółka wyciągnęła nóż i właśnie mnie nim dźgnęła. Mój wyraz twarzy musiał wyrażać więcej niż tysiąc słów, bo Mona zaczęła panikować.

– Hailie, to nie tak. To się stało na świątecznej domówce. Jednorazowo.

– Dlatego nie chciałaś się ze mną zdzwaniać? Mówiłaś, że nie działa ci głośnik w telefonie! Tymczasem ty po prostu bałaś się ze mną gadać!

– Nie wiedziałam, co ci powiedzieć. Hailie, naprawdę. Sama nie spodziewałam się tego, co się wydarzyło. Wiesz, że Tony mi się podobał. Nie wiedziałam, jak na to zareagować. W końcu stwierdziłam, że chcę pogadać z tobą na żywo. A teraz jak cię zobaczyłam, to wiedziałam, że nie mogę czekać – tłumaczyła się Mona, chaotycznie machając rękoma.

Zacisnęłam usta i opuściłam spojrzenie.

Gotowałam się z wściekłości.

– Opowiedz mi – zażądałam.

Mona pokiwała energicznie głową, chyba szczęśliwa, że daje jej szansę na wyjaśnienia.

– No to tak, poszłam na tę domówkę. Strasznie długo się szykowałam. Sam makijaż zajął mi z dwie godziny, ale wyszedł super. Wszystkim się bardzo podobał. Pokażę ci później zdjęcia. – Mona zamachała rękoma, jakby sama się upominała, by nie zbaczać z tematu. – I byłam podjarana, bo to w sumie moja pierwsza taka imprezka, ale też się stresowałam, bo nie znałam za wielu osób. Wiesz, bo okazało się, że przyszły też starsze roczniki. Ja się trzymałam z Lavinia – mówiła, a ja pokiwałam głową. Lavinia była dość imprezową dziewczyną. Znajomość z nią była paszportem do zaproszeń na różnego rodzaju przyjęcia. A że od czasów Jasona Lavinia bardzo przepadała i za mną, i za Moną, to owych zaproszeń miałyśmy dostawać coraz więcej. Oczywiście, w moim przypadku samo nazwisko Monet automatycznie wpisane było na każdą listę gości, ale wtedy jeszcze o tym nie myślałam. – No i Lavinia mnie wzięła od razu do kuchni, żeby się czegoś napić. Tam był taki Clay. Znasz Claya? On jest megaśmieszny. I robi najmocniejsze drinki. Jezu, serio, masakra to była. Nalał mi chyba tyle wódki i tylko tyle soku. Nie, jakoś inaczej. Gdzieś z tyle wódki. – Mona próbowała pokazać mi wizualnie, ile to mogło być, aż w końcu opuściła ręce. – Nieważne, w każdym razie ja nie chciałam za bardzo pić. Znaczący chciałam, ale nie aż takie mocne drinki. Moja siostra zawsze mi mówiła, żeby uważać, bo są, wiesz, zdradzieckie.

Z uniesionymi brwiami i rękoma na biodrach czekałam na najbardziej interesujący mnie wątek.

– No i stałam w tej kuchni, a tu nagle wchodzi jak do siebie grupka chłopaków. Rozpoznałam Tylera i tego blondyna... A nagle pojawia się wśród nich Tony. Kurczę, Hailie, aż mi nogi zmiękły, przyrzekam ci. I w jednej chwili spociłam się jak prosie. Jezu. Okropne to było.

– Tony cię poznał? – syknęłam przez zaciśnięte zęby.

– W ogóle na mnie nie patrzył na początku. Oni tam zaczęli się dzielić alkoholem, a ja stałam jak trusia i w głowie miałam tylko „Nie gap się na niego, nie gap się, idiotko”. I najgorsze jest to, że jak tak stałam, to z nerwów ciągle piłam. Skończyłam drinka w jakieś pięć minut. Pięć minut, Hailie! To strasznie krótko. Od razu zaczęło mi się kręcić w głowie.

Mona bawiła się dłońmi, przejęta, a ja patrzyłam na nią niewzruszona, w napięciu czekając na puentę.

– I oczywiście, było widać, że się gapię. Tamten blondyn w końcu to dostrzegł. Powiedział coś na głos. Coś w stylu, że się zapatrzyłam jak w obrazek. Szturchnął Tony’ego, a wtedy myślałam, że zapadnę się pod ziemię. Hailie, jaka ja musiałam być czerwona! Tony dopiero wtedy na mnie spojrzał, ale tylko tak przelotnie. I się uśmiechnął. A ja zwałam do dziewczyn, do salonu. One się ze mnie śmiały, że chyba ducha zobaczyłam. Robiłam się już naprawdę pijana. Potem, gdy z nimi siedziałam, ktoś mi przyniósł jeszcze jednego drinka. Tego też jakoś tak szybko wypiałam. Nie bawiłam się za dobrze, bo nie mogłam się pozbierać, tak zażenowana byłam!

– Boże, Mona...

Wyobraziłam to sobie i jedno musiałam przyznać – moi bracia jak nikt inny potrafili zawstydzać ludzi wokół.

– Moją jedyną rozrywką na tej imprezie było picie, bo tylko ono sprawiało, że powoli zapomniałam o tym, co się stało. W końcu tak się zaprawiłam, że nie wiedziałam, co się dzieje. Byłam w salonie, chyba się wywróciłam. Na pewno podałam rajstopy, to pamiętam. Clay coś tam do mnie żartował. Ogólnie było śmiesznie. Później ktoś mnie wziął na zewnątrz, na świeże powietrze. Ty wiesz, ja chyba nawet nie pamiętam kto... – Mona zmarszczyła brwi, ale szybko przestała się nad tym zastanawiać. – No w każdym razie na dworze dużo osób paliło fajki i...

– I Tony też tam był – dokończyłam za nią, cedząc te słowa przez zaciśnięte zęby.

Mona skinęła nieśmiało głową.

– No. I wiesz, wtedy w kuchni był trzeźwy, a potem to już tak średnio. Ja, oczywiście, jak głupia gapiałam się na niego znowu, ale tym razem już nie czułam wstydu, nic a nic. A on odwzajemniał co chwila moje spojrzenie. Hailie, on mi się tak podobał, ja myślałam, że oszaleję. Miał taką megajaskrawą bluzę i zarzuconą na nią kurtkę, czarną, i widać było kawałek tego jego tatuażu i te jego oczy, Jezu...

– Dobra, łapię, co dalej?

– Zimno było, to wszyscy ci palacze zaraz się pochowali do domu. Ja zostałam, bo miałam trzeźwieć, to trzeźwiałam. Zresztą i tak nie wiedziałam, co się dzieje. A tu nagle Tony stoi przede mną. Serce to mi zaczęło walić jak nienormalne. Coś do mnie mówił.

– Co mówił? – zapytałam ostro.

– Nie wiem, pytał chyba, czy nie idę do środka. Odpowiedziałam, że chciałam pobyć na dworze. Poprosiłam go o papierosa.

– Co?

– Nie wiem czemu, przecież ja nie palę. Powiedział, że nie ma.

– Na pewno miał.

– Nie wiem, ale dobrze, że mi go nie dał. Załatwiłabym się nim na amen...

– Mów mi lepiej, co z tym pocałunkiem?

– Hailie, ja nie pamiętam szczegółów, słowo. On stał blisko mnie, a ja niby patrzyłam w bok, ale potem zobaczyłam jego usta i poczułam tę wodę kolońską... Ja- nie-mogę, co za wodę kolońską on ma! Do teraz śni mi się po nocach. Taki mocny zapach... Nawet te papierosy mi tak nie śmierdziały. Jak by nie było, wiesz dobrze, że byłam też w niego wkręcona. No więc jak już stał taki idealny tuż naprzeciwko mnie, to nagle wyszło tak, że zaczęliśmy się całować.

Przymknęłam powieki, starając się wyrzucić obraz mojej przyjaciółki i brata obściskujących się razem pod domem jakiegoś kolesia.

– Mona, to obrzydliwe.

– Mnie tam się podobało. – Wzruszyła ramionami i szybko się zreflektowała. – Ale nie powinnam była tego robić, wiem. Wiem.

– Mhm, i co było dalej?

Mona przygryzła wargę i zerknęła w dół.

– Co było dalej? – naciskałam.

– Dotknął mojego policzka i zapytał... Nie, zaproponował jakby... Chociaż w sumie zapytał, tak niezobowiązująco wiesz, czy...

– Czy co?!

– Czy zapytał, czy chciałabym z nim tam iść do sypialni.

Patrzyłam na zakłopotaną twarz przyjaciółki i czułam, jak zbiera się we mnie fala ogromnej, piękącej złości.

– Co odpowiedziałaś?

Brzmiałam spokojnie i pierwszy raz poczułam się jak Vincent. Też się tak zachowywał, gdy był wściekły, ale tłumił to w sobie, żeby wyciągnąć od rozmówcy potrzebne informacje.

– Że nie – wymamrotała od razu Mona. – Przeszło mi przez myśl, by się zgodzić, nie będę kłamać. Ale nie wiem, bałam się... Powiedziałam, że chyba nie i że przepraszam...

– Po co go przeprosiłaś? – prychnęłam.

– Nie chciałam, żeby był zły... Byłam pijana, a Tony to, wiesz, mój crush.

Skrzywiłam się na to żenujące słowo.

– Co on na to?

– Patrzył na mnie tak przez chwilę i potem zaczął kręcić głową. Potarł sobie twarz i spojrzał na mnie znowu. W końcu powiedział, że nie powinnam przychodzić na takie imprezy. Nie powinnam też tak się upijać. Że to nie miejsce dla mnie...

Milczałam, a Mona gapiała się w podłogę.

– Zamówił mi taksówkę i poczekał ze mną, aż przyjedzie. No i wyjął sobie papierosa wtedy, czyli faktycznie miał ich więcej... A potem wsadził mnie do samochodu i tyle. Moi rodzice mnie przyłapali, jak wracałam, bo w domu prawie stoczyłam się ze schodów. Narobiłam hałasu. Dostałam megaopieprz. Ledwo puścili mnie na sylwestra.

Patrzyłam na nią i czułam, jak moja głowa aż pulsuje od nadmiaru informacji. Było mi wręcz niedobrze. Wściekałam się na Monę, że ze wszystkich chłopaków musiała upatrzeć sobie akurat mojego brata. Złościłam się na Tony'ego za to, że jako starszy i bardziej doświadczony po prostu nie zignorował nieumiejętnych zalotów mojej

przyjaciółki. No i zaproponował jej pójście do sypialni! Co, gdyby powiedziała „tak”? Co, gdyby była tak pijana, że nie wiedziała, co robi?

– Powiedz coś, Hailie – poprosiła mnie Mona.

– Co mam ci powiedzieć? Całowałaś się z moim bratem. Co ja mam na to powiedzieć? – Potarłam sobie czoło. Naprawdę nie wiedziałam, co robić.

– Wiem, wiem, przepraszam. Chcę być w porządku wobec ciebie. Przykro mi, tak strasznie mi przykro, że to akurat Tony. Ale to był tylko pocałunek. Na domówce. Nic nie znaczył. Wiesz, ludzie ciągle to robią na imprezach.

– Nie gniewam się, Mona – powiedziałam wreszcie. – Muszę się z tym oswoić, bo mnie zaskoczyłaś, ale nie gniewam się. Nie na ciebie.

– Wiesz, Tony też nie zachował się źle. Nie był nachalny ani nic z tych rzeczy. No i nawet zapłacił za taksówkę.

– Co za dżentelmen – burknęłam pod nosem.

Przez chwilę stałyśmy naprzeciwko siebie w ciszy, a na korytarzu za moimi plecami robiło się coraz tłoczniej.

– Muszę podejść do sekretariatu przed egzaminami. Mam coś do załatwienia – oznajmiłam. – Zobaczymy się później.

– Okej... Dzięki, Hailie. – Mona przygryzała wargę i starała się chyba wyczytać z mojej twarzy, czy jestem obrażona.

Nie chciałam się przy niej dąsać, ale też trudno było mi tryskać radością, więc odeszłam czym prędzej, decydując się najpierw przetrwać tę informację w samotności.

Idąc szkolnym korytarzem, co chwilę odwzajemniałam czyjeś uśmiechy lub odmachiwałam znajomym, którzy po raz pierwszy od jakichś dwóch miesięcy widzieli mnie w szkole.

Nie mogłam przestać myśleć o Monie. Z całych sił ją usprawiedliwiałam i szło mi to całkiem nieźle. Sama wiedziałam, jak to jest, kiedy wypije się za dużo i straci się nad sobą panowanie. Gdy ja przegięłam z alkoholem, byli ze mną bliźniacy, by zabić moje głupie pomysły w załączku. Mona natomiast pozostawiona była samej sobie.

Za to usprawiedliwianie Tony'ego nie szło mi najlepiej. Dłonie zaciskały mi się mimowolnie w pięści na samą myśl o nim.

Moi bracia są jak mgła, która opada na wszystko i wszystkich wokół. Każdy jest pod ich wpływem, nawet moja jedyna przyjaciółka.

Bracia. Monet. Są. Wszędzie.

JAŚNIE KSIĘŻNICZKA

Korytarz przy sekretariacie o tej porze, i to jeszcze w dniu egzaminów, świecił pustkami. Niewiele osób, poza mną, miało tam coś do załatwienia akurat teraz.

Jakby moje życie było nie dość skomplikowane, to wiecznie miałam tonę dokumentów, które musiałam drukować, dawać Vincentowi do podpisu, a potem roznosić po różnych gabinetach.

W ogóle to Vince miał bardzo zabawne podejście do tych wszystkich papierzysk, które podstawiałam mu pod nos. On, wiecznie zajęty pracoholik, musiał odrywać się od zgłębiania poważnych kontraktów na grube miliony, żeby czytać jakieś szkolne bzdety. Śmiać mi się z niego chciało, gdy wywracał oczami nad tymi bzdurami.

Z rozmyślań wyrwał mnie odgłos stukania. Odwróciłam się akurat, zauważając, jak zza winkła wychodzi chłopak. Jedno spojrzenie w jego stronę i pewna byłam, że go nigdy wcześniej nie widziałam. Jednocześnie dostrzegłam w nim coś znajomego, więc pierwsze, co przyszło mi na myśl, to, że musiałam kojarzyć go stąd. Ze szkoły, może mijaliśmy się na stołówce. Był starszy, bez dwóch zdań, więc dopatrywałam się w nim któregoś ze znajomych bliźniaków.

Zbliżał się wolno, a za towarzyszący mu cichy odgłos stukania odpowiadała kula inwalidzka, o którą się podpierał. Jego wzrok wbijał się we mnie jak szpilki. Chłopak nie wyrażał wrogości ani przyjaźni, ale taką dziwną natrętność, jakby widział mnie po raz pierwszy i przeprowadzał w głowie pewną analizę.

Ludzie w szkole często się na mnie gapią. Myślą, że robią to dyskretnie, ale ja to widzę i tylko wzdycham w duchu. Staram się to ignorować, choć w tym wypadku nieznajomy nie starał się być dyskretny.

Powinnam była od razu poznać, że coś jest nie tak, chociażby po tym, jak fatalnie leżał na nim mundurek. Nogawki spodni zdawały się za długie, a wraz z marynarką dziwnie na nim wisały. Było to podejrzane, jako że niektórzy uczniowie tej prywatnej placówki może i nosili się niechlujnie, ale z całą pewnością szkoła pilnowała, by zakupione przez nich ubrania miały odpowiedni rozmiar. W końcu uczniowie to wizytówka naszej Akademii, jak często dumnie głosiła dyrektorka.

Po głębszej analizie wywnioskowałam, że chłopak zdawał się za stary na liceum. Na upartego mógłby chodzić do ostatniej klasy, ale wyglądał bardziej na co najmniej studenta. Jego twarzy, choć całkiem przystojnej, brakowało nastoletniej świeżości. Oczy miał podkrążone, a policzki zapadnięte. Ciemne włosy pozbawione blasku. Bardzo mu się rozczochrały i wyglądały, jakby ich właściciel przegapił ze dwie wizyty u fryzjera. Oczy wytrzeszczał szeroko, a ich ciemne tęczówki mocno kontrastowały z białkiem gałek.

Im bliżej się znajdował, tym mniej komfortowo się czułam, choć przekonywałam samą siebie, że reaguję tak, bo jestem przewrażliwiona i z natury strachliwa.

Cóż, niestety, tym razem mój mechanizm obronny okazał się mieć rację.

– Monet.

Przez chwilę miałam trudności z przypasowaniem tego zachrypniętego głosu do postaci chłopaka zmierzającego w moją stronę, mimo iż przecież był jedyną osobą w zasięgu wzroku. Dźwięki rozmów uczniów z korytarza obok powinny dodawać mi otuchy, bo oznaczały, że nie jestem tu osamotniona, ale w ogóle mnie nie uspokajały. Mój niepokój wzrastał z sekundy na sekundę.

Zatrzymałam się i łypnęłam na nieznajomego, ostrożnie niczym płocha wiewiórka. Miał tak podejrzaną aurę, że przyszła mi nawet do głowy myśl, by darować sobie ten sekretariat i uciec z powrotem do ludzi.

Powstrzymałam się przed tym, czego już za chwilę pożałowałam.

– Oto ona – mruknął do siebie, taksując mnie od stóp do głów, aż w końcu jego oczy zatrzymały się na mojej twarzy.

Miałam już dość osób, które mnie znają, a o których ja sama nie słyszałam ani słowa. Czasami jest to zabawne, czasami irytujące. Czasem męczące. A czasem jeszcze bardzo niepokojące. To poczułam teraz – niepokój.

Głowa do góry i patrz przed siebie, Hailie. Ignoruj go, idź do sekretariatu.

– To ty kręcisz z moim bratem?

Odwrociłam się.

Na twarzy nieznajomego malował się trudny do zidentyfikowania uśmiešek.

Zmrużyłam oczy. To jasne, że od razu pomyślałam o Leo, bo z nim było mi najbliżej do „kręcenia”. Podczas naszych długich rozmów zawsze zwinnie lawirowaliśmy wokół tematu jego starszego brata. Była to delikatna sprawa, a fakt, że zadłużył się akurat u mojej rodziny, dodatkowo tylko ją komplikował.

Ale czy to naprawdę on? Ze zmarszczonymi brwiami przyglądałam się jego prostemu nosowi, zapadniętym policzkom i ciemnej czuprynie. Jakaś niewielka, cieniutka, choć głęboka blizna przecinała mu prawą brew. Był niezdrowo chudy, chudszy od Leo. Koszulę wypuścił ze spodni. Krawat natomiast przewiesił sobie przez szyję. Shane i Tony też tak czasem robili. Nie dzisiaj jednak, bo dziś był dzień egzaminów i wszyscy musieli prezentować się nienagannie.

Nie widziałam w nim zbyt wielu podobieństw do Leo.

– Zapytaj brata – odezwałam się w końcu, pilnując, by nie drżał mi głos.

– Ta, jemu nie uwierzę – odparł, po czym zaśmiał się i pokręcił głową. – Nie no, w życiu nie uwierzę, że wyrwał siostrę Monetów, c’nie. Nie ma opcji. – Chłopak mrugnął. Nie była to jednak oznaka sympatii, tylko tik, jak odkryłam po chwili, gdy mrugnął znowu.

Zacisnęłam usta.

– Przyjaźnimy się.

– Dobra, jasne. – Machnął ręką i zakołysał się, opierając całe ciało na kuli. Rękaw jego mundurka zachodził mu prawie na palce. Zapatrzyłam się na luźny mankiet i zmarszczyłam brwi.

– Dlaczego masz na sobie mundurek? I co ty tutaj właściwie robisz? Nie chodzisz do tej szkoły.

Brat Leo skwitował moje podejrzliwe spojrzenie kolejnym parsknięciem śmiechu.

– No jasne, że nie chodzę. Wolałbym se strzelić w łeb, niż uczyć się wśród takich snobów.

– No to nie wiem, co tutaj w ogóle robisz.

Na twarzy chłopaka zagościł uśmiech, nieco cwańszy od tych wcześniejszych.

– Przyszedłem po ciebie, Monet.

Jakaś dziewczyna pojawiła się znikąd i biegiem pomknęła do sekretariatu, czyli tam, gdzie sama powinnam być już dawno być. Drzwi szybko się za nią zamknęły i ponownie zostaliśmy sami.

Pod skórą poczułam nieprzyjemne mrowienie.

– Nie mam na to czasu. Zaraz mam egzamin. Muszę iść – oznajmiłam twardo i zrobiłam krok do tyłu, gotowa do obrotu na pięcie.

– Nie pomożesz Leo?

Powoli wzięłam mały wdech.

– Niby w czym?

– Ma kłopoty, c’nie. – Mrugnął znowu i wiem, że to akurat nie jego wina, ale naprawdę zaczynał mnie tym irytować. Zaraz potem się rozejrzał. – Tak w ogóle to widziałas go gdzieś tutaj? Dzisiaj?

Nie widziałam. Zamiast to przyznać, tylko wpatrywałam się w mojego rozmówcę z ostrożnością.

– Milczenie wezmę za „nie”.

– No i co? Nieczęsto się widzimy.

– Ale co, nie życzyłby ci szczęścia? Dziś, przed egzaminem? Na dodatek mając szansę cię zobaczyć, Monet, pierwszy raz od dawna?

– Do czego pijesz? O co ci chodzi?

– Nie ma go tu, bo wpakował się w kłopoty, c’nie. Przyjechałem po ciebie, żebyś mu pomogła, c’nie.

– Niby jak mam mu pomóc? – zapytałam nieufnie.

Trochę się zmartwiłam, nie powiem, że nie, ale jednocześnie denerwowało mnie to owijanie w bawełnę.

– Musisz jechać ze mną, Monet. Jak ciebie zobaczy, to się opamięta.

– Co? – Prawie się zaśmiałam. – Nie znam cię, jak ty to sobie wyobrażasz? Leo się ze mną nie kontaktował, poza tym mam zaraz egzamin. Nie mogę tak po prostu gdzieś sobie z tobą jechać.

-Jestem Ryder, c'nie, brat Leo – przedstawił się, a mnie od razu nie spodobał się jego protekcyjny ton. – A Leo się nie kontaktował, bo ma kłopoty, w które się wpakował i do których się nie przyzna, zwłaszcza przed tobą, Monet. Jak mu nie pomożesz, to będzie po nim, c'nie. Czy to nie ważniejsze niż egzamin?

– Co to za kłopoty?

– Za dużo gadania, c'nie. – Ryder machnął ręką. – Chodź ze mną, powiem ci wszystko po drodze. Nie ma czasu, Monet.

– Nie. Czekaj – przystopowałam go. – Nie mogę sobie tak po prostu z tobą pojechać. Jeśli Leo ma problemy, to mogę mu pomóc inaczej. W szkole są moi bracia, zadzwonię i powiem, co się dzieje, oni coś poradzą.

Ryder zaśmiał się lekceważąco.

– Bracia Monet coś poradzą? Jasssne. Braci Monet obchodzi tylko własna dupa, c'nie. – Pokręcił głową, wciąż opierając się na kuli. – Nie, Monet, chodzi w tym wszystkim o to, żebyś ty ty pomogła Leo. To ciebie ma zobaczyć. Tylko ty możesz go uratować.

– Zadzwonię do Shane'a, zaraz tu przyjdzie – kontynuowałam, ignorując jego słowa. Wyjęłam telefon i odblokowałam go. Bez wiedzy braci nie zamierzałam w nic się pakować, a ufałam, że w razie czego oni rozwiążą każdy problem.

Ryder zbliżył się do mnie, co mnie zaskoczyło, bo zrobił to praktycznie bezszelestnie, gdy ja wpatrywałam się w ekran komórki. Tym razem nie hałasował kulą, bo – jak się okazało – najwyraźniej w rzeczywistości w ogóle jej nie potrzebował.

– Pójdiesz ze mną – wyszeptał.

Osaczył mnie jak peleryna, która nagle opadła mi na włosy oraz ramiona, po czym zaczęła się kurczyć, ograniczając wolność. Ryder pochylał głowę i w ten sposób miał świetny widok na czubek mojej własnej. Czułam jego oddech. Nie określiłabym też jego zapachu przyjemnym. Uniósł rękę i sięgnął za pazuchę.

– Odsuń się – syknęłam, wstrzymując oddech.

– Pójdiesz ze mną – kontynuował, jakby mnie nie usłyszał, po czym odchylił marynarkę mundurka, gdzie od wewnętrznej strony wciśniętą miał broń, której ostrzegawczy błysk oślepił mnie na ułamek sekundy. Szyja aż mnie zabolęła, gdy szarpnęłam głowę w górę. Wgapiałam się oniemiała w twarz Rydera, nie wierząc w to, co właśnie przede mną zaprezentował.

Żeby było jasne, to nie widok broni robił na mnie wrażenie, tylko okoliczności, w jakich miałam nieprzyjemność ją oglądać. Chyba nawet moi bracia, wielcy, kurczę, strzelcy, nie chodzili uzbrojeni po szkolnych korytarzach.

– Co, odjęło ci mowę, Monet? – parsknął Ryder i mrugnął. – Nie no, żart. Wiem, że nie. W twojej rodzinie to pewnie połykacie takie na śniadanko. Razem z kawą i precelkiem.

– Jesteś nienormalny – warknęłam, łypiąc na niego spode łba. – Jaki ty niby masz plan? Zastrzelisz mnie, geniuszu?

– Ta, i co jeszcze? Co ja niby miałbym zrobić z martwą Hailie Monet? Hm? – Ręką, którą odchyłał marynarkę, teraz puknął się w czoło. I mrugnął. – Rusz głową, to byłby tylko niepotrzebny problem.

– To po co pokazujesz mi tę broń?!

Usta Rydera uformowały się w mały, lekko złośliwy uśmiech, ale jego spojrzenie pozostało chłodne.

– Nie zastrzelę cię, Monet, ale jeśli nie pójdziesz ze mną, to zrobię tu zadymę, jakiej nie było nawet w GTA.

W tamtym momencie jeszcze nawet nie zakodowałam, że porównywał rzeczywistość do jakiejś naszpikowanej przemocą gry komputerowej, a mimo to zrozumiałam przekaz jego słów doskonale i poczułam, jak błędę.

Akurat wtedy z sekretariatu wyszła dziewczyna, która mijала nas kilka chwil temu. Miała włosy zebrane do tyłu opaską, prostokątne okulary i zaczerwienione jeszcze od wcześniejszego biegu policzki. Już się nie spieszyła, tylko powoli kroczyła przez korytarz, chyba umyślnie nie nawiązując z żadnym z nas kontaktu wzrokowego.

Na jej widok natychmiast przełknęłam ślinę i przeniosłam wzrok na Rydera, który mrugnął dwa razy z rzędu, nadal z diabolicznym uśmiechem przyklejonym do twarzy, po czym wyszeptał do mnie:

– Ona mogłaby być pierwsza. Pif i paf. Byłoby po niej. Myślisz, że załatwiłbym ją jednym...

– Przestań, przestań! – przerwałam mu, a głos utknął mi w gardle, przez co zabrzmiał słabo. Skrył się w nim jęk tak rozpaczliwy, że mijająca nas dziewczyna go usłyszała i rzuciła mi pytające spojrzenie.

Ryder wskazał na mnie głową.

– Przedegzaminowy stresik, c'nie – zachichotał do niej, jakby był zwyczajnym, dowcipnym kolegą, a nie psychopatą.

Dziewczyna wykrzywiła usta w dziwnym uśmiechu, ale nie zatrzymała się i ulżyło mi, gdy zniknęła za zakrętem.

– Widzisz? Luzik- arbuzyk, Monet. Nic nikomu nie zrobię. Tylko musisz mnie słuchać. Będziesz się słuchać? Musisz wiedzieć, że nie mam zbytnio nic do stracenia.

Coraz bardziej panikując, pokiwałam głową. Starłam się, naprawdę, z całych sił starałam się wymyślić, jak powstrzymać Rydera. Gdybym tylko mogła skontaktować się jakoś z bliźniakami! Albo chociaż z Moną. Ale co by to dało? Nie potrafiłam myśleć o uratowaniu samej siebie, jeśli na szali leżało życie innych, którzy mogliby je stracić przez to, że nie wykonałam kilku głupich poleceń.

– Miodnie – skwitował brat Leo i wyprostował się, na powrót opierając się całym ciężarem ciała na kuli. Rozejrzał się wkoło, po czym mruknął do mnie: – A teraz daj telefon.

Spojrzałam na jego rozcapierzone palce, które wyciągnął w moją stronę.

– No już – ponaglił mnie, poruszając nimi – szybciotko, Monet, nie ma czasu.

Uniosłam drżącą dłoń i oddałam mu telefon, uważając, żeby przypadkiem nie dotknąć jego skóry.

– Biżuteria też.

– Po co?

– Testujesz moją cierpliwość, Monet. Dawaj mi wszystko, co masz, c'nie, albo wiesz, co będzie.

Przez chwilę miałam nadzieję, że on mnie po prostu najzwyczajniej w świecie okrada i, chociaż szkoda było mi pozbywać się pamiątek od ojca, to jednak bardziej zależało mi na wyjściu z tego cała, dlatego najpierw zabrałam się ślamazarnie do zdjęcia zegarka.

Z żalem przekazałam go Ryderowi, a następnie wyciągnęłam z uszu drobne kolczyki.

– To wszystko? Nie masz nic więcej? Żadnych wisiorów, broszek? – wypytywał, przy okazji łapiąc mnie to za jeden, to za drugi nadgarstek, by samemu się przekonać. Cofnęłam się z oburzeniem, gdy za kołnierz mojej koszuli wsunął palec, szukając tam śladów łańcuszka.

– Wszystko! – syknęłam.

– To super, Monet. Teraz pokaż kieszenie.

Bez słowa wywaliłam je na drugą stronę. Oprócz świstka, który niosłam do sekretariatu, świeciły pustką. Byłam zupełnie bezbronna.

Wtedy zadowolony Ryder szarpnął głową w stronę korytarza, gestem pokazując, że czas się ruszyć.

– Tylko pamiętaj, Monet... – Ostrzegawczo zamachał palcem tuż przed moim nosem. – Bez kombinacji, c'nie? Jedno krzywe spojrzenie, a będziesz odpowiedzialna za masakrę, którą będą wałkować w mediach przez następny rok.

– Zrozumiałam – szepnęłam z jadem, choć w głębi ducha strach paraliżował mnie coraz bardziej. I tak dziwiłam się, że w ogóle byłam w stanie stawiać stabilne kroki. Szłam blisko Rydera, a im bliżej pierwszego, zatłoczonego korytarza się znajdowaliśmy, tym trudniej było mi oddychać. Zaczęłam się pocić i to bynajmniej nie z powodu wizji opuszczenia ważnych egzaminów.

Głosy uczniów zlewały się w jeden. W pewnym momencie w ogóle zagłuszył je szum, który niktąd pojawił się w moich uszach. Taki jałowy, z dodatkiem nieznośnego pisku, jakby właśnie ogłuszył mnie wybuch bomby, i aż zerknęłam na dłonie Rydera, by mieć pewność, że nie spełnił jeszcze żadnej swojej groźby i to po prostu moje ciało panikowało.

Vincent miał rację. Powinien był zamknąć mnie w piwnicy. A nie puszczać do szkoły, nawet na ważny egzamin. Nie chciał tego, ale był to rodzaj testu, do którego nikt nie pozwoliłby podejść zdalnie, we własnym domu. A ja tak strasznie chciałam tu dzisiaj być. Byłam świetnie przygotowana i na dodatek pragnęłam zobaczyć się z Moną, i w ogóle wyściubić nos spoza rezydencji Monetów. Dla mnie przybycie na ten egzamin to atrakcja miesiąca. No to teraz będę miała przygodę.

– Idź w stronę bocznego wyjścia – szepnął do mojego ucha Ryder, a gdy się do niego obróciłam, mrugnął. – Nie bój dzidy, Monet, będę tuż za tobą.

Stałam na palcach, po raz kolejny udowadniając, że nie potrzebowałam kuli. Zawisła na jego łokciu, gdy on wyciągnął rękę do góry. W garści trzymał moje skarby i niepostrzeżenie porzucił je na jednej ze szkolnych szafek, których całe rzędy stały poustawiane wzdłuż korytarza. Przy okazji rękawem mundurka zebrał z jej powierzchni chmarę kurzu, z którego się następnie szybko otrząpał. Nikt nie znajdzie ich tam przez długi czas. Ewentualnie Sonny lub moi bracia wytropią je po nadajniku w telefonie, ale kiedy?

– Nie oglądaj się – warknął cicho Ryder, gdy posuwałam się do przodu wzdłuż korytarza, rzucając niektórym mijanym przeze mnie znajomym nerwowe uśmiechy i od czasu do czasu odwracałam głowę, by upewnić się, że wciąż za mną podąża. On wytrwale odgrywał swoją rolę kaleki, bo utykał, a nawet przybrał umęczony wyraz twarzy.

Trudno było mi unikać spojrzeń innych, bo najwyraźniej podczas mojej nieobecności krążyło sporo plotek na mój temat i teraz ludzi bardzo interesował ich obiekt.

A ja miałam w głowie tylko jedną myśl: oni wszyscy mogą umrzeć, jeśli się nie wezmę w garść i dobrze tego nie rozegram.

Zazdrościłam im. Obgryzali wargi, bo ich największym stresem był w tym momencie egzamin. Co ja bym dała, żeby mieć tylko taki problem.

Szłam prosto do bocznego wyjścia ze szkoły, które prowadziło na część parkingu. Idąc, gorączkowo rozmyślałam nad tym, jakie mam opcje, ale nie było ich zbyt wiele. Mogłam albo potulnie postępować wedle jego instrukcji, albo próbować się uratować i zaryzykować stanie się powodem masakry na skalę krajową.

Nie znałam tego chłopaka. Nie wiedziałam, do czego jest zdolny. Wyglądał na niepočetalnego i możliwe, że taki właśnie był. Nie mogłam ryzykować. Nie tutaj, nie w szkole.

Dźwięk stukającej o podłogę kuli Rydera wypalał w mojej czaszce dziury, dekoncentrując mnie coraz mocniej. To nie mogło mu się udać.

Na końcu, stając tuż przed drzwiami prowadzącymi na zewnątrz, rozejrzałam się rozpaczliwie. Tak bardzo chciałam ujrzeć bliźniaków. Gdyby tylko mogli zobaczyć moje przerażenie, poznać jego powód i użyć swojej wyuczonej od małego zwinności,

by rozbroić tego psychopatę, to przysięgam, że wyściskałabym i wycalowała nawet Tony'ego, którego jeszcze kilka chwil temu miałam ochotę rozszarpać na kawałeczki.

Ale moi bracia znajdowali się w zupełnie innym skrzydle, czekając na zupełnie inne egzaminy. Ich pojawienie się tu znikąd byłoby tak piękne, że aż kompletnie nieprawdopodobne.

Pchnęłam drzwi i wyszłam na dwór, gdzie uderzyło we mnie mroźne powietrze. Teoretycznie powinno przewietrzyć mi głowę, do której następnie nagle wpadłby mi jakiś genialny pomysł, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Zatelepałam się z zimna, bo był przecież styczeń, a ja wyszłam bez kurtki. Na trawnikach leżała nawet mała warstwa śniegu.

Dwie osoby, które znałam z widzenia, stały przy schodach, obie owinięte ciasno wełnianymi szalikami, i pochylały się nad telefonem. Oberwało mi się od nich tylko spojrzaniem, ale nie na tyle zainteresowanym, by trwało dłużej niż kilka sekund.

Parking z tej strony budynku nie cieszył się dużą popularnością, dlatego było tu mniej samochodów. Kilka miejsc wyznaczono dla niepełnosprawnych i Ryder, grając swoją rolę kaleki najlepiej, jak potrafił, zajął oczywiście jedno z nich.

Szturchnął mnie w ramię i powiedział:

– Wsiadaj od strony pasażera. Do tego po prawej. Granatowego. Ruchy, ruchy, Monet.

Wóz Rydera był przetarty z tej strony, z której właśnie wsiadałam. Lusterko boczne się wykrzywiło, a całe auto prezentowało się niechlujnie, tak jakby jego właściciel wziął niedawno szmatę i próbował na szybko zmyć nią błoto sprzed lat wżarte w karoserię, tylko je rozmazując.

W środku nie było lepiej. Panujący tu burdel obrzydził mnie na wejściu. Podwinęłam spódnice i usiadłam na fotelu, strzepując z niego wcześniej jakieś papiery i otłuszczone sreberko, czyli pozostałość po żarciu na wynos. Zmarszczyłam też nos na nieprzyjemny zapach. Boże drogi, to był jakiś koszmar.

Ryder szybko się uwijał i już za moment siadał za obdrapaną kierownicą. Zatrzasnął za sobą drzwi, po czym natychmiast pozbył się kuli, wrzucając ją na tylne siedzenia tak niedbale, że prawie nią dostałam. Bałam się odwracać i ogarniać wzrokiem znajdujące się tam małe wysypisko śmieci.

– Sorry za bałagan, nie miałem czasu ogarnąć, c'nie – mruknął, kluczykiem starając się wcelować w stacyjkę, która była mocno porysowana od wielu takich wcześniejszych prób.

Nie skomentowałam tego, tylko rozejrzałam się po parkingu. Może teraz mogę jakoś uciec? Może sama mogłabym go rozbroić? Był to dorosły, starszy ode mnie chłopak, ale też niezbyt rozgarnięty. Nie miałam przy sobie absolutnie nic, czego mogłabym użyć jako broni, ale zerknęłam pod moje nogi, gdzie plątała się cała chmara śmieci. Może znalazłby się tam jakiś nóż albo, nie wiem, pistolet...

– Dobra. – Ryder pociągnął nosem, uradowany, gdy silnik wreszcie odpalił. Poklepał kierownicę, poruszył ramionami, rzucił okiem na sytuację wkoło, a potem zerknął na mnie. I mruknął. – Na ziemię, Monet.

Popatrzyłam na niego, unosząc brwi.

– Co?

– Dajesz nura pod fotel, już.

Zerknęłam pod nogi. Stopy trzymałam na jakiejś gazecie. Nawet nie wiedziałam, jakiego koloru dywaniki tutaj miał.

– Niby gdzie?

– Mówię, że pod fotel. Dawaj no, już.

– Tu nie ma miejsca! – pisnęłam załamana, zdegustowana i coraz bardziej wystraszona.

Chciał mnie przemycić poza teren szkoły! Idiota wiedział, że jeśli przy bramie mnie zobaczą, to go nie wypuszczą. Pewnie wiedział, że gdzieś tam za nią czuwa też Sonny. W tej chwili pożałowałam, że ochroniarzowi jednak nie polecono siedzieć razem ze mną w klasie. Dopiero sobie uświadamiałam, jak łatwo go było teraz wyprowadzić w pole i jak bardzo ograniczony oraz bezużyteczny był, będąc zmuszonym zostać poza terenem mojej szkoły.

To się nie działo naprawdę.

Ryder westchnął z irytacją i pochylił się w moją stronę, rękę zatapiając w tym całym burdelu pod moim fotelem. Szybkimi i zniecierpliwionymi ruchami łapał w garść to, co mu się nawinęło, i odrzucał wszystko na tyły samochodu. Gazety, jakaś przepalona od papierosów brudna poduszka, puszki, papiery różnej maści i wiele innych, bliżej nieokreślonych złomów. Chciało mi się płakać na widok tego syfu. Podczas tego ekspresowego sprzątnięcia złapał kartony po jedzeniu i gdy je podnosił, wystająca z pudełka, połamana pałeczka chińska zadrapała mnie w nogę.

– Dobra, gotowe, jaśnie księżniczko. Czyściej nie będzie – oznajmił i zapraszająco wskazał na podłogę. Po jego minie widziałam, że zaczynał tracić cierpliwość. Wpatrywał się we mnie z powagą, ale w jego oczach widziałam, że się denerwuje.

Po raz ostatni omiotłam wzrokiem przyprószony delikatną warstwą śniegu parking. Dwie osoby, które stały przy schodach, wciąż tam były i nie zwracały na nas uwagi. Nic nie zapowiadało nagłego, cudownego ratunku.

Ryder cmoknął z irytacją i wystarczyło, że sięgnął za pazuchę, z pewnością po to, by pogrozić mi tym swoim pistoletem, a ja ruszyłam się i ukucnęłam w maleńkiej przestrzeni przed moim fotelem. Od razu się skrzywiłam, bo poczułam, jak twarde okruchy i kilka innych rzeczy wbija mi się w kolana.

– Może będzie lepiej, jak schowam się z tyłu? – zaproponowałam, resztkami nadziei łapiąc się ostatniego pomysłu, na jaki wpadłam. Mogłabym przyciąć się za jego siedzeniem i użyć swoich rajstop jako garoty, podduszając go do nieprzytomności.

– Nie, nie lepiej. Przestań gadać i na dół – warknął Ryder i chyba zaczynałam przekraczać jakąś jego granicę cierpliwości, bo podniósł rękę i agresywnie nacisnął nią na moją głowę, zmuszając mnie do schylenia się.

Wyrwał mi się pisk, bo mnie zabolalo. Ryder rzucił, żebym się przymknęła, ale zabrał dłoń. Nie miałam odwagi więcej się prostować, więc po prostu robiłam, co w mojej mocy, by zadowolić mojego porywacza. Nogi wsunęłam pod schowek, wypięłam się w stronę drzwi, a głowę najpierw opiotłam sobie rękoma, a potem położyłam przy skrzyni biegów. Było mi bardzo niewygodnie. Ostatnio nie po drodze miałam ze sportem, więc moje mięśnie teraz zgodnie protestowały przeciwko takiej gimnastyce, a śmieci, których nadal piętrzyło się tu mnóstwo, drażniły każdą partię mojego ciała. Policzek trzymałam na zimnym, denerwująco szeleszczącym papierze po czipsach, coś chropowatego wbijało mi się w udo, a jeśli za bardzo poruszałam kolanem, to obijało się ono o coś oblesnie wilgotnego, czego nawet nie chciałam analizować.

Zacisnęłam oczy, nie wierząc, że to się dzieje naprawdę. I to pod okiem moich braci, którzy dwoili się i troili, bym była bezpieczna. Powaga sytuacji boleśnie we mnie uderzała, z każdą sekundą coraz bardziej. Przez moje nieszczelnie zaciśnięte powieki zaczęły przedostawać się łzy. To kolejna rzecz, której Ryder albo nie zauważył, albo którą miał głęboko gdzieś. Ewidentnie był zbyt skupiony na swoim planie.

Poczułam, jak jakaś płachta opada na moje ciało. Nie spodziewałam się tego, dlatego moje oczy same się otworzyły. Jedyne, co zobaczyły, to ciemność. Przygryzłam wargi, bo gotowa byłam krzyczeć, a przecież nie mogłam. Bałam się coraz bardziej.

– Nie ruszaj się. Nic a nic. Tak dobrze, właśnie – szeptał do mnie Ryder i poczułam, że auto ruszyło. Zaczął cofać. – Jeśli nie chcesz, żeby ktoś umarł, to powinno zależeć ci tak, jak i mnie, żeby wyjechać z tej zakichanej szkoły bez komplikacji.

Nie odzywałam się ani nie ruszałam zgodnie z instrukcjami. Leżałam jak nieżywa pod ciężkim kocem, krzywiąc się na smród, jaki tu panował. Nie dość, że w dole nieznośny zapach kumulował się jeszcze bardziej, to na dodatek ten materiał (który sam w sobie też capł niewyobrażalnie) ograniczał dopływ czystszej powietrza do moich nozdrzy.

Szkoła, do której uczęszczałam, to prywatna placówka, w której chesne wynosi krocie. Nie każdy mógł sobie tutaj wejść i wyjść, tak właśnie myślałam do tej pory. Wystarczyło najwyraźniej wcielić w życie średnio dopracowany plan. Należało przytachać ze sobą kulę i udawać niepełnosprawnego dzieciaka ze stypendium, który ostatnimi czasy korzysta z nauczania domowego ze względu na złe samopoczucie, pojawić się w mundurku młodszego brata, ukraść mu też czip, który otworzy bramę wjazdową, a nikt nie wpadnie na to, żeby przeświecić cię dokładniej, nawet jeżeli wjedziesz na teren szkoły takim gruchotem.

Liczyłam, że może Sonny się zainteresuje tym autem i tu podejdzie. Parkował zawsze niedaleko wjazdu. Tylko skąd miałby przewidzieć, że siedzi tu ktoś niebezpieczny?

Poczułam, jak pojazd porusza się do przodu. Nikt go nie zatrzymywał. Nikt nie wiedział, że w aucie znajduje się porwana uczennica szkoły. Z ust wyrwał mi się rozpaczliwy jęk.

Na początku wydawało mi się, że kręcimy się trochę po okolicy, ale w pewnym momencie zaczęliśmy się rozpędzać i nie musiałam patrzeć przez okno, by wiedzieć, że takie rozwijanie prędkości musiało oznaczać jedno. Wjechaliśmy na drogę szybkiego ruchu. Ryder mnie porwał i udało mu się to bezbłędnie.

Powinłam wstać? Coś powiedzieć? Ile ja miałam tak leżeć?

Drgnęłam. Raz, potem drugi. Wreszcie siedziałam pod tym kocem tak długo, że zaczęłam się dusić. Zrobiło mi się za gorąco, a jeszcze trochę i chyba umarłabym od samego wdychania tego świńskiego powietrza. Gdy czułam, że znajduję się już na granicy wytrzymałości, poruszyłam ręką, by odchylić koc, przynajmniej na wysokości głowy. Łyknęłam wtedy haust tlenu, mimo iż wciąż nie najlepszej jakości.

– Co się tak kokosisz, Monet? – zapytał Ryder, na powrót rozweselony i o wiele bardziej zrelaksowany, niż jeszcze przed chwilą.

– Nie mogę oddychać – poskarżyłam się chrapliwie. Na dodatek rozboleła mnie głowa, choć był to najmniejszy z moich obecnych problemów.

– To po co tam siedzisz? Wstawaj, c'nie. Jesteśmy na drodze.

Zacisnęłam zęby i wspierałam się na fotel. Łokciem oparłam się o siedzenie, a drugą ręką zrzuciłam z siebie ten obrzydliwy koc. Trudno mi było utrzymać równowagę, bo auto Rydera niezbyt stabilnie sunęło nawet po stosunkowo prostej drodze. Cała byłam połamana i oblepiona okruchami. Podciągnęłam się wreszcie na ręce i zdołałam usiąść, odgarniając z twarzy włosy i otrzepując się dokładnie. Przy okazji rozejrzałam się – moim oczom ukazała się droga otoczona z obu stron lasem. W tej okolicy one wszystkie wyglądały tak samo. Na koniec złapałam koc w obie ręce i zarzuciłam go na tyły samochodu.

Ryder zdjął marynarkę i siedział już w samej koszuli. Na jego ustach błdził zadowolony uśmiešek. Patrzył prosto przed siebie, ale co jakiś czas rzucał mi spojrzenie kątem oka. Był przeszczęśliwy.

To chyba nie wróżyło dobrze.

Niby niepozornie obrzuciłam drzwi od swojej strony szybkim spojrzeniem. Mogłabym je otworzyć i wyskoczyć na ulicę. Jechaliśmy zaskakująco szybko, jak na możliwości tego złomu, ale byłabym w stanie zaryzykować, gdyby nie to, że Ryder zadbał, by wcisnąć blokady bezpieczeństwa.

Pozostała mi na razie gadka. Najpierw sięgnęłam po pas, by się zapiąć, jako że nie ufałam umiejętnościom jazdy tego oszołoma, ale ręką wyczułam pustkę. Zdezorientowana odwróciłam się, by wzrokiem poszukać klamerki, która powinna sterczeć gdzieś przy moim prawym uchu, ale nie było jej tam.

Ten facet nie miał w aucie nawet pasów! Uciął je lub wyrwał.

– Ryder – zaczęłam cicho i uprzejmie, starając się go nie rozgniewać. – Leo wcale nie potrzebuje pomocy, prawda?

Odpowiedziała mi wymowna cisza, więc prawdy łatwo mogłam domyślić się sama.

– Jaki ty masz właściwie plan?

On przez chwilę milczał, ale nie po to, by przemyśleć swoją odpowiedź. To nie był człowiek tego pokroju. Milczał raczej, bo nie wiedział, co powiedzieć. W końcu jednak przechylił głowę na bok i się odezwał:

– Wiesz, jak cię nazywają?

– Kto jak mnie nazywa?

– No ludzie, c’nie.

– Jacy ludzie?

– Rusz głową, Monet. – Ryder wywrócił oczami. – Wiesz, że twoja rodzinka jest udana i tak samo udanymi cudakami się otacza.

– No to jak mnie nazywają?

Ryder uśmiechnął się całkiem sympatycznym uśmiechem, innym niż do tej pory.

– Perełka Monetów.

Uniosłam brwi.

– Jak...?

– Słyszałaś – mruknął i pokręcił głową, po czym parsknął. – Perełka Monetów. Odnaleziona po latach, jedyna córka Camdena Moneta, młodsza siostra słynnych braci Monet. Jebana perełeczka. – Zaśmiał się pod nosem i rzucił mi rozbawione spojrzenie. – Która teraz siedzi w moim aucie.

Przełknęłam ślinę. Moje serce zabiło mocniej jednocześnie z rozkoszy i przerażenia.

– Chcę sprawdzić – kontynuował – ile tak naprawdę jesteś warta.

– To jest twój świetny plan? Porwanie dla okupu?! – zawołałam, tracąc nerwy i nie dowierając jednocześnie.

– Twoi bracia panoszą się wszędzie, jakby byli bogami. Wielka, ważniacka rodzinka. Wystarczy, że im się nie spodobaś, a już jesteś spalony na starcie, c’nie...

– Czy ty się czasem sam u nich nie zadłużyłeś?

Ryder szybko spochmurniał i teraz prowadził z niewidzącym wzrokiem wbitym w jezdnię oraz ponurym wyrazem twarzy.

– Pożyczają ci pieniądze i pożyczają, i pożyczają, a nagle koniec... – Oderwał na chwilę dłoń od kierownicy i pstryknął palcami. – ...i robią problem, znikąd zupełnie. Trzeba oddawać, c’nie. Bo im się tak zachciało. I się z nimi nie dogadasz. W dupie mają tłumaczenia. Wszystko się dzieje wedle ich pieprzonego widzimisię. Nieważne, czy masz hajs, czy nie. Nic do nich nie dociera. Paniska, myślą, że są nie wiadomo kim.

– Trzeba było pożyczać pieniądze legalnie, na przykład w banku – mruknęłam z przekąsem.

Nie zamierzałam bronić swoich braci, bo wiedziałam, że świętoszkami nie są, ale w tym wypadku uważałam, że Ryder pretensje może mieć przede wszystkim do siebie.

– Jezu, Monet – westchnął, odrzucając głowę do tyłu. – Jaka ty jesteś oderwana od rzeczywistości. No ale nie ma się co dziwić, c’nie...

– Ja oderwana od rzeczywistości? – Oburzyłam się. – W porównaniu do ciebie wiem, że jak coś pożyczam, to muszę oddać. Tak działa świat.

– Ta jasne, wiesz, jak działa świat w teorii, ale gównie znasz się na praktyce. Żaden bank nie pożyczy mi pieniędzy. Oni pożyczają tylko pedancikom w gajerkach. – Mrugnął. – No a nie wszyscy urodzili się w rodzinie, gdzie podciera się tyłki banknotami. Jakoś se trzeba radzić.

– To może idź do pracy? – zasugerowałam.

Nie chciałam brzmieć przemądrzale, ale on sam się prosił. Poza tym pozwalałam sobie na tyle, bo przecież przez większość życia też daleko mi było do zajmowania uprzywilejowanej pozycji. Wcale się tak bardzo od niego nie różniłam.

– I haruj za dziesięć dolców za godzinę jak mój żalosny braciszek? Podziękuję.

– Nie mów tak o nim – upomniałam go. – W porównaniu do ciebie on ciężko pracuje, żeby wyjść na ludzi. I to na pewno mu się opłaci.

Ryder prychnął i robił teraz wyjątkowo mroczne wrażenie. Patrzył przed siebie na skrytą wśród złowieszczych drzew drogę. Znów zaczął prószyć lekki śnieg. Czasami czułam, jak auto ślizga się nieco na jezdni, i pozostało mi jedynie dziękować w myślach za to, że droga była pusta i jechaliśmy prosto. Powinno obejść się bez gwałtownych manewrów.

– A co ty o mnie wiesz, Monet?

Milczałam przez chwilę, dumając nad tym, na ile mogę sobie z nim pozwolić.

– Wyleczyłeś się już z nałogu? – zagadnęłam znikąd.

Ryder spojrzał na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Palce zacisnął mocniej na kierownicy.

– Nie twoja sprawa.

– Skończyłeś już odwyk? – drażyłam. Ja z kolei kurczowo łapałam się brzegu swojego siedzenia.

Ryder zacisnął wargi w prostą linię, a brwi miał nastroszone. W pewnym momencie jego poirytowane spojrzenie przeniosło się na mnie.

– A ty skończyłaś już truć? Jesteś wnerwiająca.

– Czyli nie skończyłeś? – dopytywałam.

Nie odpowiadał.

– Dalej bierzesz?

To było o jedno pytanie za daleko, bo palce Rydera aż zbieleły, natomiast jego twarz poczerwieniała. Mentalnie się spoliczkowałam. Głupia, i po co było ci go drażnić?

Myślałam, że chłopak jednak zdecyduje się otrząsnąć i nie da się tak łatwo podpuścić, ale zapomniałam, że nie rozmawiam z Vincentem, tylko z jakimś młodocianym ćpunem.

Ryder najpierw docisnął pedału gazu, jakby chciał tym zademonstrować swoją wściekłość, a następnie, ku mojej krótkotrwałej uldze, zaczął zwalniać. Wtedy już postanowiłam, że lepiej się nie odzywać, więc w milczeniu obserwowałam, co się dzieje. Coraz mocniej trzymałam się własnego fotela, ciągle pamiętając o tym, że powierzchnia jest śliska, a mnie nie chroni pas bezpieczeństwa.

Chłopak wreszcie zatrzymał się i udało mu się to zrobić bez wpadnięcia w poślizg czy spowodowania tragicznego w skutkach wypadku. Auto stanęło na poboczu, które jednak nie było szerokie, a zaraz już zaczynała się ściana drzew, dlatego pojazd wciąż w połowie znajdował się na jezdni. Nie powinien to być wielki problem, bo najwyraźniej inne auta nieczęsto ją przemierzały.

Problemem było zaś to, że Ryder z bocznej kieszonki w drzwiach wyjął sobie właśnie mały woreczek z białym proszkiem.

51

MYŚL, HAILIE

Co ty robisz?! – krzyknęłam głośno, a jedna z moich dłoni powędrowała automatycznie do klamki z mojej strony. Przy okazji odkryłam, że jest ułamana, więc nawet jeśli drzwi byłyby otwarte, to i tak mogłabym mieć trudności z wydostaniem się na zewnątrz.

Świetnie, jest po prostu coraz lepiej.

– Co? Sama zaczęłaś – prychnął, relaksując się na sam widok narkotyku.

– Chyba nie zamierzasz... Przecież prowadzisz! – zawołałam z przerażeniem.

Wcisnęłam się w kąt, jak najdalej od Rydera. Tak jakbym bała się, że też się naćpam od samego patrzenia na kokainę.

– Luz, Monet, po cukrze mam zawsze lepszy refleks.

Mrugnął. Dwa. Razy.

To jakiś koszmar. Nie dość, że uprowadził mnie niezrównoważony psychicznie człowiek, to jeszcze na dodatek zaraz miał być również naćpany.

Ryder rozejrzał się po otaczającej nas pustce. Las zdawał się groźny, a gęsto osadzone tu drzewa surowe i obojętne. Jak publiczność, która ogląda mało emocjonujący film. Na drogę coraz liczniej opadały płatki śniegu, a ja sama trzęsłabym się zapewne z zimna, siedząc w tym pozbawionym ogrzewania gracie,

gdyby buzująca w moich żyłach adrenalina nie umożliwiła mi ignorowania takich niedogodności.

– Ryder... – jęknęłam, gdy podwinął rękaw koszuli i na lewą dłoń nasypał sobie nieco proszku.

Ignorując mnie i bardzo uważając, by nic nie zmarnować, znowu sięgnął do wspomnianej kieszonki w drzwiach i wyjął z niej zniszczoną, ale wciąż odpowiednio sztywną wizytówkę. Przy jej pomocy zaczął formować sobie na dłoni kreskę.

On zaraz poważnie będzie przy mnie wciągał kokainę, czy kto wie, co to tak właściwie było. Przestraszyłam się jeszcze bardziej. Ludziom odbijało po narkotykach i to jest fakt, a nie tylko puste ostrzeżenia żywcem wyciągnięte ze szkolnych warsztatów.

Co jeśli Ryder stanie się agresywny lub jeśli coś sobie ubzdura i jednak postanowi mnie skrzywdzić?

Chłopak kilka razy pociągnął nosem, z chorym utęsknieniem wpatrując się w krechę białego proszku, rozciągniętą na jego dłoni. Jakby nie zjadł dziś śniadania, a ktoś podsuwał mu pod nos pyszny lunch.

– Zdrówko – mruknął i położył palec na prawym skrzydełku nosa.

– Ryder! – krzyknęłam znowu, tym razem bardziej zdecydowanie, i zanim pomyślałam, z całej siły naparłam na jego ramię.

Poleciał na drzwi, głową uderzył lekko w szybę, ale bardziej niż to zabolą go utrata starannie przygotowanej działki jego cukru. Rozsypał się mu po kolanach, siedzeniu i podłodze. Gdy sobie to uświadomił, drgnął, jakby dostał jakiegoś ataku, a następnie zaczął oceniać szkody, jakie spowodowałam.

Wybałuszonymi oczami wpatrywał się w rozdmuchany proszek, którego nie dało się już raczej zebrać. Zachowywał się, jakby nie rozumiał, co się właśnie wydarzyło, i wszystko to docierało do niego w opóźnionym tempie.

Ja sama zastygłam, oszołomiona i zestresowana własnym czynem. Powoli oddalałam się od niego, z powrotem wciskając się w mój bezpieczny kąt, dobrze wiedząc, że zaraz zapłacę za mój gwałtowny i w ogóle nieprzemyślany ruch.

Najpierw zaczęły mu się trząść ręce. Potem powoli uniósł głowę i wbił pociemniałe spojrzenie we mnie, dodatkowo kilka razy upiornie mrugając. Automatycznie rozejrzałam się za jakąś bronią, cokolwiek, co mogłabym użyć przeciw rozwścieczonemu narkomanowi na głodzie.

– Popieprzyło cię?! – wrzasnął na mnie, a ja przymknęłam na chwilę powieki, bo jego krzyk w tak małej przestrzeni okazał się nie do zniesienia.

To, co nastąpiło później, przeraziło mnie jednak jeszcze bardziej. Ryder rzucił się na mnie i szarpnął mnie za moją koszulę, przez co mój tułów wygiął się jak łuk. Sparaliżowana strachem, szukałam człowieczeństwa i normalności w jego ciemnych tęczęwkach, ale w tym momencie przypominał jedynie rozjuszony wilkołak, z którym żadna dyskusja nie miała sensu.

Co nie oznaczało, że siedziałam cicho.

– Puszczaj!

Usłuchał, tylko że pchnął mnie tak, że poleciałam na deskę rozdzielczą i uderzyłam się czubkiem głowy w przednią szybę. Zabolały mnie też szyja i brzuch. Ledwo żywa opadłam z powrotem na swoje miejsce, oddychając ciężko.

– Głupia cipa – syknął pod nosem Ryder i teraz z kolei skupił się na zmiataniu jedną dłonią w drugą resztek proszku, które osadziły się na siedzeniu. Niezbyt mu to wychodziło, bo nie było tam czego zbierać. – Powinienem cię załatwić i już.

Rękę przykładam do żeber, bo to tam się najbardziej poobijałam. Przechyliłam głowę tak, by widzieć dokładnie mojego porywacza.

– Tylko co ty zrobisz z martwą Hailie Monet – wystękałam słabo, cytując jego wcześniejszą wypowiedź.

To była moja przewaga. Jeśli Ryder marzył o okupie, potrzebował mnie żywej. Zapewne właśnie dlatego przed sekundą w ostatniej chwili się opanował, mimo tak wielkiej złości.

– Coś bym wymyślił – odburknął wyzywająco, a ja zacisnęłam wargi. – Raz było blisko, c'nie.

Zmarszczyłam brwi, a on zaśmiał się na widok mojej pogubionej miny.

– Niestety – kontynuował – chyba nie przypasował ci zapach perfum, coś ich na tobie nie czuję.

I mrugnął.

Opuściłam dłoń i mimo boleści wyprostowałam się, a na moim zesztyniałym ciele pojawiły się ciarki.

– Perfumy – wyszeptałam.

Za dużo się w moim życiu działo, bym przypasowała postać brata Leo do osoby, która próbowała mnie zabić. Za mało prawdopodobne to było.

Od razu przywołałam z pamięci filmik, który Vince i ojciec pokazali mi u Blanche. Czy tamten ubrany w zbyt duże, eleganckie ciuchy mężczyzna to mógł być Ryder?

Mógł.

– Słodki zapach dla słodkiej dziewczyny. – Uśmiechnął się.

– To ty!

Z grozą wymalowaną na twarzy pokręciłam głową.

Ryder wzruszył ramionami.

– Dla zabawy. Taki wiesz, prezent dla Perełki Monetów, c'nie – zaśmiał się. – Szkoda, że nietrafiony.

– Chciałeś mnie zabić! – wykrzyknęłam i gdyby tylko było tu wystarczająco miejsca, to zerwałabym się na równe nogi.

– Nie chodzi o ciebie, Monet. – Machnął ręką. – Twoi bracia sami się narazili. Wiesz, okradają moją matkę i takie tam, c’nie.

– Jesteś psychicznie chory! Dałeś mi perfumy z kwasem! Skąd w ogóle taki pomysł?! Zabiłbyś mnie!

– Dobra, nie posikaj się. Nic ci nie jest, jak widzę, c’nie.

Chciałam coś powiedzieć, może nawet wyzwać go najwulgarniej, jak potrafiłam, ale głos uwiązł mi w gardle. Co za okropny człowiek. Prawie mnie zabił.

Brat Leo.

– Chciałeś mnie zabić – powtórzyłam cicho do siebie, przetrawiając te słowa.

Ryder przekrzywił głowę.

– Nie, teraz chcę cię zabić, bo mi, kurwa, rozsypałeś mój koks.

– Skąd wiedziałeś, że będę na tamtym przyjęciu w hotelu? Śledziłeś mnie? – zapytałam, marszcząc brwi.

– Nie, Monet, nie śledziłem. Trudno się ciebie śledzi, wiesz, masz sporą obstawę. Ale ze dwa czy trzy razy mogłem sobie przejrzeć telefon mojego braciszka. A sporo sobie mówicie, c’nie.

– Czytałeś wiadomości moje i Leo? – oburzyłam się.

– Opłacało się przekopać przez te wasze przynudzaństwo.

Spuściłam głowę, jakbym spodziewała się, że wyjaśnienie podłego zachowania brata Leo znajdę na swoich kolanach.

– I co – burknęłam, łypiąc na niego spode łba – zakradłeś się do hotelu w cudzych, eleganckich ciuchach, podrzuciłeś fałszywy prezent i zwiąłeś? Trochę się natrudziłeś, w końcu taka akcja wymagała planu...

Ryder zaśmiał się wrednie.

– Niezła interpretacja z tymi ciuchami. Trafna – przyznał i wzruszył ramionami. – Trzeba było się jakoś wpasować w grono tych bufonów, c’nie.

Jakieś auto właśnie nas wyminęło. Zauważyłam je, dopiero gdy pojechało dalej. Było i zniknęło jak duch. Wymysknęło mi się ciężkie westchnięcie. Ryder też zerknął za samochodem, po czym uśmiechnął się do mnie jeszcze złośliwiej, mrugając. Wiedział, że niewątpliwie po głowie chodzi mi ucieczka. Nie skomentował jednak tego, a po prostu kontynuował swoje wywody, które coraz mniej mnie, szczerze mówiąc, interesowały.

– A cała akcja, jak to nazwałeś, Monet, nie wymagała żadnego planu. Wszystko było spontanicznie. Wystarczy mieć głowę i kumać, c’nie – pochwalił samego siebie Ryder, dumnie wypinając pierś do przodu. – Jak zobaczyłem, w którym hotelu robicie

tę waszą imprezkę, to było jak znak z nieba, c'nie. Jak handlowałem dla Ricardo Arroyo, to grubas zawsze chciał spotykać się tylko tam, więc całkiem nieźle ogarniam te ich, wiesz, lobby i tak dalej.

– A perfumy? Skąd wytrzasnąłeś tak żrący kwas?! – zapytałam, a przed oczami stanął mi obraz dziur wypalonych w naszym dywanie w salonie.

– Stary był chemikiem. Spierdolił, ale w piwnicy pozostawiał jakieś swoje eliksiry. Co, Leoś nie wspominał?

Chwila mojej konsternacji wystarczyła, bym sobie uświadomiła, że tak, wspominał. Przynajmniej o tym, że jego tato studiował chemię. Właśnie sobie przypominałam, jak o tym opowiadał.

– Tak to u mnie w chacie wygląda, schodzisz po wódę, a znajdujesz inne... substancje. – Ryder pociągnął nosem, zaśmiał się i mrugnął.

– Znalazłeś kwas i pomyślałeś sobie, że zamordowanie mnie za jego pomocą będzie świetnym pomysłem? I to tylko dlatego, że masz coś do moich braci? – wyszeptałam z niedowierzaniem.

– No, a przy okazji ocaliłbym młodszego brata, c'nie. Gdzie są Monetowie, tam są problemy. Mówię mu, a on nie słucha. I się wpierdziela bez sensu w relację z tobą, Monet, która źle się dla niego skończy.

– Nic nie wiesz o naszej relacji i nie twoja sprawa, jak się ona rozwinie – wytknęłam mu ze złością w głosie.

Leo nigdy nie podzielił się ze mną tym, że jego brat skończył bądź przerwał odwyk. W związku z tym nie informował mnie też o jego uwagach czy nawet zastrzeżeniach dotyczących naszej przyjaźni.

– Dobra, wiesz... – Ryder machnął lekceważąco ręką. – Teraz to już w sumie nieważne, c'nie. Jednak dobrze się stało, że się nie podziurawiłaś, bo mój aktualny pomysł jest lepszy. – Mrugnął, patrząc mi prosto w oczy. – Korzystniejszy.

– I co, myślisz, że moi bracia zapłacą ci okup i odpuszczą? – prychnęłam.

Błagam, przecież nie trzeba być ich siostrą i mieszkać z nimi pod jednym dachem, żeby wiedzieć, że bracia Monet są zawzięci jak mało kto.

– Myślę, że zapłacą, a potem będą sobie mogli mnie szukać. Jak igły w stogu siana. C'nie.

Zerknęłam na zegar na desce rozdzielczej. Egzamin musiał się już zacząć. Ciekawe, czy zauważono nieobecność jednej z uczennic. Jeśli tak, to szybko wytropią po kamerach auta, które niedawno opuszczały teren szkoły w tamtych godzinach. I nas znajdą.

Im dłużej staliśmy w miejscu, tym lepiej dla mnie.

– Ale żeby odebrać pieniądze, będziesz musiał zdradzić swoją lokalizację.

– Nie, Monet, zabieram cię daleko, kontaktuję się z Monetami, a potem oni wysyłają mi pieniądze na wskazane konto, c'nie. Ja podejmuję je z banku, oni wtedy

dowiadują się, gdzie przebywamy, ja spadam, c'nie, ciebie zostawiam i wszystko jest elegancko. Jeśli będą próbowali kręcić, to oberwie się tobie. Proste, c'nie.

Moim zdaniem to wciąż nie brzmiało jak plan doskonały, ale w ogóle nie czułam potrzeby wytykania tego Ryderowi. Cieszyłam się, że w pewnym momencie planował mnie puścić wolno. Oznacza to, że jeśli wszystko się uda, to istnieje spora szansa, że przeżyję to porwanie.

Oczywiście, tylko jeśli jego niezrównoważenie mi na to pozwoli. Bo Ryder, najwyraźniej wciąż wyjątkowo zadowolony z siebie i swoich misternych założeń, nie sprawiał wrażenia osoby przy zdrowych zmysłach. Potwierdził to po raz kolejny. Poruszył się i sięgnął znowu do schowka w drzwiach. Wyjął z niego mały i szczelnie scalony woreczek kokainy.

Jeszcze jeden.

Patrzyłam, jak chłopak ponownie opiera się wygodnie na swoim siedzeniu, odkrywa mankiet mundurkowej koszuli jeszcze bardziej i wystawia sobie dłoń, niczym talerz na przekąski.

– Dotknij mnie raz jeszcze, Monet, a odstrzelę ci łapę – zagroził mi, w ogóle na mnie nie patrząc, gdy poruszyłam się niespokojnie.

Ryder na chwilę odłożył woreczek na kolana, żeby zniecierpliwionymi, mało precyzyjnymi ruchami wyjąć pistolet. Zamachał nim, zanim wcisnął go sobie pod udo tak, abym dobrze widziała, że trzyma go w pełnej gotowości do użycia.

Muszę coś zrobić, nie mogę tu siedzieć jak idiotka i patrzeć, jak chłopak się odurza, a następnie wywozi nas ze stanu.

Myśl, Hailie, myśl.

Patrząc na białą, groźny proszek, który Ryder ponownie nasypał sobie na zewnętrzną stronę ręki, nabrałam determinacji. Wciąż siedziałam nieruchomo, obgryzałam wargę i tylko rozglądałam się w poszukiwaniu dobrych pomysłów. Moją szczególną uwagę przyciągnęło wysypisko gnieźdzące się na tyłach auta. A po chwili dostrzegłam tam coś, co mnie zainteresowało.

Nie no, to czyste szaleństwo.

Nie uda mi się.

To starał się przekazać mi rozum, ale usta żyły własnym życiem, bo za chwilę się otworzyły i padły z nich słowa.

– Hej, Ryder. Trochę tu chłodno. Mogę koc?

Ryder, zajęty formowaniem krechy, rzucił obojętne spojrzenie do tyłu i tylko kiwnął na odwal głową...

– Dzięki – mruknęłam cicho i powoli sięgnęłam po ten okropny, zawieszony koc, przy okazji dyskretnie przemycając w nim ostrą, złamaną pałeczkę chińską, którą wcześniej się zadrapałam. Sterczała wśród chmary śmieci i patrzyła na mnie jakby zachęcająco.

Bardzo uważałam, by Ryder jej nie dostrzegł, i od razu owinęłam się kocem, marszcząc nos, gdy ponownie poczułam zapach stęchlizny. Pod nim ścisnęłam w pięści swoją nową broń tak mocno, że jeszcze chwila i bym ją zmiażdżyła.

Czekałam na najlepszy moment, by rzucić się na chłopaka i drasnąć go. Może w brzuch albo w oko? Bezpiecznie byłoby celować w gardło, jednak nie chciałam go od razu mordować. To w końcu brat Leo.

Jeśli jednak tylko go uszkodzę, on w złości może skrzywdzić mnie. Powinnam działać pewnie i się nie wahać.

– Taa – odetchnął Ryder, gdy wciągnął pierwszą dawkę.

Długo pociągał nosem, a następnie uśmiechnął się, przymykając powieki. Obserwowałam go z uwagą, jakby miał zamienić się teraz w jakieś mistyczne monstrum. Nic się jednak z nim nie działo i po chwili z zadowoleniem przystąpił do wciągania pozostałości białej substancji, które zachował sobie, najwidoczniej, na drugą nóżkę.

Raz się żyje, czy tak to się mówi? Odrzuciłam koc i skoczyłam na niego, a pałeczką dźgnęłam go w szyję. Kiedy zamachnęłam się po raz drugi, przeciągnęłam ją po jego skórze w dół, co wywołało u Rydera głośny jęk bólu. Przy trzeciej próbie zostawiałam mu sporą szramę na policzku. Aż odchylił głowę i wtedy otworzył oczy, w których oznaki chwilowego rozkojarzenia szybko zostały zastąpione przez wściekłość.

Jego palce zacisnęły się na moim nadgarstku. Boleśnie wykręcił mi rękę. Poskutkowało, bo wypuściłam z niej pałeczkę. Gdzieś upadła i zniknęła wśród innych śmieci. Wtedy wydawało się jeszcze, że Ryderowi udało się odeprzeć mój jedynie chwilowo sukcesywny atak. Przecież ból w nadgarstku był tak mocny, że przez kilka sekund skupić się byłam w stanie jedynie na nim. Gdy jednak dostrzegłam, że on sięga po pistolet, spanikowałam i zmusiłam się do działania. Wiedziałam bowiem, że tym razem mi nie odpusci. Znowu zmarnowałam mu narkotyki i tym razem miałam za to oberwać.

A on zdążył już się trochę naćpać. Trudno więc było nawet przewidzieć, z jaką stroną Rydera miałam teraz do czynienia. Na dodatek go zraniłam, więc już w ogóle szanse na otrzymanie litości zdawały się nikłe.

Wisiałam nad nim, a kolano wbijałam w jego udo, pod którym chował broń. Przechylałam się w prawo, bo skręcało mnie z bólu w tym nadgarstku, który chłopak bezlitośnie uciskał. Kątem oka widziałam, jak na twarzy i szyi powoli pojawia mu się krew w zadanych przeze mnie zadrapaniach, jak jego źrenice zaczynają się rozszerzać, a z nosa otrzepują się resztki białego proszku. Aby powstrzymać go przed chwyceniem pistoletu, mimo trudności poruszyłam się tak, że moje kolano zsunęło się z jego nogi i mocno wbiło się w jego krocze.

Od razu odetchnęłam z ulgą, bo ból w nadgarstku zelżał, gdy tylko Ryder z rykiem zabrał ode mnie swoje łapska. Brutalnie odepchnął moją nogę i przytknął sobie palce do obolałego miejsca, sapiąc głośno.

Ja w rezultacie poleciałam na bok. Prawym pośladkiem dość mocno uderzyłam o skrzynię biegów, a górna część mojego ciała spotkała się z podłogą po stronie kierowcy. Brakowało tu miejsca, nawet by podeprzeć się na ręce i się podnieść. Ryder nie omieszkiał skorzystać z mojej obecnej pozycji, bo mimo iż skręcał się

z dyskomfortu, załzawionymi z wściekłości oczami wypatrzył mnie i z wielką radością odkrył, że moja twarz znajdowała się teraz praktycznie na jego bucie.

Już za chwilę wydarłam się głośno, gdy poczułam twardą podeszwę na swojej szczęce. Kopnął mnie i to tak mocno, że aż dziw, iż nie wypadły mi wszystkie zęby.

Całe szczęście, nie tylko ja potrzebowałam chwili, żeby dojść do siebie. Gdy już przestałam widzieć gwiazdki przed oczami, zawiesiłam rękę na nogawce mojego porywacza. Użyłam wszystkich swoich nieistniejących mięśni brzucha, by się unieść, starając się nie oberwać znowu. Gdy już znajdowałam się w pozycji pionowej, łatwiej też było mi splunąć krwią, która wypełniła mi usta po uderzeniu.

Zapagnęłam dorwać się do broni, którą brat Leo trzymał wciąż pod udem, ale jak tylko wyciągnęłam po nią ręce, on przejrzał moje zamiary i kopnął mnie w brzuch, krzywiąc się niemiłosiernie na twarzy z wysiłku.

Dzięki temu, że sam był osłabiony, kopniak ten obezwładnił mnie jedynie na chwilę. Tym razem poleciałam do tyłu, tak jakby z powrotem na swoje siedzenie, choć od razu się z niego ześlizgnęłam. Wylądowałam w śmietniku, który teraz przykrywał zrzucony przeze mnie wcześniej koc. Załagodził mój upadek.

Zrobiło mi się niedobrze, ale tylko na chwilę i szybko się pozbierałam, kierowana głównie strachem, że Ryder złapie wreszcie za broń, której tak uparcie pilnuje.

Zacisnęłam zacięcie zęby. Ignorując ból, podniosłam się. Wszelkie myśli w mojej głowie zniknęły. Tak jakby mój mózg się ich pozbył na potrzeby walki, by nie zawadzały. Stan, w jakim się znajdowałam, nie był niczym, czego doświadczyłam wcześniej.

Nigdy wcześniej nie byłam tak wściekła.

Przez tego kopniaka broń spod uda Rydera zleciała pomiędzy siedzenia, co mój przeciwnik skwitował siarczystym przekleństwem. Za bardzo go bolało, by mógł się teraz gimnastykować w jej poszukiwaniu, ale gdy ja gwałtownie się po nią rzuciłam, on wyciągnął rękę i szarpnął mną tak, że uderzyłam się o niego plecami.

To właśnie wady bycia drobną dziewczyną. Silniejsi ludzie mogli ze mną robić, co chcieli.

Głową zaryłam o jego brodę, ale nie miałam czasu, by zwrócić uwagę na ból, gdyż szarpiąca mną wcześniej dłoń teraz zacisnęła się na mojej szyi.

Dusił mnie.

Brat Leo mnie dusił i było to absolutnie fatalne uczucie. Najpierw, automatycznie, moje ręce powędrowały do źródła ucisku, by je zneutralizować. Próbowałam pozbyć się dłoni ze swojego gardła, szorując po cudzej skórze pazurami, ale Ryder zawziął się tak mocno, że przez chwilę myślałam, że to już koniec.

Machałam nogami, kopałam swoje siedzenie, deskę rozdzielczą, śmieci. Nabiłam sobie kilka nowych siniaków. Coraz większymi i bardziej panicznymi haustami łykałam powietrze, odczuwając strach i frustrację, że mimo wysiłków nie jestem w stanie dostarczyć płucom wystarczającej ilości tlenu.

Aż w momencie, gdy zaczęło mi ciemnieć przed oczami, doznałam ośnienia.

Podobnych ruchów uczyłam się z Dylanem na naszych treningach. Ostatnimi czasy trochę je zaniedbaliśmy, ale tłukliśmy tę jedną pozycję tak długo, że coś musiało zostać mi w głowie. Pamiętam, jak kładł mi rękę na szyi, a ja musiałam się obronić. Mniej więcej jak teraz, tylko że zamiast stać, to ja na moim napastniku praktycznie leżałam, przyciśnięta do niego plecami.

Uczepiłam się wspomnienia treningów i odpuściłam stawianie bezsensownego oporu. Ryder z pewnością pomyślał, że to dlatego, że odpływam i choć było mi do tego bardzo blisko, najpierw zgięłam rękę. A potem z całej pozostałej mi siły wbiłam mu swój łokieć pod żebra, trochę na oślep.

Wrzask Rydera był jeszcze głośniejszy niż wcześniej i dowiódł, że mój atak był celny. Natychmiast poczułam, jak ciężar przygniatający mi tchawicę zelżał, i wzięłam wdech tak ogromny, że aż rozkaszałam się za wszystkie czasy. Pochyliłam się do przodu i jedną ręką oparłam się o kierownicę, a drugą złapałam się za pierś, nie mogąc się uspokoić. Oczy zaszczyliły mi łzami.

Jak można odczuwać tak wielką ulgę i ból naraz?

Kilka sekund później odwróciłam się, żeby zobaczyć, w jakim stanie znajduje się mój przeciwnik. Łypnęłam na niego spode łba, oddychając wciąż ciężko i chrapliwie. Siedziałam na jego fotelu, a właściwie to na jego kolanach. Nie zrzucił mnie z nich jeszcze z prostej przyczyny: sam zwijał się z bólu.

Wykończona i zmordowana, uśmiechnęłam się leciutko, gdy to do mnie dotarło.

Nie tylko on tutaj zadawał ciosy.

Zanim jednak pękłam z dumy z powodu własnej zaradności, musiałam przypomnieć sobie, że jeszcze nic nie wygrałam i że zwycięstwo umożliwi mi przede wszystkim wejście w posiadanie broni palnej. Korzystając z chwilowej niedyspozycyjności Rydera, znowu zanurkowałam między fotele.

Natrafiłam na twardą, metalową lufę i zacisnęłam na niej mocno palce w tym samym czasie, gdy Ryder szarpnął za moje mocno skołtunione już włosy. Krzyknęłam i odrzuciłam od siebie pistolet. Upadł na koc pod przednim fotelem pasażera.

– Zjeżdżaj! – huknął Ryder, a gdyby był postacią z kreskówki, to z jego ust właśnie potoczyłaby się piana.

Próbował mnie odepchnąć i wychylić się za bronią, ale ja rzuciłam się po nią pierwsza.

To był moment, w którym moja drobna sylwetka i smukłość dla odmiany się na coś przydały.

Poczułam, jak Ryder ciągnie mnie do siebie za spódnicę mundurka, która zjechała mi w tym momencie bardzo nisko. Zignorowałam to, by skupić się na tym, co wreszcie miałam w rękach.

Marszczyłam chwilę brwi, próbując rozgryźć tę broń i chociaż ustalić jej typ, ale wreszcie po prostu na ślepo ją odbezpieczyłam. Udało mi się to bezbłędnie.

Niestety, Rydera nie spłoszył sam dźwięk, ale gdy wykręciłam tułów tak, by się odwrócić w jego stronę i wycelować, chłopak na chwilę zastygł.

A potem złośliwie się uśmiechnął.

– I tak nic nie zrobisz, Monet – przemówił zmęczonym głosem.

Ledwo skończył to zdanie, a ja strzeliłam w boczne okno, wcale nie tak daleko od jego głowy. Celowo nie przestrzeliłam mu jeszcze czaszki, a tylko narobiłam hałasu. W szybie powstała dziura, obok której splotły się liczne pęknięcia.

Moja groźba była jasna.

– Zabieraj ode mnie ręce – warknęłam słabo, ale też stanowczo.

Ryder, który wzdrygnął się na dźwięk wystrzału, widocznie zaskoczony, powiódł wzrokiem za kulą, którą z mojej perspektywy wystrzeliłam gdzieś w szare niebo. Spojrzał na mnie znowu, tym razem z nieco mniejszą pewnością. Gdy niecierpliwie się poruszyłam, on w końcu zabrał paluchy z mojej spódniczki.

Odchylił się w fotelu, a ręce unióśł niedbale, jakby oddawał mi kontrolę nad sytuacją. Bardzo ostrożnie zaczęłam gramolić się na swoje siedzenie, nie odwracając od niego wzroku, chociażby na ułamek sekundy. Darowałam sobie nawet poprawienie spódniczki, odgarnięcie włosów czy pomasowanie spuchniętej szczęki. Wiedziałam, że to nie koniec.

Usadowiłam się wygodniej i dałam sobie chwilę, by się zastanowić.

Ryder nie wyglądał na zadowolonego takim obrotem spraw, jednak wciąż posłusznie unosił dłonie na wysokości własnych ramion. Jego klatka piersiowa falowała szybko, a minę miał skwaśniałą. Zapewne wciąż odczuwał ból. Uda zaciskał w dziwny sposób, upewniający mnie, że nie bez powodu krocze uchodzi u mężczyzn za słaby punkt.

Prawie uśmiechnęłam się, gdy przypominałam sobie, że to Will poradził mi kiedyś na jednym z naszych treningów, by zawsze celować w to miejsce.

Mój przeciwnik miał też zaczerwienioną brodę, więc ucieszyłam się, że nie tylko ja ucierpiałam, gdy uderzyłam się o nią głową. Twarz i szyję zdobiły czerwone paski, które wyharatałam mu paluszką chińską, a na policzku rozmazała mu się nawet krew. Ubrudziła przy okazji jego białą koszulę, która też bardzo się pogniotła, a ze dwa guziki na wysokości brzucha rozpięły.

Przez chwilę mierzyliśmy się z Ryderem wzrokiem. Był podminowany, naćpany i nieprzewidywalny.

I co ja miałam z nim zrobić?

Pozbyć się, najlepiej.

– Wysiadaj – rozkazałam nagle, samą siebie zaskakując mocą swojego głosu.

Wycelowałam do niego o wiele odważniej niż jeszcze przed chwilą. Byłam w stanie strzelić i wiedziałam, że to zrobię, jeśli będę musiała. To nowy rodzaj zdecydowania, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

Co najlepsze, było to coś, co najwyraźniej wyczuł również Ryder, bo po raz chyba pierwszy w życiu odniosłam wrażenie, że ktoś traktuje moje groźby w stu procentach poważnie.

– Wy- sia-daj! Już. Już, już! – zawołałam jeszcze głośniejszym głosem, pilnując, by nie machać za bardzo pistoletem.

Bądź skupiona.

Nie odpływaj do krainy kucyków.

-Dobra, czekaj, Monet. Pogadajmy... – zaczął Ryder, a potem z jego ust wypłynęła wiązanka niezwykle barwnych, jak na jego ograniczone słownictwo, przekleństw.

Bo strzeliłam mu prosto w piersi. Po prostu opuściłam lufę, zmrużyłam oczy, jakby wizualizując sobie w głowie cel i strzeliłam. A co najlepsze, nie chybiłam nawet o milimetr. Wiedziałam, że kulka posłana w dolny odcinek jego nogi raczej go nie zabije ani nawet nie spowoduje trwałych szkód. Miała go jedynie osłabić.

– Wsiadaj albo strzelę w drugą nogę. Obiecuję, że to zrobię.

Tak śmiertelnie poważna nie byłam jeszcze nigdy.

Gdybym zerknęła teraz w lustro, nie poznałabym w nim siebie.

Rozległo się kliknięcie i skulony teraz już Ryder, nieumiejętnie tłumiąc swoje agoniczne wrzaski, właśnie odblokował swoje drzwi. Otwarcie ich kosztowało go kilka niedbałych, chaotycznych i gwałtownych ruchów, ale w końcu mu się udało i do środka pojazdu momentalnie wlało się mroźne powietrze.

– Wyłaż! – ponagliłam go niecierpliwie.

Świeże podmuchy smakowały jak nadzieja, byłam tak blisko wygranej...

Ryder wytoczył się z auta, prawie uwieszając się na drzwiach, a ja tylko modliłam się w duchu, by się nie urwały pod jego ciężarem.

– Odsuń się. Odsuń się od samochodu! – wykrzykiwałam kolejne żądania, a Ryder z wielkimi trudnościami starał się je wypełniać.

Na czworaka, ciągnąc za sobą ranną nogę, oddalał się od auta i gdyby jakiś rozpędzony pojazd jechał teraz z naprzeciwka, to całkiem możliwe, że chłopak by tego nie przeżył.

Gdy znalazł się wystarczająco daleko, wskoczyłam na miejsce kierowcy, które wcześniej zajmował, obrzuciłam spojrzeniem kierownicę, pedały oraz kluczyk, który – całe szczęście – wciąż sterczał w stacyjce, a potem z powrotem zerknęłam na swojego porywacza, który teraz kulił się kilka metrów dalej.

Najpierw spróbowałam odpalić auto. Raz, drugi, trzeci. Funkcjonalność tego złomu to był jakiś smutny żart, ale za czwartym razem silnik wreszcie zacharczał i nie zgąśł. Wtedy, nie mogąc się powstrzymać od złośliwości, popatrzyłam na Rydera raz jeszcze i zaryzykowałam chwilową nieuwagę po to, by z tyłów auta wygrzebać wcześniej wrzuconą tam przez niego kulę.

– Chyba jednak serio będziesz jej potrzebował – zawołałam do niego sucho i rzuciłam obok niego ów przedmiot.

A potem zatrzęsnęłam drzwiami, nacisnęłam pedał gazu i ruszyłam do przodu.

Staralam się nie jechać za szybko, aczkolwiek pragnęłam, by widok poszkodowanego Rydera, pojękującego w katorgach i obejmującego własną nogę, jak najprędzej zniknął z zasięgu mojego wzroku. Co rusz zerkalam na niego w lusterku, jakbym bała się, że nagle ot tak wstanie i popędzi za mną. Aż wreszcie prosta droga zaczęła łagodnie skręcać i niedługo potem brat Leo nie był już dla mnie widoczny.

Wtedy, wciąż roztrzęsiona, odetchnęłam i w stu procentach skupiłam się na jeździe. Dodałam nawet trochę gazu, ale bardzo, bardzo ostrożnie.

Powinnałam była zawrócić i kierować się w stronę, z której Ryder mnie przywiózł, ale kierowca był ze mnie fatalny, totalnie niedoświadczony i zwyczajnie nie potrafił tak manewrować samochodem, żeby zawrócić na prostej, niezbyt szerokiej i na dodatek śliskiej drodze. Poza tym bałam się wracać, bo wtedy musiałabym znowu mijać chłopaka. Zakładałam, że trochę mu to zajmie, zanim się pozbiera. Zaczynałam czuć wyrzuty sumienia, że zostawiłam go rannego i na mrozie. Może mogłam mu chociaż zostawić koc.

Oczywiście moje wyrzuty sumienia nie były tak wielkie, bym przedłożyła życie Rydera nad swoje własne, bo sama przecież też nie byłam w najlepszej sytuacji. Już za chwilę zaczęłam pluć sobie w brodę, że nie kazałam mu zostawić telefonu. Jak mogłam o tym nie pomyśleć! Na pewno musiał mieć ze sobą komórkę. Czułam się jak idiotka. Już teraz mogłabym dzwonić po pomoc, a tak to pozostało mi jechać przed siebie z nadzieją na to, że niedługo wyskoczy tu jakiś zajazd, stacja benzynowa albo, co byłoby absolutnie precudowną opcją, jakaś mieścina.

W takich momentach żałowałam, że nie mieszkam w ogromnej metropolii, skąd wyjazd poza jej granice zajęłby Ryderowi z dobre dwie godziny. Albo przynajmniej w mniejszym kraju, w którym bezludne drogi nie ciągną się w nieskończoność.

Toczyłam się już tak prawie ze dwadzieścia minut. Bardzo się niecierpliwiłam. Siedziałam na samym brzegu fotela, bo był dla mnie nieco za daleko odsunięty od pedałów, ale nawet nie próbowałam się z nim szarpać, by dostosować go do swojego wzrostu. Prawie wisiałam na kierownicy, czepiając się jej jak koła ratunkowego. Mrużyłam też oczy, a śnieg zaczynał sypać coraz bardziej, mocno ograniczając widoczność. Cóż, nie były to warunki idealne dla kogoś, kto siedział za kółkiem zaledwie kilkanaście razy w życiu. Poza tym auto Rydera prowadziło się bardzo opornie i jak nigdy doceniłam dziś swoje porsche.

Co jakiś czas zerkalam nerwowo w lusterko, niby żeby sprawdzić, czy szczęśliwie ktoś za mną nie jedzie, ktoś, kogo mogłabym poprosić o pomoc. W rzeczywistości przyłapywałam się na strachu przed ujrzeniem tam Rydera, jak kuśtyka za mną.

– To jakiś koszmar – mruczałam do siebie, rozdygotana z zimna i emocji.

Tak bardzo pragnęłam ujrzeć jakiś znak zapowiadający, że wkrótce zacznę mijać coś więcej niż same drzewa, że gdy takowy wyrósł wreszcie na drodze, ze szczęścia, podniecenia i głównie też desperacji, przyspieszyłam.

Waliło mi serce.

Miasteczko, zbliżałam się do jakiegoś miasteczka. Wjadę tam, zaparkuję byle gdzie i zaczepię pierwszą lepszą osobę na ulicy. Poproszę o telefon. Albo wejdę do sklepu czy do jakiejś kawiarni.

Las już zaraz miał zacząć się przerzedzać. Droga, po której jechałam, miała przyłączyć się do innej, częściej uczęszczanej. Zaciśkałam palce na kierownicy i jechałam coraz szybciej.

Zerknęłam ostatni raz w lusterko. Za mną było pusto i zaczynało się robić naprawdę białe.

– Spoko, Hailie, nikt cię nie goni, jedź do przodu, zaraz ktoś ci pomoże. Okej, czekaj, patrz, droga zakręca. Lepiej zwolnić. Wiem, wiem, że chcesz dojechać tam jak najszybciej, ale teraz lepiej zwolnić. Przed zakrętem. Oj, ślisko. O tym właśnie mówię, głupia, wolniej... – bredziłam do siebie, bo odkryłam, że dźwięk własnego głosu dodawał mi otuchy.

Droga faktycznie zakręcała. I nieważne, że łagodnie. Ważne było, że powierzchnia zaczynała zamieniać się w małe lodowisko, a Ryder zapewne nie zadbał o to, żeby auto miało odpowiednie na takie warunki pogodowe opony. Wystarczyło, że poruszyłam kierownicą o milimetr, a pojazd od razu wpadł w mały poślizg, z którego jeszcze wyszłabym cało, gdyby nie to, że dałam się ponieść emocjom i następny manewr, jaki wykonałam, był kolejnym skrzętem kierownicy, tym razem dużo bardziej panicznym.

I to był mój największy błąd.

Pamiętam tylko, że auto wypadło z drogi. Pamiętam, że ścisnęłam kierownicę, jakby od tego zależało moje życie (i możliwe, że tak właśnie było). Pamiętam ogromną siłę, jaka pchnęła mnie do przodu. I kolejną falę bólu. I tę okropną niemoc spowodowaną brakiem kontroli. Bo jak tylko straciłam ją na ułamek sekundy, więcej już jej nie odzyskałam.

Chyba krzyczałam, a serce podeszło mi do gardła. Czułam je wyraźnie, razem ze strachem i zgubą.

Ostatnia myśl, jaka pozostała mi w głowie, to czy moja mama, sekundy przed wypadkiem, który doprowadził do jej śmierci, też się tak bardzo bała.

52

ZIMNO

Cześć, myszko.

Zmarszczyłam brwi na dźwięk tego ciepłego głosu, który stanowił dla mnie oparcie przez zdecydowanie większą część mojego szesnastoletniego życia. W głębi ducha

wiedziała, że – choć natychmiast podział na mnie kojąco – nie powinnam była go słyszeć.

A to dlatego, że należał do mojej długo już nieżyjącej mamy. Gdy sobie to uświadomiłam, otworzyłam prędko oczy. Leżałam na plecach, przykryta pod samą brodę grubą kołdrą, która była jak osłona i więzienie jednocześnie, bo czułam, że z jakiegoś powodu nie jestem w stanie ruszyć nawet małym palcem. Zupełnie straciłam kontrolę nad ciałem. Potrafiłam tylko leżeć i się gapić niczym w stanie wegetacji.

Jedynym powodem, dla którego nie dostałam jeszcze porządnego ataku paniki, była obecność mojej utęsknionej mamy, która siedziała na brzegu łóżka i wpatrywała się we mnie z rozanieloną miną. Jedynie mała zmarszczka między jej brwiami zdradzała, że się martwi.

– Mama – westchnęłam cichutko, gorliwie chłonąc ten widok.

Burzę rudych loków spiętą miała z tyłu, zapewne klamrą, tak jak lubiła. Zaszklone oczy wpatrywały się we mnie z nieskażoną, matczyną miłością, a bladuróżowe usta rozciągały w delikatnym uśmiechu. Na uszach dyndały jej ukochane, szmaragdowe kolczyki. Ubrana była w obcisły, brązowy golf, który – jak również dobrze pamiętałam – był jej ulubieńcem w szafie. Kobieta nawet pachniała jak moja mama. Pomijając delikatny, kwiatowy zapach perfum, wkoło niej unosiła się też przyjemna woń herbatki owocowej, najpewniej malinowej.

– Zimno ci – powiedziała, a zmartwienie na jej twarzy zaczynało powoli przeważać nad czułością.

Pokręciłam głową. Po pierwsze, było mi wręcz za ciepło i trochę dusiłam się zawinięta w tę kołdrę niczym kokon, a po drugie, nie o tym chciałam rozmawiać z kimś mi bardzo bliskim, kogo straciłam i nagle odzyskałam.

– Tak, Hailie, musisz się rozgrzać – upierała się.

– No nie – odparłam ze zniecierpliwieniem. – Mamo, co się dzieje, co ty tutaj robisz?

Chciałam unieść rękę i dotknąć jej, żeby przekonać się, że obecna tu osoba to faktycznie moja mama z krwi i kości, ale moje kończyny okazały się bezużyteczne.

Za to ona podniosła swoją dłoń i pogłaskała mnie po policzku. Z jakiegoś powodu spodziewałam się, że dotyk ten będzie chłodny, ale wręcz przeciwnie – powiedziałabym, że prawie mnie oparzył.

– Moja Hailie – mruknęła pod nosem delikatnym, monotonnym tonem.

– Gdzie jesteśmy? – dopytywałam, ale w tym samym czasie sama się rozejrzałam i od razu poznałam odpowiedź.

Niewielki pokój, w którym dwudrzwiowa, dębowa szafa była niczym w porównaniu z moją obecną garderobą. Proste, uporządkowane biurko stało idealnie pod oknem, gdzie purpurowe rolety były teraz zaciągnięte. Stojąca w kącie lampa z kloszem z bibułki dawała delikatne, żółtawe światło. To ona sprawiała, że w pomieszczeniu panował półmrok. Tyle mi wystarczyło, bym z powrotem wbiła w mamę zdezorientowane spojrzenie.

– Moja sypialnia – szepnęłam do siebie i trochę też do niej.

Ona pokiwała głową.

– Jak?

Tym razem wzruszyła ramionami.

– Myślę, że to mechanizm obronny twojego mózgu – wyznała i teraz lekko pogłaskała moje włosy.

– Obronny przed czym?

Na jej czole pojawiło się więcej zmarszczek.

– Hailie, powinnaś się rozgrzać.

– Ciepło mi – zbyłam ją niecierpliwie i znowu spróbowałam się poruszyć. Chciałam jej dotknąć, przytulić. Westchnęłam z frustracją. – Powiedz mi, co się dzieje.

Kobieta uśmiechnęła się do mnie łagodnie.

– Dużo się dzieje, myszko, dlatego musisz działać. Dasz radę. Wiem, że dasz. Jesteś niesamowicie silna. I przy tym taka dobra. – Pokręciła głową z zachwytem, a jej spojrzenie mnie hipnotyzowało. – Niesamowicie. Nie mogłabym być z ciebie bardziej dumna.

– Nie jestem silna – zaprotestowałam automatycznie, a po chwili dodałam, jakby nieświadomie: – Przecież umieram.

Rude loki mamy rozburzyły się, gdy ona energicznie potrząsnęła głową.

– Nie. Dziś nieco bliżej ci do śmierci, ale nie ma mowy o umieraniu. Słyszysz mnie? Musisz się tylko rozgrzać. I obudzić.

– Wtedy znikniesz, prawda? – zapytałam, choć domyślałam się odpowiedzi. – Nie chcę. Mamo, nie chcę, żebyś zniknęła.

Ona westchnęła ciężko i przymknęła powieki. Na jej twarzy malowało się teraz nic, tylko cierpienie. Wpatrywałam się w nią wyczekująco, by pozwoliła mi wreszcie wypłatać się z tej kołdry i przytulić. Zrobiłybyśmy sobie może herbaty, pogadałybyśmy. Nadrobiły stracony czas. Wyjaśniły niektóre rzeczy.

Och, przecież miałyśmy tyle do wyjaśnienia!

– Innym razem, Hailie. Innym, nie teraz. Nie ma teraz czasu – zaczęła, a gdy to mówiła, wreszcie otworzyła na powrót oczy. Zmieniły się. Były bardziej zdecydowane, spojrzenie miała twardsze i mniej wyrozumiałe. Jej ton również nie był stały. Mówiła coraz głośniejszym i głośniejszym, aż prawie krzyczała. – Teraz otwórz oczy i się rozgrzej. Musisz walczyć, otwórz oczy. Hailie, no otwórz je, już! Otw-...

Otworzyłam.

Otworzyłam.

Wzięłam głęboki, gwałtowny wdech i od razu wypuściłam powietrze, a klatka piersiowa drgała mi jak poruszone struny harfy. Mrugałam. Mama zniknęła. Mój pokój też. Miałam ochotę się rozplakać, bo poczułam, że już jej tak szybko nie zobaczę. A tak bardzo chciałam ją przytulić.

Zanim jednak łzy zdążyły nagromadzić się w kąciach moich oczu w takiej ilości, by z żalnością spłynąć po policzkach, coś oderwało moją uwagę od chęci poddania się tej nieubłaganej nadchodzącej rozpacz. Zorientowałam się bowiem, w jak dziwnym położeniu właśnie się znajdowałam, i przez chwilę główkowałam, o co chodzi.

Tuż przed moją twarzą tworzyła się teraz biała mgiełka, która powoli bladła. Podczas każdego mojego wydechu odnawiała się i kilka długich sekund zajęło mi rozwiązanie zagadki jej istnienia. Moje usta znajdowały się centymetry od szyby, na której skraplała się ciepła para wodna za każdym razem, gdy wydychałam powietrze.

Cóż, to chyba dowód na to, że żyję.

Oddycham.

Ale skąd, u licha, ta szyba wzięła się tak blisko? Marszczyłam chwilę brwi, niezdolna jeszcze do poruszenia się. Oględziny wykonałam, jedynie poruszając gałkami, i naprawdę nie podobało mi się to, co zobaczyłam.

Po pierwsze, było ciemno. To, co udało mi się ustalić, to, że najwyraźniej leżałam na brzuchu na desce rozdzielczej. Moja głowa i tułów były wciśnięte pomiędzy nią a przednią szybę. Czoło chyba przyciskałam do szkła, a przede mną rozpościerał się widok mrocznego lasu. Niebo zdążyło przybrać atramentową barwę. Pokraczne figury drzew straszyły w ciemności. Byłam w stanie coś dostrzec jedynie dzięki białemu śniegowi, który obficie pokrywał ściółkę i nieco rozjaśniał panującą wokół czerń.

Mniej więcej wtedy taśma ze wspomnieniami przewinęła się w mojej głowie jak film. Ryder zabrał mnie ze szkoły, tuż przed moimi egzaminami. Uprowadził mnie w aucie. Był naćpany. Szarpaliśmy się. Strzeliłam do niego. Zostawiłam go na drodze. Odjechałam. Wpadłam w poślizg.

– O kurwa – szepnęłam cienkim głosem.

Moje gardło zdawało się spuchnięte, jakby pożądlili je osy. Spróbowałam odchrząknąć, czego skutkiem okazał się atak przyprawiającego mnie o mdłości kaszlu.

Oczy zwilgotniały mi jeszcze bardziej, a to wszystko przez wysiłek, jaki kosztowało mnie uspokojenie. Odsunęłam czoło od szyby, co spotkało się z nieprzyjemnym wrażeniem oderwania, jakby ktoś przykleił mi je tam klejem. Syknęłam cicho i automatycznie uniosłam dłoń, żeby przyłożyć ją do bolącego miejsca, ale tylko niechcący uderzyłam nią o przednią szybę. Cholerna klitka.

– Musisz się ruszyć, Hailie – wycharczałam do siebie. – No już.

Mój głos w dalszym ciągu dodawał mi otuchy, zwłaszcza teraz, gdy wokół było tak ciemno i głucho.

Przeżyłam minizawał, gdy przez dłuższą chwilę nie mogłam pobudzić nóg do pracy. Już myślałam, że straciłam w nich czucie, ale wtedy zaczęłam panicznie nimi kopać

i machać na wszystkie strony. Nabiłam sobie kilka nowych siniaków. Nie zrobiły mi różnicy. Narobiłam też sporo hałasu, ale przynajmniej udało mi się nimi wreszcie poruszyć, więc szybko mi ulżyło. Chyba będę chodzić.

W żółwym tempie i stękając, jakbym miała ze sto dwadzieścia lat, uniosłam się i delikatnie zsunęłam z deski. Gdzieś tam zjechała mi noga i o coś się uderzyłam w biodro, ale – jak mówiłam – byłam tak poobijana, że po prostu zacisnęłam mocniej szczękę i kontynuowałam zbieranie się do kupy.

Absolutnie każda jedna kosteczka w moim ciele była zeszywniała do tego stopnia, że nie zdziwiłabym się, gdyby nagle zaczęły one trzeszczeć i skrzypieć przy wszelkim poruszeniu. Mięśnie natomiast straciły swoją elastyczność i niechętnie słuchały poleceń wysyłanych z mózgu, również aktywnie protestując przy nawet najmniejszych moich wysiłkach.

Gdy wreszcie zajęłam z powrotem miejsce kierowcy i zyskałam więcej przestrzeni i lepsze warunki, by dokładniej się rozejrzeć, pierwsze, na co mój wzrok padł, to zegarek na desce rozdzielczej. Wskazywał późną, wieczorną godzinę. Ryder porwał mnie jeszcze przed południem, więc trochę tu poleżałam.

Z jakiegoś powodu nie świeciły światła (ani przednie, ani tylne), choć na pierwszy rzut oka masce za bardzo się nie oberwało. Podejrzewałam, że to może wina przestarzałego akumulatora, który nie wytrzymał tylu godzin na chodzie.

Tak więc przód prezentował się nie najgorzej i już pomyślałam, że wcale to nie było nic takiego, ten cały wypadek. Nawet spróbowałam przekręcić kluczyki, wciąż wytrwale sterczące w stacyjce. Oczywiście auto nawet nie prychnęło. Wtedy dopiero się odwróciłam i nabrałam aż powietrza. W miejsce, w którym znajdowały się tylne siedzenia, wbity był wielki konar drzewa. Tak jakby samochód nadział się na niego jak cholerne mięsko na szpilkę do szaszłyków.

Aż zatkałam sobie usta dłonią. Jezus Maria, gdyby ktoś zajmował tylne siedzenie, to byłoby już po nim.

Na dodatek uszkodzenie tamtej części auta było na tyle spore, że pojazd zdecydowanie tracił miano schronienia. Była tam dziura, przez którą z pewnością uciekło już wszelkie ciepło, jakie ten samochód był w stanie w sobie utrzymać. Nawet nasypało przez nią nieco śniegu. A ja wciąż się dziwiłam, że ze wszystkich niewygód i boleści, jakie mi dokuczały, uczucie zimna nie było jedną z nich.

Wtedy przypominałam sobie słowa mamy, że muszę się rozgrzać.

– Ale przecież mi ciepło – mruknęłam do siebie, chuchając przed nosem parą.

A potem spojrzałam na swoje okropnie poczerwieniałe dłonie. Uniosłam je. Palce mi drżały. Prawie ich nie czułam. Obejrzałam je dokładnie ze wszystkich stron. Niemal już siniąły. W porównaniu z nimi ręce babki Blanche były gładkie i jędrne jak u młódki. Wtedy uświadomiłam sobie, że mama miała rację.

Ja naprawdę muszę się rozgrzać.

Tymi samymi, zeszywniałymi palcami sięgnęłam do lusterka wstecznego. Ustawiłam je tak, by zobaczyć w nim swoją twarz, i natychmiast tego pożałowałam. Tak źle nie wyglądałam jeszcze chyba nigdy. Nawet w panującej ciemności nie mogłam na siebie patrzeć.

Pomijałam już czerwone jak czereśnie policzki i prawie posiniały nos, oba efekty powstałe w wyniku zimna. Zignorowałam też siniak na szczęcie, gdzie Ryder kopnął mnie swoim buciorem. Najbardziej zaniepokoiła mnie zakrwawiona rana na czole, z której dość długo musiała sączyć mi się krew, bo mimo iż już dawno skrzepla, to zalała mi ona cały lewy bok twarzy. Od skroni, aż po szyję i ramię, gdzie wsiąkła w materiał marynarki i kołnierz koszuli.

– Co jest? – wymamrotałam, obserwując moje poranione czoło w lusterku. Chciałam go dotknąć, ale jednak zrezygnowałam. Zamiast tego odwróciłam wzrok na przednią szybę, która była również zakrwawiona. Musiałam o nią rąbnąć własną czaszką. Dopiero to zauważyłam.

Och, nie, musiałam stąd spadać i to jak najszybciej. Nie wytrzymałabym w tym aucie ani minuty dłużej.

Przeczesałam włosy tak, by zakryć czoło grzywką i w ogóle jak najlepiej ukryć twarz. Jeśli ktoś by mnie teraz zobaczył, to uciekłby przede mną z krzykiem. Rozejrzałam się też za ewentualnymi przedmiotami, które należałoby zabrać ze sobą i z których mogłabym zrobić jakiś użytek.

Niczym zawodowa zabójczyni najpierw pomyślałam o pistolecie. Po chwili konsternacji znalazłam go gdzieś pod pedałami. Natychmiast go stamtąd wygrzebałam, ostrożnie zabezpieczyłam i schowałam go do wewnętrznej części marynarki. Myk, który podpatrzyłam u Rydera. Muszę przyznać, że naprawdę pasował tam jak ulał. Jakby dzieciakom celowo wszyto te kieszenie do mundurka, by w razie czego miały gdzie przechowywać broń.

A właśnie, o wilku mowa. Kątem oka dostrzegłam marynarkę, którą chłopak wrzucił na tylne siedzenie, jak tylko wyjechaliśmy poza teren szkoły. Cóż, puchowa kurtka to nie jest, ale nie było czasu na wybrzydzenie, więc po nią sięgnęłam. Szarpnęłam za rąbek materiału, ale zaczepił się o coś i nie dawał za wygraną. Jako że w tył auta wbity był masywny korzeń drzewa i to najwyraźniej on blokował mnie przed dostaniem w ręce tak cennego w tej chwili okrycia, wreszcie dałam sobie spokój.

Zamiast tego przypomniało mi się, że pod fotelem pasażera wciąż powinien znajdować się zapchlony koc. Miałam rację, bo leżał tam grzecznie, i ja, z braku lepszych opcji, sięgnęłam po niego, z automatu marszcząc nos, mimo iż przecież żaden smród nie powinien być dla mnie w tym momencie realną niedogodnością.

Zwijając koc w skostniałych rękach, rozejrzałam się jeszcze kontrolnie po aucie. Tak naprawdę tliła się we mnie cicha nadzieja na dostrzeżenie telefonu komórkowego, a może nawet laptopa z, nie wiem, przenośnym internetem wsuniętym w gniazdo USB. Ileż ja bym wtedy miała możliwości, by skontaktować się z braćmi!

– Weź ty się ogarnij – zgaśniłam się na głos z naprawdę szczerą niechęcią do własnego mózgu, który akurat teraz podszywał mi tak mało prawdopodobne wizje. – Lepiej się skup.

Chciałam już stąd wysiąść, a jednocześnie bałam się czekającej na mnie samotnej wyprawy, dlatego przed otwarciem drzwi siedziałam jeszcze chwilę i ponuro wpatrywałam się w przednią szybę. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie wpatrywałam wilków.

A niedźwiedzie? Przecież w tych pensylwańskich lasach wręcz się od nich roiło.

Zadrżałam, gdyby moje ciało wciąż nie było tak drętwe.

– Spokój – upomniałam się – jesteś porąbaną idiotką!

Jeszcze większą się okazałam, gdy poczułam wyrzuty sumienia, że tak brzydko się do siebie odzywam.

– No dobra, przepraszam – wymamrotałam po chwili. – Nie jesteś porąbaną idiotką. Tylko spróbuj wziąć się w garść, co? Tak chociaż troszeczkę. I nie martw się o niedźwiedzie. Przecież wiesz, że o tej porze roku śpią.

Wreszcie zdobyłam się na odwagę i wcześniej opatulwszy się szczelnie swoją marynarką, wyszłam na zewnątrz. Spodziewałam się, że będę musiała walczyć z otwarciem drzwi, ale puściły bez problemu. To auto z całą pewnością nadawało się już co najwyżej na złom.

Śnieg zachrupał, gdy postawiłam na nim pierwsze niepewne kroki. Nogi mi drżały i najwyraźniej totalnie nie spodziewały się, że będę im kazała iść, bo prawie natychmiast się pod mną ugięły, tak że musiałam oprzeć się o samochód, by nie upaść.

Westchnęłam. Posiadanie tak nieporadnego ciała było niezmiernie irytujące.

Moim kolejnym ruchem było podciągnięcie spódniczki, która jeszcze trochę i zjechałaby mi do samych kostek. Następnie zarzuciłam na siebie koc, który ścisnęłam pod pachą. Rozłożyłam go i ślamazarnie okryłam sobie plecy. Nie sądziłam, by rozgrzał mnie choć trochę, ale zawsze to jakaś dodatkowa osłona, która mogła wydłużyć mi życie o kilka minut.

Zatelepałam się. Z grozy, nie chłodu.

Koc trzymałam dłońmi scalony od wewnątrz i podciągnęłam go aż na nos, żeby chronić też większą część twarzy. Tak zakamuflowana zaczęłam wreszcie rozglądać się za kierunkiem, w którym powinnam iść. Planowałam wrócić do drogi i kierować się do miasteczka, licząc, że wcześniej minęłoby mnie auto. Może z jakąś miłą rodziną? Najlepiej taką z małymi dziećmi. Tacy to na pewno by mi pomogli.

Potrzebowałam, niestety, długiej chwili, by ocenić położenie. Wszelkie ślady wypadku zostały zasypane przez śnieg, jakby ten chciał zrobić mi na złość, i dlatego moje zadanie było utrudnione, ale w końcu rozgryzłam, gdzie iść.

Poruszałam się wolno, krzywiąc się, gdy szybko zaczęły moknąć mi skarpetki. Jeszcze mi tego brakowało. Było mi tak źle, tak niedobrze. Co ja bym dała, by znaleźć się teraz w rezydencji Monetów! Usiadłabym na kanapie, podkuliła nogi, oparła się o miękką poduchę, włączyła serial, a Eugenie przyniosłaby mi ciepłe kakao.

Usta same wygięły mi się w podkówkę, gdy myślałam o tych błahostkach, które nie do końca zwykłam doceniać, a za które teraz dałabym się poćwiartować.

W pewnym momencie potknęłam się o jakiś korzeń i się wywróciłam. Jęknęłam głośno i żałośnie, gdy obitałam sobie kolana. Położyłam dłonie na pokrytej śniegiem ziemi, żeby się podeprzeć, i wszystkie moje mizerne próby ogrzania ich pod kocem poszły na marne.

– Czemu nikt mnie nie ratuje?! – zawylałam do siebie głodna, zmęczona, a na dodatek zziębnięta.

Miałam gdzieś, jak melodramatycznie i żenująco brzmiałam. Ja po prostu już nie mogłam. Nie miałam siły. Żadna ze mnie wojowniczką, więc jeśli ktoś oczekiwałby ode mnie teraz, że rozpalę ognisko, upoluję jelenia i będę skakać po drzewach, to zaśmiałabym się tej osobie prosto w twarz. A potem szarpnęłabym ją za kudły, żeby, proszę bardzo, stanęła w moich butach i pokazała, na co ją stać. Tak bym zrobiła, a wtedy...

Coś zaszeleściło.

Prędko przystopowałam absurdalne myśli, by skupić się na tym niepożądanym odgłosie. Natychmiast się rozejrzałam, ale nie ujrzałam niczego podejrzanego. Ot drzewa, ciemnica i jedna wielka dupa.

– Wyrażaj się – syknęłam do siebie, niczym Vincent.

Chyba traciłam rozum. Musiałam się ratować, zanim kompletnie mi odbije.

Podniosłam się na równe nogi, pobieżnie otrzepałam ze śniegu, ponownie opatuliłam kocem i ruszyłam przed siebie, tym razem nieco szybciej. Strach dodał energii moim skostniałym kończynom.

Wreszcie doczłapałam się do drogi. Wcale nie była tak daleko, ale przez te śniegi, a także moją niezdarność i osłabienie chwilę zajęło mi pokonanie nawet tak niewielkiego odcinka.

Niestety jezdnia cały czas świeciła pustkami. Nawet nie było na niej zbyt wielu widocznych śladów opon, co oznaczało, że miałam marne szanse na napotkanie tu żywej duszy. Powolutku poruszałam się wzdłuż drogi w stronę miasta. Brodziłam po kostki w śniegu i co chwila odwracałam się w nadziei, że dostrzegę jakieś nadjeżdżające auto.

Nadzieja matką głupich.

Nie wiem, ile tak szłam. Bardzo ucieszyłam się, gdy droga połączyła się z inną, która z zasady powinna być częściej uczęszczana, ale w praktyce okazała się równie rozczarowująco pusta. Tylko jedno auto mnie na niej wyminęło i zanim zdążyłam się podniecić, zamachać i coś krzyknąć, ono w bezbłędnym stylu mnie zignorowało.

Wpatrywałam się w oddalające się światła, zawiedziona taką znieczulicą. Ja, na miejscu kierowcy, na pewno bym się zatrzymała...

Może mnie nie zauważył...

W końcu jednak ujrzałam pierwsze budynki. Nie wyglądały one niestety na domki zamieszkałe przez serdeczne i pomocne rodziny. To musiała być bardziej przemysłowa część miasteczka. Pocieszałam się jednak, że kogoś na pewno zaraz tu spotkam.

I tak się stało.

DZIKUSKA

Pierwszy budynek, jaki minęłam to sklep, Dollar Tree bodajże, którego zielony szyld jako pierwszy zwiastował oznaki cywilizacji. O tej porze oczywiście już był zamknięty, a niewielki parking pod nim pusty, ale nie załamywałam się. Zwłaszcza gdy zobaczyłam, że gdzieś w oddali śmignęło jakieś auto. Czekalam, aż dotrę do mniejszych uliczek, bo na razie kroczyłam tylko tą główną, wokół której to całe senne miasteczko zostało zbudowane.

Za sklepem wylaniała się jakaś spora hala, tak duża, że zmieściłyby się w niej ze dwa samoloty Monetów. Za nią natomiast ciągnęły się ponure garaże.

Nie zamierzałam zbaczać jeszcze z głównej drogi, a już zwłaszcza nie w płataninę garaży, które kojarzyły mi się z tymi wszystkimi filmami, w których mordercy lubili ukrywać ciała swoich ofiar w takich właśnie magazynach.

Poza tym w końcu pojawił się chodnik. Ucieszyłam się z niego jak małe dziecko, bo – mimo iż ruch na jezdni był zerowy – to poczułam się odrobinę bezpieczniej.

Ciaśniej naciągnęłam na siebie koc i rozglądałam się uważnie. Po lewej stronie znajdował się jakiś warsztat samochodowy, a potem znowu wyrastały drzewa. Zapatrzyłam się na nie, a w tym momencie po drugiej stronie ktoś zapatrzył się na mnie.

– Ktoś tam lezie – burknął mężczyzna, który stał przy jednym z blaszaków, bardzo blisko drogi, którą szłam.

Jak tylko jego zachrypnięty głos przeciął ciszę, odwróciłam głowę. Nie od razu go dostrzegłam, bo był schowany i ubrany na czarno, ale teraz się wychylił, patrzył na mnie, a w ręce trzymał żarzącego się papierosa.

– Kto? – zapytał drugi.

Świetnie, tego mi brakuje. Chwilowa euforia wywołana obecnością żywych istot wyparowała jak woda, gdy tylko dostrzegłam, że są nimi rośli faceci, niewzbudzający krzty zaufania.

Przyspieszyłam kroku. Tuż obok zaczynały się poszarzałe budynki, które – ku mojemu zawodowi – również zostawiały wiele do życzenia.

– Ej, kto ty? – warknął ten pierwszy facet nieprzyjaźnie, co sprowokowało mnie, by iść jeszcze szybciej. Tylko go to rozdrażniło. – Ej, mówi się do ciebie!

– Zostaw, to jakiś kloszard.

– Sam, kurwa, jesteś kloszard, to jakaś baba.

– No baba- kurwa-kloszard, zostaw ją.

– E! – zawołał kolejny, trzeci już głos, nieco donioślejszy. – Co z wami? Co wy sobie tam ćwierkacie, panienki? Robota czeka.

– Joey jest niewyżyty i ogląda się za bezdomnymi.

– Co za bezdomni? – warknął tamten i też się wychylił, żeby na mnie spojrzeć.

Boże, Hailie, idź szybciej.

– Ej, podejdź no tu.

Nie reagowałam.

– Głucha jesteś?

Tak, jestem głucha, odwalcie się.

Żeby mnie zostawili, proszę, żeby mnie zostawili.

Następnie do naszych uszu dobiegła długa i bogata w soczyste bluzgi wiązanka. Coraz głośniejszą ją słyszałam, co oznaczało, że jej autor stracił cierpliwość i ruszył w moją stronę. Obróciłam delikatnie głowę, żeby się upewnić, a gdy zobaczyłam, że wielki osiłkowaty bysior kroczy zamaszyście, w końcu zaczęłam panikować i po prostu już jawnie rzuciłam się do ucieczki.

Koc opadł na chodnik, ale nic mnie to nie obchodziło. Pobudziłam nieposłuszne ciało do biegu, a ono, ku zaskoczeniu, wreszcie zaczęło brać moje komendy na poważnie. Serce zabiło mi mocniej. Narodziła się w nim nadzieja, że gdzieś w czeluściach zmrożonego organizmu zachowała się jeszcze moja dawna zwinność. Nie zdążyłam się jednak nią nacieszyć, bo poczułam, jak obce palce zaciskają się na tyle mojego mundurka.

Nastąpiło szarpnięcie i grawitacja pociągnęła mnie do tyłu. Wokół mnie owinęły się czyjeś ręce, niczym paskudne żmije.

– Zostaw! – pisnęłam i szamotałam się chwilę, aż w końcu odkryłam, że nie ma to żadnego sensu.

– To nastolatka – prychnął lekceważąco jeden z mężczyzn.

Pokręciłam głową, by zakryć twarz włosami

– Nastolatka?

– Małolata jakaś.

– Przestań się szarpać – warknął mi do ucha ten, który mnie trzymał.

Szarpnęłam się jeszcze mocniej.

– Serio, i to nie byle jaka. Patrz, w co jest ubrana. Chodzi do Akademii Northeast. – Facet stojący naprzeciwko obejrzał mnie od stóp do głów. – To jakiś bogaty dzieciak.

– No i po kiego się tu szwendasz sama? – zapytał trzymający mnie osiłek, jak gdyby był moim rodzicem i chciał mnie zganić, a potem jeszcze dać szlaban na wyjścia.

– Puszczaj mnie – syknęłam tylko i nienawidziłam swojego głosu za tak słabe i zachrypnięte brzmienie. Mówiłam dokładnie tak, jak wyglądałam, czyli fatalnie.

– Ty, ona ma krew na twarzy.

Jeden z nich zbliżył się, żeby się przyjrzeć.

– Co?

– Cała w ogóle jest jakaś potłuczona. – Mężczyzna kontynuował swoje oględziny, a ja spoglądałam w bok, żeby unikać jego spojrzenia.

– Chryste, co ci się stało, dziewczyno?

Milczałam. Nie takiego ratunku oczekiwałam, ale rozważałam właśnie, czy poprosić tych gości o telefon. Nie wzbudzali mojego zaufania, ale też nie mogłam powiedzieć na sto procent, że to złe oprychy. To znaczy oprychy może i tak, ale...

Spróbowałam raz jeszcze tego dnia użyć moich umiejętności samoobrony, ale byłam zbyt osłabiona, by zaskoczyć krępującego mnie przeciwnika. On szybko przytrzymał mój łokieć, którym zamierałam go wałnąć, i cmoknął z irytacją.

– Przestań się wyrywać, dzikusko. Dajże sobie pomóc.

Tak bardzo pragnęłam ratunku, że na jego słowa rzeczywiście się uspokoiłam.

Odetchnęłam ciężko, ale już się nie szamotałam, a facet, widząc to, rozluźnił najpierw nieco uścisk, by potem w ogóle zabrać ode mnie rękę, tak że jedyne, co powstrzymywało mnie przed ucieczką, to jego druga dłoń, która wciąż zaciskała się na moim łokciu.

– Co ci się stało? – zapytał mnie, zadowolony, że przestałam się rzucać.

Nie odpowiedziałam mu, a tylko łypałam na niego podejrzliwie. Nie chciałam się odzywać, bo brzmiałam zbyt żałośnie, a poza tym przecież nie opowiem obcemu facetowi o swoich porąbanych przeżyciach.

– Pewnie uciekła z domu – zasugerował ten drugi.

– Uciekłaś z domu?

Pokręciłam głową.

– Jak nic uciekła z domu. Te dziane rodzinki to często patologia jakich mało.

– Nie uciekłam! – syknęłam wściekle.

– To kto cię tak załatwił?

Naćpany brat mojego kolegi ze szkoły.

Milczałam.

Facet, który mnie trzymał teraz już tylko za łokieć, westchnął i przejechał sobie wolną dłonią po twarzy.

– Dobra, nie mamy na to czasu.

– Puść ją, niech sobie idzie.

– Co, sama, po ciemku? – Osilek spojrzał na mnie. – Może chcesz, żeby cię gdzieś podrzucić?

Czy chciałam wsiadać z tym nieznajomym mężczyzną do samochodu?

– Chyba żartujesz. Robota czeka, a ty będziesz sobie teraz przejażdżki urządzał?

– A co mam zrobić? Masz lepszy pomysł?

– Nie, sorry, ale nie wiem, co się robi ze zbłąkanymi nastolatkami.

– Ja ci powiem, co się robi. Dzwoni się na psiarnię, czyli coś, co odpada. Ostatnie, czego nam tu brakuje, to wężący gliniarze.

– Mogę zadzwonić – odezwałam się w końcu, ściągając na siebie uwagę towarzyszy. Odchrząknęłam cicho i powtórzyłam te same słowa, żeby nadać swojej wypowiedzi formę pytania: – Mogę zadzwonić?

Bysior spojrzał na mnie, jakby zaskoczony, po czym zwrócił się do swojego kolegi.

– A widzisz? Nie ma ze sobą nawet telefonu. Żadna nastolatka nie zwałaby z domu bez telefonu.

– Okej, dobra. – Młody mężczyzna machnął ręką. – Niech dzwoni i spada.

Oczy aż mi się zaświeciły, gdy osilek wyjął z kieszeni spodni swoją komórkę. Zanim zrobił ruch, by mi go podać, pogroził mi palcem.

– Dzwonisz do rodziców, tak?

Spojrzałam w jego oczy i dopiero zobaczyłam, że były całkiem normalne, nie takie jak sobie w pierwszej chwili wyobrażałam, czyli przeżarte złem, zawiścią czy zepsuciem.

– Do brata – odpowiedziałam cicho.

Facet pokiwał głową, ale jeszcze na chwilę zmarszczył brwi.

– Nie jest z policji, nie?

Ależ w żadnym razie.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć na głos, podeszła do nas kolejna osoba, ściągając na siebie naszą uwagę. Oczywiście, bo jakżeby inaczej, był to kolejny mężczyzna. Najpierw coś zawołał, a potem się zbliżył.

– Co wy, jesteście na wakacjach? – zapytał. Jego głos był głębszy i spokojniejszy od pozostałych. A co najgorsze, był dla mnie dziwnie znajomy, dlatego napięłam się nieco, próbując go na szybko zidentyfikować.

– Nie no, napatoczył się tu jakiś dzieciak, więc...

Nowo przybyły łysy mężczyzna od razu przeniósł na mnie wzrok, no i wtedy mnie rozpoznał, bo otworzył oczy szerzej.

– Hailie Monet.

Starłam się zachować neutralny wyraz twarzy, gdy uświadamiałam sobie, że stał teraz obok nas mój były ochroniarz. Dokładnie ten, którego zwolniono, bo nie upilnował mnie, gdy wymknęłam się z Moną z jej mieszkania do cukierni pani Hardy, żeby pomóc Leo.

– Co?

– Napatoczył się wam nie jakiś tam dzieciak, tylko siostra Monetów.

Wszyscy gapili się teraz na mnie z nowym wyrazem zaskoczenia na twarzach.

– Jesteś Hailie Monet? – powtórzył z niedowierzaniem mężczyzna, który mnie złapał, i patrzyłam z zawodem, jak dyskretnie z powrotem wsuwa komórkę do kieszeni. Nie odpowiadałam, więc zwrócił się do nowego: – Jesteś pewien, że to ona?

Ten rzucił mu poirytowane spojrzenie.

– Chyba jestem w stanie rozpoznać kogoś, wokół kogo non stop skupiała się moja praca, nie? – Mój były ochroniarz zmrużył oczy i skinął na mnie głową. – Co ci się stało?

– Nic – burknęłam przez zęby, zdenerwowana jego obecnością.

Łysy pokręcił do siebie głową, jakby nie miał ochoty ciągnąć mnie za język.

– Dobra, weźcie ją do środka. I dajcie cynę szefowi.

– Chodź, dziewczyno – rzucił do mnie osilek i pociągnął mnie.

Spróbowałam się zaprzeć i zawołałam rozpaczliwie:

– Nie! Miałeś mi dać zadzwonić!

Bysior cofnął się i pochylił tak, żeby patrzeć mi prosto w oczy. Raczej dobrotliwy wyraz jego twarzy przykryła determinacja.

– Słuchaj, przykro mi, naprawdę, ale sprawa się skomplikowała. Musisz pójść z nami.
– Z tymi słowami odwrócił się i już nie zważał więcej na moje protesty, tylko bezlitośnie ciągnął mnie za sobą. Jak można się domyślić, moje próby oswobodzenia się nie przynosiły skutków.

– Puszczaj! Puszczaj! – zawołałam, a potem wpatrzyłam się w tył łysej głowy byłego ochroniarza i dość jadowicie zwróciłam się do niego: – Ty! Pracowałeś dla moich braci, nie wolno ci...

– Pracowałem i już nie pracuję – odkrzyknął, unosząc tylko rękę, bym zamilkła, choć za chwilę się odwrócił, rzucając mi rozbawione spojrzenie: – Coś nie masz szczęścia do ochroniarzy, hę?

I odwrócił się z powrotem przed siebie.

Wtedy nie pozostało mi nic innego jak ostatnia deska ratunku.

– Na POMOC! – wydarłam się najgłośniej i piskliwiej, jak potrafiłam, i wydawało mi się, że wszyscy trzej mężczyźni cmoknęli z irytacją. Na pewno każdy z nich rzucił mi wkurzone spojrzenie, a ten, który mnie ciągnął, złapał mnie teraz tak, żeby zatkać mi usta.

Stanęliśmy pomiędzy rzędem garaży, z których jeden z nich, ten najbliżej drogi, był otwarty. W środku kręciło się kilka osób i kątem oka dostrzegłam, że niektóre rzuciły nam zainteresowane spojrzenia. Tuż obok stał budynek, bardzo obskurny, z równie obskurnymi, otwartymi drzwiami, które wyglądały na boczne wejście do meliny. Osilek, po krótkiej wymianie zdań z moim byłym ochroniarzem, próbował mnie tam zaciągnąć.

Byłam tak zmęczona, że mogłabym nawet zasnąć na stojąco. Wszystko mnie bolało, a na dodatek brakowało mi refleksu, dlatego podejrzewam, że w takim stanie nie potrafiłabym się uwolnić nawet z przyjacielskiego uścisku Mony, a co dopiero z łap szerszych niż moja talia.

To dlatego z taką łatwością zostałam wprowadzona do baru. Trzeba było pokonać kilka schodków w dół, by znaleźć się w jakiejś piwnicy bez okien. Nie była to duża sala, panował w niej ponury nastrój i z pewnością nie bywali tu normalni ludzie. Przez obdrapane, ciemnozielone ściany w wielu miejscach przebijał się szary tynk, sufit pękał, a pod nim płątały się gołe rury. Znajdowało się tu kilka stolików na krzyż, a zajęty był tylko jeden z nich przez jakiegoś mężczyznę, który popijał piwo, palił papierosa i czytał gazetę. Rzucił mi krótkie spojrzenie, po czym powrócił do lektury, jakby wychodził z założenia, że lepiej się nie mieszać.

Oczywiście jak w każdej knajpie, nawet tej najbardziej zapuszczonej, nie mogło zabraknąć baru. Przy nim siedział jeszcze jeden facet, który pił jakiegoś drinka. On zainteresował się mną bardziej. Był bardzo stary, z niemodnym beretem przykrywającym siwe włosy, i wpatrywał się we mnie w maksymalnie bezwstydnym sposób, w taki, w jaki tylko wiekowi, doświadczeni przez życie ludzie potrafią. Za drewnianą, obskubaną ladą kręcił się sporych rozmiarów barman. Miał sięgające ramion tłustawe włosy i pucołowatą twarz bez śladu zarostu. Wyglądał trochę jak duże dziecko i nie pasował do tego podejrzanego otoczenia.

– Idź prosto – polecił mi osilek, który wreszcie zabrał dłoń z moich ust. Teraz już nie opłacało mi się krzyczeć. Ci ludzie tutaj nie wyglądali, jakby mieli rzucić mi się na ratunek. – Słyszysz? Do tych drzwi. To łazienka. Uważaj, jest z deka zasyfiąta. Umyj se tam twarz i tak dalej. No co się tak patrzysz, zmyj chociaż tę krew, nie? – Otworzył dla mnie zamalowane popękana, miętową farbą drzwi, a ja niepewnie weszłam do środka, od razu rozglądając się za ewentualnymi opcjami do ucieczki, co osilek w mig pojął, bo rzucił za mną: – Zapomnij, tam nie ma nawet okien.

Rzeczywiście ich tam nie było, nawet takich małych, tuż przy suficie. Jedynie jakaś brudna kratka, ale nawet gdybym była świetnie wyszkoloną, tajną agentką, dla której

tarzanie się po systemie wentylacji to coś normalnego, to i tak bym się tam nie zmieściła.

Pomieszczenie składało się z maleńkiej umywalki, wiekowej suszarki do rąk, która wisiała na ścianie pokrytej starymi, szarymi kaflami, potłuczonymi i pomazanymi w każdym chyba możliwym miejscu, oraz niewielkiego, pękniętego lustra. Obok znajdowała się równie ciasna, jak się zaraz miałam przekonać, kabina.

Ledwo udało mi się usiąść na sedesie. Byłam tak obolała. Efekty mojej szarpaniny z Ryderem oraz samego wypadku coraz bardziej dawały mi się we znaki. Co więcej, w pomieszczeniu, nawet tak nieprzyjemnym jak to tutaj, zaczynałam się nieco rozgrzewać. Powoli czułam, jak palce u rąk i stóp, a także policzki z nosem zaczynają mi drętwieć. Nie byłam do końca pewna, czy to dobry znak.

Nie mogłam uwierzyć, że już prawie miałam telefon w ręce. Jeszcze chwilka i mogłam zadzwonić do Vincenta. Wtedy już byłoby z górki. Jakiegoż ja pecha miałam, że napatoczył się ten mój były ochroniarz. Okropnego pecha.

Spuściłam po sobie wodę i wyszłam, by umyć ręce. Wtedy wreszcie odważyłam się spojrzeć w lustro. Włosy miałam skołtunione, twarz wciąż nabierała coraz to nowszych i dziwniejszych barw – od fioletów i purpury aż po róże i mocną czerwień. Oczy miałam przygaszone i bardzo zmęczone. Puściłam strumień wody z kranu, która była zasmucająco lodowata i zaciskając mocno zęby, zaczęłam przemywać nią twarz, by zmyć chociaż ślady krwi.

Trochę się namęczyłam, bo skórę na buzi miałam dziś wrażliwą jak nigdy. Najmniejszy dotyk sprawiał, że z ust wydostawały mi się ciche pojękiwania. Wreszcie jednak udało mi się doprowadzić do stanu, w którym wyglądałam po prostu na nieatrakcyjną nastolatkę, która zarwała kilka nocy i zapomniała o istnieniu prysznicu, ale za to przestała straszyć wymazanym krwią czołem.

Zanim jeszcze wyszłam do osiłka, poklepałam się tylko po lewej stronie mundurka, a gdy wyczułam schowaną tam broń, poczułam się pewniej.

– Poczekał tam – poinstruował mnie mężczyzna, wskazując na narożną kanapę, taką, na której spokojnie mogłaby rozsiąść się spora grupka znajomych. Nie uszło też mojej uwadze, że był to stolik najbardziej oddalony od wejścia. – Usiądź i siedź, dobra?

Zanim wykonałam jego polecenie, rozejrzałam się jeszcze tęskno za opcjami do ucieczki, co on od razu dostrzegł.

– Nie kombinuj – upomniął mnie z powagą na twarzy, po czym poczekał, aż zajmę posłusznie wskazane mi miejsce, i odszedł.

Siedziałam za drewnianym stolikiem z klejącym się blatem na drewnianej kanapie z imitującymi skórę czarnymi obiciami, w których gdzieś porobiły się dziury. Miałam na sobie mundur, w którym musiałam wyglądać w takim miejscu wręcz komicznie. Nic dziwnego, że zarówno ten dziwny barman, jak i dziad siedzący przy barze, co rusz zerkali na mnie i czasem nawet coś do siebie szeptali. Gdyby nie to, że przy wejściu stali mężczyźni, którzy mnie tu przywlekli, to po prostu bym wstała i próbowała się stąd wydostać. To znaczy nie widziałam ich wszystkich, ale co jakiś czas w przejściu pojawiała się głowa osiłka, który zerknął prosto na mnie, sprawdzając, czy siedzę tam, gdzie mnie zostawił.

Objęłam się ramionami, bo to, że było tu nieco cieplej, nie oznaczało, że przestało mi być zimno. Wręcz przeciwnie – miałam wrażenie, że schodził ze mnie cały stres dzisiejszego dnia, powodując przejmujące dreszcze.

A gdybym wyjęła broń i zaczęła im wszystkim tutaj grozić?

To nie mogłoby się skończyć dobrze.

Odchylałam głowę do tyłu, patrzyłam w górę, na oplątane pajęczynami rury, patrzyłam w bok, na nierówne ściany, patrzyłam pod nogi, na brudną posadzkę, gdzie oprócz warstwy błota walały się też niedopałki papierosów. Raz po raz wzdychałam cichutko. Staralam się unikać wzroku barmana. Miałam wrażenie, że zaraz do mnie podejdzie i zrobi coś strasznego.

O dziwo niedługo później zaczęłam powoli odpływać. Siedziałam tak wciśnięta w kąt narożnika, podkuliłam nogi i oparłam głowę do tyłu, co chwilę zamykając oczy i zmuszając się do ich ponownego otwarcia. Za każdym razem ta druga czynność okazywała się coraz trudniejsza.

Chcę do domu.

Bardzo prawdopodobne, że wykrzyczałabym te słowa na całe gardło, gdyby nie to, że siły uchodziły ze mnie tak szybko, jak powietrze z pękniętego materaca. Nic dziwnego, że w pewnym momencie naprawdę zaczęłam przysypiać. Nie chciałam tego. Nie w tym miejscu, nie wśród tych ludzi...

– Pobudka, Hailie Monet.

54

WYŚMIENITA ROBOTA

Ocknęłam się gwałtownie i zamrugałam. Wciąż siedziałam w tym samym pubie. Moje oczy były podpuchnięte, a więc wciąż zmęczone. Musiałam drzemać zaledwie chwilę.

Och, głupia Hailie, jak mogłaś tu zasnąć?!

Dopiero gdy przetarłam powieki i powstrzymałam ziewnięcie, przypomniałam sobie, że ktoś przed sekundą wypowiedział moje imię. Spojrzałam zdezorientowana przed siebie, niezbyt gotowa na kolejny wysiłek.

Przed stolikiem, przy którym siedziałam, stanął właśnie elegancko ubrany mężczyzna, w którym od razu rozpoznałam Adriana Santana, współnika mojej rodziny.

Patrzył prosto na mnie i nie brakowało mu bystrości, którą widziałam podczas naszych wcześniejszych spotkań. Na jego twarzy malował się lekki uśmiech. Włosy miał nieco zmierzwił, pewnie przez wiatr, ale oprócz tego prezentował się

perfekcyjnie dostojnie. Górował nade mną w dopasowanym, ciemnym płaszczu, który sprawiał wrażenie cienkiego, ale jego właściciel nie wyglądał na zziębniętego.

Zapatrzona w niego wyprostowałam się i upomniałam się, by zamknąć usta, które same otworzyły mi się ze zdumienia.

– Co ty tu robisz? – zapytałam szeptem, który spowodowany był bólem gardła.

Adrien przekrzywił delikatnie głowę w bok, patrząc na mnie z ciągle niesłabnącym zainteresowaniem. Powoli wyciągnął ręce z kieszeni i zaczął odpinać guziki płaszcza. Przypominał mi Vincenta z tą całą swoją dostojnością. Jednocześnie dużo bardziej niż mój najstarszy brat lubił owijać w bawełnę.

– Smacznie ci się spało?

Dobrze, że wciąż byłam zbyt zmarznięta, by się rumienić.

– Co tu robisz? – powtórzyłam.

– Ciekawe pytanie, zważywszy, że to ty przybłąkałaś się do mojego baru.

Uniosłam brew.

– To jest twój bar? – Rozejrzałam się wkoło raz jeszcze, jakby nagle miało się tu zrobić atrakcyjniej.

Adrien zaśmiał się, z gracją siadając naprzeciwko mnie.

– To miejsce spotkań dla moich handlarzy – sprostował.

– Wyjątkowo zapuszczone.

– Oni nie narzekają. – Wzruszył ramionami, wyraźnie niezainteresowany gadką na temat wystroju wnętrza. – No to skąd ty się tutaj wzięłaś, Hailie Monet?

Westchnęłam, zbierając w sobie całą cierpliwość świata. Nie sądziłam, że tego okropnego dnia przyjdzie mi jeszcze prowadzić rozmowę z Adrienem, który był tak śliskim typem, że wszelka interakcja z nim wymagała naprawdę nie lada skupienia i energii, których teraz mi brakowało.

Przy okazji zadrżałam i zacisnęłam palce w pięści, pocierając o nie kciukami, by je nieco rozgrzać, bo sam fakt, że jeszcze mi się nie odmroziły, był cudem.

Mój dyskomfort nie uszedł uwadze mojego spostrzegawczego rozmówcy, który odwrócił głowę w stronę baru i przywołał do nas barmana. Ten zerwał się natychmiast i stanął obok nas, potężny jak skały, których się naoglądałam podczas odwiedzin na wyspach u Blanche.

– Abe, podaj naszemu gościowi coś na rozgrzanie – poinstruował go Adrien, nadal nie odwracając ode mnie wzroku.

Barman pokiwał energicznie głową, wpatrzony w swojego, zgaduję, szefa, z dziwnym oddaniem.

Adrien obserwował mnie przez chwilę, po czym wstał, złapał za swoje okrycie, które wcześniej elegancko złożył na kanapie, i podszedł z nim do mnie. Obserwowałam jego ruchy w napięciu.

– Wyluzuj, Hailie Monet. Nie chcemy przecież, żebyś nam tu zamarzła. – Z tymi słowami okrył moją skuloną sylwetkę swoim płaszczem. Przez moment się nie ruszałam, dziwnie czując się z garderobą Adriena ciężącą mi na ramionach. A ciążyła dosłownie, bo materiał, z którego była uszyta, sporo ważył. Zapach męskiej wody kolońskiej, którym była przesiąknięta, zawładnął moimi zmysłami. Płaszcz od razu zaczął mnie rozgrzewać i automatycznie opatuliłam się nim mocniej.

Adrien zdążył zająć z powrotem swoje miejsce po przeciwległej stronie stołu, a do mnie podszedł wielki barman i postawił mi przed nosem szklankę pełną bursztynowego płynu. Od razu poczułam intensywną woń alkoholu. Uniosłam wzrok na swojego towarzysza, który w tym samym momencie cmoknął ze zniecierpliwieniem.

– Abe – upomniał go niczym ojciec swojego przygłupawego syna – nie alkohol.

Barman popatrzył na niego szczerze zdezorientowany. Adrien przymknął na chwilę powieki, a gdy je otworzył, w końcu zerknął na swojego pracownika.

– Nie chodziło o alkohol – wyjaśnił, po czym wskazał na mnie brodą. – Jest za młoda, przynieś jej coś innego.

Abe gapił się na szklankę, marszcząc brwi.

– Abe, przynieś jej coś innego – powtórzył Adrien, a ja uznałam to za nawet urocze, że ma tyle cierpliwości. – Jakieś ziółka czy coś.

– Ziółka – podłapał Abe, a jego oczy rozbłysły. Kiwając głową, natychmiast zrobił w tył zwrot.

– Stój – rozkazał mu głośno i twardo Adrien, masując sobie nasadę nosa. – Nie takie ziółka.

Abe znowu zmarszczył brwi, a jego chwilowa ekscytacja minęła tak szybko, jak się pojawiła.

– Chodzi o herbatę. Gorącą herbatę. Rozumiesz?

Barman motał się chwilę, jakby herbata była obcym słowem, którego się kiedyś nauczył, potem zapomniał, a teraz próbował przywołać jego znaczenie z pamięci, ale wreszcie cofnął się do baru i coś tam zaczął kombinować.

– Wybacz. Niektórzy moi ludzie nie grzeszą bystrością. Powinni byli lepiej o ciebie zadbać, gdy tu czekałaś.

– Nie chcę herbaty, chcę do domu – burknęłam i dodałam, by nie brzmieć zbyt dziecinnie: – Przecież jesteś współnikiem Vincenta, powinienes od razu dać mu znać, że mnie znalazłeś.

– Racja – zgodził się, wciąż na mnie patrząc. – Chciałbym wiedzieć, kto tak załatwił siostrę Monetów.

– A co ja ciebie niby obchodzę? – warknęłam buńczucznie.

Adrien wzruszył ramionami.

– Nie chodzi o ciebie, tylko o człowieka, który zadarł z Monetami. Jeśli odważył się podpaść im, chcę wiedzieć, czy ja i moja rodzina też mamy podstawy do obaw – wytłumaczył. – Widzisz, Hailie Monet, ja też mam siostry. Chcę wiedzieć, czy padło akurat na ciebie przypadkiem.

– Masz siostry? – zdziwiłam się, co w sumie było głupie, no bo przecież posiadanie siostr to żadna nowość, a w końcu niewiele o Adrienie wiedziałam.

On skinął głową z drwiącym uśmiechem.

– Dwie, starsze. Jedna z nich nawet pieprzy się z twoim bratem. Nie wiedziałaś?

– Którym znowu?

– Niewiele ci mówią, co?

Zamilkłam.

Adrien pokręcił głową, ciągle z tym samym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Nie wiesz, co tracisz.

– No tak, bo ja po prostu marzę o imprezowaniu z obrzydliwie bogatymi mafiosami.

Niezmiernie go tym rozbawiłam.

– Mafiosami – powtórzył, szczerząc zęby – cóż to za prastare wyrażenie. – Pokręcił głową, po czym nieco spoważniał. – Nie uważaj się za lepszą, Hailie Monet. Jesteś tak samo obrzydliwie bogata jak my wszyscy. To, że chwilowo wmawiasz sobie, że nie jesteś zainteresowana naszą śmietanką towarzyską, nie oznacza, że tak będzie zawsze. Pomijając już fakt, że to twoja rodzina cię od niej izoluje, więc nie udawaj, że jest to twój własny wybór.

– Mam swoich znajomych – skłamałam. – Nie potrzebuję towarzystwa waszej śmietanki.

Adrien nachylił się lekko do przodu.

-Uważaj, bo możliwe, że pewnego dnia obudzisz się, zżerana przez ambicje, i odkryjesz, że twoje ukochane, szkolne psiapsioły zatrzymały się w miejscu, bo skończyły się ich możliwości. A ty będziesz wiedziała, że twoje nigdy się nie skończą. Będziesz potrzebowała wspinać się w górę i górę, coraz wyżej. Wtedy zapukasz do naszych drzwi, a my... – Adrien zawiesił na chwilę głos, odchylił się na kanapie, po czym, puszczając oczko, dodał: – A my cię wpuszczymy.

Patrzyłam na niego, przetwarzając jego słowa, które kompletnie zbiły mnie z tropu. Jak to w ogóle się stało, że weszliśmy na takie tematy?

Nawet nie zauważyłam, że znowu przyszedł do nas Abe, tym razem trzymając kufel – tak, kufel – herbaty. Gdy postawił go przede mną, trzasnął nim głośno o blat stołu i rozlał po nim trochę wrzątku. W środku naczynia pływała saszetka, a woda barwiła

się bardzo delikatnie. Nie miałam ochoty tego pić, ale nie mogłam odmówić sobie nachylenia się nad parującym wywarem i objęcia kufła zmarzniętymi dłońmi.

– Kto cię zaatakował i jak udało ci się uwolnić? – zapytał znowu Adrien.

– Najpierw zadzwoń po Vincenta.

– Stawiamy warunki, proszę. – Dochodziłam do wniosku, że zbyt często było mu do śmiechu. Podczas gdy ja marzyłam o zakończeniu tego koszmarnego dnia, on się dobrze bawił. – Pamiętaj, Hailie Monet, że my sobie tutaj wcale nie negocjujemy. Jestem miły dla siostry Vincenta, ale moja uprzejmość też ma swoje granice.

Ciaśniej zacisnęłam ręce wokół gorącego kufła, jednocześnie marszcząc brwi.

– Nie możesz mi grozić.

– Nie chcę – poprawił mnie. – Ale mogę.

Odsunęłam się od herbaty, ze ściągniętą twarzą obserwując swojego rozmówcę. Próbowалаm ignorować katar, który pod wpływem ciepła zaatakował mój nos.

– Zadzwoń, proszę, do Vincenta – zażądałam, starając się brzmieć jednocześnie twardo i kulturalnie.

Adrien nawet nie mrugnął. Bardzo przypominał mi mojego najstarszego brata, poza tą swoją nonszalancją, która była wręcz ściągnięta od Dylana. Siedział wyprostowany i dumny, ale jednocześnie wyluzowany.

Ja też się wyprostowałam. Następnie zrobiłam coś, co zaskoczyło mnie samą. Na pewno była to czynność nieprzemyślana, bo mój mózg, jak już wspominałam, nie działał najlepiej pod wpływem znużenia i oszołomienia.

Powolnym, acz zdecydowanym ruchem sięgnęłam za pazuchę mundurka i wyciągnęłam broń. Już będąc w połowie tego ruchu, zawahałam się nad jego słuszością, ale nie mogłam się już wycofać.

Adrien przyglądał się, jak wyjmuję pistolet, obrzucił go tym samym, zaniepokojonym spojrzeniem i nawet nie drgnął, gdy wycelowałam lufą w jego stronę. Zamiast tego przeniósł wzrok z powrotem na moją twarz i powiedział:

– Spodziewałem się noża.

Trzymanie Adriena na muszce było czymś kompletnie innym niż celowanie do Rydera. Bratem Leo kierowała głupota i nietrudno było przejąć nad nim kontrolę, Adrien jednak to stary wyjadacz, którego wyczucie było nie lada wyczynem, zwłaszcza dla tak niedoświadczonej w sprawach grożenia innym osobie jak ja.

– Odpowiadając na twoje pytanie, właśnie tak udało mi się uwolnić. A teraz zadzwoń do Vincenta.

Adrien nie złapał za komórkę. Zamiast tego Abe zobaczył, jak celuję do jego szefa i zaczął coś krzyczeć, zza baru wyciągając swoją własną spluwę. Dziad, który tam przy nim siedział, też sięgnął za swój pasek, a z zewnątrz zajrzał do środka osilek, zwabiony przez hałasy, i również sięgnął po pistolet.

Brawo bravissimo, Hailie, wyśmienita robota.

Muszę przyznać, że na widok tyłu broni wycelowanych nagle w moją stronę na moje czoło wstąpiły krople potu. W jednym momencie zrobiłam się małą niczym mrówka w porównaniu z tymi wszystkimi dorosłymi gośćmi wkoło, ale z jakiegoś powodu nie opuściłam swojego pistoletu, tylko zacisnęłam na nim nerwowo palce i zerkalam na obrońców Adriena.

On natomiast unosił jedną rękę. Wiedział, że za jego plecami znajdowali się jego pracownicy gotowi do rozbrojenia mnie. Zresztą wszyscy słyszeliśmy odbezpieczające bronie kliknięcia. Dłoń Adriena sterczała w powietrzu, niby to niedbale, ale jednocześnie jasno komunikując, żeby wstrzymać ewentualne wystrzały i atak. Masywny sygnet błyszczał na jednym z jego palców, dodatkowo sygnalizując, kto tu wydaje polecenia.

Adrien wpatrywał się we mnie, jakby chciał mi bez słów przekazać, kto tu jest górą i że mam się zachowywać, po czym zwrócił się do swoich ludzi:

– Ależ panowie. Proszę nie wprowadzać nerwowej atmosfery – mówił do nich, jakby to oni byli tutaj prowadzonymi tej całej akcji. Nie odwrócił się do nich zupełnie, bo nie przerwał kontaktu wzrokowego ze mną. – Nie chcielibyście przez przypadek zastrzelić Hailie Monet, czyż nie? Schowajcie broń i wracajcie do swoich spraw.

Chwilę później osiłek wyszedł z powrotem na zewnątrz, dziad odwrócił się jak gdyby nigdy nic do baru i tylko Abe co jakiś czas wciąż łypał na mnie podejrzliwie.

Ja zaś w dalszym ciągu celowałam do Adriena, ale równie dobrze mogłam tego nie robić, bo po tym, co zobaczyłam, wiedziałam, że postrzelenie go nie uszłoby mi na sucho. Adrien na pewno doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Niechętnie odwzajemniłam w końcu jego spojrzenie, wiedząc, że na pewno będzie kpiarskie. Nie pomyliłam się.

– No, no, urosły ci jaja.

Skrzywiłam się zdegowana.

-Nie to, co twoje – odparowałam, zanim zdążyłam się powstrzymać i wzdrygnęłam się z zażenowania.

On znowu się zaśmiał.

– O nie. Moimi się nie interesuj. Mówiłem już, że jesteś za młoda.

Przymknęłam powieki, zbierając w sobie siłę na dalsze użeranie się z tym idiotą. Nie potrafiłam z nim rozmawiać i się nie denerwować. Miał w sobie tę niezwykłą umiejętność odbijania piłeczki za każdym razem, gdy cokolwiek powiedziałam. Identyczną mieli Dylan z bliźniakami i była to prawdziwie irytująca cecha.

Otworzyłam z powrotem oczy, by znowu czegoś zażądać, licząc, że Adrien w końcu przestanie sobie żartować i weźmie mnie na poważnie. Przecież nie będziemy tu siedzieć w nieskończoność. Cała moja determinacja jednak uleciała, gdy tylko zobaczyłam, że do tej paskudnej meliny wszedł właśnie Will.

Serce zakolało mi w klatce piersiowej tak mocno, że prawie poobijało się o żebra. Najpierw pomyślałam, że mój przemęczony mózg robi mi jakieś psikusy, ale czas mijał, a ja wciąż widziałam w nowo przybyłym mężczyźnie mojego ukochanego brata. Co więcej, wszedł do pomieszczenia, uważnie się rozglądając, i niemal od razu napotkał moje spojrzenie, na którym się zatrzymał.

Jego błękitne oczy to wszystko, co widziałam. Ulga, jaka mnie zalała, aż sprawiała mi ból. Od momentu spotkania Rydera marzyłam, żeby znaleźć się w pobliżu braci, u boku których czułam się bezpiecznie, ale znaleźć się konkretnie u boku Willa to było coś absolutnie wspaniałego.

Przypomniało mi się, że wciąż zacięcie celowałam w Adriena bronią, którą teraz prędko opuściłam, jakbym została przyłapana na gorącym uczynku. Will jednak nie był głupi, z pewnością widział, co jego siostra trzyma w rękach, teraz ukrytych pod stołem. Czym prędzej rzucił się w moją stronę.

– Ach, przybył William Monet. – Adrien uśmiechnął się sympatycznie, niczym gospodarz na imprezie oczekujący kolejnych gości.

Will nie przywitał się z nim, zajęty oglądaniem mnie z każdej strony. Był przejęty i chyba nie spodziewał się, że będę wyglądała tak źle, bo nie mógł wydusić z siebie słowa, tylko od razu nachylił się nade mną i delikatnymi muśnięciami palców odgarnął moje włosy i grzywkę, by przyjrzeć się dokładniej moim ranom i siniakom. Widziałam, że chciał dotknąć mojej twarzy, pogłaskać mnie po policzku, ale bał się, że sprawi mi tym ból.

Zerkałam z dołu na jego napiętą twarz. Szczękę miał zaciśniętą, a w oczach, choć kryła się opiekuńczość, majaczyła też złość.

– Już dobrze, Hailie, mamy cię z powrotem. – To były jego pierwsze słowa, które do mnie wyszeptał.

Pocałował mnie w czubek głowy, kładąc dłoń na jej tyle i przyciskając ją leciutko do swojej piersi. Wyczuwając jego bliskość, moje ciało się poddało. Przestałam wywierać na sobie presję, by zachowywać się jak odważna bohaterka, bo wiedziałam, że cokolwiek się teraz wydarzy, to Will o mnie zadba i mi pomoże. Nie musiałam się już niczym przejmować. Jakże kojąca była ta myśl! Wciąż nie mogłam uwierzyć, że po tym wszystkim, co przeszłam, dotarłam do momentu, w którym wreszcie mogłam się po prostu wyłączyć.

Will złapał mnie troskliwie za dłoń. Wyjął z niej pistolet, na co mu bezwzględnie pozwoliłam. Zabezpieczył go sprawnie i wsunął sobie do spodni, jakby nic się nie wydarzyło, i wciąż się nade mną pochylając, zapytał:

– Możesz chodzić?

Pokiwałam głową.

Wtedy pomógł mi wstać, dbając o to, by stanowić dla mnie jak najsolidniejszą podporę. Gdy przyciskał mnie do swojego boku, już na stojąco, dostrzegłam, że właśnie podchodził do nas Vincent. Jego nieczułe oczy patrzyły prosto na mnie przez długi czas, jakby upewniając się, że to naprawdę ja. Potem on i Will wymienili się spojrzeniami, skinął na niego głową, i odwrócił się do Adriena. Witał się z nim formalnie i dziękował mu za telefon.

Z zainteresowaniem nadstawiłam uszu, ale mój ulubiony brat pokierował mnie do wyjścia, a ja nie protestowałam, tylko cieszyłam się, że mogę wreszcie opuścić to przebrzydłe miejsce. Jeszcze przed wyjściem z baru Will zatrzymał się tylko na chwilę i zdjął swój płaszcz. Zarzucił go na moje ramiona, na których znajdował się już płaszcz Adriena.

Skuliłam się, gdy wyszłam na zimno, przypominając sobie od razu moją niedawną tułaczkę. Jak ja wtedy marzyłam o chwili jak ta, kiedy jestem już z moją rodziną, zaopiekowana. Przy garażach stał mój były ochroniarz wraz z osiłkiem, a obok nich, widocznie cały spięty, nabuzowany i z założonymi na szerokiej piersi rękoma, kręcił się Dylan. Klasycznie wdał się w jakąś mało kulturalną pyskówkę z byłym ochroniarzem, ale olał go totalnie, gdy zobaczył mnie. Opuścił ręce wzdłuż tułowia, ale jego dłonie pozostały zaciśnięte w pięści. Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy, jednak nie było czasu na nic więcej, bo Will bardzo zdecydowanie ciągnął mnie do swojego samochodu.

– Czekaj na Vince’a – rzucił tylko do młodszego brata, a ten wbrew sobie usłuchał. Will otworzył przede mną drzwi i pomógł mi wejść do środka, naciągnął na mnie mocniej swoją kurtkę, zapewne dobrze widząc, jak wcześniej blisko mi było do zamarznięcia.

– Coś cię mocno boli? Coś ci dolega, o czym powinien wiedzieć, zanim pojedziemy do szpitala? – pytał, gdy wreszcie siedziałam, a on stał nade mną, chroniąc mnie przed największym zimnem.

Pokręciłam głową.

– Nic takiego, Will. Jestem tylko zmęczona, nie musimy jechać do szpitala. Wystarczy do domu. Marzę, żeby odpocząć w domu – wymamrotałam sennie, opierając głowę o zagłówek fotela.

– Dobrze, że nie czujesz, by działo ci się coś poważnego – odparł, wpatrując się we mnie z nieskrywanym zmartwieniem. – Oczywiście, że pojedziemy do szpitala. Nie wzdychaj tak, malutka, wiem, że potrzebujesz odpoczynku.

Obiecuję, że dostaniesz go tyle, ile tylko będziesz chciała. Okej? Po prostu musimy upewnić się, że nie stało ci się nic poważnego.

Przymknęłam powieki, nieszczęśliwa, że nie trafię jednak od razu do domu, ale wiedziałam, że Will miał rację. Gdy zamknęłam oczy, trudno mi je było otworzyć, więc mój brat zapiął mnie, po czym złożył moje ręce na moich kolanach i ostrożnie zamknął drzwi. Potem usiadł za kierownicą i odpalił auto, od razu podkręcając ogrzewanie.

Po chwili dołączyli do nas Vincent i Dylan. Ten drugi usiadł obok mnie, z tyłu. Jak tylko to zakodowałam, zamknęłam z powrotem oczy. Nie miałam siły nawet patrzeć ani mówić.

– Wszystko z nią okej? – zapytał Dylan i czułam na sobie jego spojrzenie.

– Dajcie jej swoje kurtki, cała jest zmarznięta.

Po chwili poczułam, jak lądują na mnie kolejne warstwy, niczym kołderki.

– Adrien mówił, że jego ludzie znaleźli ją, jak szła przy drodze. Ma ranę na czole, dość obficie z niej krwawiła.

– Jaką ranę na czole? O chuj, faktycznie. Uderzyłaś się? Ktoś cię uderzył?

– Dylan, zostaw ją. Wszystkiego się dowiemy.

Wreszcie zrobiło mi się trochę ciepło. Wreszcie było mi wygodnie. Wreszcie znajdowałam się w towarzystwie ludzi, którym ufałam. Rozkoszowałam się dźwiękiem ich głosów. Wiem, że dyskutowali o mnie, i normalnie żwawo uczestniczyłabym w ich wymianach zdań, ale teraz potrafiłam tylko cieszyć się chwilą spokoju.

A następnego dnia, cóż, czekała mnie rozmowa z braćmi i już dokładnie wiedziałam, co im powiem.

Zwłaszcza Vincentowi.

55

CHIŃSZCZYNA

Zduszony śmiech Tony’ego to pierwsze, co usłyszałam po przebudzeniu.

Otworzywszy oczy, ujrzałam go, stojącego przy szpitalnym łóżku, które zajmowałam. Pięść przykładł do ust, by stłumić głośne parsknięcie. A rozbawił go Dylan, znajdujący się obok sporego, łukowego okna, jedyne w tym pomieszczeniu. Najwyraźniej próbował je właśnie otworzyć i gapił się na ułamaną klamkę, którą trzymał teraz w dłoni.

– Co za szajs – mruknął pod nosem i odrzucił zepsuty przedmiot na parapet, po czym zerknął na Tony’ego: – Przestań rzeć, bo ją obudzisz.

O dziwo, Tony spróbował się nieco uspokoić. Wtedy obaj moi bracia rzucili mi kontrolne spojrzenie i gdy odkryli, że ja naprawdę już nie spałam, ich oczy się rozszerzyły. Dylan od razu ruszył naprzód, by stanąć po mojej lewej stronie. Próbował zachowywać się naturalnie, co niezbyt mu wychodziło, bo widocznie czuł się nieswojo. Najpierw splótł przed sobą ręce, które następnie opuścił luźno wzdłuż tułowia, po czym splótł je znowu.

Ludzie, przynieście kamerę, przede mną stał właśnie rzadki okaz zakłopotanego Dylana!

Patrzyłam w górę, na ciemne oczy brata. Wyobrażałam sobie, że mój wyraz twarzy wyzuty był z wszelkich emocji, bo tak przynajmniej czułam się w duchu.

– Co tam? – zapytał cicho.

Też był poważny, a jego wzrok ostrożny.

Wiedziałam, że moja odpowiedź będzie albo zachrypnięta, albo cichutka, piskliwa lub chrapliwa, dlatego nie kwapiłam się do otwierania ust.

– Co tam? – prychnął Tony, który teraz opierał się o równoległą ścianę z ramionami założonymi na piersi i również uważnie mnie obserwował. – Zapytałbyś ją, jak się czuje, a nie, kurwa, „co tam?”.

Dylan spojrzał na niego z irytacją.

– To może sam ją zapytaj? Też tutaj jesteś, nie?

– Dobra, jak już ty gadasz, to gadaj.

– To siedź cicho.

W czasie ich pyskówki rozejrzałam się po pokoju, który mi przydzielono. Nie był wielki, ale przynajmniej nie musiałam go z nikim dzielić, no i znajdowały się tu dodatkowe drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do mojej własnej łazienki. Na ścianach koloru kremowego rozciągał się gruby, ciemnobrązowy pasek tuż pod samym sufitem. Poza tym naprzeciwko łóżka wisiał płaski, mały telewizor, a w kącie, niedaleko okna, stał brązowy fotel dla odwiedzających. Obok mojego łóżka natomiast znajdował się stolik z ładnym kwiatkiem o grubych, soczysto zielonych liściach.

Obok głowy Dylana dyndała torebka wypełniona przezroczystym płynem, którą dostrzegłam, dopiero gdy podniosłam brodę. Do niej doczepiona była rurka, której śladem następnie podążył mój wzrok. Jej drugi koniec okazał się igłą wbity w wierzch mojej dłoni. Patrzyłam beznamiętnie na wenflon, próbując przypomnieć sobie, kto i kiedy, u licha, mi go założył.

Spojrzałam z powrotem na braci, ale oni jeszcze nie skończyli się przekomarzać.

– ...to się na coś przydaj i idź, powiedz, że się obudziła.

– No i pójdę.

– No i zajebiście.

– I chuj, idę.

Tak więc kontynuowałam oględziny. Miałam na sobie szarą koszulkę, o sto rozmiarów na mnie za dużą, więc musiała należeć do któregoś z moich braci. Dolnej części mojej garderoby nie widziałam, bo przykryta byłam kołdrą. Po chwili rzeczywiście nawiedziły mnie mgliste wspomnienia pomagającej mi się przebrać pielęgniarki. Zajęła się wtedy też moją raną na czole i chciałam teraz unieść palce, by dotknąć opatrunku i potwierdzić tym prawdziwość tamtych wydarzeń, ale ostatecznie mój mózg uznał, że odrywanie dłoni od kołdry to za wiele zachodu, więc dałam sobie spokój.

– Sorry, Hailie – mruknął do mnie Dylan, jak tylko drewniane drzwi z prostokątną, mleczną szybą zamknęły się za jednym z bliźniaków. – Tony, wiesz... Tony jest głupi.

Wpatrywałam się bez wyrazu w ciemne oczy brata, po czym rosnąca we mnie chęć dogryzienia mu wygrała i odezwałam się po raz pierwszy.

– Ty nie jesteś lepszy.

Zgodnie z moimi przypuszczeniami brzmiałam sucho, jakbym wieczór wcześniej zdarła sobie gardło na koncercie metalowym.

Dylan uniósł palec i pogroził mi nim z udawanie poważną miną.

– Ty, nie pozwalaj sobie, mała dziewczynko.

Patrzyłam na niego wciąż niewzruszona.

– Nu, nu, nu – wymamrotałam słabo.

Ta opatentowana przez niego głupiutka odzywka od razu wywołała szeroki uśmiech na jego twarzy. Ja też nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

W pewnym momencie moje rozbawienie przekroczyło pewną granicę i poczułam fizyczny ból. Bolało mnie wciąż przewrażliwione gardło, co zapewne między innymi było skutkiem podduszenia. Bolały mnie żebra, które poobijałam, robiąc fikołki w tym nieszczęsnym aucie, no i bolała mnie też szczęka. A także milion innych miejsc.

Dylan, zapewne na widok mojego nagłego skrzywienia, spoważniał i znałam go już na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że jego schowane pod tą luźną, szarą bluzą, którą miał na sobie, mięśnie, mocno się właśnie napinały.

– Zabiję go.

Jego oświadczenie było ciche, spokojne i tak zwyczajne, jakby po prostu oznajmił, że musi ograniczyć kofeinę. To dlatego aż przeszły mnie ciarki.

– Dylan... – Kompletnie nie wiedziałam, co zamierzam powiedzieć, i tylko wpatrywałam się w jego płonące determinacją tęczówki.

– Zabiję go, Hailie.

– Dylan. – Ostry, chłodny głos naszego najstarszego brata rozbrzmiał, gdy ten dołączył do nas w salce.

Oboje przenieśliśmy na niego wzrok. Był w koszuli, jak zwykle, a pod oczami widniały mu tylko niewielkie cienie. Absolutnie nie podważały one jednak jego autorytetu ani nie podawały w wątpliwość jego siły. Rzucił właśnie twarde, ostrzegawcze spojrzenie naszemu bratu.

– Czy chcesz wyjść i ochłonać? – zapytał go, uprzejmie jak zwykle.

Dylan zacisnął dłonie w pięści.

– Ona się nawet nie może zaśmiać!

Vince, zbliżając się do mojego łóżka z przeciwległej do Dylana strony, patrzył na niego znacząco i spuścił wzrok na mnie, dopiero gdy się zatrzymał. Ucieszyłam się, że jego oziębłe oczy natychmiast złagodniały. Potrzebowałam jego taryfy ulgowej jak nigdy. Pragnęłam, by się ze mną pocackał, tak jak zawsze to robił Will.

– Jak się czujesz?

Vincent nie potrafił brzmieć troskliwie, dlatego jego pytanie zdawało się rzucone oschle, ale i tak je doceniłam. Przy okazji uświadomiłam sobie, w jak beznadziejnym stanie byłam.

Boląca głowa, zatłoczony nos i spuchnięte gardło świadczyć mogły o najzwyklejszej infekcji, którą mój biedny, wyziębiony organizm miał pełne prawo złapać. Do tego dochodziły siniaki po bójce z Ryderem oraz stłuczenia po wypadku. Kończyny wciąż miałam zeszywniałe, ssalo mnie w żołądku z głodu, a w ustach miałam pustynię.

– Tak... średnio. – Odchrząknęłam, starając się zrobić to dyskretnie, po czym dodałam: – Chyba jestem troszkę chora.

Vincent patrzył na mnie z góry przez dłuższą chwilę i naliczyłam, że w tym czasie mrugnął może ze dwa razy, po czym przemówił znowu, teraz już otwarcie przechodząc na formalne tony.

– Masz stan podgorączkowy, ostatni raz mierzono ci temperaturę pół godziny temu. To przez długotrwałe osłabienie twojego organizmu. Byłaś odwodniona, więc założono ci kroplówkę. Obyło się bez szwów na czole, ale zaraz zrobią ci prześwietlenie głowy i brzucha, żeby wykluczyć poważne obrażenia wewnętrzne. Jeśli czujesz się na siłach, możesz najpierw wziąć szybki prysznic.

Podążyłam wzrokiem za jego dłonią. A więc dobrze zgadywałam, że tamte drzwi prowadzą do łazienki.

Skinęłam głową. Wizja prysznica podziałała na mnie motywująco. Pragnęłam poczuć się świeżo. Pragnęłam mieć czyste i pachnące włosy. Pragnęłam umyć zęby jakąś mocno miętową pastą. I przemyć zapuchnięte powieki nasączonym chłodną wodą płatkami kosmetycznym. I wyszorować plecy, i stopy, i, o Jezusie, moje paznokcie. Właśnie na nie spojrzałam. Skąd tam się wziął ten paskudny brud?

Jak na zawołanie spróbowałam się podnieść. Oderwałam głowę od sztywnej poduszki, podparłam się na łokciach i podniosłam plecy, ale były to ruchy zbyt raptowne i wymagające dla mojego rozleniwionego ciała, przez co natychmiast odczułam ból w kilku miejscach naraz, i opadłam z powrotem na materac, głośno wzdychając.

Dylan i Vince rzucili się do mnie z dwóch stron, obaj wyciągając ręce, by mnie asekurować.

– Ej, czekaj, młoda, uważaj.

– Powoli.

Na klatce piersiowej poczułam dłoń, która delikatnie, acz stanowczo powstrzymywała mnie przed kolejnymi tak nieprzemyślanymi zrywami. Dopiero chwilę później zebrałam siłę i odwagę, by ponownie otworzyć oczy. Od razu napotkałam wzrok Vincenta, bardzo intensywny, jakby mój najstarszy brat siłą woli starał się przekazać mi część swojego spokoju i opanowania. To jego dłoń mnie hamowała. Zerknęłam na nią i ten masywny sygnet, spoczywający na jednym z jej palców. Podobny do tego u Adriana.

Wtedy Vince zabrał rękę, uniósł ją i nachylił się, by – jak się zaraz miałam przekonać – wezwać pielęgniarkę przyciskiem wiszącym tuż nad moją głową. Potem, bez słowa, wskazał brodą na mój wenflon, o którym zdążyłam już zapomnieć.

Czekając na asystę, nie odzywałam się. Patrzyłam na swoje szczupłe ręce, w szpitalnych warunkach robiące wrażenie chorobliwie wychudzonych. To tu, to tam zdobiły je brzydkie, purpurowe plamy.

W powietrzu czuło się napięcie i pewna byłam, że Dylan z Vincentem zerkają na siebie. Na szczęście wkrótce do pokoju weszła pielęgniarka przypominająca kosmetyczkę w spa z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

Moi bracia odeszli na bok, podczas gdy kobieta zadawała mi pytania o moje samopoczucie, na które praktycznie nie odpowiadałam. Skrzywiłam się, gdy wyciągała mi z dłoni wenflon. Kilka razy upewniała się, że jestem w stanie wziąć prysznic o własnych siłach. Gdy pomagała mi podnieść się z łóżka, myślałam, że rzucę się na nie z powrotem i zaduszę się poduszką, bo co chwila powtarzała niezmiennie irytujące mnie słowo „powolutku”.

Usłyszałam, jak Vince rzuca cicho do Dylana, by ten otworzył okno i trochę tu przewietrzył. Ten zaś w odpowiedzi mruknął, że „Tony rozjechał klamkę”.

– Powolutku – zatrajkotała pielęgniarka, gdy spuściłam z materaca nogi. Tuż przy łóżku czekały na mnie idealnie kiczowate, różowe, gumowe klapki z puchatymi pomponami. Nie wiem, kto je dla mnie tu przytargał, nie przypominam sobie, bym miała je wcześniej.

Gdy wsuwałam w nie stopy i już chciałam się podnieść, Vince zbliżył się i wyciągnął rękę. Z przyjemnością wybrałam uwieszenie się na jego stabilnym ramieniu niż na tym należącym do drobnej pielęgniarki. Ona najwyraźniej nie miała z tym problemu.

– Powolutku.

Zacisnęłam zęby.

Zrobiłam pierwszy krok, a potem drugi.

– O tak, właśnie. Powolutku.

Drgnęłam i się zatrzymałam. Zdawałam sobie sprawę, że byłam nienaturalnie spokojna, podczas gdy w mojej duszy kłębiły się uwięzione palące, skrajne emocje. Okazało się więc, że niewiele było trzeba, żeby je uwolnić.

– No przecież robię wszystko powolutku! Jestem wolna! Nawet jakbym chciała, to nie potrafię szybko! Ledwo chodzę, chyba przecież widać!

Otworzyłam szeroko oczy, gdy uświadomiłam sobie, że autorką tego wybuchu byłam ja sama. Gdybym nie zaciskała palców na koszuli Vince’a, to właśnie zakrywałabym własne usta.

Pielęgniarka zamrugnęła, po czym spuściła głowę i przeprosiła mnie uprzejmie, kontynuując swoją asystę w milczeniu. Dylan gapił się na mnie zdziwiony, z uniesionymi brwiami, ale nie odezwał się, a na Vincenta nawet nie miałam odwagi spojrzeć. Na szczęście wyjątkowo postanowił nie komentować na głos mojego zachowania.

Szklany prysznic był niewielki, ale bardzo czysty, toaleta biała i wyszorowana na błysk, a spore lustro nad umywalką porządnie oświetlone. Dostałam jakieś pięć minut

na prysznic i nie zamierzałam przekraczać tego czasu, bo nie pozwolono mi zablokować drzwi, żeby jak najszybciej zareagować na wypadek, gdyby coś mi się stało.

Połowę mojego limitu czasowego straciłam na oględziny mojego zmordowanego ciała w lustrze. Wyglądałam strasznie. Byłam brudna i posiniaczona. Miałam siniaki w miejscach, w których nawet nie wiedziałam, że można je mieć.

Ciepła woda i pachnący kwiatami żel pod prysznic naprawdę sprawiły, że poczułam się lepiej. Wskoczyłam w świeże ubrania i wytarłam włosy ręcznikiem. Wtem rozległo się ponagląjące pukanie do drzwi.

Wstępne badania i oceny moich obrażeń zostały wykonane, gdy spałam albo prawie spałam. W ogóle nie pamiętałam lekarza, który rzekomo w nocy się mną zajął, i gdyby nie to, że moi bracia potwierdzili tę wersję, to pomyślałabym, że ktoś tu kłamie. Taka chwilowa amnezja była mi jednak na rękę. Jak chyba każdy, nie przepadałam za szpitalami.

Wyszłam z pokoju w towarzystwie pielęgniarki i Vince'a. Na korytarzu spotkaliśmy Tony'ego, który stał przy automatach z batonikami, po czym zaraz natknął się na nas także Will. On wyszedł zza winkla i właśnie kończył rozmowę telefoniczną. Gdy nas zobaczył, natychmiast podszedł do mnie, przytulił mnie, jednocześnie przejmując mnie od Vince'a, który to z kolei zniknął za zakrętem. Tak oto ostatecznie to mój ulubiony brat towarzyszył mi podczas kolejnych badań, które – szczęśliwie dla mnie – okazały się formalnością.

Gdy wracałam, wciąż w towarzystwie Willa, minęliśmy z kolei Dylana i znowu Tony'ego, którzy zapowiedzieli, że idą po jedzenie dla wszystkich. Potem znowu natknęliśmy się na Vincenta, gdy rozmawiał z pielęgniarką, a kiedy wróciłam do pokoju, znalazłam Shane'a rozciągniętego na moim łóżku jak przecinek. Głowę trzymał na założonych rękach i nawet zdjął buty. Oglądał telewizję.

Tak właśnie wyglądał szpital opanowany przez braci Monet.

Cieszyłam się, że oni wszyscy byli tu, w pobliżu.

Co nie oznaczało, że nie byłam wciąż rozdrażniona.

– Złaz – burknęłam, zbliżając się do łóżka.

– Cii, dziewczynko – mruknął i wyciągnął ramię, zachęcając mnie, bym położyła się u jego boku. Mimo że wciąż odczuwałam dziwną, niezbadaną jeszcze do końca irytację, to z naburmuszoną miną wdrapałam się na materac i przylgnęłam do jego boku.

Shane potrafił wkurzać, to prawda, ale miałam też do niego sekretną słabość. Czasami był zbyt pocieszny, by się na niego złościć. Przytuliłam się do niego i poczułam, jak jego ręka mocno oplata moje plecy. To było naprawdę miłe.

To nie tak, że zasnęłam, po prostu przymknęłam oczy i przez chwilę przestałam słyszeć głosy braci. Will przekazywał Shane'owi nudne informacje, że badania wykazały u mnie lekkie wstrząśnienie mózgu, które nie wyglądało poważnie, ale przez które polecono zostać mi w klinice noc dłużej. A potem nagle poczułam cudowny zapach mieszanki chili, imbiru i może szalotki albo czosnku? I aż nagrzał mi się nos.

Ślinka natychmiast napłynęła mi do ust i zamrugałam nieprzytomnie. Wciąż gnieździłam się na łóżku u boku jednego z bliźniaków, a gdy rozejrzałam się po pokoju, dostrzegłam, że pozostała czwórka też już tu była. Po raz pierwszy dziś widziałam ich wszystkich w jednym pomieszczeniu.

Dylan i Tony przytargali chińszczyznę na wynos i każdy teraz dostał swoją porcję charakterystycznie żółtego makaronu z warzywami i kurczakiem w czerwonych, kartonowych pudełkach. Podniosłam się do pozycji siedzącej i oparłam się o poduszki, grzebiąc w swoim daniu.

– Zabawne – zaczęłam na głos, przyglądając się z sympatycznym uśmiechem drewnianej pałeczce. – Identyczną wbiłam Ryderowi Hardy’emu w twarz.

Bracia Monet powinni mieć swojego prywatnego fotografa, który chodziłby wszędzie za nimi i uwieczniał na zdjęciach ich bezcenne miny w momentach takich jak ten.

Zapadła grobowa cisza. Tony przestał mlaskać, a Dylan szeleścić. Wszyscy wbijali teraz swoje zdezorientowane spojrzenia we mnie. Nawet Vince, król opanowania, nie spodziewał się tak absurdalnie brzmiących słów.

Uniosłam wzrok, nie dając się im spłoszyć.

– Co się tak gapicie? – zapytałam bezpośrednio, pilnując, by zajrzeć w oczy każdemu z nich, bez żadnego wyjątku. – Obchodzi was to w ogóle?

Chłopcy byli tak zaskoczeni, że zanim mi odpowiedzieli, zdążyłam, kręcąc z niechęcią głową, wrócić do kopania w moim makaronie, choć było jasne, że mimo głodu, mój apetyt równał się teraz zeru.

Pierwszy odezwał się Will. Jego samego jedzenie też momentalnie przestało obchodzić. Odstawił swoją porcję na bok, na stolik obok mojego łóżka, i się zbliżył.

– Hailie...

Poczułam też dłoń Shane’a, którą ten położył na moim ramieniu. Natychmiast ją strąciłam, agresywniej, niż zamierzałam.

– Nie wydaje mi się – odpowiedziałam sobie, po czym wbiłam spojrzenie prosto w Vincenta, któremu udało się zająć jedyny dostępny w tym pokoju fotel. – Pewnie po prostu zamkniecie mnie w domu na kto wie ile i może dorzucicie ze dwóch ochroniarzy. Bo po co wchodzić w szczegóły.

– Hailie, jak się dowiedzieliśmy, że zostałeś uprowadzona, nie było momentu, żebyśmy w spokoju usiedli na dupie – powiedział cicho Shane i nawet on przestał jeść.

– Szukaliśmy cię cały czas – dodał Dylan.

Rzuciłam mu podminowane spojrzenie.

– No to świetne mieliście tempo, naprawdę. Gdybym nie odzyskała przytomności, to już dawno bym zamarzła.

– Nie no, ty chyba żartujesz – prychnął Dylan, w tym samym ironicznym tonie, co ja wcześniej. Opierał się o parapet, ale tak się napuszył, że aż odstawił swoje pudełko za siebie i zrobił kilka kroków w moją stronę. – Naprawdę myślisz, że szukaliśmy cię na pół gwizdka? Jak ty to sobie w ogóle wyobrażasz, że co, że jak dostaliśmy cynk, że nie poszłaś na egzaminy, to nie spanikowaliśmy? Że jak zobaczyliśmy na kamerach, że jakiś zjeb wywiózł cię poza szkołę, to nie postawiliśmy wszystkich na nogi?! Że machnęliśmy sobie ręką? Dobra, chuj, jakoś to będzie, Hailie da sobie radę? Serio masz nas za takich powaleńców?

Swoje pudełko niedbale odsunęłam na bok, na kołdrę, nie dbając, czy się przewróci i pobrudzi poszewkę. Byłam bardziej niż chętna do kłótni. W środku buzowało mi zbyt wiele emocji, z którymi musiałam coś zrobić.

– Nie wiem, Dylan, nie wiem! – Pięści zacisnęłam na kołdrze. – Wiem jedynie, że chyba te wasze wielkie zasięgi są niewiele warte, skoro przez cały dzień nie potraficie znaleźć auta, które wypadło z drogi. To w końcu nie tak, że ktoś wywiózł mnie na Alaskę!

– Była śnieżycą! Cholerna śnieżycą! Śnieg padał jak pojebany! – krzyczał Dylan.

– Nie dało się nawet wystartować helikopterem – dorzucił Shane.

– No i te drony. Zwiało nam ze trzy – mruknął Tony.

– Szukaliśmy cię cały czas, malutka. Nasze opcje ograniczyły się przez pogodę, a później, gdy się unormowała, nie wiedzieliśmy, czy nadal znajdowaliście się gdzieś w okolicy, czy Ryder zdążył wywieźć cię nie wiadomo gdzie – przemówił łagodnie Will.

– Braliśmy pod uwagę różne ewentualności, że mogliście mieć wypadek, że zabrał cię do jakiejś kryjówki, że uciekł z tobą do innego stanu... – mówił Shane.

– Na drodze, na której się rozbiłaś, śnieg zasypał ślady wypadku. – Mówiąc to, Will głąskał mnie po głowie.

– Nie wiesz, cholera, nawet nie wiesz, jak wielką ulgę poczuliśmy, gdy do Vince'a zadzwonił Adrien z wiadomością, że jego ludzie natknęli się na naszą zagubioną siostrę. Przecież myślałam, że się porzygam! – huknął Dylan i kręcił głową z tak niewysłowioną wściekłością, że nie mogłam na niego za długo patrzeć. – I ty się mnie będziesz pytać, czy mnie obchodzi?

– Nawet się nie zapytaliście, co się stało – burknęłam, nieco gubiąc się we własnej złości.

Poczułam na plecach dłoń Willa.

– Proszę, nie uznawaj tego za naszą obojętność, Hailie. Nie chcemy na ciebie naciskać. Nie wiemy, jak dużo przeszłaś. Twoje zdrowie i samopoczucie jest ważniejsze niż grzebanie w tak świeżych i nieprzyjemnych wspomnieniach. Chcemy, żebyś opowiedziała nam wszystko, gdy będziesz na to gotowa – wyjaśnił spokojnie i rzeczowo, co jakiś czas wykonując dłonią koliste, kojące ruchy, od których dostawałam lekkich dreszczy. – Jesteś?

Przygryzałam przez chwilę wargę. Byłam zbyt zła i rozgoryczona, by odczuwać zażenowanie lub wstyd z powodu tego, o co oskarżałam swoich braci.

W końcu odchrząknęłam cichutko.

– Chłopak, który mnie uprowadził, to niestabilny psychicznie ćpun, który groził, że porozstrzela wszystkich wkoło. Im szybciej zostanie schwytany, tym lepiej.

– Szukamy go cały czas – odezwał się Vincent i, tradycyjnie, wszyscy zwrócili się ku niemu, by wysłuchać, co ma do powiedzenia. On siedział w fotelu, dostojny jak zawsze i jedynie fikuśne, czerwone pudełko z chińszczyzną, które trzymał w jednej dłoni, psuło nieco jego elegancką prezencję. – Cieszę się, że masz ochotę rozmawiać na ten konkretny temat już teraz. Rzeczywiście powiedziano nam, że lepiej nie atakować cię od razu pytaniami, na wypadek gdyby miały one tylko przysporzyć ci traumy, ale skoro sama w oczywisty sposób nalegasz, by o wszystkim opowiedzieć, ja z przyjemnością tego wysłucham, Hailie.

Z powagą pokiwałam głową, chcąc pokazać moje pełne zaangażowanie.

– Dobrze więc... – Vince również skinął głową. – Ja przekażę ci, jakie informacje my mamy, a wtedy ty uzupełnisz je swoimi, zgadzasz się?

– Tak – odparłam nieco niecierpliwie. Usiadłam też trochę wygodniej. Przejdźmy już do rzeczy.

– Po godzinie dziesiątej trzydzieści dostałam wiadomość, że nie stawiałaś się na egzaminie. Natychmiast rozpoczęto poszukiwania w szkole, a twój ochroniarz zajął się tropieniem nadajnika. Telefon wraz z twoją biżuterią znalazł porzucony na szafce w korytarzu.

– Tak, mamy twoje rzeczy, nie martw się. Są bezpieczne – uspokoił mnie Will, uprzedzając moje pytanie. W końcu bardzo zależało mi na odzyskaniu prezentów od ojca.

– Zaczęliśmy przeglądać nagrania z kamery w tamtym korytarzu – kontynuował Vince. – Udało nam się zidentyfikować na nich twojego porywacza, którym jest, jak sama zdążyłaś już wspomnieć, Ryder Hardy...

– Brat tego frajerka, co przytargał ci kwiatki, warto zaznaczyć – wtrącił Dylan, machając paluchem. – Przypadek?

Trochę mnie zabolęła sama myśl o Leo, więc na razie zignorowałam sugestię Dylana, patrząc ciągle na Vince'a, który rzucił mu krótkie, poirytowane spojrzenie, jak robił zawsze, gdy ktoś wchodzi mu w słowo.

– Miał broń i groził, że jej użyje, jeśli z nim nie pójdę – wyjaśniłam, na co nasz najstarszy brat skinął głową.

– Tak też wyglądało to na nagraniu.

– Punktem zaczepienia było auto, do którego z nim wsiadłaś – dodał Will. Mówił spokojnym tonem i bardzo mi się to podobało. – Wszystkie patrole go szukały. Gdyby nie ten nieszczęsny wypadek, zakładamy, że mogliby was znaleźć jeszcze przed południem. Poza tym, oczywiście, poszukiwano też ciebie i Rydera. Wczoraj wieczorem na policję zgłosił się mężczyzna, który natknął się na niego na drodze. Był zziębnięty i kulał, ale nie chciał jechać do szpitala, prosił tylko o podwiezienie.

Później mężczyzna obejrzał wiadomości i rozpoznał twarz Hardy'ego, więc natychmiast zgłosił się na policję.

– Co? – jęknęłam, hamując sarkastyczne parsknięcie. – Nie wierzę. Mnie nikt nie pomógł, a Ryderowi już tak?

– Był na innej drodze niż ty. Musiał tam dokuśtykać przez las. Trochę trudno w to uwierzyć, bo facet zeznał, że Ryder był w tragicznej formie, ale teoretycznie jest to możliwe – powiedział Shane.

– Twój wypadek był tak niefortunny, maleńka, że w tamtym miejscu, na zakręcie nie było nic widać. Śnieg zasypał wszelkie ślady.

Zamyśliłam się.

– Czyli gdybym się nie obudziła, tobym umarła?

Wszyscy zamilkli na chwilę, a na ich twarzach odbił się cień grozy.

W końcu odezwał się znowu Will, najpierw odchrząkując.

– Gdy policja oznajmiła, że świadek widział Rydera samego, rannego w okolicy, natychmiast zawęziliśmy poszukiwania do tamtych okolic. Mniej więcej wtedy ty szłaś do miasteczka. Myślę, że gdybyś się jednak nie obudziła, to i tak pewnie znaleźlibyśmy cię niedługo potem.

– Kilka zagadnień wymaga tu klaryfikacji – wtrącił Vincent. – Wszystko wskazuje na to, że podczas wypadku w aucie byłaś sama. Co się więc stało, że Rydera nie było z tobą? Co takiego się wydarzyło, że się oddzieliliście, a on został ranny?

Milczałam chwilę, a zaraz z powrotem złapałam za pudełko z jedzeniem, żeby przynajmniej zająć czymś ręce, gdy przyznawałam:

– Ach... bo ja... postrzeliłam go.

56

MOMENTY
NA WAGĘ ZŁOTA
Chwila ciszy.

– Postrzeliłaś go? – powtórzył Will, mrugając z niedowierzaniem.

Wzruszyłam ramionami, unikając zszokowanych spojrzeń moich braci.

– Jak?

– No najpierw... jakby najpierw mu zagroziłam, ale on nie traktował mnie na poważnie, to musiałam mu pokazać, że no... no wiecie, że nie żartuję – wyjaśniałam,

pałeczkami nabierając porcję makaronu. – Dlatego strzeliłam mu w nogę. Mówiliście, żeby w razie co strzelać w nogę, nie? Żeby nie mogli uciekać i byli mniej... – Zamachałam pałeczkami. – ... mniej mobilni?

Zerknęłam na Tony'ego, szukając potwierdzenia w jego wybałuszonych oczach i wepchnęłam sobie do ust pierwszy kęs. Jedzenie było smaczne i byłoby świetnie, gdybym mogła się nim rozkoszować, ale obecna dyskusja wymagała ode mnie stuprocentowej uwagi, dlatego z pełnymi ustami przeniosłam wzrok na Willa, który chyba nieświadomie i widocznie skołowany pocierał skroń.

– Czekaj, chwila – wtrącił się Dylan, marszcząc brwi. – Jak w ogóle zabrałaś mu broń?

– Uhm, no trochę się szarpaliśmy... Upadła między fotele, gdy próbował mnie udusić.

– Co?

– Dusił cię? – syknął Shane.

Przewróciłam oczami.

– A myślisz, że skąd mam te sińce na szyi? – prychnęłam, po czym skierowałam wzrok na sztywną od napięcia twarz Dylana. – Te twoje triki z samoobrony jednak działają, bo puścił mnie, jak uderzyłam go łokciem w żebra.

Zamrugnął, a usta lekko mu się rozchyliły.

– Ale... ale dlaczego chciał cię udusić? – zapytał sucho Will.

– A bo ja wiem, to psychol. – Wzruszyłam ramionami, mieszając pałeczkami w makaronie. – Strasznie się wkurzył, jak kopnęłam go w krocze.

Chwila ciszy numer dwa.

– Jak... w aucie? W aucie go kopnęłaś w... – Shane marszczył czoło, zapewne próbując to sobie zwizualizować.

Chmknęłam z irytacją, że wszystko trzeba im tak dokładnie tłumaczyć.

– No dobra, bardziej uderzyłam. Szarpaliśmy się i wtedy wbiłam mu kolano między nogi.

Cisza numer trzy.

– Kurwa – rzucił po chwili Dylan i aż pomasaował się po rozporku.

Chyba wszyscy moi bracia się też wzdrygnęli, a Tony wypuścił powietrze z ust ze świszczącym sykiem.

Pokiwałam głową.

– Wtedy on mnie zepchnął na ziemię i walnął butem. – Tutaj wskazałam na swoją szczękę.

– Ale... jak do tego w ogóle doszło? – drażył Will, a jego mocny zwykle głos brzmiał coraz słabiej.

Wzięłam kolejny kęs makaronu i gdy wciągałam go do buzi, wymownie uniosłam pałeczki. Chwilę przeżuwałam, po czym wyjaśniłam ze wciąż na wpół pełnymi ustami:

– Dźgnęłam go.

Chyba wszyscy moi bracia w tym momencie z chwilową uwagą przyjrzeni się swoim zestawom pałeczek. Vince omiótł je dość szybkim spojrzeniem, a Shane nawet sprawdzał ich skuteczność, próbując je wbić w otwartą dłoń.

– Tamta była złamana i ostra – mruknęłam do niego, na co on tylko zagapił się na mnie bez słowa.

– Dobrze – zaczął Will, jakby na nowo, starając się brzmieć rzeczowo i sensownie. – Spróbujmy to uporządkować. – Spojrzał na mnie. – Zaatakowałaś go pałeczką chińską. Tak... po prostu? Znikąd?

– A, nie. – Machnęłam ręką. – Wszystko zaczęło się od tego, że rozsypałam mu kokainę.

Cisza numer cztery trwała bardzo krótko, bo Shane ze zdumienia odchylił się tak bardzo, że zleciał z łóżka, narobił rabanu i choć bardzo szybko stanął na równe nogi, to bluźnił na głos jeszcze przez długą chwilę.

Nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi. Wszyscy pozostali gapili się na mnie, jakbym była jakimś rzadkim gatunkiem wróżki zębuszki skrzyżowanej z elfem Świętego Mikołaja.

– Nie no, niedobrze mi. – Dylan ruszył w stronę drzwi wyjściowych, ale zatrzymał się przed nimi i odwrócił z powrotem w moją stronę. – Kokainę? Serio?

– Tak naprawdę nie wiem, co to było. Jakiś biały proszek. Mówią na to kokaina, nie? Widziałam w filmach.

– Chciał się przy tobie naćpać? – zapytał z nieskrywaną niechęcią Tony.

– Tak, choć teraz, gdy o tym myślę, to nie miało to zbytnio znaczenia, bo on na pewno już wcześniej działał pod wpływem narkotyków. – Znowu wzruszyłam ramionami.

– Twój koleżka twierdzi, że on to jest naćpany bez przerwy – burknął Dylan.

Potrzebowałam chwili na przetrwanie tego, co powiedział, zanim wyciągnęłam następujące wnioski.

– Chwila, to znaczy, że wy... r- rozmawialiście z Leo?

Natychmiast spojrzałam na spokojnego Vince'a, który odwzajemniał moje spojrzenie i tylko delikatnie skinął głową. Łokieć opierał na podłokietniku, a dłonią podtrzymywał swoją skroń i wiedziałam, że intensywnie porządkuje sobie wszystkie myśli i informacje, które właśnie usłyszał.

Zadrżałam. Przez to wszystko, co się wydarzyło, nie zdążyłam pomyśleć o Leo. Nawet nie wiedziałam, czy wciąż był moim przyjacielem. Poczułam nieprzyjemne ukłucie w sercu, gdy uświadomiłam sobie, że może od dawna już nim nie być.

– Oczywiście, Hailie. Od razu po zidentyfikowaniu twojego porywacza zwróciliśmy się do jego rodziny – oświadczył Will.

– I co jego rodzina na to? – zapytałam zaniepokojona.

– Nikt nie wiedział, co planuje Ryder.

Westchnęłam z ulgą.

– Prawdopodobnie – wtrącił z uniesieniem Dylan. Znowu zrobił krok w moją stronę. – Prawdopodobnie jego rodzina o tym nie wiedziała. Nie możemy być pewni na sto procent.

Odwróciłam głowę z powrotem do Willa.

– Co Leo wam powiedział?

Dla Willa temat mojego przyjaciela nie był najwidoczniej aż tak istotny jak rozmawianie o mnie i o moich przeżyciach, ale chyba dał się przekonać mojemu błagalnemu spojrzeniu, bo w końcu odpowiedział mi na pytanie.

– Najpierw byliśmy podejrzliwi, bo Leo również nie zjawił się na egzaminach. To nie mógł być zbieg okoliczności. I nie był. Gina Hardy, jego matka, trafiła do szpitala tego samego ranka. Straciła przytomność. Jak się okazało, ktoś doprawił jej kawę jakąś dziwną mieszanką środków nasennych. Gdy Leo nie mógł jej dobudzić, przestraszył się i wezwał karetkę. Pojechał za nią do szpitala, a Ryder mógł wtedy realizować swój plan.

– Chwila, co ty mówisz, Ryder otruł własną matkę? – wyszeptałam z przejęciem.

– Otruł to może odrobinę za dużo powiedziane, ale...

– ...ale naszprycował ją jakimś gównem, tak – dokończył Dylan, kręcąc głową z niesmakiem. Potem wycelował we mnie władczo paluchem, tak jak zbyt często lubił robić, gdy mi rozkazywał. – Dlatego trzymasz się od tej rodziniki z daleka.

– Przecież Leo nie zrobił nic złego, więc nie wiem, o co ci chodzi – syknęłam do niego ze złością.

Dylan już otwierał usta, ale na szczęście przerwał mu Will.

– Przestań – rzucił do niego władczym, stanowczym tonem. – Przestań. Ma odpoczywać, nie denerwuj jej.

– Właśnie, Dylan, nie denerwuj mnie.

Mój wredny brat rzucił mi mordercze spojrzenie, ale nie odezwał się, tylko w końcu wyszedł z salki i chyba chciał trzasnąć drzwiami, ale plany pokrzyżował mu system cichego domyku i zamiast huku rozległo się jedynie ciche kliknięcie.

Westchnęłam cichutko pod nosem i z powrotem zapatrzyłam się na swoją chińszczyznę. Jadłabym ją z większą przyjemnością, gdybym nie musiała stresować się takimi rozmowami. Oczywiście padło jeszcze kilka pytań, które pomogły braciom lepiej rozeznać się w sytuacji, ale widząc moją niechęć, szybko odpuścili. Widocznie

wzięli sobie do serca zasadę niemęczenia mnie. W sumie była mi ona na rękę, bo wreszcie dokończyłam jedzenie, i resztę dnia spędziłam, na przemian drzemiąc i przyjmując sporadyczne odwiedziny lekarza i pielęgniarek. Prawie cały czas towarzyszył mi Shane, rozwalony w moim łóżku, i muszę przyznać, że było to dla mnie bardzo kojące, budzić się i widzieć, że jest obok.

W środku nocy jednak przebudziłam się przerażona koszmarem i nikogo przy mnie nie było. Rozejrzałam się po pustym pokoju. Telewizor był już wyłączony. Ciemność pogrążyła pomieszczenie, zupełnie jak w moim śnie, co z pewnością nie pomogło uspokoić się mojemu galopującemu sercu.

Samo moje wybudzenie było nieprzyjemnie gwałtowne, bo zachłysnęłam się w tym samym momencie, w którym zerwałam się na łóżku do pozycji siedzącej. Ciężkie krople potu spływały mi po czole, a także pomoczyły koszulkę. Zakaszałam, próbując uspokoić rozdygotany oddech.

Poczułam dreszcze, zrobiło mi się niedobrze i miałam wrażenie, jakbym się dusiła. To dlatego wyślizgnęłam się spod kołdry i przyzwyczajając się do panującego poza nią chłodu, zeskoczyłam z łóżka. Na stopy założyłam tamte dziwaczne kapciuszki i obejmując się ramionami, wymknęłam się po cichu z pokoju.

Zmrużyłam oczy, bo na korytarzu było nienaturalnie jasno i pusto. Rozejrzałam się, mrużąc oczy, i zaczęłam zastanawiać, w którą stronę lepiej by było pójść. W prawo, w lewo? Czułam się jak w horrorze. Dlaczego jestem sama, dlaczego nikogo tu nie ma? Ktoś musi tu pracować. Obejmowałam się coraz mocniej i stawiałam niepewne kroki. Brakowało jeszcze, żeby lampy na suficie zaczęły mrugać albo żeby jakiś zachrypnięty głos starca zaczął wołać moje imię. Albo żeby ktoś zaczął chuchać mi na kark.

Przyspieszyłam, nieźle wystraszona, a wtedy dotarłam do końca korytarza i za zakrętem zobaczyłam Vincenta. W swoich czarnych spodniach i koszuli. Opierał się o ścianę i prowadził rozmowę telefoniczną, z uwagą wpatrując się w przeciwną ścianę.

Stałam jak wryta. Jezu, to Vincent, co za ulga. Jak dobrze.

– Nie. Wszystkie kontrakty mają być do wglądu dla prawnika. Dopóki nie będą sprawdzone, nie ma sensu się w nie... zagłębiać. – Mój brat mnie dostrzegł i, wyraźnie zaskoczony, obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów, po czym na powrót skupił się na swoim rozmówcy. – Zostaw to i czekaj na zielone światło. Będziemy jeszcze rozmawiać.

Rozłączył się i wciąż trzymając telefon w ręce, podszedł do mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Dlaczego nie jesteś w łóżku?

Zamrugałam. Za długo cieszyłam się tym, że Vince stoi przede mną, żywy i prawdziwy. Przez to odpłynęłam i musiałam zebrać się w sobie, by odpowiedzieć coś sensownego.

– Musiałam do łazienki? – zachrypiałam niewinnie.

– Coś jest nie tak z tą, którą masz w pokoju?

– Musiałam się przejść.

– W środku nocy?

Westchnęłam.

– Miałam zły sen.

Obserwował mnie przez chwilę i pokiwał głową.

– Chciałbym, żebyś wróciła do łóżka – oświadczył, telefon wsunął sobie do kieszeni swoich eleganckich spodni, a następnie tę samą rękę położył na moim ramieniu. – Nocne spacerowanie po korytarzach nie pomogą na koszmara.

– Powrót do łóżka też nie – mruknęłam, posłusznie dając mu się jednak poprowadzić. Dopóki był przy mnie, nie myślałam o strachu.

– Pójdę z tobą – zaoferował się. – Byłem przy tobie w pokoju, ale zadzwonił telefon. Nie chciałem tam rozmawiać, żebyś się nie obudziła.

Skinęłam głową, akceptując jego wyjaśnienie. Zbliżając się do drzwi mojego pokoju, poczułam powracające przerażenie. Napięłam mięśnie, gdy mieliśmy przekroczyć próg pokoju, ale Vince zapalił światło i okazało się, że mając go przy sobie, już się nie boję. Ot, pokój jak pokój, z rozgrzebanym łóżkiem pośrodku.

– Powiesz mi, co to za sen? – zapytał, gdy z powrotem zakopywałam się pod kołdrą.

Machnęłam lekceważąco ręką.

– Nie chcesz tego słuchać, Vince, serio – zażartowałam, choć mój śmiech był jawnie wymuszony.

– Nie pytałbym, gdybym nie chciał.

Wtulona już w poduszki, obserwowałam nieco podejrzliwie, jak niespiesznym krokiem podchodzi do fotela, a następnie z cichym szuraniem przysuwa go bliżej mojego łóżka. Gdy na nim zasiadł, wyglądał jak terapeuta albo sędzia.

Spuściłam wzrok na kołdrę, gdy zrozumiałam, że nieubłagane nadchodzi jeden z rzadkich momentów szczerości między mną a moim opiekunem. Westchnęłam.

– Widziałam mamę.

Rzuciłam mu spojrzenie, by zobaczyć jego reakcję na moje słowa, ale zapomniałam, że mam do czynienia z mistrzem skrywania uczuć, dlatego na widok jego kamiennej twarzy z powrotem odwróciłam od niej wzrok.

-Wtedy, zaraz po wypadku. Zanim się obudziłam – kontynuowałam, z ciężkim sercem rozpamiętując tamte chwile. – Leżałam w swojej starej sypialni i nie mogłam się ruszyć, ale była tam ze mną mama. Siedziała tuż obok mnie, na brzegu łóżka, o tak mniej więcej... – Gestykulowałam, by jak najlepiej zobrazować mój sen Vincentowi. – Czułam nawet jej zapach, to na pewno była ona. Tak prawdziwa, jak nigdy.

Vince popatrzył na mnie. Nie odzywał się, więc ciągnęłam moją opowieść, coraz bardziej się nakręcając.

– Kazała mi się obudzić i rozgrzać, a wiesz, po wypadku leżałam w tamtym aucie i było mi zimno, naprawdę zimno, i ja w tym śnie tego nie czułam wcale a wcale, w ogóle tego nie czułam, nawet jak się obudziłam, a ona wiedziała, że powinnam się rozgrzać, i no to musiała być ona, prawda? Bo skoro ja sama o tym nie wiedziałam, to nie mogło się dzieć w mojej głowie, bo ja bym tego nie wymyśliła, ona mi się jakoś objawiła, ona... To była ona, prawda? Co myślisz?

Nerwowo zaciskałam i rozluźniałam w kółko pięści na kołdrze, przetykając co chwila nadmiar śliny spowodowany moim nagłym słowotokiem. Teraz już patrzyłam prosto na Vincenta, głodna jego reakcji. Chciałam, żeby potwierdził moje słowa. Szanowałam go, ceniłam jego opinię i tak bardzo pragnęłam, żeby skinął głową i powiedział, że tak, to moja mama uratowała mnie przed śmiercią. Że ona naprawdę tam gdzieś jest i czuwa.

– Nie wiem, Hailie – powiedział w końcu, a ja patrzyłam na niego w milczeniu z irytująco szybko unoszącą się i opadającą klatką piersiową. Nawet gdybym chciała, nie byłabym w stanie zapanować nad swoimi emocjami.

Głęboki zawód musiał mocno wyryć się na mojej twarzy, bo wpatrując się w nią, Vince westchnął ciężko. Nawet nie starałam się ukryć zaskępienia. Bo skoro on nie wiedział, to kto miał wiedzieć?

– Ale jeśli to naprawdę była ona i to dzięki niej się obudziłaś, mam u niej ogromny dług wdzięczności.

Podniósł się i zbliżył do mnie jeszcze bardziej. Swoją dłoń położył na mojej, aktualnie nerwowo zbitej w pięść. Nie byłam pewna, ile aktualnie czułości wyrażały jego oczy, bo moje nagle zaszkliły się od łez.

Przez drżące wargi i zbierającą się w gardle gulę mój głos zrobił się niezwykle cienki i piskliwy, gdy znowu przemówiłam.

– Przed chwi- chwilą śniło mi się, że znowu byłam w łóżku, w swoim starym pokoju i-i dalej się nie mogłam ruszy- yć – mówiłam, a z każdym słowem coraz trudniej wypowiadało mi się kolejne. – Było też ciem- mno. A mama zniknęła. Już jej przy mnie nie było. I znowu zostałam sama...

Vince przysiadł na brzegu mojego materaca i przyciągnął mnie do siebie. Nie stawiałam żadnych oporów. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo potrzebowałam takiej zwyczajnej bliskości, dopóki jej nie dostałam od mojego najstarszego brata.

Obejmował mnie mocno, uosabiając stabilność i siłę, których tak bardzo w tamtej chwili pożałowałam.

– Może nie było jej przy twoim łóżku – zaczął spokojnie, gdy zapadła między nami cisza i słychać było tylko moje nieudolne próby stłumienia szlochu – bo wie, że teraz już czuwa przy nim kto inny.

Gapiałam się w pusty fotel, na którym jeszcze niedawno siedział, przetwarzając jego słowa. Poczułam mrowienie w okolicach serca.

Momenty, kiedy otrzymywałam od najstarszego brata nieco czułości, były na wagę złota. To wtedy miałam okazję wsłuchać się w zrównoważone bicie jego serca, poczuć promieniujące od niego ciepło i utwierdzić się w przekonaniu, że on naprawdę jest człowiekiem, jak my wszyscy.

– Może. Dzięki, Vince.

Może i nie mówił dużo i często, ale gdy już decydował się otworzyć usta, to wydostające się z nich słowa były szczere i znaczyły wiele. Nie musiał mi teraz trajkotać nad uchem, że to wszystko będzie dobrze. On potrafił zażegnać mój chwilowy kryzys w kilku prostych słowach.

Jako że wszystko to działo się w środku nocy, to tak szybko, jak wybudziłam się ze snu, tak szybko udało mi się w niego zapaść i wciąż się do niego przytulałam, gdy usłyszałam, jak mówi cicho:

– Przepraszam, że nie nauczyłem cię lepiej prowadzić.

57

PRZYTULANIE

JEST FAJNE

Widok willi Monetów poruszył moje serce tak, jakbym ujrzała miłość swojego życia po latach rozłąki. Przyzwyczaiałam się do nazywania tego miejsca domem i, jak każdy dom powinien, ten był dla mnie schronieniem i bezpieczną przystanią. Wiedziałam, że tu będzie mi ciepło i wygodnie oraz że zawsze mogę tu liczyć na zaspokojenie wszystkich podstawowych potrzeb.

Miałam na sobie niezwykle wygodne spodnie dresowe i bluzę, które jeszcze pachniały nowością. Nieczęsto tak robię, ale dziś wybrałam kolor, który bez dwóch zdań, odzwierciedlał mój nastrój. Mocny, liliowy odcień był jak wiosna, jak nowy początek, jak szczęście, energia i trochę też siła.

Przewróciłam oczami, gdy wiązałam włosy przed lustrem, i przyszła mi do głowy myśl, że dobrałam sobie ciuchy pod kolor sińców, które jeszcze przez dłuższy czas miały widnieć mi na twarzy. Ranę na czole zaklejoną miałam cielistym plastrem, który przykryłam grzywką, ale szyi oraz szczęki nie mogłam zakryć. Cóż, nie szkodzi, minęła raptem jedna noc, odkąd wróciłam z kliniki i, mimo iż psychicznie czułam się nie najgorzej, to nikt nie oczekiwał, że będę wyglądać od razu jak nowo narodzona.

Z kuchni roznosił się zapach świeżych bajgli oraz domowej roboty masła ziołowego. Eugenie dwoiła się i troiła, by przywitać mnie jak najlepiej. Schodziłam po schodach, rozkoszując się tą wonią, gdy do moich uszu dobiegły odgłosy jakiegoś niezbyt przyjemnie zapowiadającego się starcia, które mocno zaburzyły moją wizję sielankowego śniadanka.

Zmarszczyłam brwi, pokonując schody wyważonym truchtem, tak aby nie rozdrażnić moich wciąż obolałych po wypadku mięśni.

– To jest wejście główne, dla gości. Zapraszał cię tu ktoś jako gościa? Bo nie wydaje mi się – warczał Dylan na wysokiego, młodego blondyna, w którym dopiero po chwili rozpoznałam Leo.

Włosy miał trochę rozczochrane, pewnie przez czapkę, którą przed chwilą musiał zdjąć i teraz trzymał w ręku. Miał na sobie ciemną kurtkę oprószoną na ramionach błyskawicznie topniejącym śniegiem.

– Nie znam innego wejścia. Ostatnio wchodziłem tędy – bronił się.

– Ostatnio byłeś gościem mojej siostry, dziś nim nie jesteś. Zabieraj dupę do auta i zapraszamy na tyły...

– Leo! – zawołałam na jego widok. Oczy otworzyły mi się szeroko, a usta pozostały rozchylone w szoku. Stałam naprzeciwko niego, tuż obok najeżonego Dylana. – Co ty tutaj robisz?

Nie umknęło mojej uwadze, jak spojrzenie chłopaka się zmieniło, gdy tylko mnie zobaczył.

– Hailie – szepnął niepewnie.

– Świetnie – burknął pod nosem Dylan.

– Jak... się czujesz? – zapytał mój, jak by nie było, przyjaciel. Wodził wzrokiem po śladach na mojej twarzy, zdając sobie sprawę, kto był ich autorem.

– Lepiej. – Wzruszyłam ramionami. – Ale serio, co ty tutaj robisz?

– Twój brat, to znaczy, Vincent prosił o spotkanie.

Zmarszczyłam brwi i przeniosłam pytająco- podejrzliwe spojrzenie na Dylana, którego widocznie niecierpliwiła nasza gadka.

– Po co?

– Bo tak – rzucił mój brat i cofnął się trochę, by stanąć nieco za mną i położyć mi dłonie na ramionach. Następnie pchnął mnie delikatnie w stronę kuchni. – Idź, zjedz śniadanie.

Wykręciłam się z jego uścisku i stanęłam z boku, żeby nie mieć go za swoimi plecami. Posłałam mu też spojrzenie pod tytułem „Żartujesz sobie? Chcę wiedzieć, co jest grane, i nie zjem żadnego śniadania, dopóki nie otrzymam odpowiedzi”.

Dylan odczytał je bezbłędnie, bo ostentacyjnie wzniosł oczy do nieba, mruczając pod nosem jakieś przekleństwo.

– Przestań tak robić – warknęłam na niego. – Mój przyjaciel jest w naszym domu i chcę wiedzieć, w jakim celu został tu ściągnięty.

– Przyjaciel? Brat tego twojego całego przyjaciela próbował cię zabić, porwać, a potem znowu zabić, co ty, masz pamięć jak u złotej rybki?!

Dostrzegłam, że w oczach Leo pojawia się nadzieja na dźwięk słowa „przyjaciel”.

– Tak, właśnie, jego brat – podkreśliłam. – Niestety żadne z nas nie ma wpływu na zachowanie naszego rodzeństwa.

– Ja przecież nic nie robię. Na razie jestem tylko niemiły. Nie próbuję go zamordować. Jeszcze.

Wtedy Leo postanowił się wtrącić, najwyraźniej chętny do przerwania wymiany zdań między mną a Dylanem.

– Jestem tu, bo wyraziłem chęć pomocy. W znalezieniu Rydera.

Znowu rozdziawiłam buzię i szybko ją zamknęłam, marszcząc czoło. Choć nic nie powiedziałam, Leo pokiwał głową, jakby potwierdzał jakąś moją teorię.

– Ślad po nim zaginął. Musiał się gdzieś zaszyć, nie wiadomo gdzie. Twoi bracia... – Tu skinął na Dylana, który dla odmiany słuchał go w milczeniu. – ...go szukają, a ja... Ja chcę, żeby go znaleźli – westchnął.

Obserwowałam go przez chwilę. Te jego piękne, miodowe oczy, w których znajdowało się tyle niezasłużonego bólu i cierpienia.

– Jak?

– Ryder odwala coś, znika, a potem przylatuje z podkulonym ogonem. To taki schemat. Tak było, odkąd pamiętam. Jest jak bumerang. – Pokręcił głową. – Wraca zawsze. Jestem pewien, że tym razem też tak będzie. Gdziekolwiek on teraz jest, prędzej czy później wpakuje się w jeszcze większe kłopoty. Skończą mu się pieniądze, komuś podpadnie, będzie miał nóż na gardle. Wtedy wróci – wytłumaczył, na koniec odważając się spojrzeć mi w oczy. – Bo wie, że nasza matka zawsze go przyjmie, nieważne, co zrobi. Może liczyć tylko na nią. Nikt inny mu nie pomoże.

– Pytanie tylko – odezwał się Will, który pojawił się właśnie na schodach i zbliżał się do nas powoli, z dłonią wyciągniętą na balustradzie. – Czy gdy przyjdzie co do czego, będziesz w stanie sprzedać nam własnego brata.

Zatrzymał się obok Dylana, tak że teraz oboje stali naprzeciwko Leo i świdrowali go wzrokiem. Ja przyglądałam się temu jakby z boku, zerkając na duet moich przerażających braci.

– To nie tak, że ja tego nie przemyślałam – odparł cicho mój przyjaciel. Musiał być przytłoczony obecnością braci Monet. A to tylko dwójka z nich! – Zdaję sobie sprawę z konsekwencji. Ryder po prostu... On przekroczył już wszelkie granice. – Leo pokręcił głową. – Nigdy nie był dla mnie prawdziwym bratem. Rodzina nigdy go nie interesowała. Gdzieś miał mnie i mamę. A ostatnie wydarzenia utwierdziły mnie w przekonaniu, że on się już nie zmieni. Zawsze będzie tylko mącił. Kiedy wszystko się normuje po jednym jego wyskoku, on znów coś odwala. Tak się nie da żyć. Matka na to nie zasługuje. On ją tylko okrada, nie raz podniósł rękę na nią, na mnie. Chowa po domu prochy. Zadłuża nas.

Współczułam mu całym sercem. I wierzyłam, że ma dobre intencje. Will i Dylan patrzyli na niego uważnie, obaj z zaciśniętymi ustami i założonymi na piersi rękoma.

– Cóż, porozmawiajmy – zaproponował Vincent, jako następny Monet wyłaniający się z piętra. Dziś był już wypoczęty i gotowy do pracy. Poczułam jego mocne perfumy,

jeszcze zanim stanął pośród nas. – Skoro już jesteś w tej części domu, przejdźmy po prostu do biblioteki – zaproponował.

– Oczywiście – odparł Leo, starając się dorównać manierom mojego brata.

Vince odwrócił się i skierował w stronę wspomnianego pomieszczenia, a Leo posłusznie podążył jego śladem. Za nimi dwoma od razu ruszyłam ja, jakbym była tutaj równie istotnym rozmówcą.

– Gdzie? – zawołał za mną Dylan, zwracając uwagę Vince'a, który bez odwracania się rzucił przez ramię:

– Bez ciebie, Hailie.

– Właśnie że ze mną.

Wtedy mój najstarszy brat zwolnił kroku i obejrzał się na mnie.

– Bez. Ciebie – powtórzył dobitniej, po czym skinął głową w stronę kuchni. – Śniadanie.

– Wszystko okej, Hailie – dodał cicho Leo i wtedy się zatrzymałam. Przygryzając wargę, odprowadziłam wzrokiem panów do drzwi biblioteki. Miałam złe przeczucia. Rozmowy z Vincentem zawsze miały jakiś powód i rzadko kiedy były przyjemne, zwłaszcza dla osób spoza rodziny, jak zdążyłam się zorientować.

W końcu udałam się do kuchni. Eugenie, która stawiała właśnie na środek stołu kosz z jeszcze ciepłym pieczywem, rzuciła mi spojrzenie i w kilka sekund zdążyła załamać ręce nad tym, jaka jestem poszkodowana, potem skomplementowała niezwykle rześkość, która podobno ode mnie biła, a na koniec doczepić się mojej chudej aparycji. Wszelkie dodatki do bajgli, które stawiała na stole, przysuwała bliżej mnie. Wśród nich znalazł się słój wspomnianego wcześniej masła ziołowego i kilka innych smarowideł, jak na przykład masło orzechowe i pasta z pieczonych bakłażanów.

Przeżuwałam, siedząc jak na szpilkach. Stresowałam się spotkaniem, które odbywało się kilka pokoi dalej. Świadomość, że Leo był w moim domu sam na sam z przerażającym Vincentem, napawała mnie strachem.

Gdy tylko zostałam w kuchni sama, nie wytrzymałam i wymknęłam się do korytarza. Staralam się sprawiać wrażenie, jakbym akurat się tamtędy przechadzała, ale tak naprawdę czaiłam się obok drzwi do biblioteki, zżerana przez ciekawość. Niestety nawet gdy przytknęłam ucho do drewnianych, masywnych drzwi, nie udało mi się wychwycić zza nich ani słowa. Vince w końcu nigdy nie podnosił głosu, a i Leo nie należał do hałaśliwych osób.

Nie było więc żadnym zaskoczeniem, że nie usłyszałam, gdy skończyli, i kiedy drzwi się otworzyły, musiałam od nich gwałtownie odskoczyć, by mnie nie uderzyły. Vince spojrzał na mnie i tylko wzniósł oczy do nieba.

Leo wyglądał... dobrze. Przeżył tę rozmowę i sprawiał wrażenie zmotywowanego, jakby przed chwilą zostały podjęte jakieś decyzje, a on był gotów działać.

– Odprowadzę cię do auta – zaoferowałam się i niby zwracałam się do niego, ale tak naprawdę zezwalałam też na brata, który to jako jedyny z naszej trójki ewentualnie mógł mieć jakieś obiekcje. Żeby go przekonać, dodałam słodko: – Proszę.

– Trzy minuty – zastrzegł Vince, po czym skinął na Leo i odszedł od nas, kierując się do kuchni, zapewne zwabiony cudownymi zapachami.

Mruknęłam do Leo, byśmy wyszli lepiej na dwór, bo w tym domu ściany miały uszy. Zarzuciłam na ramiona kurtkę, włożyłam buty i nawet czapkę, żeby nikt nie mógł się do mnie przyczepić, że o sobie nie dbam. Leo uśmiechnął się na widok wielkiego pompona, który sterczał na jej czubku.

Mój przyjaciel odezwał się, dopiero gdy stanęliśmy obok jego auta.

– Hailie, nie mogę spojrzeć ci w oczy – wyznał, rzeczywiście na początku patrząc na oprószoną cieniutką warstwą śniegu kostkę. – Po tym wszystkim... Świadomość, że Ryder...

– Ale ty taki nie jesteś – powiedziałam szybko. – Ty jesteś dobrym człowiekiem, ja to wiem.

Spojrzał na mnie.

– To nie ma...

– Ma – przerwałam mu od razu, bardzo stanowczo. – Właśnie że ma znaczenie. Nie miałeś wpływu na decyzje Rydera. Tak jak i ja nie mam wpływu na decyzje Vincenta. – Rękomą owinęłam swój tułów. – Ja nie wiem, co on tam robi, za drzwiami swojego gabinetu. Nie wiem i nie zamierzam za to odpowiadać. Tak jak i ty nie musisz odpowiadać za czyny Rydera.

– Twoi bracia mają chyba inne zdanie na ten temat. Nie komentują tego na głos, ale nie sądzę, bym dobrze wypadł w ich oczach, skoro chcę wkopać własnego brata.

– Ja myślę, że nawet oni widzą, jak daleko wam do prawdziwie braterskiej relacji – szepnęłam. – Ryder jest chory psychicznie. Poza tym widać, że zależy ci na rodzinie. Wkopujesz go przecież dla mamy.

– Dla niej i, jak by nie było, dla ciebie też.

Uśmiechnęłam się lekko, a Leo to odwzajemnił, ale prędko spochmurniał.

– Nienawidzę go, Hailie. Nienawidzę i jest mi cholernie przykro – wyznał, wzdychając ciężko. – Zwłaszcza gdy patrzę na ciebie i twoje rodzeństwo i widzę, że się da. Że się da normalnie razem żyć. I że wcale nie trzeba sobie wchodzić na co dzień w dupę, żeby mimo wszystko się kochać.

Gdy to mówił, czułam ciarki na całym ciele.

Zbliżyłam się do niego i dotknęłam jego ramienia.

– Przykro mi, Leo – szepnęłam. – To jest tak... niesprawiedliwe...

Zacisnęłam palce na jego kurtce i poczułam jego twardy mięsień. Zerknął na mnie. Bardzo lubiłam, gdy nasze spojrzenia się spotykały. On zawsze tak głęboko zaglądał mi w oczy...

– Tak jest... – mruknął powoli – ...i tego nie zmienimy. Trudno. Już dawno się nauczyłem, że życie daje w kość. – Wtedy uniósł swoją dłoń i przykrył nią swoją. Podobało mi się, że była taka duża i rozgrzana, mimo panującego wokół mrozu. – Cieszę się, że twoi bracia o ciebie dbają.

Przytuliłam go z całej siły. Musiałam wyjątkowo usilnie hamować obsesyjną myśl o tym, jak bardzo chciałabym go tak tulić często. I jak bardzo chciałabym być dla niego oparciem i mu pomóc. Być tą osobą, która poprawia mu humor i która barwi jego szarą rzeczywistość.

– Hailie Monet, do domu!

Oderwałam się od Leo, spłoszona agresją pobrzmiewającą w tonie Dylana. Naturalnie bardziej obawiałam się o mojego towarzysza niż o samą siebie.

– Ta, dbają – westchnęłam, zerkając za siebie na ogromnego chłopca, który zmierzał do nas wielkimi krokami. – Jedź już, Leo. Mam nadzieję, że pozostaniemy w kontakcie.

– Zrobię, co mogę, żeby tak było – odszepnął, po czym rzucił mi na koniec swój piękny uśmiech i wszedł do auta, a ja prędko się odsunęłam, by jak najszybciej mógł zatrzasknąć drzwi. Na koniec, zanim jeszcze to zrobił, rzucił mi ostatnie, smutne spojrzenie i powiedział, dla kontrastu, żartobliwie: – Trzymaj się, c'nie.

Roześmiałam się cicho i szczerze.

Leo odpalił silnik w momencie, gdy przybył Dylan, i z ulgą patrzyłam, jak odjeżdża, nie musząc stawiać czoła mojemu rozdrażnionemu bratu.

– Co on, co ty... – burczał z o wiele za dużym wyrzutem. – Po co go dotykałaś?

– Tylko go przytuliłam.

– Po c...

Nie dokończył, bo przewróciłam oczami, otworzyłam ramiona i przylgnęłam do tej góry mięśni będącej moim wrednym, cholernie wkurzającym, nadopiekuńczym, czepiającym się i wrednym (tak, wiem, powtarzam się) bratem.

– Bo przytulanie jest fajne, Dylan – wymruczałam w jego klatkę piersiową, delektując się pięknem naszego siostrzano- braterskiego uścisku. Miałam zamknięte oczy, ale uśmiechnęłam się automatycznie, gdy poczułam, jak jego ręce też mnie oplatają. Nie wątpiłam, że tak będzie.

– Nie najgorsze.

Nie był już tak nadąsany, jak jeszcze przed sekundą.

Trwaliśmy tak przez dłuższą chwilę. Było chłodno, ale od Dylana biło ciepło, które dzięki zerowemu aktualnie dystansowi między nami skutecznie chroniło mnie przed zimnem.

Następnie wypowiedziane przeze mnie wyrażenie przyszło mi do głowy znikąd i wypłynęło z moich ust wyjątkowo płynnie i naturalnie.

– Kocham cię.

Dylan napiął się trochę, a ja wiedziałam dlaczego. Bracia Monet to byli tacy twardziele, którzy nie rozmawiali za wiele o uczuciach. A już na pewno ich tak dokładnie nie definiowali. Z kolei ja z moją mamą zwykłyśmy powtarzać sobie te piękne słowa przy każdej możliwej okazji. Dopiero teraz uderzyło we mnie, jak dawno ich od nikogo nie usłyszałam, dlatego podwójnie ucieszyłam się, gdy mój brat wreszcie odparł:

– No ja ciebie też, mała dziewczynko.

58

PRAWDZIWA MONET

Do domu weszliśmy, podśmiewając się pod nosem. Ciężka ręka Dylana ciążyła mi na ramionach, za to palce mojej lewej dłoni zaciskały się na tyle jego koszulki. Zdjęłam kurtkę, czapkę oraz buty i razem skierowaliśmy się prosto do kuchni, w której siedzieli Vince wraz z Willem, widocznie zaskoczeni widokiem mnie i Dylana razem, uśmiechniętych.

W końcu się od siebie oderwaliśmy i usiadłam przy stole obok Willa. Eugenie zostawiła dzbanek świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy i szczerze zapełniłam nim sobie szklankę, widząc, że moi bracia i tak bardziej zainteresowani byli kawą.

Wciąż miałam z nimi wiele tematów do obgadania i właśnie zastanawiałam się, czyby ich nie poruszyć od razu, zwłaszcza że jak na zawołanie pojawili się Shane i Tony. Uznałam, że nie mogę przepuścić takiej okazji, skoro miałam ich wszystkich w jednym miejscu.

Shane był bez koszulki i z mokrymi włosami, a także aurą pełną witalności, dlatego zgadywałam, że odbębnił swój poranny trening, za to Tony wciąż chyba spał, bo z zamkniętymi oczami ruszył do ekspresu do kawy.

– Vince – zaczęłam niewinnie, a gdy sięgnęłam na siebie jego uwagę, dodałam: – Chciałabym porozmawiać.

– Teraz? – zapytał, unosząc swój ulubiony kubek z Gwiazdnych wojen i upijając tyk.

Skinęłam głową.

– Tutaj?

– Mhm, może być tutaj.

– Słucham.

Oczywiście wszyscy zamilkli, niezmiernie ciekawi, co mam do powiedzenia.

A ja, nim zaczęłam, wzięłam głęboki wdech.

– To nie działa.

Niektórzy rzucili mi spojrzenia, przeżuając, inni zmarszczyli brwi. Vince wpatrywał się we mnie z neutralnym wyrazem twarzy.

– Co masz na myśli? – zapytał Shane. On był jednym z tych marszczących brwi, bo widocznie nie rozumiał mojego wyznania.

– Wszystko. To, jak wygląda teraz moje życie – wyjaśniłam. – Zamieszkałam z wami ponad rok temu i tyle... dziwnych... rzeczy, jakie mi się przez ten okres przytrafiły...
– Pokręciłam głową, wywracając oczami. – Nie mogę ich nawet zliczyć.

– One nie powinny były się zdarzyć – mruknął Shane zaraz po ugryzieniu bajgla.

Pokiwałam głową.

– Ale się zdarzyły. I kto wie, co jeszcze się zdarzy.

– Do czego pijesz? – zapytał Will, który siedział dość blisko mnie, więc wychylał nieco głowę, by widzieć moją twarz.

– Do tego, że... – Wzięłam kolejny głęboki wdech. – Chcę zmian.

Wszyscy bracia Monet obserwowali mnie, poświęcając mi o wiele więcej uwagi niż swojemu śniadaniu. W napięciu czekali, aż się określę, i cieszyłam się, że dla odmiany jestem traktowana na poważnie.

– Jakich zmian, malutka?

Patrzyłam prosto w oczy milczącego Vincenta.

– Chcę normalnego życia. Mam szesnaście lat i chcę żyć jak normalna nastolatka. Chcę popełniać swoje błędy. Chcę umieć przetrwać w waszym świecie – mówiłam twardo, a na widok niektórych min ciągnęłam jeszcze dobitniej: – Gdy Ryder mnie porwał, to nie ochroniarz czy nadajnik w telefonie mnie ocalił. Sama się ocaliłam. Gdybym nie potrafiła się bronić, Ryder by mnie udusił. Gdybym nie potrafiła strzelać, on zastrzeliłby mnie. A gdybym nie potrafiła kierować, nie mogłabym go zostawić na drodze i odjechać.

Bracia milczeli, a ja zerknęłam każdemu z nich oddzielnie w twarz, po czym zwróciłam się bezpośrednio do Vincenta:

– Do tej pory robiliśmy po twojemu. Z tymi wszystkimi zakazami i tak dalej. Może ostatnie wydarzenia to dowód na to, że twój sposób jednak nie działa? Może pora spróbować czegoś innego?

Rozmyślał nad moimi słowami, na pewno, i to już był sukces.

Po czym westchnął i pokręcił głową, patrząc mi prosto w oczy.

– Czego innego, Hailie? – zapytał. – Nie mogę przecież pozwolić ci na totalną niezależność, choćbym nawet tego chciał.

– Ale ja nie mówię o totalnej niezależności – zaprotestowałam prędko. – To nie tak, że po tym, co mi się przytrafiło, ja się nie boję. Zgadzam się na ochroniarza i zgadzam się na, nie wiem, nawet na ten głupi nadajnik i w ogóle, ale skoro mam żyć w ten sposób, to chcę mniej ograniczeń. Chcę żyć tak normalnie, jak to możliwe. – Patrzyłam błagalnie na Vincenta, wiedząc, że to jest ta chwila, w której albo się dogadamy, albo nie. – Chcę kompromisów.

– Na przykład?

– No... na przykład... – zawahałam się – chciałabym robić czasem użytek ze swojego auta.

Dylan i Tony przewrócili oczami.

– No co? Jest moje, tak czy nie? Kupiliście mi auto, którym nie mogę jeździć, to przecież bezsens. Wszyscy moi znajomi zdają teraz egzaminy na prawo jazdy. To normalna rzecz, jaką robi większość nastolatków w moim wieku. Ja też chcę.

– Jak miałby wyglądać kompromis w tej kwestii? – zapytał rzeczowo Vince, biorąc kolejny łyk kawy.

– No, że... no, że... Nie wiem. Nie przemyślałam jeszcze wszystkiego. – Wzruszyłam ramionami. – Może coś w stylu, że czasem jeżdżę do szkoły sama, a czasem nie?

– Nie musisz jeździć sama, przecież chodzimy do tej samej szkoły – zaprotestował Shane.

– Ale o to chodzi, że czasem chcę. Chcę móc wsiąść we własne auto, jak mnie wkurzysz. Albo pojechać do koleżanki po szkole. Czasem. Poza tym niedługo idziesz do college'u, prawda? – Patrzyłam na Shane'a z uniesioną brwią, po czym z powrotem zerknęłam na Vince'a. – Chcę być mobilna. Zwłaszcza że mieszkamy w środku lasu, no na miłość boską!

– No już, nie ma co się unosić – mruknął Shane. – Kumam.

– Nie unoszę się, tylko to są tak oczywiste rzeczy... Albo szkoła. Chcę chodzić do szkoły. Zajęcia indywidualne mnie męczą...

Dylan parsknął rozbawiony, a Tony prychnął:

– Raczej chodzi o to, że na indywidualnych nie możesz być najlepsza.

Teraz wszyscy przyglądali mi się z delikatnie drwiącymi uśmieszkami, co niezmiernie mnie zirytowało.

– Lubię być najlepsza, i co z tego – burknęłam wyzywająco. – Nauka to coś, w czym jestem dobra, a chodzenie do szkoły mnie motywuje. I tyle.

– No już dobrze, przecież wszyscy jesteśmy z ciebie dumni – zaśmiał się Will, poklepując mnie lekko po plecach.

– Co, jeśli pojawi się drugi Ryder, który będzie ci groził na szkolnym korytarzu? – spytał Vincent.

Przez chwilę byłam cicho, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

– Sądzę, że to szkoła tu zawiniła. Powinni bardziej uważać, kogo wpuszczają na swój teren – powiedziałam w końcu.

Vince skinął głową.

– Zgadza się. Władze szkoły na pewno poniosą konsekwencje, jednakże jakiegokolwiek środki bezpieczeństwa wdrożą, nie można bezgranicznie ufać, że dopilnują, by sytuacja się nie powtórzyła.

Zamyśliłam się.

– W takim razie co ty proponujesz?

– Jeśli upierasz się, by chodzić do szkoły, wyrażę na to zgodę, tylko jeśli ty zgodzisz się, by zarówno poza jej murami, jak i w środku nich, towarzyszył ci ochroniarz.

Opadła mi szczeka.

– Co, że w klasie? I na stołówce? I korytarzu?

– Pod klasą, i na stołówce, i na korytarzu, tak. Wszędzie.

Opadłam na oparcie mojego krzesła.

– To... trochę ekstremalne – wymamrotałam.

– Wiem. – Vincent skinął głową. – Ale ta kwestia nie podlega dyskusji.

Nie miałam czasu na dokładne przemyślenie tego warunku. Fakt był jednak taki, że nastawiłam się na zawarcie tu jakichś kompromisów i skoro Vince godził się na współpracę, to chciałam pokazać, że ja też jestem w stanie się ugiąć.

– Okej.

Shane odchylił głowę.

– Ha! – zawołał ze śmiechem, po czym szczerząc się, dodał: – Będziesz najpopularniejszą dziewczyną w szkole.

Zacisnęłam wargi w prostą linię.

– Tak jakby już jest – mruknął Tony.

– Będzie jeszcze bardziej.

Westchnęłam.

– Sonny pewnie nie będzie skakał z radości – rzuciłam, chcąc odwrócić ich uwagę od mojego szkolnego statusu towarzyskiego.

Chłopcy zamilkli i natychmiast wzbudzili tym moją podejrzliwość.

– Co jest?

Vince odchrząknął.

– Nie zdecydowałem jeszcze, co zrobimy z Sonnym.

Zmarszczyłam brwi.

– Co masz na myśli?

– Porwali cię tuż pod jego nosem – wyjaśnił mi Dylan, nakładając na połówkę bajgla zabójczo grubą warstwę masła.

– Ale to nie jego wina. Nikt nie mógł tego przewidzieć. Nie zrobił nic złego – broniłam go, a widząc niewzruszone twarze braci, dodałam bardziej zdecydowanie: – Chcę, żeby Sonny pozostał moim ochroniarzem. Jest dobry, sami mówiliście.

– No a co ci tak zależy? – zapytał Shane.

– Nie potrzebuję kolejnego obcego faceta w moim życiu. Przyzwyczaiłam się do Sonny'ego i go lubię. Jest dyskretny i jednocześnie uprzejmy.

Vince patrzył na mnie, a palcem pocierał ucho swojego pustego już kubka, najwyraźniej rozmyślając. Na koniec wzruszył ramionami.

– Zastanowię się.

Nie drażyłam tematu. To Vincent, więc nie mogło z nim pójść zbyt łatwo.

– Chcę, żeby moje życie towarzyskie nie ograniczało się do wyjścia do kina czy centrum handlowego. Chcę odwiedzać znajomych i... no chodzić na imprezy.

Teraz to mój najstarszy brat uniósł brew.

– Masz szesnaście lat.

– Nie mówię, żeby imprezować co tydzień – zreflektowałam się – ale jak jest jakaś okazja, to chcę w tym uczestniczyć, a nie siedzieć zamknięta w sypialni i oglądać relacje na social mediach, jak moi znajomi dobrze się bawią.

– Nie ma mowy – zaproponował Shane.

Dziwiłam się przez chwilę, że tym razem to on gra pierwsze skrzypce w tak zawziętym ograniczaniu mojej wolności, ale potem zrozumiałam, że Dylan, który zwykle to robił, musiał być tak wyjątkowo milczący, bo wciąż był rozczulony moim wyznaniem.

Will i Vince też byli zaskoczeni, bo zerknęli na niego z zainteresowaniem.

– Naprawdę nie chcecie, żeby imprezowała – powiedział do nich Shane. – W barach zamienia się w zwierzę.

– Prawda – potwierdził z głupawym uśmiechem Tony.

– Jesteście beznadziejni – warknęłam na bliźniaków zła, że robią mi tak fatalną reklamę. – Tamto to było co innego. No i nikt tu nie mówi o barach.

Vince skierował na mnie swój palec, ten z sygnetem.

– Przemyśle to, ale jednym z warunków będzie bezwzględny zakaz alkoholu – zapowiedział, mrużąc nieco oczy. Pokazał tym samym, że wciąż był rozdrażniony moim wybrykiem na wypach. – Jeśli warunek zostanie złamany, wrócimy do starego trybu.

– Zgoda. – Skinęłam głową, starając się nie ekscytować. Vincent naprawdę szedł mi na rękę, co się dzieje!

– Coś jeszcze?

– No...

Vince czekał cierpliwie, aż wyduszę z siebie kolejne życzenie i jeśli spodziewał się, co powiem, to nie dawał tego po sobie poznać.

– Leo.

Wtedy nawet Dylan nie wytrzymał i – mimo iż wciąż powstrzymywał się przed robieniem afery – to odsunął głośno krzesło, na którym siedział, i wstał ostentacyjnie, żeby dolać sobie kawy.

Bliźniacy obaj prychnęli lekceważąco, a zdawało mi się, że gdyby Will i Vince usilnie nie starali się zgrywać tę dojrzałą część mojego rodzeństwa, to pozwoliliby sobie na to samo.

– Co z nim? – zapytał mój ulubiony brat, widocznie próbując pokazać mi, że nie zamierza wyciągać pochopnych wniosków (w porównaniu do niektórych), co przyjął z wdzięcznością.

– Lubię go. – Wzruszyłam ramionami. – Chciałabym się z nim przyjaźnić. I chciałabym, żebyście to zaakceptowali.

– Przyjaźnić? – burknął Dylan, ale gdy odwzajemniłam jego spojrzenie, od razu odwrócił ode mnie wzrok, nie mówiąc nic więcej.

– Tak. Przyjaźnić.

Tony parsknął wyjątkowo głośno.

– Ty – szczerknęłam na niego – ty się lepiej nie odzywaj. Chciałeś mi zerznąć przyjaciółkę!

Tak, powiedziałam to. Za mało miałam doświadczenia w rozmowach o seksie, by dobierać lepsze słowa, więc tylko małpowałam te, które już gdzieś wcześniej zasłyszałam. A że mieszkalam z braćmi Monet i akurat byłam rozdrażniona...

– Hailie, słownictwo – upomniął mnie ostro, jak na siebie, Will.

Vincent też się trochę nastroszył, ale na szczęście uwaga bardzo szybko przeniosła się na bliźniaka.

– Tony? – Will skierował się teraz do najmłodszego z braci Monet, a w jego głosie pobrzmiwała żądza wyjaśnień.

Oczy Tony'ego otworzyły się szerzej i zamrugał.

– Ja? Kiedy niby?

– Halo? Na przedświątecznej domówce? – warknęłam, wściekła, że zgrywa głupka.

Shane wybałuszył oczy na swojego brata, zagryzając wargi, byleby nie wybuchnąć śmiechem.

– Powiedziałaś jej? – oburzył się Tony, a swoje wyrzuty kierując do Dylana, który właśnie podmuchami studził swoją gorącą kawę.

– No co ty, żartujesz? – odmruknął i westchnął z rozczarowaniem godnym pięciolatka: – Właśnie straciłem na ciebie haka.

– Wy... – zaczęłam, ale nie było sensu kończyć. Zamknęłam usta, postarałam się szybko ochłonąć i przemówiłam znowu, spokojniej, kierując słowa bezpośrednio do Tony'ego. – Słuchaj, po prostu trzymaj się od Mony z daleka. I nie waż się wykorzystywać tego, że chwilowo jest tobą zauroczona.

Tony uśmiechnął się kpiarsko, ale na widok min naszych najstarszych braci, powiedział:

– Spoko, w sumie to mam ją gdzieś.

Z jednej strony się cieszyłam, że tak jest, z drugiej byłam poirytowana jego podejściem do dziewczyn. Will i Vince jeszcze przez chwilę patrzyli na niego z dezaprobatą, z czego byłam zadowolona, i coś mi mówiło, że jeszcze wrócą do tego tematu na osobności. Bardzo dobrze, wreszcie nie tylko ja miałam otrzymywać w tym domu reprimendy.

– Czyli mamy umowę? – zapytałam po chwili Vincenta.

On uniósł brew, a jego błękitne oczy błysnęły rozbawieniem.

– Umowę?

Nie dałam mu się zbyć i patrzyłam na niego wyczekująco.

– Moje życie towarzyskie i wolność w zamian za moją prywatność?

Vince skinął głową, ale dopiero po chwili. Nigdy nie robił niczego pod wpływem impulsu. Wtedy ja podniosłam się i wyciągnęłam rękę w jego stronę, dając do zrozumienia, że traktuję naszą rozmowę niezwykle poważnie.

On popatrzył na nią i nie wiem, czy go bawiłam, czy nie, ale zaglądając mi następnie głęboko w oczy, uściśnął moją dłoń. Poczułam jego twardy, metalowy sygnet oraz mocny i stanowczy chwyt, jaki musiał mieć, gdy dobijał targów ze swoimi wspólnikami.

– Spróbujemy – powiedział, gdy zabrał rękę. – Ale pamiętaj, że jeśli przegniesz, wrócimy do starego schematu.

Teraz to ja skinęłam głową.

Wszyscy nasi bracia z zainteresowaniem przysłuchiwali się naszym negocjacjom i żaden z nich już specjalnie się nie wtrącał, choć byłam pewna, że mieli jeszcze sporo do powiedzenia. Sytuacja jednak była zbyt podniosła – Vince naprawdę zgodził się traktować mnie poważnie. Nawet uścisnęliśmy sobie dłonie, by przypieczętować nasze porozumienie. A te ustalenia miały realnie wpłynąć na moje życie.

Zakończyłam tę dyskusję z sukcesem i chciałam wyjść z kuchni. Chwyciłam za szklankę z sokiem i planowałam ewakuować się do salonu, gdzie mogłabym sobie wypocząć przed telewizorem.

Chłopcy też się ruszyli ze swoich miejsc. Shane chwycił ostatniego bajgla i wstał, by z nim odejść, Tony szturchnął go w ramię, bo widocznie też miał na niego ochotę, Vince wyciągał telefon z kieszeni, Will wkładał puste kubki po kawie do zlewu i tylko Dylan miał jeszcze coś do powiedzenia.

– Ej – rzucił znikąd.

Wszyscy jeszcze na chwilę zmusili się do uwagi, spoglądając na niego.

– Co?

– Nic. – Wzruszył ramionami, niby to obojętnie, po czym podniósł głowę i wbił spojrzenie prosto we mnie. – Chciałem tylko podkreślić, że nasza mała Hailie sprząła bez litości dorosłego typu.

Żeby ukryć zażenowanie, upiłam łyk soku.

Z jakiegoś powodu spodziewałam się, że może mi się oberwać za to, co wyprawiałam z Ryderem. Ku mojemu zaskoczeniu pierwszy odezwał się Tony, który pokiwał głową i wzruszył ramionami.

– No, ja tam jestem pod wrażeniem.

Wow, usłyszeć od niego taką aprobatę to zaszczyt.

– Nie mogło być inaczej – stwierdził Vince, a jego rozbawiony uśmiech sprawił, że musiałam zatrzepotać powiekami, by uwierzyć, że mi się nie przewidziało.

– W końcu to nasza Hailie, nie? – Mrugnął Shane i uszczypnął mnie w policzek.

– Swoich genów nie oszukasz – zaśmiał się Will.

Zacisnęłam palce na szklance, bo aż mnie zaboląło. Mocno.

To ten moment.

To właśnie ten moment, w którym poczułam, że ja tu naprawdę należę.

Dreszcze przebiegły mi po całym ciele i patrzyłam przed siebie, na moich żartujących braci, pogrążona w ciężkim szoku, bo nigdy nie spodziewałam się, że uczucie przynależności pojawi się tak nagle. Mówią, że aklimatyzacja to proces, że to trwa, że trzeba się stopniowo przyzwyczajać. Sądziłam, że gdy tak się już stanie, moment, w którym zostanę prawdziwą częścią rodziny Monet, będzie niewidoczny,

a pokonana przeze mnie granica już zatarta. Co więcej, uważałam, że przekroczyłam ją już wcześniej.

No i nie mogłam się bardziej mylić, bo niewiele rzeczy w życiu poczułam tak mocno, jak – dziś, tu i teraz – tę więź. Spadła na moje barki niczym supermoc, i to wcale nie przypadkowe porównanie, bo naprawdę poczułam tę energię i magię kumulującą się teraz potężnie w moim sercu.

I mogłam szczerze przyznać przed sobą, że nareszcie byłam gotowa na zmiany.